

Emil Zola

PRAWDA

Tom I

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

W środę wieczorem Marek Froment, nauczyciel z Jonville, w towarzystwie żony Genowefy i córki Ludwiki przybył do Maillebois, gdzie zwykł był co rok spędzać miesiąc wakacji u pani Duparque i pani Berthereau – u „tych pań”, jak je nazywano w okolicy; były to matka i babka jego żony.

Maillebois, miasto powiatowe o dwu tysiącach mieszkańców, jest odległe od wsi Jonville o dziesięć kilometrów, a zaledwie o sześć od Beaumont, wielkiego starożytnego grodu uniwersyteckiego.

Męczące były te pierwsze dni sierpniowe. W niedzielę, podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego, zerwała się okropna burza. Ostatniej zaś nocy, około godziny drugiej, spadł ulewny deszcz, który bynajmniej nie przejaśnił nieba; pozostawało ono chmurne, żółte, ciężko nawisłe, jak ołowiane. „Te panie”, wstawszy o godzinie szóstej, aby na siódmą zdążyć do kościoła, znajdowały się już w małej jadalni na parterze, oczekując pary młodych małżonków, którzy nie kwapili się z zejściem.

Na białej ceracie stały cztery filiżanki. Zjawiła się z dzbankiem kawy Pelagia, drobna, ruda, o dużym nosie i wąskich wargach. Służyła u pani Duparque od dwudziestu lat, toteż nie krępowała się w wypowiedziach.

– Ha, cóż! – stwierdziła – kawa wystygnie, ja temu nie jestem winna.

Kiedy Pelagia gderając pod nosem zawróciła do kuch – ni, sama pani Duparque dała wyraz swemu niezadowoleniu:

– To nieznośne! Można by pomyśleć, że Marek, ilekroć bawi w naszym domu, znajduje uciechę w narażaniu nas na spóźnianie się do kościoła.

Ale bardziej wyrozumiała pani Berthereau odważyła się usprawiedliwić winowajców mówiąc łagodnie:

– Pewno źle spali w nocy z powodu tej burzy; przed chwilą zresztą słyszałam na górze ich pośpieszne kroki.

Sześćdziesięcioletnia pani Duparque była wzrostu bardzo wysokiego, włosy miała jeszcze bardzo czarne, twarz oziębłą, przeoraną głębokimi symetrycznymi bruzdami, oczy o surowym wejrzeniu i władczo sterczący nos. Przez długie lata prowadziła magazyn mód pod firmą „Anioł Stróż” na placu Św. Maksencjusza, naprzeciwko katedry w Beaumont. Przed niespełna dwunastu laty, po nagłej śmierci męża, spowodowanej pono upadłością katolickiego banku, powzięła rozsądne postanowienie zwinięcia interesu, a zapewniwszy sobie rentę wynoszącą około sześciu tysięcy franków osiedliła się w Maillebois, gdzie posiadała niewielki dom. Wkrótce sprowadziła się do niej córka, również wdowa, pani Berthereau wraz z dziesięcioletnią podówczas córeczką Genowefą.

Nagły zgon zięcia stał się dla pani Duparque nowym źródłem goryczy; ów zięć, urzędnik ministerium finansów, w którego karierę nieopatrznie wierzyła, umarł w biedzie, pakując teściowej na kark swą żonę i dziecko.

Odtąd obydwie wdowy wiodły w małym, ponurym domku szary, zamknięty żywot, stopniowo coraz bardziej zacieśniany surowymi praktykami religijnymi. Pani Berthereau wszakże, którą mąż uwielbiał, zachowywała słodką pamięć tego przebudzenia do życia, do miłości; wysoka i czarnowłosa jak matka, miała rysy smętne i sterane, spojrzenie pełne rezygnacji, a jej znużone usta zdawały się niekiedy drgać niewyszeptaną skargą rozpaczony utraconym szczęściu.

Przyjaciół pana Berthereau, nazwiskiem Salvan, eks-nauczyciel z Beaumont, podówczas inspektor szkół powszechnych, następnie dyrektor École Normale, skojarzył małżeństwo Marka z Genowefą, której był opiekunem w zastępstwie ojca. Berthereau, człowiek umysłu bardzo wyzwolonego, nie wypełniał praktyk religijnych, ale pozwalał na nie żonie; z czasem nawet, czuły i uległy, począł towarzyszyć jej na mszę. Salvan, jeszcze bardziej wyzwolony intelektualnie, uznający jedynie prawdy doświadczone, stwierdzone, uległszy również odruchowi nieprzezornej życzliwości, wprowadził Marka do tej nabożnej rodziny nie przejmując się perspektywą ewentualnych konfliktów. Młodzi kochali się gorąco – jakoś tam się porozumieją. I oto w ciągu trzech lat małżeństwa Genowefa, jedna z wzorowych uczennic przyklasztornej szkoły wizytek w Beaumont, pomału zaniedbała istotnie praktyki religijne poniekąd nawet odmawiania pacierzy, wszystka pochłonięta miłością do męża. Pani Duparque była tym głęboko zmartwiona, mimo iż dbała o jej względy wnuczka, w czasie owego miesiąca wywczasów, spędzanego w Maillebois, miała sobie za obowiązek towarzyszyć jej do kościoła. Ale sroga babka, która sprzeciwiała się ongi temu małżeństwu, żywiła ciężką urazę do Marka, obwiniając go o to, że jej wykrada duszę wnuczki.

– Za kwadrans siódma – mruknęła usłyszawszy bicie zegara na wieży pobliskiego kościoła. – W żaden sposób nie zdążymy.

Podeszła ku oknu i spoglądała w stronę placu Kapucyńskiego. Domek mieścił się u zbiegu

tego placu i ulicy Kościelnej. Był to budynek jednopiętrowy; na dole znajdowały się jadalnia i salon, przedzielone korytarzem, dalej zaś, w głębi, kuchnia oraz pralnia z oknami na zatęchłe, mroczne podwórko; na górze były cztery pokoje: dwa po prawej stronie, zajmowane przez panią Duparque, i dwa po lewej, zajmowane przez panią Berthereau; wreszcie pod samym dachem, naprzeciwko strychu i pokoiku Pelagii, jeszcze dwie izdebki – niegdyś urządzone dla Genowefy, za jej panięńskich czasów – dokąd radośnie wprowadzała się na nowo, kiedy wraz z mężem przyjeżdżała do Maillebois. Ale jakież tam panował wilgotny cień, jaka przytłaczająca cisza, jakim cmentarnym chłodem zionęły ciemne pułapy! Ulica Kościelna, mroczna nawet w samo południe, ciągnąca się od fasady kościoła parafialnego Św. Marcina, była tak wąska, że nie nadawała się do ruchu kołowego; domy były obdrapane, drobny bruk porastał mchem i cuchnął od wylewanych nieczystości. Od strony zaś północnej roztaczał się plac Kapucyński – nagi, bez jednego drzewka, przygłuszony wyniosłą fasadą starego klasztoru, który zajmowali po społu kapucyni, odprawiający nabożeństwa w pięknej, obszernej kaplicy, oraz bracia szkolni, prowadzący w zabudowaniach przyklasztornych nader pomyślnie prosperującą szkołę.

Przez chwilę pani Duparque przyglądała się temu pustemu zakątkowi objętemu świątynną ciszą, po którym snuły się tylko nabożnie przygarbione sylwetki, i który ożywiały się jedynie wówczas, gdy o pewnych stałych godzinach zapelniali go uczniowie. W martwym powietrzu zwolna zabrzmiał głos dzwonu; pani Duparque odwróciła się, zniecierpliwiona, właśnie w momencie, gdy się drzwi otwały i weszła Genowefa.

– Nareszcie! – powitała ją babka. – Pośpieszmy się ze śniadaniem: już dzwonili pierwszy raz.

Genowefa, wysoka smukła blondynka o pięknych włosach i żywym, pełnym radości obliczu, odziedziczonym po ojcu, śmiała się ukazując białe zęby – zachowała bowiem w dwudziestym drugim roku życia wesołość podlotka. Widząc, że wnuczka jest sama, pani Duparque stwierdziła ze zgorznięciem:

– Jak to, Marek jeszcze nie gotów?

– Zaraz tu będzie, babciu, schodzi z Ludwiką.

Po czym ucałowawszy milczącą matkę Genowefa poczęła opowiadać, jak ją ubawił przyjazd – w charakterze mężatki – do tego tak spokojnego domu, w którym spędziła młodzieńcze lata. Ach! ten plac Kapucyński! Znała tu każdy kamień bruku, najdrobniejsze kępki trawy witała jak stare przyjaciółki! A kiedy, chcąc przypodobać się babce, a zarazem zyskać na czasie, rozplywała się w zachwytach wyglądając oknem, ujrzała dwie czarne sylwetki, które od razu poznała.

– Oho! ojciec Filibin i brat Fulgencjusz! Dokąd też idą o tak wczesnej porze?

Dwaj zakonnicy powoli kroczyli środkiem placu, który pod ciężko nawisłym chmurnym niebem zdawał się nasiąkać czernią ich sutann. Chłop z pochodzenia, ojciec Filibin, o kwadratowych ramionach, okrągłej nalanej twarzy, rudy, z dużymi oczyma, szerokimi ustami i potężną szczęką, zajmował w czterdziestym roku życia stanowisko kierownika kolegium

w pobliskim Valmarie, wspaniałej posiadłości jezuitów. Jego rówieśnik, ale drobnej postaci, ciemnowłosa, z miną niepozorną, lecz przebiegłą, brat Fulgencjusz był przełożonym trzech innych braciszków, którzy wraz z nim prowadzili pobliską szkołę chrześcijańską. Był on, jak powiadano, naturalnym synem służącej i lekarza psychiatry, zmarłego w zakładzie dla obłąkanych. Usposobienie miał nerwowe, drażliwe, umysł chaotyczny i wybujałe ambicje. On to mówił teraz bardzo głośno, szeroko przy tym gestykulując. – Dziś po południu – objaśniła pani Duparque – odbędzie się rozdanie nagród w szkole. A ojciec Filibin, który bardzo lubi naszych zacnych braciszków, zgodził się przewodniczyć na tej uroczystości. Pewno więc przybył z Valmarie i przypuszczam, że towarzyszy bratu Fulgencjuszowi, aby omówić jakieś szczegóły.

Tu urwała: oto nareszcie schodził Marek trzymając w objęciach swą zaledwie dwuletnią córeczkę Ludwikę, która, obydwoma rączkami uczepona jego szyi, dokazywała i śmiała się, uszczęśliwiona.

– Hopla! hopla! – zawołał wchodząc. – Przyjeżdżamy koleją, prawda, jak prędko?

Niższy wzrostem od swych trzech braci: Mateusza, Łukasza i Jana, z twarzą szczuplejszą i bardziej pociągłą, Marek Froment miał wysokie, bardzo wyraziście zarysowane, tak charakterystyczne w jego rodzinie potężne czoło sklepienie na kształt baszty. Ale przede wszystkim zwracały uwagę oczy oraz piękny głos: oczy jasne, bardzo łagodne, przenikające aż do głębi dusz; głos miły, zniewalający umysły i serca. Okolone lekkim zarostem znaczyły się usta, dosyć duże, stanowcze i dobrotliwe zarazem. Podobnie jak wszyscy synowie Piotra i Marii Froment, Marek wyuczył się rękodzieła, a mianowicie litografii; otrzymawszy jako siedemnastoletni chłopiec świadectwo wyzwolin, przybył do Beaumont, aby dokończyć praktyki w wielkiej firmie „Papon-Laroche”, zaopatrującej w mapy geograficzne i tablice szkolne prawie wszystkie szkoły we Francji. Tam to ujawniło się jego zamiłowanie do nauczania tak żywe, że zdawszy końcowy egzamin i uzyskawszy świadectwo ukończenia szkoły średniej zapisał się do Ecole Normale w Beaumont, którą, mając lat dwadzieścia, opuścił jako dyplomowany suplent. Kiedy po otrzymaniu świadectwa kwalifikacyjnego miał w dwudziestym siódmym roku życia objąć posadę nauczyciela w Jonville, poślubił Genowefę; przyczynił się do tego jego serdeczny przyjaciel Salvan, który wprowadził Marka do domu „tych pań” i z rozczeniem przyglądał się idylli miłosnej dwojga młodych. I od trzech lat Marek z Genowefą, niezbyt zamożni, nie wolni od pewnych kłopotów pieniężnych i służbowych, wiedli rozkoszny żywot zakochanej pary w wiosce liczącej ośmuset zaledwie mieszkańców.

Wesołe żarty ojca i córeczki nie rozchmurzyły zasepionej pani Duparque.

– Ta kolej – powiedziała – nie umywa się do bryczek, którymi się jeździło za moich młodych lat... No, załatwmy się prędko ze śniadaniem, inaczej nigdy nie zdążymy.

Usiadła nalewając już mleko do filiżanek. Genowefa zajęła się umieszczeniem wysokiego krzeselka małej Ludwiki między sobą a panią Berthereau, aby mieć oko na dziecko; tymczasem

usposobiony pojednawczo Marek starał się uzyskać przebaczenie.

– A tak, spóźniecie się przeze mnie... Ale to z twojej winy, babciu: za dobrze się śpi w tym domu, tak tu spokojnie!

Spiesząca się pani Duparque, z nosem zagłębionym w filizance, nie raczyła odpowiedzieć. Ale na twarzy pani Berthereau, która przeciągłym spojrzeniem ogarniała Genowefę, rozpromienioną w towarzystwie męża i dziecka, zagościł blady uśmiech. I powiódłszy wzrokiem dokoła, rzekła cichutko niskim głosem, jakby mimo woli:

– O tak, spokojnie! tak spokojnie, iż człowiek nawet nie czuje tu, że żyje.

– A jednak – wtrącił Marek – na placu był jakiś hałas o dziesiątej. Genowefa po prostu nie mogła tego pojąć. Hałas nocny na placu Kapucyńskim!

Usiłując rozśmieszyć otoczenie trafił jak kulą w płot. Teraz babka odparła tonem urazy:

– To ludzie wychodzili po nabożeństwie z kaplicy kapucynów. Wczoraj wieczorem, o dziewiątej, była adoracja Najświętszego Sakramentu. Braciszki zaprowadzili na nabożeństwo swoich uczniów, którzy w tym roku przystąpili do pierwszej komunii, no i chłopcy pogwarzyli trochę i pośmiali się przechodząc placem... Lepsze to od wstrętnych zabaw dzieci pozbawionych moralności i religii.

Z miejsca zapadło głębokie a kłopotliwe milczenie. Słysząc było już tylko szcęk łyżeczek o filizanki. To przeciwko szkole Marka, przeciw świeckiemu nauczaniu była wymierzona wzmianka o wstrętnych zabawach. Genowefa ukradkiem rzuciła w stronę męża błagalne spojrzenie – i Marek nie wybuchnął; po chwili podjął na nowo rozmowę i zwracając się do pani Berthereau począł opowiadać o życiu w Jonville, wspominał nawet o swych uczniach, jak przystało nauczycielowi, który ich lubi i czerpie z ich poczynań radość i zadowolenie. Trzej z nich właśnie otrzymali świadectwo ukończenia szkoły.

W tym momencie nad ponurą bezludną dzielnicą zadźwięczała sygnaturka, a jej zwolnione tony brzmiały płaczliwie w ciężkim powietrzu.

– Dzwonią ostatni raz! – zawołała pani Duparque. – A mówiłam, że nie zdążymy!

Wstała nagłąc do pośpiechu córkę i wnuczkę, które dopijały kawę, gdy nagle ukazała się znowu Pelagia – wstrząśnięta, dygocąca, z egzemplarzem „Petit Beaumontais” w ręce.

– Ach, proszę pani! ach, proszę pani, co za okropność! Chłopak, co przynosi gazetę, właśnie mi powiedział...

– Cóż takiego? Mówże prędko! Służąca dyszała.

– Zamordowali małego Zefiryńka, bratanka nauczyciela, zamordowali go w jego pokoju, tu, pod naszym bokiem!

– Jak to! „zamordowali”? – Tak, proszę pani, zadusili. W koszuli, po różnych obrzydliwościach!

Dreszcz przerażenia wstrząsnął wszystkimi; zadrżała nawet pani Duparque.

– Zefirynek, bratanek Simona, tego nauczyciela Żyda? Dziecko ułomne, ale taki śliczny chłopczyk! Był katolikiem, uczniem braciszków, i zapewne uczestniczył we wczorajszej uroczystości, bo właśnie przystąpił do pierwszej komunii... No cóż? bywają rodziny przekłete przez los.

Marek słuchał, zdrętwiały, wzburzony. I już tym razem nie hamując się zawołał:

– Simon! znam tego Simona! Był razem ze mną w École Normale, jest zaledwie o dwa lata ode mnie starszy. To człowiek wybitnego umysłu i serca. Przygarnął to nieszczęsne dziecko i pozostawił u braciszków, powodowany wyjątkowym skrupułem sumienia... Straszna rzecz, co za nieszczęście!

Powstał i wzdrygnąwszy się dodał:

– Pójdę do niego... Muszę się dowiedzieć... być przy Simonie, żeby go wesprzeć w tej niedoli.

Pani Duparque już nie słuchała, popychając ku drzwiom panią Berthereau i Genowefę, które ledwo zdążyły włożyć kapelusze. Ostatnie dźwięki sygnaturki właśnie umilkły, panie śpieszyły do kościoła wśród brzemiennej burzą ciszy tej słabo zaludnionej dzielnicy.

Z kolei wyszedł Marek powierzwszy Pelagii małą Ludwikę.

Szkoła powszechna w Maillebois, nowiutki budynek złożony z dwóch oficyn: jednej dla chłopców, drugiej dla dziewcząt, znajdowała się przy placu Republiki, naprzeciwko merostwa, którego gmach był także nowy i w tym samym stylu; obydwie budowle kredowej białości, będące dumą mieszkańców, oddzielała Grand'Rue – droga z Beaumont do Jonville, przecinająca rynek. Ta Grand'Rue, ulica handlowa, przy której nieco dalej wznosiła się fasada kościoła parafialnego Św. Marcina, była bardzo ludna, ożywiona ustawicznym ruchem pieszych i pojazdów. Ale za szkołą rozpościerała się głucha pustka, trawa porastała między kostkami drobnego bruku. Ten senny zakątek placu Republiki łączyła z placem Kapucyńskim jedna tylko ulica Courte, gdzie się mieściło probostwo oraz papeteria, prowadzona przez panie Milhomme. Marek miał tedy do przebycia zaledwie parę kroków.

Obydwa dziedzińce szkolne wychodziły na ulicę Courte; przedzielone były dwoma wąskimi ogródkami, które zarezerwowano dla nauczyciela i dla nauczycielki. A na parterze pawilonu chłopców, w narożniku przy dziedzińcu, Simon wydzielił małą izdebkę dla Zefiryńka. Chłopczyk był bratankiem jego żony, Racheli Lehmann, a wnukiem ubogiego żydowskiego krawca, mieszkającego z rodziną w czarnym domu przy ulicy du Trou, najnędzniejszej z wszystkich w Maillebois. Ojciec Zefiryńka, Daniel Lehmann, o piętnaście lat młodszy od swego brata krawca, z zawodu mechanik, poślubił z miłości katoliczkę, szwaczkę Marię Prunier, sierotę wychowaną u sióstr. Małżonkowie ubóstwiali się; a kiedy przyszedł na świat Zefirynek, nie ochrzczono go, nie należał do żadnego wyznania, gdyż żadne z rodziców nie chciało drugiemu wyrządzić przykrości przekazując dziecko swojemu Bogu. Ale po sześciu latach uderzył grom:

Daniel zginął okropną śmiercią, porwany, zmiądzony przez tryby maszyny w oczach żony, która mu właśnie niosła do fabryki śniadanie. I oto Maria, wstrząśnięta, na nowo pozyskana dla wiary swych lat młodzieńczych, upatrując w tym nieszczęściu karę niebios za to, że pokochała Żyda, ochrzciła syna, a następnie umieściła go w szkole prowadzonej przez braciszków. Najgorsze było to, że dziecku krzywiły się plecy; skutkiem jakiejś ułomności dziedzicznej formował się garb, co matka odczuwała jako objaw nieubłaganej pom – sty niebios, prześladowającej ją za to, że nie była zdolna wyrwać z serca rzewnej pamięci o zmarłym mężu. Ta trwoga, ta skryta walka, jaką w sobie toczyła, w połączeniu z przemęczeniem pracą zawodową, spowodowały jej zgon w momencie, gdy jedenastoletni Zefirynek miał właśnie przystąpić do pierwszej komunii. Wtedy to Simon, choć sam bardzo niezamożny, wziął chłopca do siebie, nie chcąc, by ten był ciężarem rodziny jego żony; okazał się bardzo dobry, bardzo tolerancyjny, zapewnił dziecku dach nad głową i wyżywienie, a nie wzbraniał praktyk religijnych i dalszej nauki w sąsiadującej szkole zakonnej.

Izdebka, w której sypiał Zefirynek, była małą rupieciarnią, starannie wypożyczoną na jego przyjęcie; okno otwierało się tuż nad brukiem na tyłach budynku szkolnego, w najbardziej opuszczonym zakątku placu. Owego ranka młodszy nauczyciel, Mignot, zamieszkały na pierwszym piętrze, wychodząc z domu jeszcze przed siódmą, zauważył, że okno jest otwarte na oścież. Mignot był zamiłowanym rybakim. Korzystając z pierwszych dni wakacji, wyruszał w słomkowym kapeluszu i w drelichowej kurcie, z wędziskiem na ramieniu na połów w Verpille, małej rzeczce przecinającej dzielnicę handlową Maillebois. Mignot, syn rodziny chłopskiej, wstąpił do École Normale w Beaumont całkiem tak samo, jakby wstąpił do seminarium duchownego: aby się uchronić przed ciężką pracą na roli. Był to blondyn o krótko ostrzyżonych włosach, o grubej, ospowatej twarzy, co mu nadawało wyraz surowy, chociaż w rzeczywistości nie był bynajmniej złym człowiekiem, raczej dobrym – ot, po prostu dbał, by w niczym nie narazić sprawy swego awansu. Dożywszy lat dwudziestu pięciu nie kwapił się do ożenku i w tej materii, jak w pozostałych, zajmował stanowisko wyczekujące, snadź przeznaczony na igraszkę okoliczności.

Tego ranka widok szeroko otwartego okna w pokoju Zefiryńka tak go zaintrygował, że podszedł i zajrzał w głąb izdebki, jakkolwiek w samym fakcie nie było nic niezwykłego, gdyż malec zazwyczaj wstawał bardzo wcześnie.

Ale to co ujrzał, przejęło go osłupieniem: wydał okrzyk zgrozy.

– Boże! Biedne dziecko! Boże! Mój Boże! Cóż to się stało, co za okropne nieszczęście!

Ciasny pokoik o jasnych obiciach zachował swój spokojny wygląd siedliska bezpiecznego dzieciństwa. Na stole widniał barwny posążek Matki Boskiej, kilka książek, parę świętych obrazków uporządkowanych, poukładanych starannie. Białe łóżeczko było nietknięte: dziecko nie kładło się spać. Na podłodze zaś przewrócone krzesło. I tam, 'na dywaniku przed łóżkiem,

leżało żalosne ciało zaduszonego Zefiryńka – w samej koszuli, z bladą twarzą, z obnażoną szyją, na której widać było ślady potwornych palców mordercy. Spod zbrukanej, poszarpanej, rozdartej na pół koszuli wyzierały chude nogi, szeroko rozrzucone, w pozycji nie pozostawiającej wątpliwości co do ohydnych zamachu; widać też było skrzywiony kręgosłup – żalosny garb znaczył się tym wydatniej, że dziecko zarzuciło lewe ramię ponad głowę. Ale ta głowa, mimo zsiniałą bladą oblicza, pozostawała urzekająco wdzięczna: była to głowa złotowłosego kędzierzawego aniołka, delikatna dziewczęca twarz o niebieskich oczach, o cienkim nosie, drobnych ślicznych ustach i uroczych dołeczkach wówczas gdy dziecko uśmiechało się czule.

Mignot, wstrząśnięty, nie przestawał zawodzić:

– Och, mój Boże! Ach, mój Boże! Jakże to straszne!... Ach, mój Boże! Na pomoc, chodźcie tu!

Panna Rouzair, nauczycielka, usłyszawszy te krzyki przybiegła na miejsce. Wyszła była wcześniej do swego ogródka, aby obejrzyć grządki sałaty, wybijanej po niedawnych deszczach. Była to trzydziestodwuletnia niewia – sta, rudowłosa, wysoka, tęga, o okrągłej; popstrzonej piegami twarzy, z dużymi, szarymi oczyma i bezbarwnymi ustami pod spiczastym nosem, znamionującym chytrą zaciętość i sknerstwo. Choć nieładna, okazywała ponoć względy inspektorowi szkół powszechnych, pięknemu Mauraisin, co zapewniało jej awans. Pozostawała zresztą w najpoprawniejszych stosunkach z proboszczem parafii, księdzem Quandieu, z kapucynami i również z braćmi szkolnymi; osobiście też prowadziła swoje uczennice na lekcje katechizmu i na nabożeństwa.

Ujrawszy ten okropny widok wydała okrzyk grozy.

– Boże miłosierny, zlituj się nad nami! To zbrodnia, to dzieło szatana!

A widząc, że Mignot zamierza przeleźć przez parapet okienny, powstrzymała go.

– Nie, nie! Niech pan nie wchodzi! Trzeba dać znać, zawołać, kogo należy.

Lecz właśnie gdy się obróciła rozglądając się dokoła w poszukiwaniu pomocy, spostrzegła ojca Filibina i brata Fulgenjusza, zakonnicy nadchodzili przez ulicę Courte od strony placu Kapucyńskiego, gdzie przed chwilą widziały ich „te panie”. Poznawszy ich panna Rouzair wzniosła ręce ku niebu, jak gdyby objawił jej się Bóg we własnej osobie.

– Ach, ojcie! Ach, braciszku! Chodźcie, chodźcie prędko! To miejsce nawiedził zły duch!

Dwaj zakonnicy podeszli. Energiczny i opanowany ojciec Filibin zachował milczenie w obliczu straszliwego widowiska, natomiast impulsywny brat Fulgencjusz, zawsze skłonny do wysuwania się na pierwszy plan, dał upust wykrzykom:

– Ach, biedne dziecko!... Cóż za ohydna zbrodnia! Takie łagodne, takie dobre dziecko, najlepszy z naszych uczniów i taki pobożny, taki gorliwy!... Zaraz! Zastanówmy się! Nie możemy tego tak zostawić! I – teraz już bez protestu ze strony panny Rouzair – pierwszy przesadził parapet, po nim zaś ojciec Filibin; ten spostrzegłszy obok zwłok kulę zmiętego

papieru, skwapliwie ją podniósł. Nauczycielka, powodowana lękiem czy raczej przezornością, nie weszła do wnętrza; a nawet przez chwilę powstrzymywała swego koleżę, Mignota. To, na co mogli sobie pozwolić kapłani, było może dla zwykłych nauczycieli niebezpieczne. Tymczasem gdy brat Fulgencjusz wśród nowej serii bezładnych okrzyków krążył nad trupem nie dotykając go jednak, wciąż milczący ojciec Filibin rozwijał papierowy czop, jak gdyby starannie go badając. Odwrócił się tyłem do okna; widać było jedynie ruchy jego łokci, niewidoczny zaś był ów cicho szeleszczący papier. Trwało to kilka sekund. A kiedy Mignot z kolei wskoczył do pokoju, stwierdził, że kłęb papieru składa się z gazety oraz z wąskiej, białej kartki, zgniecionej i wyplamionej.

– Cóż to jest?

Jezuita popatrzył na Mignota i swym niskim, powolnym głosem odrzekł spokojnie:

– To numer „Petit Beaumontais” z datą wczorajszą, 2 sierpnia, a co jest osobliwe, to to, że w środku znajduje się zmięta stroniczka wzorów kaligraficznych... Niech no pan spojrzy!

Nie pozostawało mu nic innego, jak pokazać ów papier, skoro Mignot go dostrzegł. Trzymał kartkę w grubych palcach, ukazując jedynie słowa: „Miłujcie się wzajemnie”, wykaligrafowane pięknym angielskim pismem. Ten podarty i wyplamiony wzór był już tylko strzępem. Mignot ledwo zdążył rzucić nań okiem, gdyż na dworze rozbrzmiały nowe okrzyki przerażenia.

To przybył Marek; widok tego żalosego ciała wstrząsnął nim, wzbudził zgrozę i oburzenie. Nie zważając na wyjaśnienia nauczycielki, odsunął ją na bok i przesadził parapet, aby zobaczyć, co się stało. Zdziwiła go obecność – ność zakonników; dowiedział się od Mignota, że to on oraz panna Rouzairé wezwali ich ujrzawszy, że właśnie przechodzą.

– Proszę nic nie dotykać, nic nie poruszać! – zawołał Marek. – Trzeba natychmiast wezwać mera i żandarmów.

Jakiś młodzieniec spośród zgromadzonego tłumu podjął się załatwienia tej sprawy i ruszył pędem, podczas gdy Marek w dalszym ciągu rozglądał się po pokoju. Przy zwłokach ujrzał brata Fulgencjusza; mnich, nerwowiec impetycznie reagujący na silne doznania, stał, wstrząśnięty litością, z pełnymi łez oczyma. Marka wzruszyła ta postawa; sam dygotał z wrażenia wywołanego szczegółami, jakie skonstatował, odrażającym charakterem okaleczeń, świadczących o ohydnych, obleśnym sadyzmie, będącym niejako podpisem mordercy-gwałciciela. Raptem tknęło go pewne podejrzenie, które miało się w nim później znowu odezwać; ale teraz rozwiało się i Marek zauważył już tylko ojca Filibina w postawie spokojnej, pełnej ubolewania powagi, trzymającego jeszcze w ręce egzemplarz gazety i wzorek kaligraficzny. W pewnej chwili jezuita odwrócił się, jakby chciał zajrzeć pod łóżko, po czym wrócił do poprzedniej postawy.

– Proszę spojrzeć! – zagaił z miejsca, wskazując numer dziennika i kartkę z wzorami – oto co znalazłem zmięte na podłodze. Nie ulega wątpliwości, że morderca usiłował wtłoczyć ten knebel

chłopczykowi w usta, aby stłumić jego krzyki. Kiedy się to nie udało, zadusił dziecko... Na tej stroniczce poplamionej śliną widać ślady zębów nieszczęsnego malca... Wszak prawda, panie Mignot? Knebel leżał tutaj, przy tej nodze stołu. Widział go pan.

– O tak – rzekł nauczyciel. – Zauważyłem go od razu.

Podszedłszy bliżej, aby raz jeszcze obejrzyć wzorek kaligraficzny, zdziwił się nieco: stwierdził bowiem, że pra – wy rożek jest oddarty. Zdawało mu się, że nie zauważył tego szczegółu, kiedy mu jezuita pokazywał przedtem ową kartkę. Ale cóż, ten ślad oddarcia zapewne był wówczas niewidoczny, zakryty grubymi palcami mnicha. Pamięć Mignota zmaćla się, nic już nie wiedział, nie potrafiłby teraz rozstrzygnąć tej sprawy.

Tymczasem Marek, wzięwszy z kolei stroniczkę do ręki, rozumował na głos:

– Tak, tak, to ślady zębów... Niezbyt użyteczna to będzie wskazówka, bo takie wzorki są rozpowszechnione w handlu, spotyka się je wszędzie. Litografowane pismo jest, ma się rozumieć, bezosobowe... Ach! Ależ tutaj, u dołu, widać coś niby inicjały, skrót podpisu, lecz trudno to odczytać.

Ojciec Filibin podszedł bez pośpiechu.

– Podpis, myśli pan? Ja to wzięłem za plamę z atramentu, rozmytą przez ślinę i zatartą skutkiem ucisku zębów, co przedziurawiły kartkę o tu, z boku.

– Plama z atramentu? O nie! To są bezsprzecznie inicjały, ale istotnie nieczytelne.

Następnie Marek spostrzegł oddarcie.

– Tutaj w górze brak jednego rożka. Zapewne także wyszarpięte... Czy znalazł ksiądz ten kawałek?

Ojciec Filibin oświadczył, że go nie szukał. Po czym znowu rozłożył egzemplarz gazety i obejrzał go starannie, podczas gdy Mignot, schylony, przeszukiwał podłogę. Nic nie znaleziono. Uznano to zresztą za szczegół bez znaczenia. Marek zgodził się z zakonnikami, że wystraszony morderca widocznie zadusił dziecko, gdy nie udało mu się stłumić krzyków ofiary przez wtłoczenie jej w usta kłębu papieru. Co było niezwykle, to ów wzorek kaligraficzny zwinięty z gazetą. Bieżący numer „Petit Beaumontais” nie stanowił osobliwości, mógł się znaleźć w kieszeni każdego. Ale wzorek... skąd się tu wziął, zmięty, jakby ugnieciony razem z tym numerem? Różne nasuwały się przypuszczenia – nia – organa sprawiedliwości przeprowadzą śledztwo, aby ustalić prawdę.

Marek uczył tragiczny powiew tajemnicy, jak gdyby nagle zapadły wokół okropne ciemności.

– Ach! – wyrwało mu się mimo woli – to smok na dnie swej mrocznej otchłani!

Tymczasem pod oknem wciąż zatrzymywali się ludzie; przybyły tam i panie Milhomme, właścicielki pobliskiej papeterii, zwabione zbiegowiskiem; pani Aleksandrowa, wysoka blondynka o łagodnym wyrazie twarzy i pani Edwardowa, również wysoka, ale brunetka,

szorstkiego obejścia; były szczególnie wzburzone, ponieważ syn jednej, Wiktor, uczył się u braciszków, a Sebastian, syn drugiej, uczęszczał do szkoły Simona. Obie słuchały relacji panny Rouzair, która, oczekując przybycia mera i żandarmów, dzieliła się wiadomościami z otaczającą ją gromadką ludzi.

– Byłam wczoraj wieczorem w kaplicy kapucynów na adoracji Najświętszego Sakramentu. Takie wzruszające było nabożeństwo! Biedny Zefirynek był tam razem z kilkoma kolegami szkolnymi, którzy w tym roku przystąpili do pierwszej komunii. To był widok dla wszystkich budujący, wyglądał jak aniołek.

– Mój Wiktor nie brał udziału w nabożeństwie, ma dopiero dziewięć lat – wtrąciła pani Edwardowa. – Ale czy Zefirynek przyszedł tam sam? I nikt go nie odprowadzał do domu?

– Och, stąd do kaplicy dwa kroki – wyjaśniła nauczycielka. – Wiem, że bratu Gorgiaszowi polecono odprowadzić dzieci mieszkające daleko, których rodzice nie mogli po nie przybyć. Zresztą pani Simon prosiła mnie o zaopiekowanie się Zefirykiem, więc sama odprowadziłam go do domu. Był bardzo wesoły; rozsunał przymknięte okiennice i wszedł do pokoju przesadziwszy okno. śmiejąc się, dowodząc, zapewniając, że to najdogodniejsza i naj – krótsza droga. Chwilkę tu powstałam, zaczekałam, aż zapali świecę. Marek podszedłszy bliżej słuchał uważnie. Zapytał:

– A która była godzina?

– Punkt dziesiąty – odpowiedziała panna Rouzair. – Właśnie bił zegar u Św. Marcina.

Przez tłum przebiegł dreszcz. Obraz chłopczyny, jednym susem wskakującego do pokoju, w którym miał tak tragicznie zginąć, rozrzewniał wszystkich. Pani Aleksandrowa łagodnie sformułowała nasuwającą się uwagę:

– Niezbyt to było przezorne zostawiać tak dziecko na noc, samo w tym odległym pokoju z oknem wychodzącym na plac. Należało na noc zasuwąć sztabę na okiennicę.

– O, Zefirynek zamykał okiennice – powiedziała panna Rouzair.

Znów wtrącił się Marek:

– A czy zamknął je wczoraj wieczorem, zanim pani odeszła?

– Nie, tego nie potrafię powiedzieć. Kiedy się z nim rozstałam i obchodziłam dokoła budynek wracając do domu, zauważyłam, że zapalił świecę i porządkował obrazki na stole, a okno było otwarte na oścież.

Z kolei wmieszał się do rozmowy Mignot.

– Simon niepokoił się z powodu tego okna, rad byłby dać chłopcu inny pokój. Toteż nieraz mu zalecał starannie zamykać okiennice. Ale zdaje mi się, że malec nie bardzo się do tego stosował.

Dwaj zakonnicy zdecydowali się również opuścić izdebkę. Ojciec Filibin, złożony na stole egzemplarz „Petit Beaumontais” wraz z wzorkiem kaligraficznym, zachowywał milczenie, rozglądał się, przysłuchiwał, zwracając baczną uwagę na każde słowo, każdy gest Marka;

natomiast brat Fulgencjusz wciąż lamentował. Jezuita, jak gdyby czytając z oczu młodego nauczyciela, w końcu powiedział: – Sądzi więc pan, że to jakiś włóczęga nocny, zobaczywszy dziecko samo w izdebce, przedostał się do wnętrza oknem?

Marek przezornie wstrzymał się od wypowiedzi.

– Och, ja nic nie sędzę, to sprawa władz, one poszukają i znajdą winowajcę... Zresztą, łóżko jest nietknięte, dziecko zapewne miało się właśnie położyć spać, co wskazuje chyba, że zbrodni musiano dokonać wkrótce po dziesiątej. Przypuśćmy, że chłopczyk zajmował się swymi obrazkami przez kwadrans... no, powiedzmy, najwyżej przez pół godziny. Na widok nieznanego wdzierającego się do pokoiku byłby niewątpliwie krzyknął... usłyszano by jego krzyk... Pani nic nie słyszała, panno Rouzair?

– Nie, nic – odrzekła nauczycielka. – Co do mnie, położyłam się około pół do jedenastej. W dzielnicy panował zupełny spokój. Zbudziłam się dopiero o jakiejś pierwszej nad ranem z powodu burzy.

– Świecy wypaliło się bardzo niewiele – zauważył jeszcze Mignot. – Zbrodniarz z pewnością ją zgasił uciekając oknem, które pozostawił szeroko rozwarte, tak jak je niedawno zastałem.

To stwierdzenie, nadające niejaka wagę wersji o włóczędzie rzucającym się na swą ofiarę, gwałcącym ją i duszącym, padło wśród trwożnego zakłopotania zgromadzonych. Nikt nie chciał się narażać, każdy wołał zataić swoje wątpliwości co do prawdopodobieństwa tej hipotezy. Po chwili, gdy mer i żandarmi wciąż nie nadchodzili, odezwał się ojciec Filibin:

– A pan Simon? Czy nie ma go w Maillebois? Wzburzony i niezdolny opanować wstrząsu, Mignot

patrzył na księdza z wyrazem osłupienia. Wreszcie i Marek także wyraził zdziwienie.

– Simon z pewnością jest w domu... Czyż go nie zawiadomiono? – A rzeczywiście! – zawołał Mignot. – Straciłem zupełnie głowę!... Pan Simon był wczoraj na jakimś bankiecie w Beaumont, ale z pewnością wrócił w nocy. Jego żona Jest trochę cierpiąca, pewno jeszcze nie wstali.

Dochodziło już pół do ósmej, lecz niebo było wciąż jeszcze zachmurzone, przytłaczające, jak gdyby nad tym opuszczonym zakątkiem placu dopiero wstawał mętny świt.

Wreszcie Mignot zdecydował się pójść po Simona.

– Ładne „dzień dobry”! – narzekał – przyjemna misja do spełnienia wobec zwierzchnika!

Simon był synem skromnego żydowskiego zegarmistrza w Beaumont, miał brata o trzy lata starszego od siebie. Kończył piętnaście lat, a jego brat Dawid osiemnaście, kiedy stracili ojca, który zrujnowany przewlekłymi procesami sądowymi zmarł nagle wskutek udaru mózgu. Po trzyletniej vegetacji w biedzie zgasła z kolei matka. Simon zapisał się wówczas do École Normale, a jego brat zdecydował się na wstąpienie do służby wojskowej. Ukończywszy nader chlubnie studia, zaczął pracować jako zastępca nauczyciela w głuchym pobliskim miasteczku

Derbecourt i pozostawał tam przez dziesięć lat. Tam też w dwudziestym szóstym roku życia ożenił się z miłości z Rachelą Lehmann, córką krawca z ulicy du Trou, mającego w Maillebois niezłą klientelę. Była to kobieta wybitnej urody, brunetka o wspaniałych włosach, z wielkimi oczyma o czułym wejrzeniu; mąż był w niej rozkochany, otaczał ją namiętnym kultem. Mieli już dwoje dzieci: czteroletniego chłopczyka, Józefa, i dwuletnią dziewczynkę, Sarę. Uzyskawszy dyplom Simon szczyił się, iż w trzydziestym drugim roku życia jest już etatowym kierownikiem szkoły w Maillebois, które to stanowisko zajmował od dwóch lat – rzadki przykład szybkiego awansu w świecie nauczycielskim w tych stronach.

Marek bynajmniej nie lubiący Żydów, mimo swój wy – bitnie postępowy pogład na świat obciążony jakąś atawistyczną odrazą i nieufnością, których przyczyn nigdy nie usiłował zgłębić, był z Simonem na „ty” i zachował go w przyjaznej pamięci z czasów wspólnych studiów w École Normale. Mówił o nim, iż jest to człowiek bardzo inteligentny, doskonały pedagog przejęty swymi obowiązkami, ale uważał, że jest nadto drobiazgowy, zbyt pedantyczny, niewolnik przepisów i ciasnej dyscypliny, ustawicznie zafrasowany obawą, by nie zepsuć sobie marki, nie wzbudzić niezadowolenia zwierzchności. Odkrywał w nim lęklivość i pokorę odwiecznie prześladowanej rasy, która żyła w nieustannym strachu przed zniewagą i krzywdą. Zresztą Simon nie bez racji zachowywał ostrożną postawę: w Maillebois, tym klerykalnym miasteczku, gdzie była szkoła klasztorna oraz potężna placówka kapucynów, nominacja jego wywołała nieomal skandal. Zabiegał więc o to, by mu wybaczano jego żydostwo, co osiągał jedynie dzięki nienagannemu zachowaniu się, a zwłaszcza dzięki płomiennemu patriotyzmowi, wychwalając na swych wykładach Francję zbrojną, wróżąc jej przyszłość pełną chwały i panowanie nad światem.

Nagle zjawił się Simon sprowadzony przez Mignota. Niski, szczupły i nerwowy, włosy miał rude, krótko ostrzyżone, rzadką brodę. Niebieskie oczy patrzyły łagodnie, nad cienkimi ustami sterczał duży i wąski nos – znamię rasy; ale w całości twarz ta była dosyć niepokazna, nijaka, mętna i mizerna. W tej zaś chwili Simon tak był wstrząśnięty okropną wiadomością, że sprawiał wrażenie pijanego: chwiał się, bełkotał, ręce mu drżały.

– Czyż to możliwe, o Boże! Podobna ohyda, taka potworność!

Kiedy podszedł do okna, trwał dłuższy czas w osłupieniu, z wzrokiem utkwionym w martwe ciało, nie mogąc już słowa wymówić, nie przestając trząść się wszystkim jakimś mimowolnym dygotem. Ludzie dokoła niego – dwaj zakonnicy, panie Milhomme, nauczycielka – patrzeli nań w milczeniu, dziwiąc się, że nie płacze.

Wreszcie Marek, zdjęty litością, ujął go za ręce i uściskał.

– Opanuj się, przyjacielu, trzymaj się dzielnie, musisz zdobyć się na największy wysiłek.

Ale Simon nie zważając na słowa Marka zwrócił się do młodszego kolegi:

– Błagam was, Mignot, idźcie do mojej żony. Nie chcę, żeby to zobaczyła. Bardzo kochała swego bratanka, a teraz jest i tak już zbyt cierpiąca, aby znieść ten straszny widok.

Po odejściu młodego nauczyciela ciągnął chrapliwym głosem:

– Och, co za przebudzenie! Postanowiliśmy sobie raz jeden poleżeć dłużej. Moja biedna Rachela spała, a ja, żeby jej nie zmacić tego krzepiącego spoczynku, leżałem cichutko z otwartymi oczyma, rozmyślając o tym i owym, rojąc o miłym spędzeniu wakacji... Tej nocy obudziłem ją wracając późno, i nie mogła zasnąć aż do trzeciej rano z powodu burzy.

– O której więc wróciłeś? – spytał Marek.

– Dokładnie o jedenastej czterdzieści. Żona zapytała o godzinę, sprawdziłem na zegarze.

Panna Rouzaire okazała zdziwienie: głośno zauważyła: – Ale przecież o tej porze nie ma pociągu z Beaumont.

– Nie wróciłem koleją – wyjaśnił Simon. – Bankiet przeciągnął się, tak że nie zdążyłem już na pociąg o pół do jedenastej; zdecydowałem się więc przejść te sześć kilometrów pieszo, żeby nie czekać aż do północy na następny pociąg... Pilno mi było wrócić do żony.

Ojciec Filibin, bardzo spokojny, wciąż milczał; ale brat Fulgencjusz nie mogąc pohamować wzburzenia począł się dopytywać:

– O jedenastej czterdzieści... Wtedy zbrodnia musiała być już popełniona... I pan nic nie widział, nic nie usłyszał?

– Nic zgoła. Plac był pusty, burza już huczała w oddali. Wróciłem nie spotkawszy żywej duszy. Cały dom był objęty głęboką ciszą.

– I nie przyszło panu na myśl pójść zobaczyć, czy ten nieszczęsny Zefirynek wrócił rzeczywiście z kaplicy, czy śpi? Więc pan go nie odwiedzał co wieczór „na dobranoc”?

– Nie. Chłopczyna był już całkiem rozsądnym człowieczkiem; pozostawialiśmy mu jak najwięcej swobody. Zresztą, wszystko dokoła wyglądało tak spokojnie... Po cóż miałbym mu zakłócać sen? Poszedłem wprost na górę do naszego pokoju starając się czynić jak najmniej hałasu. Ucałowałem śpiące dzieci, położyłem się niezwłocznie i zadowolony, że zastałem żonę nieco zdrowszą, rozmawiałem z nią cichutko.

Ojciec Filibin kiwnął głową z aprobatą, odzywając się wreszcie:

– Oczywiście, to wszystko doskonale się tłumaczy.

Wszyscy obecni wydawali się przekonani: wersja o włóczędze, który dokonał napadu około godziny pół do jedenastej i uciekł przez okno, zyskiwała coraz więcej prawdopodobieństwa. To, co opowiadał Simon, potwierdzało fakty przedstawione przez pannę Rouzaire. A panie Milhomme, właścicielki sąsiedniego sklepu, utrzymywały nawet, że widziały tuż po zapadnięciu zmroku jakiegoś osobnika o podejrzanym wyglądzie, wałęsającego się po placu.

– Tyle spotyka się niegodziwych ludzi! – zakonkludował jezuita. – Miejmy nadzieję, że policja znajdzie mordercę, chociaż to nie zawsze łatwa sprawa.

Jeden tylko Marek trwał w niepewności i odczuwał przykre zakłopotanie. Wprawdzie on to pierwszy wysunął hipotezę o nieznanym napastniku, ale następnie zawa – hał się czując, jak

mało jest prawdopodobna. Czyliż nie należało raczej przyjąć, że ów człowiek właśnie znał Zefiryńka i że z początku z nim porozmawiał przymilając się, uspokajając go? Potem snadź nawiedziła go nagła ohydna pokusa i następuje wściekła napaść, zdławione wołanie o pomoc, gwałt i morderstwo dokonane w panice. Ale wizja ta była tak zagmatwana, że Marek, ledwie ją wysnuwszy raptownym błyskiem intuicji, zapadł na nowo w ciemności, w trwożny chaos sprzecznych domysłów. Aby Simona ostatecznie uspokoić, przestał na oświadczeniu:

– Wszystkie zeznania są zgodne, prawda rychło wypłynie na wierzch.

W tym momencie powrócił Mignot zdolawszy nakłonić panią Simon, aby nie opuszczała swego pokoju, a równocześnie ukazał się mer Darras w towarzystwie trzech żandarmów. Darras, przedsiębiorca budowlany dorabiający się znacznego majątku, był to czterdziestodwuletni ćwik o rumianej, okrągłej twarzy, krótko ostrzyżonych blond włosach i gładko wygolonych policzkach.

Natychmiast kazał zasunąć okiennice, postawił dwóch żandarmów na warcie przed oknem, trzeci zaś przeszedł wewnętrznym korytarzem, aby objąć straż u drzwi do pokoju, zamkniętych po prostu na klamkę. Zefirynek nigdy nie zamykał ich na klucz.

Z tą chwilą począł obowiązywać surowy zakaz dotykania czegokolwiek, a nawet zbliżania się do miejsca zbrodni. Mer zatelegrafował był już do Beaumont, do prokuratury, i oczekiwano przybycia urzędników sądowych, zapewne najbliższym pociągiem. Gdy ojciec Filibin i brat Fulgencjusz wspomnieli o swoich zajęciach – chodziło o wyznaczoną na popołudnie uroczystość rozdania nagród – Darras radził im załatwić jak najspieszniej, co potrzeba, a następnie wrócić, ponieważ prokurator z pewnością będzie chciał ich przesłuchać w związku z owym numerem „Petit Beaumontais” i wzorkiem kaligraficznym, znalezionymi przy zwłokach Zefiryńka. Tymczasem gdy na placu dwaj żandarmi ledwo mogli utrzymać jaki taki porządek wśród rosnącego teraz tłumu, wzburzonego, wydającego mściwe okrzyki, Simon wraz z Darrasem, Markiem, panną Rouzaire i Mignotem czekali w obszernej sali wykładowej, oświetlonej promieniami słońca, które wpadały tu przez ogromną wnękę okienną wychodzącą na dziedziniec, szkolny.

O godzinie ósmej zerwała się raptowna burzliwa ulewa, następnie niebo się przetarło, nastąpiła przepiękna pogoda. Przedstawiciele władzy sądowej przybyli dopiero około dziewiątej. Zjawił się osobiście prokurator Raoul de la Bissonnière w towarzystwie sędziego śledczego Daix, obydwaj przejęci wagą przestępstwa, przewidujący grubszą sprawę. Mały, fertyczny brunecik o lalkowatej twarzy, obramionej wypielęgowanymi faworytami, La Bissonniere, człek wielce ambitny, nie zadowalał się bynajmniej szybkim awansem, osiągniętym w czterdziestym piątym roku życia: wciąż wyglądał jakiegoś rozgłośnego procesu, który by mu utorował drogę do Paryża, gdzie spodziewał się załapać wysokie stanowisko dzięki swej wielkiej obrotności i skwapliwemu poszanowaniu wszelkiej władzy. Przeciwieństwo jego stanowił wysoki, chudy

Daix o rysach ostrych jak brzytwa; ten był typem sędziego pedanta. Całkowicie pochłonięty obowiązkami zawodowymi, wiecznie zafrasowany i nieśmiały, miał żonę szpetną a pełną pretensji; rozrzutna niewiasta, którą mierzyły skromne warunki bytowania, terroryzowała i zasmucała małżonka ustawicznymi gorzkimi wyrzutami na temat jego braku ambicji.

Obaj przedstawiciele władzy udali się do budynku szkolnego, kierując się przede wszystkim do pokoju, w którym popełniono zbrodnię, aby dokonać wstępnych oględzin przed wysłuchaniem pierwszych zeznań. Towarzyszyli im Simon i Darras; Marek, panna Rouzaire i Mignot czekali w sali wykładowej, dokąd też niebawem ściągnęli ojciec Filibin z bratem Fulgencjuszem. Kiedy sędziwnicy tam wrócili, mieli już zebrany materiał faktyczny, byli poinformowani o wszystkich znanych dotychczas okolicznościach. Nieśli też egzemplarz gazety i arkusz z wzorem pisma, najwidoczniej przedmiotom tym przypisując wielką wagę. Toteż zasiadłszy za stołem wykładowcy zbadali je starannie, żywo dyskutując; interesował ich zwłaszcza ów wzór kaligraficzny, który pokazywali kolejno obydwu nauczycielom, jako też pannie Rouzaire i zakonnikom. Chodziło tu zresztą tylko o informacje ogólne: żaden protokolant nie spisywał składanych zeznań.

– Och! – odpowiedział Marek – takie wzorki są powszechnie używane we wszystkich szkołach, zarówno w świeckich, jak zakonnych.

– Niewątpliwie – potwierdził brat Fulgencjusz – znaleźlibyśmy i u nas takie same jak ten tutaj. La Bissonniere chciał dokładniejszych wiadomości.

– Ale czy pan sobie przypomina – zwrócił się do Simona – że taki właśnie wzorek dał pan do rąk któremuś z uczniów? „Miłujcie się wzajemnie...” To zdanie zwróciłoby chyba pana uwagę?

– Nigdy nie posługiwałem się tym wzorem w swojej klasie – odrzekł stanowczo Simon. – Jak pan słusznie powiada, byłbym to zapamiętał.

A kiedy prokurator z tym samym pytaniem zwrócił się do brata Fulgencjusza, ten zrazu jak gdyby się lekko zawahał.

– Mam tutaj trzech współpracowników, są to: brat Izydor, brat Łazarz i brat Gorgiasz; trudno mi cokolwiek twierdzić. – Po czym gdy zaległo głębokie milczenie, mnich rzekł: – Nie, nie, nigdy u nas nie było tego wzoru; byłby mi się rzucił w oczy.

Sędziwnicy nie nalegali; zachowali powściągliwość nie chcąc wręcz okazywać wyraźniej, jak bardzo ich ten przedmiot interesuje. Niemniej przecie wyrazili zdziwienie z powodu nie odnalezienia oddartego rożka.

– Czy wzory kaligraficzne – spytał Daix – nie bywają niekiedy znaczone w narożniku pieczętą szkoły?

– Owszem, czasami – musiał przyznać brat Fulgencjusz.

Ale Marek zaprzeczył żywo.

– Nigdy, jeśli o mnie chodzi, nie stemplowałem wzorów kaligraficznych. Tego się u nas nie

praktykuje.

– Za pozwoleniem – oświadczył nader spokojnie Simon – mam tutaj kilka arkusików, na których figuruje pieczętka. Ale znacę je u dołu, o, w tym miejscu.

Wobec widocznego zakłopotania obu urzędników sądowych ojciec Filibin, dotychczas przysłuchujący się w milczeniu, pozwolił sobie na stłumiony śmieszek.

– To dowodzi – zauważył – jak nie łatwe jest ustalić prawdę... Ot, panie prokuratorze, chociażby ta plama, której się pan w tej chwili przygląda. Dopatrywano się już w niej jakiegoś niby inicjału, czegoś w rodzaju skróconego podpisu. Mnie się wydaje, iż raczej jest to kleks, który ktoś z uczniów próbował zetrzeć palcem.

– Jest zatem zwyczajem – zapytał znowu Daix – że nauczyciele sygnują wzory kaligraficzne?

– A, owszem – wyznał znowu brat Fulgencjusz – tak się u nas robi.

– O nie! – zawołali razem Simon i Marek – my tego w szkołach gminnych nie stosujemy.

– Mylicie się, panowie – zastrzegła się panna Rouzair. – Ja wprawdzie nie stempluję wzorców, ale zdarzało mi się podpisywać je inicjałami. La Bissonniere gestem wstrzymał dyskusję, z doświadczenia bowiem wiedział, do jakiego zamętu prowadzi rozpatrywanie błahych szczegółów rozmaicie stosowanych praktyk. Śledztwo zajmie się tak ważnym dowodem rzeczowym jak arkusik z brakującym różkiem, możliwość istnienia pieczętka i inicjału. Poprzestał teraz na wysłuchaniu relacji osób, które odkryły zbrodnię. Mignot opowiedział tedy, jak uwagę jego zwróciło rozwarte na oścież okno i jak krzyknął na widok małego ciała tak okrutnie zbezczeszczonego. Panna Rouzair opisała swoje przybycie, po czym złożyła szczegółowe sprawozdanie z odbytej w przeddzień uroczystości kościelnej oraz odtworzyła scenę powrotu Zefiryńka i opowiedziała, jak go odprowadziła aż do okna, które chłopczyk przeskoczył, aby się dostać do swego pokoju. Z kolei ojciec Filibin i brat Fulgencjusz wyjaśnili okoliczności, w jakich przypadkowo zetknęli się z okropnym dramatem, opisując, w jakim stanie zastali pokój, wskazując dokładnie miejsce, gdzie leżał papierowy knebel, który pozwolili sobie po prostu rozwinąć przed odłożeniem go na stół. W końcu Marek przedstawił garść spostrzeżeń, jakie mu się nasunęły, kiedy później niż inni przybył na miejsce.

Wreszcie La Bissonniere zwrócił się do Simona.

– Powiedział nam pan, że wrócił o godzinie jedenastej czterdzieści, i że cały dom wydał się panu pogrążony w głębokim spokoju... Żona pańska spała.

Ale Daix ośmielił się przerwać mu:

– Panie prokuratorze, czy nie byłaby pożądana obecność pani Simon? Może by zeszła tu na chwilę?

La Bissonniere poparł go skinieniem głowy i Simon udał się po żonę, którą też niebawem przyprowadził.

W skromnym szlafroczku z kremowego płótna Rachela wyglądała tak pięknie, iż jej wejście

wywołało wśród milczących zebranych jakby dreszcz zachwytu i rozczulenia. Był to typ żydowskiej urody w rozkwicie: twarz o czarującym owalu, przepyszne czarne włosy; złotawa cera, duże pieściwe oczy, czerwone usta i olśniewające,

nieskazitelne zęby. Wyczuwało się, że to istota wszystka oddana miłości, nieco ospała, pochłonięta troską o męża

i dzieci, zamknięta w życiu rodzinnym, jak kobieta Wschodu, w swym ustronnym, zacisznym ogródku. W chwili gdy Simon zamykał za sobą drzwi, do sali – nie zważając na zakaz rodziców – wtargnęli Józef i Sara, dwoje dorodnych, zdrowych malców; dzieci przytuliły się do matczynych kolan, a przedstawiciele władzy gestem przyzwolili na pozostawienie ich w sali.

Pełen galanterii La Bissonniere, ujęty tak wielką urodą, jął miodowym głosem zadawać pytania.

– Kiedy mąż pani wrócił do domu, była godzina jedenasta czterdzieści?

– Tak, proszę pana, spojrział na zegar, potem się położył i rozmawialiśmy jeszcze półgłosem, żeby nie obudzić dzieci, kiedy wybiła północ.

– Ale czy pani przed przybyciem męża, między godziną dziesiątą a pół do dwunastej, nic nie słyszała: żadnych kroków, głosów, jakiegoś szamotania, zdławionych krzyków?

– Nie, proszę pana, absolutnie nic. Spałam. Dopiero wejście męża do pokoju zbudziło mię... Pozostawił mnie nieco cierpiącą więc się ucieszył zastawszy mnie zdrową, śmiał się wesoło i dokazywał całując mnie, aż go musiałam mitygować, aby nie zakłócał snu sąsiadom – tak głęboka cisza panowała dokoła nas... Och! kto by pomyślał, że podobne nieszczęście nawiedziło nasz dom!

Była wstrząśnięta do głębi, łzy spływały jej po policzkach; obróciła się w stronę męża, jakby od niego wyglądała otuchy i pokrzepienia. A on, płacząc sam na widok jej łez, niepomny, gdzie się znajduje, pochwycił ją w ramiona i ucałował w porywie ogromnej czułości. Dzieci podniosły ku nim niespokojne główki. Był to moment głęboko wzruszający, budzący życzliwość i współczucie.

– Nieco zdziwiła mnie godzina powrotu męża, bo nie ma pociągu o tej porze – dorzuciła już nie pytana pani Simon – kiedy się położył, opowiedział mi wszystko.

– Właśnie – wyjaśnił Simon – nie mogłem się wymówić od udziału w tym bankiecie; i tak się zirytowałem, kiedy przybywszy na stację zobaczyłem pociąg, ten o pół do jedenastej, umykający mi tuż przed nosem, że nie chcąc czekać na następny, który odchodzi o północy, od razu ruszyłem piechotą. Sześć kilometrów drogi to nie takie straszne. Noc była bardzo piękna, bardzo ciepła... Około godziny pierwszej, gdy się zerwała burza, opowiadałem jeszcze wrażenia z owego wieczoru, rozmawiałem cichutko z żoną, która nie mogła ponownie zasnąć. Dlatego właśnie poleżeliśmy nieco dłużej dzisiaj rano, nic nie wiedząc, że śmierć weszła do naszego domu.

Rachela znowu wybuchnęła płaczem, a Simon znów ją przygarnął uściskiem miłosnym

i ojcowskim zarazem.

– No, moja najdroższa, uspokój się! Kochaliśmy całym sercem biednego chłopca, traktowaliśmy go jak własne dziecko, i w obliczu tej tragedii sumienie nic nam nie wyrzuca.

Tegoż zdania byli wszyscy obecni. Mer Darras darzył nauczyciela Simona wielkim uznaniem, ceniąc jego sumiennosc i uczciwosc. Mignot i panna Rouzair, choc na ogol bynajmniej nie sympatyzowali z Żydami, zgodnie stwierdzali, ze ten Żyd starał się nienagannym postępowaniem okupić swe pochodzenie. Pozostawali dwaj zakonnicy; ci wobec jednolitego podowczas nastroju zebranych zachowywali postawe neutralną, stojąc jakby na uboczu, w milczeniu, rozglądając się bacznie, bystrymi spojrzeniami nicując osoby i przedmioty. Śledztwo zatoneło w ciemnościach; rozporządzając jedyną wersją nieznanego zloczyncy, który zbiegl oknem, sadownicy musieli poprze – stać na tych pierwszych stwierdzeniach. Jedynie pora byla ustalona wyraźnie: zbrodni dokonano między godziną pół do jedenastej a jedenastą; samą zbrodnię jednak, ohydną i niesamowitą, zasnuwał ponury mrok.

Przedstawiciele wladz zajeli się jeszcze jakimiś formalnościami, Marek zaś wymieniwszy bratni uścisk z Simonem udał się do domu na śniadanie. Niedawna scena między małżonkami nie była dla niego bynajmniej niespodzianką, wiedział bowiem, jak gorąco się kochali. Ale wzruszyła go do łez swą bolesną tkliwością. Zegar na wieży kościoła Św. Marcina wydzwaniał południe, kiedy Marek przechodził przez plac, tak zatłoczony wciąż rosnącą ciżbą, że ledwie torował sobie drogę. W miarę jak się rozchodziła wieść o zbrodni, zewsząd ściągali ludzie tłocząc się przed zamkniętym oknem, do którego żandarmi z trudem bronili przystępu; a obiegające w tym tłumie, przekazywane z ust do ust relacje, zniekształcane, przesadne, potworne, wzniecały wybuchy gniewu, wywoływały zbiegowisko groźnie pomrukującego tłumu. Kiedy się Marek wreszcie precisnął, zagadnął go spotkany ksiądz:

– Wychodzi pan ze szkoły, panie Froment, czy to prawda, te wszystkie okropne szczegóły?

Był to ksiądz Quandieu, proboszcz parafii Św. Marcina, mężczyzna czterdziestotrzyletni, rosły i krzepkiej postaci, ale o twarzy okrągłej, łagodnej i poczciwej i bardzo jasnych niebieskich oczach. Marek poznał go u pani Dupar-que, której ów był spowiednikiem i przyjacielem; i choć nie lubił kleru, dla księdza Quandieu żywił niejaki szacunek, jako do człowieka tolerancyjnego i rozsądnego, obdarzonego zresztą raczej uczuciowością aniżeli inteligencją.

W kilku słowach Marek przedstawił suche fakty, dostatecznie potworne bez dodatków fantazji.

– Ach, biedny ten pan Simon! – rzekł z akcentem współczucia ksiądz. – Jakież to musi być zmartwienie dla niego, wszak bardzo kochał swego bratanka i postępował wzorowo w stosunku do niego. Sam miałem sposobność się o tym przekonać.

To spontaniczne świadectwo ucieszyło Marka i jeszcze przez chwilę rozmawiał z księdzem Quandieu. Lecz oto przyłączył się do nich kapucyn, ojciec Teodozjusz, przełożony zakonników

obsługujących sąsiednią kaplicę. Był to mężczyzna postawny, o pięknej twarzy i płonących oczach, a wspiana ciemna broda przydawała mu majestatu. Ojciec Teodozjusz cieszył się opinią doskonałego spowiednika i kaznodziei pełnego mistycznej głębi, jego ciepły głos przyciągał tłumy dewotek. Chociaż z księdzem Quandieu trwał w głuchej wojnie, przybierał wobec niego uniżoną postawę młodszego i pokorniejszego sługi bożego. Z miejsca wyraził swą żalność i wzruszenie. Ten biedny chłopaczek, który wczoraj wieczorem w kaplicy zwrócił jego uwagę żarliwą pobożnością! Istny aniołek niebieski z uroczą kędzierzawą główką cherubina! Marek spieszenie pożegnał się zaraz po pierwszych słowach ojca Teodozjusza, który w nim wzbudzał nieprzepartą nieufność i antypatię. Pilno mu już było na śniadanie, lecz został raz jeszcze zatrzymany po drodze: przyjazna dłoń spoczęła na jego ramieniu.

– Ha! Férou!... Zawitaliście do Maillebois?

Férou był nauczycielem w Moreux, drobnej, zapadłej gminie, odległej o cztery kilometry od Jonville, nie posiadającej nawet własnej parafii i obsługiwanej przez księdza Cognasse, proboszcza z Jonville. Toteż Férou żył tam w czarnej nędzy wraz z żoną i dziećmi – miał bowiem trzy córki. Był to wysoki, trzydziestoletni niezdarny drań, na którym ubrania zawsze wydawały się zbyt kuse. Na długiej kościstej głowie ciemne włosy jeżyły się bezładnie, nos był garbaty, usta szerokie, podbródek wystający. Ogromne ręce i ogromne nogi sprawiały ich posiadaczowi ustawiczny kłopot. – Jak wata wiadomo – odpowiedział Férou – moja żona ma tutaj w Maillebois ciotkę, właścicielkę sklepiku spożywczego. Otóż wybraliśmy się do niej w odwiedzinach... Ale, ale, powiedzcie, co za ohydna historia z tym chłopaczkiem, nieszczęsnym garbuskiem, zgwałconym, uduszonym! A teraz przebrzydłe klechy skorzystają ze sposobności, żeby się przejechać po nas, nauczycielach szkoły świeckiej, tych gorszycielach, szerzycielach zarazy!

Marek uważał Férou za człowieka bardzo inteligentnego, czytanego, ale stetryczalego wskutek szarej, pełnej wyrzeczeń egzystencji i skłonnego do gwałtownych wybuchów goryczy, do desperackich rojeń o jakichś rewindykacjach i odwetach. Jednakże słowa kolegi poruszyły go.

– Jak to: „przejechać się po nas”? – zapytał. – Nie rozumiem, co my tu mamy do rzeczy.

– Ha! Naiwni jesteście! Nie znacie tego bractwa... Zobaczycie, zobaczycie ich przy robocie, tych wszystkich sutanniarzy, tych wszystkich zacnych ojczulków i braciszków... No, powiedzcie, czy już nie dali do zrozumienia, że to Simon sam zgwałcił i zadusił swego bratanka?

Tu już Marek rozgniewał się. Doprawdy, ten Férou przesadza w swej nienawiści do kleru.

– Ależ gadacie od rzeczy! Nikt nie podejrzewa, nikt nawet by się nie ośmielił chociażby przez moment podejrzewać Simona. Wszyscy uznają jego szlachetność, jego dobroć. Ot, przed chwilą właśnie ksiądz Quandieu powiedział mi, że miał możliwość przekonać się o jego ojcowskim stosunku do nieszczęsnego chłopczyka.

Konwulsyjny wybuch śmiechu wstrząsnął chudą postacią Férou, włosy zjeżyły mu się jeszcze bardziej na końskiej czaszce.

– Nie, dalibóg, śmieszny z was człek: myślicie, że będą się cackać z parszywym Żydem! Czy taki parch zasługuje na sprawiedliwość? Ten wasz Quandieu wraz z całą bandą powiedzą, co powiedzieć wypadnie, jeżeli trzeba będzie dowieść, że parszywy Żyd jest winowajcą, oczywiście w spółce z nami, z bandą bezbożników i zaprzańców zatruwających francuską młodzież.

Marek, wstrząśnięty, wciąż protestował, lecz Férou podjął jeszcze gwałtowniej:

– Ależ wiecie przecież doskonale, co się dzieje w Moreux. Zdycham tam z głodu, pogardzany i zepchnięty niżej od nieszczęsnego kamieniarza, co tłucze szaber na szosie. Ksiądz Cognasse, kiedy się zjawia, aby odprawić mszę, opluły mnie chyba, gdybyśmy się spotkali. I dlatego że odmówiłem śpiewania na chórze oraz dzwonienia na nabożeństwo, dlatego nie mam na chleb codzienny... Znacie księdza Cognasse. Tam w Jonville zdołaliście go mniej więcej okiełznać, od czasu jak się wam udało zyskać poparcie ze strony mera. Ale bądź co bądź ani na chwilę wojna nie ustaje między nim a wami i proboszcz, gdyby mu tylko popuścić, rozdarłby was w kawałki... Nauczyciel – toż to bydlę robocze, to lokaj każdego, facet zdeklasowany, wykolejeniec, na którego chłopci zezują nieufnie, a księża spaliliby go, aby nad całutkim krajem roztoczyć wyłączne panowanie katechizmu!

Z goryczą mówił dalej, wyliczając strapienia i udręki znoszone przez tych, których nazywał „potępieńcami szkolnictwa powszechnego”. On sam, syn pastucha, po chlubnym ukończeniu nauki w szkółce rodzinnej wsi, a następnie w École Normale, stale cierpiał niedostatek, albowiem powodowany uczciwością, zdobył się na szaleńczy krok zaślubiając ekspedientkę sklepową, która za jego sprawą zaszła w ciążę, kiedy był ledwie suplentem w Maillebois. Czyż zresztą i Markowi, którego żona ma babkę stale darzącą ich prezentami, czyż jemu samemu wiedzie się znów tak dobrze w Jonville, gdzie żyje w ustawicznych kłopotach finansowych, w ciągłej walce z księdzem, aby ocalić własną godność i niezależność? Na szczęście, sekunduje mu tam nauczycielka szkoły żeńskiej, panna Mazeline, tęga głowa i złote serce; ta mu dopomogła pozyskać sobie stopniowo radę miejską oraz całą gminę. Stało się to dzięki pomyślnym okolicznościom i przykład ten stanowił wyjątek na terenie całego departamentu. A to co się dzieje w Maillebois, czyż nie jest godnym uzupełnieniem całości obrazu? Panna Rouzaire, skaptowana przez księży i mnichów, urywająca godziny lekcji na to, by prowadzić uczennice do kościoła, w misji ogłupiania zastępuje siostrzyczki zakonne tak gorliwie, że kongregacja uznała za zbędne zakładanie w Maillebois szkoły dla dziewcząt! A ten biedaczyna Simon to niewątpliwie człek porządny, ale schlebia wszystkim ze strachu, by go nie nazwano parszywym Żydem; pozwalał siostrzeńcowi chodzić do szkoły zacnych braciszków, kłania się nisko klechom, co zapaskudzają okolicę.

– Parszywy Żyd! – zakończył brutalnie Férou. – Jest i na zawsze pozostanie tylko parszywym Żydem! Nauczyciel Żyd – toż to zgroza!... Zobaczycie, zobaczycie!

I zniknął w tłumie, gestykulując gwałtownie, tak że chwiała się cała jego duża, niezgrabna

postać.

Marek stał dłuższą chwilę na skraju chodnika, wzruszając ramionami; uważał kolegę za półwariata, gdyż odmalowany przez niego obraz wydawał mu się doprawdy grubo przesadzony. Na cóż by się wszakże zdała dyskusja z tym nieszczęśliwcem, któremu niepowodzenia w końcu do reszty odbiorą rozum? Marek ruszył dalej, kierując się w stronę placu Kapucyńskiego, niezdolny jednak otrząsnąć się z wrażenia wywołanego wszystkim, co usłyszał, i trapiiony głuchym niepokojem.

Było już kwadrans po dwunastej, kiedy Marek wchodził do domku przy placu Kapucyńskim. I od kwadransa „te panie” wraz z Genowefą czekały na niego w jadalni przed zastawionym stołem. To nowe spóźnienie rozsierdziło panią Duparque do ostateczności. Nie odezwała się ani słowem, ale jej gwałtowne, nerwowe ruchy, gdy siadała i rozwijała serwetkę, świadczyły, jak surowo potępia podobny brak punktualności.

– Najmocniej przepraszam – wyjaśniał Marek – musiałem czekać na przybycie urzędników sądowych, a na placu tak tłoczno, że nie podobna było się przecisnąć.

Chociaż sobie poprzysięgła milczeć, pani Duparque przecie zawołała:

– Mam nadzieję, że nie będziesz się zajmował tą okropną sprawą!

– Zapewne – odparł z prostotą – mam nadzieję, że nie wypadnie mi się nią zajmować, chyba że będzie to moim obowiązkiem.

I gdy Pelagia podawała omlet, a następnie stek barani z puree ziemniaczanym, opowiedział szczegółowo wszystko, czego się dowiedział. Genowefa słuchała go drżąc ze zgrozy i współczucia, podczas gdy jej matka, również bardzo wzruszona, powstrzymywała napływające do oczu łzy pozierając ukradkiem w stronę pani Duparque, jak gdyby niepewna, czy wolno jej się tak roztkliwiać. Ale pani Duparque powróciła do swej postawy niemej dezaprobaty wobec wszystkiego, co się jej wydawało sprzeczne z ustalonym porządkiem rzeczy. Posiłała się statecznie. Wreszcie powiedziała:

– Za czasów mojej młodości pamiętam doskonale fakt zniknięcia jakiegoś dziecka z Beaumont. Odnaleziono je poćwiartowane w przedsionku kościoła Św. Maksencjusza; brakowało jedynie serca... Oskarżono Żydów, że serce było im potrzebne na tę ich paschalną macę.

Marek patrzył na nią, osłupiały.

– Nie mówisz chyba poważnie, babciu, nie podobna, byś wierzyła tym nikczemnym bzdurom? Zwróciła ku niemu chłodne, jasne spojrzenie i uchylając się od bezpośredniej odpowiedzi dodała:

– To po prostu odległe wspomnienie, które mi się, nasunęło... Ma się rozumieć, nie oskarżam nikogo...

Ale Pelagia, która właśnie wniosła deser, wmieszała się do rozmowy państwa z poufałością

długoletniej sługi:

– Bardzo słusznie pani robi, że nikogo nie oskarża, i ludzie powinni by postępować tak samo jak pani... Cała dzielnica aż kipi z powodu tej zbrodni, ludzie opowiadają sobie Bóg wie jakie okropności; przed chwilą słyszałam, jak jakiś robotnik wołał, że trzeba by spalić szkołę braciszków.

Po tych słowach zapadła głęboka cisza. Marek, poruszony nasuwającym mu się skojarzeniem, już miał się odezwać, ale natychmiast powstrzymał ten odruch, uznając, że lepiej zachować dla siebie swoje uwagi. Pelagia zaś dorzuciła jeszcze:

– Pani pozwoli mi pójść dzisiaj na uroczystość zamknięcia roku szkolnego? Nie spodziewam się, by mój. siostrzeniec Polidor dostał jaką nagrodę, ale zawsze rada bym to zobaczyć... Ach! niewesołe to będzie dla braciszków święto... w dniu, kiedy im zamordowano jednego z najlepszych uczniów!

Pani Duparque skinieniem głowy wyraziła przyzwolenie, zmieniono temat rozmowy i śniadanie dobiegło końca w nieco weselszym nastroju dzięki małej Ludwice, która śmiała się, ze zdziwieniem obserwując wzburzone twarze rodziców, tak zazwyczaj pogodne i uśmiechnięte. Nastąpiło pewne odprężenie, przez chwilę rozmawiano w serdecznie poufalej rodzinnej atmosferze.

Poobiednia uroczystość w szkole braciszków wywołała żywe poruszenie. Nigdy dotychczas nie było takiego napływu publiczności. Przynajmniej przed wszystkim całkiem szczególnego blasku przydawało jej przewodnictwo ojca Filibina, kierownika kolegium w Valmarie. Rektor tej szkoły, ojciec Crabot, jezuita ustosunkowany, jak powszechnie wiadomo, w wysokich sferach towarzyskich i posiadający znaczne wpływy na wydarzenia bieżące, stawiał się również, pragnąc w ten sposób publicznie dać braciszkom wyraz swego uznania. Przybył także poseł z ramienia stronnictwa reakcyjnego, hrabia Hektor de Sangleboeuf, właściciel wspaniałego pobliskiego majątku Désirade, wniesionego mu w posagu wraz z kilkoma milionami gotówki przez żonę, córkę wielkiego żydowskiego bankiera Nathan. Co jednak najbardziej podniecało umysły i przepełniało rozgorączkowaną cizbą tak zazwyczaj mało ożywiony plac Kapucyński – to owa potworna zbrodnia odkryta rankiem. Ów nieszczęsny chłopczyk, uczeń szkoły braciszków, zgwałcony, zaduszony, był, rzekłbyś, obecny, wypełniał sobą cienisty dziedziniec, z estradą wzniesioną przed ciasnymi rzędami krzeseł, podczas gdy ojciec Filibin wygłaszał pochwałę zakładu, jego kierownika, wysoce światłego brata Fulgencjusza, i jego trzech pomocników, braci: Izidora, Łazarza i Gorgiasza. Niesamowity ten nastrój wzmógł się jeszcze w momencie, gdy brat Gorgiasz – człek chudy i kościsty, o niskim brutalnym czole pod czapą czarnych, kędzierzawych włosów, o dużym orlim nosie, sterczącym spomiędzy wystających kości policzkowych, i grubych ustach odsłaniających wilcze kły – wstał, aby odczytać listę nagrodzonych. Zefirynek był w swojej klasie prymusem, zdobył wszystkie nagrody. Nazwisko jego powracało co chwila,

a brat Gorgiasz, w długiej czarnej sutannie z białą plamą, wymawiał je tak przeciągle i ponuro, że za każdym razem dreszcz obiegał zgromadzonych: zdawało się, że biedny mały nieboszczyk zgłasza się na apel po odbiór swego wieńca i książki o złożonych brzegach. Stos wieńców i książek narastał na stole, wstrząsającą wymowę miało owo milczenie i pustka w miejscu, gdzie zgromadzono tyle odznaczeń dla tego wzorowego dziecka, które zginęło tak tragicznie, którego żalosne ciało, udrećzone i zbezczeszczone, leżało o kilka domów opodal. Wzruszenie obecnych niebawem dosięgło szczytu, rozległy się łkania. Tymczasem brat Gorgiasz w dalszym ciągu wywoływał to imię, z charakterystycznym lekkim skurczem warg, odsłaniającym po lewej stronie koniuszki białych zębów w mimowolnym grymasie, jakby szyderczym i okrutnym zarazem.

Uroczystość dobiegła końca w nastroju ogólnego przygnębienia. Mimo obecność dostojników, przybyłych w celu podkreślenia zasług braci szkolnych, narastała trwoga, niepokój ważył się nad głowami wszystkich niby groźba nadciągająca z daleka. Najcięższy moment nastąpił przy wyjściu, wśród szeptów i głuchych złorzeczeń w licznych gromadkach robotników i chłopów, zebranych na placu. Wspomniane przez Pelagię okropne pogłoski krążyły w tym tłumie, podnieconym wieścią o zbrodni. Przypominano sobie plugawą historię, zatuszowaną ubiegłego roku, o jednym z braciszków, którego zwierzchnicy ukryli, aby go ocalić przed sądem przysięgłych. Od owego czasu powtarzano sobie różne brzydkie pogłoski: o potwornych praktykach odbywających się w tej szkole, o dzieciach, co wzbraniały się mówić, przejęte srogim lękiem. Przechodząc z ust do ust owe tajemnicze przestępstwa oczywiście rosły. A teraz zbrodnia, której ofiarą padł uczeń braciszków, przypomniła zebranym ludziom dawne podejrzenie, obudziła je na nowo, wzburzyła umysły. Zaczynano już formułować oskarżenia, zrywały się mściwe słowa: „Czyż i tym razem winowajcy pozwoli się ujść bezkarnie? Czy nie zamknie się tej budy z krwawym plugastwem?” Gdy zaś przedefilowali dostojni goście, gdy się ukazały habity i sutanny, wzniosły się pięści, rozległy się okrzyki: „Śmierć im!” Cała gromada odprowadzała szyderczymi okrzykami pobladłych i zatrwożonych ojców Crabota i Filibina, a tymczasem brat Fulgencjusz kazał mocno zaryglować wszystkie drzwi w budynku szkolnym. Marek z ciekawości śledził całą tę scenę wyglądając oknem z domku pani Duparque; żywo zainteresowany, w pewnym momencie zszedł nawet i stanął w progu, aby lepiej widzieć i słyszeć. Ha, co też powiedziałby na to Férou, który prorokował, że Żydowi przypisana będzie cała wina, że nauczyciel świeckiej szkoły stanie się kozłem ofiarnym zajadłych klechów? Nic podobnego! Zanosilo się raczej na to, że właśnie braciszkiwie znajdą się w opałach. Wzmagający się gniew tłumu, mściwe okrzyki – wszystko to wskazywało, iż sprawy mogą zajść daleko, od pojedynczego winowajcy sięgnąć do społeczności, zatoczyć szersze kręgi, nawet zachwiać samym Kościołem, jeżeli istotnie sprawca przestępstwa okaże się jego sługą. Marek zastanawiał się, lecz nie mógł jeszcze wydać sądu, a wobec tego najlżejsze nawet podejrzenie

wydawało mu się niebezpieczne i niezbyt godziwe. Postawa ojca Filibina i brata Fulgencjusza była, jego zdaniem, całkowicie poprawna; zachowali niezmałony spokój. Marek zmuszał się do jak największej tolerancji i sprawiedliwości, z obawy, by nie ulec swej pasji wolnomyśliciela, wyzwolonego z więzów wszelakich przesądów. W mrokach straszliwego dramatu czekał, póki nie dowie się czegoś więcej.

W pewnej chwili ujrzał powracającą do domu Pelagię. Odświętnie wystrojona, prowadziła za rękę swego siostrzeńca Polidora Souquet, jedenastoletniego chłopaczka, który niósł pod pachą okazałą księgę w wytłaczanej oprawie ze złoceniami.

– Nagroda za dobre sprawowanie, proszę pana! – zawołała z dumą. – To bodaj jeszcze cenniejsze od nagrody za czytanie albo pisanie, prawda?

Ów Polidor, spokojny i mrukliwy, zdumiewał po prostu braciszków swym lenistwem. Był to błady grubasek o bezbarwnych włosach, z długą twarzą o tępym wyrazie. Syn robotnika drogowego, który się stale upijał, wcześniej osierocony przez matkę, Polidor chował się samopas, podczas gdy ojciec tłukł kamienie na szosie. I z nienawiści do wszelkiej pracy, przerażony myślą, że i jemu z kolei przyjdzie tłuc kamienie na szosach, godził się z rojeniami ciotki, która pragnęła ujrzeć go kiedyś w habicie ignorantyna; potakiwał jej we wszystkim, często odwiedzając ją w nadziei otrzymania jakiegoś smacznego kąska.

Pelagia, chociaż uradowana, rozglądała się nerwowo i piorunowała:

– O, proszę! Słyszysz pan tych anarchistów? Jak złorzeczą braciszkom, co tak kochają dzieci, co tak o nie dbają jak rodzone matki! O, na przykład Polidor mieszka z ojcem przy drodze do Jonville, o kilometr stąd. Otóż wczoraj wieczorem, po tej uroczystości, brat Gorgiasz odprowadził go aż do samego domu, by mu się nic złego po drodze nie przytrafiło... Czy nie tak było, Polidorze?

– Tak – swym głuchym głosem odpowiedział lakonicznie malec.

– I to ich właśnie się znieważa, im się grozi! – ciągnęła dalej służąca. – Wyobraża sobie pan tego biednego brata Gorgiasza, tłukącego się w ciemności dwa kilometry po to tylko, żeby się nic nie stało temu oto kawalerowi. Dalibóg, można by się zniechęcić! Nie warto być troskliwym i pocziwym!

Marka, gdy przyglądał się chłopcu, uderzyła jego uporczywa milkliwość, jakaś obłudna ospałość, w której przyczajał się niby w miękkim gnieździe. Nie słuchał już dalszych słów Pelagii, nigdy zresztą nie przywiązywał do nich wagi. Ale kiedy wszedł do saloniku, gdzie Genowefa czytała książkę, a panie Duparque i Berthereau ślęczały nad swymi nie kończącymi się nigdy włóczkowymi robotami na dobroczynne cele, zaniepokoił go widok żony: odłożyła książkę i była wyraźnie wzruszona tym, co działo się na placu. Podbiegła do męża, niemal zawisła u jego szyi w odruchu zalęknionej czułości, śliczna w tym swoim niepokojem.

– Cóż się tam dzieje? – spytała. – Pobił się?

A gdy ją uspokajał, pani Duparque, oderwawszy wzrok od roboty, powtórzyła surowo swoje zalecenie:

– Marku, mam nadzieję, że się nie będziesz mieszał do tej nieczystej sprawy... Podejrzewać, znieważać braciszków to doprawdy szaleństwo! Bóg pomści swoje sługi!

II

W nocy Marek nie mógł spać. Prześladowały go wczorajsze wydarzenia, potworna, tajemnicza zbrodnia; rozum jego biedził się nad tą groźną zagadką. Obok niego ukochana żona spała spokojnie, z sąsiedniego łóżeczka dobiegał miarowy oddech drogiej córeczki, a on odtwarzał w pamięci każdy szczegół, porządkował zebrane wiadomości, usiłował przeniknąć mrok i wydobyć prawdę.

Marek miał umysł światły i logiczny. Jego bardzo trzeźwy i jasny rozum domagał się pewności. Stąd jego namiętność do pełnej prawdy. Nie mógł zaznać spoczynku, istotnego zadowolenia, dopóki nie zyskał pewności, póki ta pewność nie przeniknęła do jego istoty w postaci całkowitej, ostatecznej i niewątpliwej prawdy. Nie był wielkim uczonym, ale dbał o to, aby dobrze wiedzieć to, co wiedział, by nie mieć już wątpliwości co do posiadania prawdy, prawdy doświadczalnej, zdobytej na zawsze. Wraz z ustąpieniem niepewności ustępowało jego cierpienie, odzyskiwał wesołość, czuł się doskonale, a jego pasji prawdy dorównywała z kolei jedynie namiętna po – trzeba głoszenia tej prawdy, wprowadzania jej do wszystkich umysłów i serc. Wtedy ujawniały się jego niepospolite zdolności, wnosił metodę, co wszystko upraszcza, klasyfikuje i oświecla. Niewzruszone przeświadczenie Marka udzielało się słuchaczom, najtrudniejsze pojęcia wydawały się jasne, łatwe i proste. W jego ujęciu najbardziej suche, niewdzięczne tematy stawały się ciekawe, nabierały życia. Potrafił wykrzesać zainteresowanie nawet dla gramatyki i arytmetyki, które się dla jego uczniów stawały zajmujące jak baśnie. Był rzeczywiście urodzonym nauczycielem.

Ten dar odkrył w sobie Marek wtedy, gdy otrzymawszy świadectwo wyzwolin jako siedemnastoletni chłopak, kończył praktykę rysowniczo-litograficzną w firmie „Papon-Laroche” w Beaumont. Kiedy mu powierzono wykonanie tablic szkolnych, zatroszczył się o jak największe ich uproszczenie i stworzył istne arcydzieła przejrzystości i precyzji: to mu wskazało drogę życiową, odkryło radość nauczania maluczkich tego świata. Tam też, w firmie „Papon-Laroche”, zawarł znajomość z Salvanem, obecnym dyrektorem École Normale, który zwrócił uwagę na jego uzdolnienia, i za jego to zachętą Marek usłuchał głosu powołania poświęcając się zawodowi pedagoga; jako skromny nauczyciel szkoły powszechnej miał poczucie szlachetnej użyteczności swej roli, zadowolony, że ją spełnia w zapadłej małej wiosce. Umiłowanie ubożuchnych, drzemiących umysłów wypełniło mu życie. I właśnie na tym skromnym

stanowisku jego namiętność do prawdy stale jeszcze wzrastała stając się coraz żywszą potrzebą. Stanowiła o jego samopoczuciu, zdrowiu, wręcz o jego życiu, gdyż tylko oddychając prawdą mógł żyć normalnie. A gdy mu jej brakło, wpadał w depresję, w niepokój, aż do bólu pragnął ją zdobyć, posiadać, przekazać innym; bez prawdy życie zmieniało się w nieznośną udękę moralną, a nawet wręcz fizyczną. Takie było niewątpliwie źródło niepokojów, co mu teraz nie pozwalało zasnąć – obok śpiącej żony. Dręczyło go to, że nie wie, nie rozumie, że się gubi w mrokach otaczających tę podwójną zbrodnię gwałtu i mordu, dokonaną na dziecku. Wyczuwał, że nie chodzi tu tylko o ohydny zbrodnię, ale że poza nią otwierają się zmacone i groźne głębie, otchłań ciemności. Czyż mu sądzone tak cierpieć, dopóki będzie trwał w niewiedzy, i czy się kiedykolwiek dowie prawdy, skrytej za ścianą mroków, coraz bardziej nieprzeniknionych, w miarę jak usiłował je rozproszyć? Zdjęty niepewnością i lękiem, wyglądał niecierpliwie świtu, aby co najrychlej wznowić swoje dociekania. Lecz oto śpiąca obok niego żona zaśmiała się leciuchno – zapewne pod wpływem radosnego, czułego snu; wtedy zamajaczyło mu w pamięci oblicze groźnej babki i wspominał jej przestrożę: że nie powinien zajmować się tą przykrą sprawą. Na myśl o nieuniknionym konflikcie z rodziną żony ogarnęła go tym większa niepewność i przygnębienie. Dotychczas żadna poważniejsza przykrość nie spotkała go ze strony tej pobożnej rodziny, z której on, nie wierzący, nie praktykujący, nie uznający żadnej religii, wywiódł panienkę, aby z niej uczynić żonę i matkę, towarzyszkę życia. Nie posuwając tolerancji aż tak daleko, jak czynił był jego teść, wolnomyśliciel Berthereau, który żonie towarzyszył na mszę, Marek przecie nie oponował, gdy chodziło o ochrzcenie córeczki; kwestią religijną nie przejmował się, zależało mu jedynie na utrzymaniu pokojowych stosunków z „tymi paniami”. Zresztą, rozmówiona w nim żona zaprzestała zaraz po ślubie praktyk religijnych, więc nie było powodów do najmniejszego nieporozumienia. Niekiedy wszakże zauważał, jak odżywało w niej długoletnie katolickie wychowanie, pojęcia absolutnie sprzeczne z jego pojęciami, przesady, bezwolne oddanie się w ręce samolubnego i okrutnego Boga – chorobliwe wyobrażenia, które na – pełniły go odrazą. Ale były to zaledwie poddmuchy: wierzył, że wzajemna miłość posiada wystarczającą moc, aby zatryumfować nad tymi rozbieżnościami; po takich momentach, w których zdawali się sobie obcy, jakby przybyli z różnych światów, rychło we wzajemnym uścisku odnajdowali znowu swoją wspólnotę. Genowefa chlubnie ukończyła nauki w szkole siostr wizytek i uzyskawszy dyplom, zrazu zamierzała również poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. Nie mogła jednak objąć posady w Jonville, gdzie dzielna panna Mazeline prowadziła szkołę żeńską, a Genowefa, rzecz prosta, nie chciała opuścić męża; zajęta gospodarstwem, a obecnie i wychowaniem córeczki, odkładała wciąż na później – zapewne na zawsze – swój pierwotny zamiar. W tym gnieździe rodzinnym panowało szczęście, doskonała harmonia, których – zdało się – żadna burza nie mogła zamącić. Jeżeli zacny Salvan, ów wierny przyjaciel pana Berthereau, przed skojarzeniem związku między córką drogiego zmarłego,

wychowanką zakonnice, przekarmioną nabożnością przez babkę i matkę, a wolnomyślicielem, nie wierzącym ani w Boga, ani w diabła, głoszącym konieczność zniesienia instytucji Kościoła, zawahał się przez chwilę, czy w imię ich przyszłego szczęścia nie przeciwstawić się ich potężnej miłości – z pewnością teraz musiał już odzyskać spokój na widok tej pary, wciąż czule zespolonej po trzech latach małżeństwa. A oto tej nocy, gdy żona była pogrążona w słodkim śnie, mąż po raz pierwszy doznał niepokoju w obliczu konfliktu z własnym sumieniem, przewidując, iż czeka go zatarg z „tymi paniami” i że wynikną stąd w jego pożyciu różne niemiłe następstwa, jeśli ulegnie swej przemożnej pasji prawdy.

W końcu przecie zasnął smacznym snem, a rankiem, zbudziwszy się w pełnym świetle jasnego, pogodnego dnia, ze zdumieniem pomyślał o tych kilku bezsennych godzinach, zatrutych przykrymi wizjami. Z pewnością przyczyniło się do tego natrętne wspomnienie straszliwej zbrodni. Genowefa pierwsza o niej zaczęła mówić, pełna wzruszenia i litości.

– Ten biedny Simon przeżywa ciężkie chwile. Nie możesz go opuścić, powinieneś zaraz go odwiedzić i ofiarować swą pomoc.

Marek, ujęty dobrocią i odwagą żony, chwycił ją w objęcia.

– Ale babka znowu się rozgniewa, życie tutaj stanie się nie do zniesienia.

Zaśmiała się cicho, łagodnie wzruszywszy ramionami.

– Och! Babcia nawet z aniołami musi się kłócić... Gdy się spełnia choćby połowę jej wymagań, to i tak aż za dużo.

Ta uwaga rozbawiła ich oboje; a gdy z kolei obudziła się Ludwika, przeżyli kilka rozkosznych chwil figlując z dzieckiem w łóżeczku.

Marek postanowił tedy wyjść zaraz po śniadaniu i wznowić swe dociekania. Ubierając się snuł spokojnie, trzeźwo rozważania. Znał dobrze spore miasteczko Maillebois z jego dwutysięczną ludnością, złożoną z drobnych mieszczan, ze sklepikarzy oraz robotników, zatrudnionych w liczbie około ośmiuset w zakładach prowadzonych przez paru wielkich przedsiębiorców, którym się dobrze powodziło dzięki sąsiedztwu z Beaumont. Tak tedy, przedzielona prawie na dwie równe części, ludność ta współzawodniczyła o władzę, czego wiernym odbiciem była rada miejska, tak samo przepołowiona: odłam klerykałów i reakcjonistów toczył ustawiczną walkę z grupą republikańsko-postępową. Figurowało tam jeszcze dwóch czy trzech socjalistów, ale ci, zagubieni w masie, nie wywierali zgoła żadnego wpływu. Niemniej mer, przedsiębiorca budowlany Darras, był zdeklarowanym republikaninem, głoszącym nawet otwarcie poglądy antyklerykalne; wybór zaś swój zawdzięczał właśnie owej równowadze stronnictw w radzie. Przewagą dwóch głosów dano mu pierwszeństwo – jemu, bogaczowi, ruchliwemu przemysłowcowi mającemu pod rozkazami setkę robotników – przed drobnym rentierem Philisem, który po zwinięciu fabryczki brezentu wycofał wprawdzie kapitałik przynoszący mu dziesięć czy dwanaście tysięcy franków renty, ale wiódł żywot zamknięty

i surowy, jako wojujący klerykał, zasklepiony w rygorach najciaśniejszej dewocji. Darras musiał więc postępować z jak największą przezornością, czując, że utrzymanie swego stanowiska zależy od kilku wyborców. Ha! gdyby był przeszedł solidną większością głosów republikańskich, jakżeby odważnie działał dla sprawy wolności, prawdy i sprawiedliwości! Tymczasem musiał przy pomocy arcydyplomatycznych chwytów zachowywać postawę oportunistyczną.

Marek orientował się także, iż ów podział w Maillebois na dwa przeciwne obozy zaostrzał się wskutek wzrastającej potęgi stronnictwa klerykalnego, które groziło zawojowaniem całego okręgu. Nieliczni kapucyni, od lat dziesiątka osiedleni w dawnym klasztorze, którego część odstąpili braciom szkolnym, uprawiali tam coraz śmielszy kult świętego Antoniego Padewskiego z takim powodzeniem, że dochody sięgały kwot bardzo znacznych. Gdy bracia, również ciągnący korzyści z tego kultu, cieszyli się pomyślnym rozwojem swego zakładu w cieniu sąsiedniej kaplicy i zacierali dłonie na widok coraz większego napływu uczniów, kapucyni świątynkę tę eksploatowali tak, jak się użytkuje gorzelnię, wydobywając z niej wszelkie możliwe trucizny. Święty tronował na złotym ołtarzu, zdobnym stale w świeże kwiaty, skąpanym w blasku świec... I wszędzie poumieszczano – skarbonki, a w zakrystii, bez przerwy, od rana do wieczora, czynny był istny kantor, w którym klienci tłoczyli się w kolejce przez cały dzień.

Chodziło już nie tylko o zgubione przedmioty, które święty odnajdował; rozszerzył on swój interes: za kilka franków podejmował się przepchnąć przez egzaminy najgorszych matolów, za jego sprawą najbardziej niepewne interesy dawały świetne zyski, gwarantował nawet zwolnienie od służby wojskowej bogatych synów patriotycznych rodzin, nie licząc już mnóstwa autentycznych cudów, jak uzdrawianie chorych i kalek, niezawodna ochrona przed ruiną i śmiercią, a nawet wskrzeszenie młodej panny na trzeci dzień po zgonie. I ma się rozumieć, po każdej nowej historyjce wzmagał się napływ gotówki, klientela się rozszerzała – od Maillebois reakcyjnego, miasta burżujów i sklepikarzy, aż po Maillebois republikańskie, po społeczność robotniczą, do której trucizna zaczynała przenikać. Wprawdzie ksiądz Quandieu, proboszcz parafii Św. Marcina, w swych kazaniach w każdą niedzielę energicznie przestrzegał przed niebezpieczeństwem niedorzecznych zabobonów, ale go nie słuchano. On, wyznawca światlejszej wiary, ubolewał nad krzywdą, jaką wyrządzała religii żarłoczna gospodarka kapucynów. Przede wszystkim go rujnowali – wszystkie źródła dochodów w parafii wyschły, wszelkie jałmużny i ofiary wpływały obecnie do ich kaplicy. Poza tym cierpienie jego było wznioslejszej natury: cierpiał jako kapłan rozumny, który mimo wszystko przed Rzymem się nie płaszczył i jeszcze wciąż wierzył w powstanie Kościoła Francuskiego, niezawisłego i liberalnego, uczestniczącego w wielkim nowoczesnym ruchu demokratycznym. Wojował tedy z handlarzami w świątyni, co po raz drugi zabijają Jezusa; a jak powiadano, biskup diecezji Beaumont, jego ekscelencja ksiądz Bergerot, podzielał te poglądy, co jednak bynajmniej nie przeszkadzało kapucynom osiągać coraz nowych sukcesów, zawojować Maillebois i przy pomocy serii cudów

przekształcać je w miejsce święte.

Marek wiedział też, że jeżeli za księdzem Quandieu stał biskup Bergerot, to kapucyni i braciszkanie mieli oparcie w osobie wszechpotężnego ojca Crabot, rektora słynnego kolegium w Valmarie. Tym się tłumaczyła obecność kierownika kolegium, ojca Filibina, w charakterze przewodniczącego na uroczystości zamknięcia roku szkolnego – był to publiczny wyraz wysokiego uznania tudzież wysokiego poparcia. Złośliwi utrzymywali, że jezuita należą do spółki... Tak tedy nauczyciel Simon znajdował się w ognisku zawitych sporów, wśród rozpetanych namiętności religijnych w tym niebezpiecznym momencie, gdy zwycięstwo miało przypaść bardziej bezczelnemu. Wszystkie serca były poruszone, jedna iskra wystarczyłaby do wzniesienia niszczącego pożaru we wszystkich umysłach. Na razie bądź co bądź szkoła świecka nie straciła ani jednego ucznia; zarówno liczbą wychowanków, jak i wynikami nauki wytrzymywała jeszcze współzawodnictwo ze szkołą kierowaną przez braci; a to względne zwycięstwo było niewątpliwie zasługą przezornej zręczności Simona, który ze wszystkimi pozostawał w poprawnych stosunkach, popierany zresztą otwarcie przez mera Darras i potajemnie przez księdza Quandieu. Lecz tutaj właśnie, na terenie rywalizacji obu szkół, miała się rozegrać istotna bitwa, straszne i rozstrzygające natarcie musiało prędzej czy później nastąpić, gdyż te dwie szkoły nie mogły istnieć obok siebie, jedna musiała nieuchronnie pochłonąć drugą. Kościół nie będzie zdolny do życia, z chwilą gdy mu się wymknie z rąk nauczanie, ujarzmianie maluczkich. W czasie pierwszego śniadania, spożywanego w towarzystwie „tych pań” w ciasnej, ponurej jadalni, Marek, na nowo spochmurniał pod wpływem swych rozmyślań, czuł się jeszcze bardziej nieswojo. Pani Duparque całkiem spokojnie oświadczyła, że jeżeli Polidor otrzymał nagrodę, zawdzięcza to nabożnej zabiegliwości Pelagii, która pośpieszyła złożyć franka świętemu Antoniemu Padewskiemu. A pani Berthereau zdawała się jej z przekonaniem przytakiwać głową. Nawet Genowefa nie pozwoliła sobie na uśmiech, lecz z zaciekawioną miną słuchała tych czarnoksiężskich baśni. Pani Duparque opowiadała dalej, przytaczając nadzwyczajne fakty: to zostało ocalone czyjeś życie, to znowu majątek – dzięki jakimś dwom czy trzem frankom, zainkasowanym przez agencję kapucynów. Stawało się zrozumiałe, że w końcu, grosz do grosza, płynęły do nich całe strumienie złota, niby podatek pobierany od ludzkich cierpień i głupoty.

Ale oto przyniesiono poranne wydanie „Petit Beaumontais” i Marek – obok długiego artykułu poświęconego zbrodni w Maillebois – z zadowoleniem przeczytał bardzo przychylną wzmiankę dotyczącą Simona. Zaznaczono w niej, że cieszący się powszechnym uznaniem nauczyciel otrzymał w związku z nieszczęściem, które na niego spadło, wiele wzruszających dowodów sympatii. Najwidoczniej reporter zredagował swą notatkę poprzedniego dnia, widząc, na co się zanosi, kiedy tak burzliwie zakończyła się uroczystość w szkole. Nikt nie mógł wtedy mieć wątpliwości co do wrogiego nastroju opinii wobec braci, a wszystkie owe głuche pogłoski,

echa wszystkich podejrzanych historii niegdyś stłumionych pogarszały ich sprawę grożąc wybuchem ogromnego skandalu, który mógł całkowicie pograżyć stronnictwo katolicko-reakcyjne.

Toteż Marka zdziwiła dziarska i tryumfalna mina Pelagii, gdy przyszła uprzątnąć stół. Zatrzymał ją, skłonił do swobodnej rozmowy.

– Ach! proszę pana, dobre nowiny! Dziś rano, kiedy wyszłam po zakupy, dowiedziałam się różnych różności! No cóż, ja tam dobrze wiedziałam, że ci anarchiści, co wczoraj urągali braciszkom, to wszystko łgarze.

I Pelagia poczęła wytrząsać zasłyszane po sklepikach plotki, wszystko, co uzbierała na ulicy od drzwi do drzwi. W atmosferze ciężkiej grozy i niepokojącej tajemnicy, ważące się od zeszłej doby nad miastem, rodziły się i rosły stopniowo najdziwaczniejsze wyobrażenia. Rzekł – byś, że w ciągu owej nocy wykiełkowała cała jakaś potworna plantacja. Z początku były to tylko wątle hipotezy, jakieś rzekome zeznania świadków, ot, ledwie poszepty pełzające przy ziemi. Następnie jakieś na ślepo rzucane komentarze stawały się pewnikami, niewyraźne zbieżności zmieniały się w dowody nie do odparcia. I było widoczne, że cała ta podziemna robota odwracała się na korzyść braci, a przeciw Simonowi; dokonywał się dyskretny, ale stanowczy zwrot, nie wiadomo gdzie rozpoczęty, a potężniejący z każdą godziną, siejący w umysłach zamęt i wątpliwość.

– Wie pan, jest całkiem pewne, że nauczyciel wcale nie kochał swego bratanka. Źle się z nim obchodził, są tacy, co to widzieli i zaświadczą... No i drażniło go, że Zefirynek nie u niego się uczy... Kiedy chłopaczek przystąpił do pierwszej komunii, Simon złościł się okropnie, wygrażał mu pięścią i bluźnił. W każdym razie bardzo to osobliwe, że zgładzono tego aniołka prawie w momencie, gdy odchodził od Stołu Pańskiego, kiedy jeszcze Pan Bóg w nim przebywał.

Marek, zdრętwiały, ze zdumieniem słuchał paplania służącej.

– Cóż to Pelagia ma na myśli? Czy ktoś oskarża Simona o zamordowanie wychowanka?

– Ha! są tacy, co się nie krępują i tak właśnie mówią... To wygląda jakoś niewyraźnie: ta cała wyprawa do Beaumont na zabawę, to spóźnienie na pociąg o wpół do jedenastej i ten powrót na piechotę. Wrócił, jak mówi, dwadzieścia minut przed północą, ale nikt go nie widział, mógł doskonale przyjechać pociągiem o godzinę wcześniej, właśnie, kiedy dokonano zbrodni. W takim razie, kiedy już było po wszystkim, wystarczyło mu zdmuchnąć świecę i zostawić okno szeroko otwarte, żeby wyglądało, że niby zbrodniarz przedostał się z zewnątrz... Panna Rouzaire, nauczycielka, całkiem wyraźnie słyszała kwa – drans przed jedenastą odgłosy kroków w szkole, jakieś jęki i krzyki, hałas otwieranych i zamykanych drzwi.

– Jak to! panna Rouzaire?! – zawołał Marek. – Nie wspomniała o tym ani słówkiem w swym pierwszym zeznaniu. Byłem przy tym.

– U, przepraszam! Przed chwilą u rzeźnika panna Rouzaire wszystkim o tym opowiadała;

sama słyszałam.

Oślupiały Marek nie przerywał już Pelagii.

– Pana Mignot także bardzo zdziwił ten twardy sen pana Simona. i rzeczywiście wygląda to osobiście, żeby aż trzeba go było budzić w dniu, kiedy w jego domu została popełniona zbrodnia! Nie mówiąc już o tym, że podobno wcale się nie zmartwił i że patrząc na zwłoki chłopczyka drżał jak listek.

Marek chciał zaprotestować, ale Pelagia ciągnęła ze złą i upartą miną:

– To zresztą na pewno on, bo w ustach Zefiryńka znaleziono wzorek kaligraficzny pochodzący z jego klasy. Więc, prawda, tylko gospodarz klasy mógł mieć w kieszeni ten wzorek. Mówią nawet, że jest przez niego podpisany. A poza tym jedna pani, tam u owocarki, zapewniała, że policja znalazła w jego szafie mnóstwo takusieńkich wzorków.

Teraz Marek wystąpił przeciw tym plotkom, wspomniał o nieczytelnych inicjałach, opowiedział, jak to Simon przysiągł, iż nigdy nie miał w rękach owego wzoru, chociaż, będąc w powszechnym użyciu, mógł on się znaleźć w każdej szkole. Kiedy jednak Pelagia znowu oświadczyła, że rano, w czasie rewizji, władze śledcze wykryły jakieś druzgocące dowody, Marek, wreszcie znękany, przestał protestować, zdając sobie sprawę z bezużyteczności wszelkiej dyskusji wobec przerażającego zamętu, jaki owładnął umysłami.

– Bo to, uważa pan, kiedy się ma do czynienia z Żydem, można się wszystkiego spodziewać. Przed chwilą mó – wił mi właśnie mleczarz: to są ludzie, co nie mają rodziny ani ojczyzny, kumają się tylko z diabłem i rabują, i zabijają, ot, tak, bez przyczyny, dla samego zadowolenia z cudzej krzywdy... Może pan sobie mówić, co chce, ludzie i tak będą wierzyli, że temu Żydowi potrzebne było życie dziecka dla jakiejś paskudnej sprawy z diabłem i że podstępnie wyczekał chwili, gdy siostrzeniec przystąpił do pierwszej komunii, aby go splugawić i zarznąć – takiego niewinnego, uświęconego hostią.

Oto powracało oskarżenie o mord rytualny... Mord rytualny, ta zhora prześladowająca tłumy, przywleczona z głębi stuleci, wciąż odradzająca się, przy każdej klęsce upatrująca w Żydach zatruwaczy studzien i katów małych dzieci.

Genowefa widząc, co się dzieje z Markiem, dwukrotnie usiłowała wtrącić się, aby podtrzymać jego protesty. Ale milkła natychmiast z obawy, iż rozdrażni babkę, wyczuwała bowiem, że ta jest rada plotkom sługi, którym przytakuje ruchem głowy. Pani Duparquet tryumfowała; i uważając męża wnuczki za pokonanego, nie raczyła strofować go więcej, poprzestała tedy na oświadczeniu zwróconym do wciąż milczącej pani Berthereau:

– To zupełnie tak samo jak z owym martwym dzieckiem, znalezionym niegdyś w przedsionku kościoła Św. Maksencjusza: kobieta, co służyła u Żydów, omal nie została skazana zamiast nich, boć tylko Żyd mógł być sprawcą morderstwa. Kto przestaje z tymi ludźmi, jest stale pod grozą pomsty niebieskiej.

Marek wolał nie replikować i prawie natychmiast wyszedł. Ale był mocno zmieszany, zaczynała go dręczyć wątpliwość, pytał sam siebie, czy też Simon istotnie mógł być winowajcą. Podejrzenie to opanowywało go jak złośliwa gorączka nabyta w niezdrowym środowisku; uczył potrzebę zastanowienia się, uspokojenia nerwów przed udaniem się w odwiedzin do nauczyciela. Zboczył z drogi i przez dłuższy czas szedł pustym traktem wiodącym do Valmarie, przeżywając na nowo we wspomnieniu wczorajszy dzień, analizując fakty i osoby. Nie, nie! Podejrzewanie Simona było niedorzecznością! Dowody napływały zewsząd. Przede wszystkim nie miał żadnych motywów popełnienia tej ohydnej zbrodni; była ona nielogiczna, niemożliwa. Simon to człowiek zdrowy na duszy i na ciele, bez skazy fizycznej, pełen pogodnej łagodności, świadczącej o normalnym funkcjonowaniu organizmu. A przy tym ma wspaniałej urody żonę, którą kocha, w której objęciach żyje w rozkosznym upojeniu, wdzięczny za śliczne dzieci, co się zrodziły z ich miłości i stały ich żywym kochaniem i kultem. Jakże tu chociażby na chwilę przypuścić, iż ten człowiek uległ nagłemu napadowi ohydnej szaleńczości tuż przed udaniem się do swej sypialni, gdzie w sąsiedztwie dzieciennych łóżeczek czekała na niego ukochana małżonka? I jakież akcent prostoty i prawdy u tego człowieka, śledzonego przez tylu wrogów, przywiązanego do swego zawodu wręcz heroicznie, godzącego się na swe ubóstwo bez słowa skargi!... Jego sprawozdanie ze spędzonego wieczoru było bardzo jasne, żona potwierdziła ścisłość podanych przez niego godzin, żadna z jego informacji nie wydawała się wątpliwa. I jeżeli nawet pozostawały ciemne punkty, jeżeli ten wzorek kaligraficzny, zgnieciony, skręcony razem z numerem „Petit Beaumontais”, majaczył wciąż jak nierozwiązalna zagadka, wszechmocny rozum powiadał, że należy szukać gdzie indziej, że Simon w grę nie wchodzi; rozstrzygała o tym jego osobowość, jego życie, warunki, w jakich się znajdował. Wówczas w umyśle Marka zrodziła się pewność ugruntowana na rozumowaniu, czysta prawda, niezachwiana, gdy tylko ustaliła ją obserwacja i logika faktów. Od tej chwili jego przekonanie stało się punktem wyjścia, do którego będzie wszystko sprowadzał; mogą się mnożyć błędy i kłamstwa – odsunie je wszystkie precz, jeżeli nie będą zgodne z częstkami prawdy już poznanej i dowiedzionej.

Odzyskawszy pogodę, uwolniony od brzemienia swej wątpliwości, Marek zawrócił do Maillebois mijając dworzec w chwili przybycia jakiegoś pociągu. Zobaczył wychodzącego z wagonu inspektora szkolnego, pięknego Mauraisin, trzydziestoosmioletniego eleganckiego brunecika, którego wąskie usta ocieniała jedwabista broda, a bystre oczy kryły szkła nieodstępnych binokli. Mauraisin, były profesor École Normale, należał do nowego pokolenia karierowiczów, wiecznie czatujących na awans służbowy, troszczących się tylko o jedno: by stać po stronie mocniejszego. Powiadano, iż niegdyś ubiegał się o kierownictwo École Normale, a że to stanowisko przypadło Salvanowi, Mauraisin żywił ku niemu skrytą nienawiść, chociaż zarazem dbał o jego względy, wiedząc o zaufaniu, jakim go darzy inspektor szkół wyższych, Le

Barazer, od którego sam zależał. Aż dotychczas zresztą, wobec równowagi stronnictw walczących o władzę okręgu, spryciarz potrafił nie zaangażować się zbyt otwarcie, mimo osobistą sympatię do klerykałów, księży i zakonników, których uważał za diabło mocnych. Marek ujrzawszy go mógł przypuścić, że to zacny Le Barazer przysłał inspektora w sukurs Simonowi wobec tej groźnej katastrofy, która łącznie mogła zniszczyć nauczyciela z Maillebois razem z jego szkołą.

Przyśpieszył kroku pragnąc powitać pięknego Mauraisin, lecz zatrzymał się na widok wychodzącego z sąsiedniej ulicy duchownego, w którym poznał rektora kolegium w Valmarie, ojca Crabot we własnej osobie. Był to mężczyzna wysoki, postawny, lat czterdziestu pięciu, bez jednego siwego włosa, z szeroką twarzą o regularnych rysach, potężnym nosie, miłym wejrzeniu oraz mięsistych łagodnych ustach. Zarzucano mu jedynie pewną pretensjonalność w manierach duchownego-światowca, silącego się na styl arystokratyczny. Ale dzięki temu jego potęga tylko wzrosła i jak powiadano nie bez niejakich podstaw, był on szarą eminencją departamentu, a niewątpliwie bliskie już zwycięstwo Kościoła od niego tylko zależało.

Marek przystanął, zdziwiony i zaniepokojony tym rannym spotkaniem. Bardzo wcześnie ten ojciec Crabot musiał wyjechać z Valmarie! Jakaż to pilna sprawa, jakie ważne inspekcje ściągnęły go do Maillebois? Skąd przybywał, dokąd zmierzał ulicami miasteczka, pełnymi ruchu i plotek, rozdając na prawo i na lewo ukłony i uśmiechy? I oto nagle Marek zobaczył, jak rektor zatrzymał się dostrzegłszy Mauraisin i z ujmującą serdecznością podał mu rękę. Rozmowa ich nie potrwała długo, była to zapewne wymiana zdawkowych uprzejmości, ale wydawali się być w doskonałej komitywie, w naturalnym a dyskretnym porozumieniu; pożegnawszy jezuity, inspektor przeżył swą drobną figurkę, najwidoczniej pyszniąc się owym uściskiem dłoni, czerpiąc z niego pogląd, decyzję, z której powzięciem może dotychczas zwlekał. Gdy ojciec Crabot ruszył w dalszą drogę, zobaczył z kolei Marka i przypomniał sobie znajomość zawartą z nim u pani Duparque, którą czasami raczył odwiedzać, powitał go zamaszystym ukłonem. Młody nauczyciel, sterczący na skraju chodnika, musiał oczywiście odpowiedzieć na ten wyraz uprzejmości; po czym patrzył na odchodzącego księdza, który, powiewając szeroko sutanną, sunął ulicami Maillebois budząc podziw jego mieszkańców, wielce zaszczyconych i podbitych tymi odwiedzinami.

Marek wolnym krokiem skierował się w stronę szkoły. Nastrój jego się zmienił, myśli znów spochmurniały, jak gdyby powracał do strefy zakażonej, do atmosfery nasiąkającej trucizną i nieprzyjaznej. Wydawało mu się, że domy mają inny niż wczoraj wygląd, zwłaszcza że ludzie są jakby odmienieni. Gdy zaś wszedł do mieszkania Simona, wręcz zdziwił się zastając go w rodzinnym gronie, spokojnie porządkującego jakieś papiery. Rachela siedziała przy oknie, dzieci bawiły się w kącie pokoju. Gdyby nie głęboki smutek przenikający atmosferę, można by pomyśleć, iż nic niezwykłego nie wydarzyło się w tym domu.

Simon wszakże podszedł ku niemu i uściskał mu obie dłonie z żywym wzruszeniem, wyczuwając, ile przyjaźni i oddania wyrażają te odwiedziny. Zaraz też zaczęli rozmowę o porannej rewizji.

– Przyszła policja? – spytał Marek.

– Tak, to zupełnie zrozumiałe, spodziewałem się tego. Naturalnie nic nie znaleźli, odeszli z próżnymi rękoma.

Marek powstrzymał odruch zdziwienia. Cóż to mu opowiadano? Skąd te pogłoski o druzgocących dowodach rzeczowych, wśród których wymieniano wzory pisma całkiem podobne do tamtego, znalezione na miejscu przestępstwa? Więc to były kłamstwa.

– I jak widzisz – ciągnął Simon – porządkuję sobie trochę papiery, które mi poprzewracano. Co za straszne wydarzenie, mój drogi! Nie możemy się uspokoić!

Sekcja zwłok miała się odbyć tegoż ranka; oczekiwano przybycia lekarza sądowego. Pogrzeb nastąpiłby zapewne dopiero nazajutrz.

– Rozumiesz, żyję jak w jakimś koszmarnym śnie. nie mogę uwierzyć, że podobne nieszczęście jest możliwe. Od wczoraj nie potrafię o niczym innym myśleć, odtwarzam sobie wciąż tę samą historię: mój powrót piechotą, późne, tak spokojne przybycie do domu pogrążonego we śnie... i nazajutrz rano to okropne przebudzenie!

Korzystając ze sposobności, Marek zdecydował się zadać kilka pytań.

– Po drodze nikogo nie spotkałeś? Nikt nie widział, jak wracałeś tu o podanej przez siebie godzinie?

– Nie, dalibóg, nikogo nie spotkałem i sądzę, że nikt nie widział mnie wracającego. Nocą o tej. porze w Maillebois jest zupełnie pusto.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Ale skoroś nie wrócił pociągiem, nie zużyłeś swego powrotnego biletu. Masz jeszcze ten bilet przy sobie?

– Bilet powrotny? Otóż właśnie! Byłem tak wściekły na widok zmykającego mi sprzed nosa pociągu, tego o dziesiątej trzydzieści, że kiedym się zdecydował wrócić piechotą, wyrzuciłem go na dworcu.

Znowu chwila ciszy, podczas której Simon spojrzał uważnie na przyjaciela.

– Dlaczego mnie wypytyujesz o to wszystko?

Marek uściskał mu serdecznie obydwie dłonie zatrzymując je na chwilę w swoich; postanowił uprzedzić go o niebezpieczeństwie, powiedzieć mu wszystko.

– Tak, szkoda, że cię nikt nie widział, a jeszcze bardziej, żeś nie schował swego biletu powrotnego. Tylu jest głupców i łotrów! Rozpuszcza się pogłoski, że policja znalazła w twoim domu druzgocące dowody rzeczowe, egzemplarze wzorków kaligraficznych cyfrowane przez ciebie; tego Mignot pono zdziwił twój głęboki sen, kiedy przyszedł do was rankiem; a panna

Rouzaire jakoby przypomina sobie teraz, że właśnie między pół do jedenastej a jedenastą słyszała głosy i stapania, jak gdyby ktoś tu wchodził...

Nauczyciel, mocno pobladły, lecz bardzo spokojny, począł się uśmiechać wzruszając ramionami.

– Aha, to tak! Zatem ludzie mnie podejrzewają. Rozumiem teraz osobliwe miny tych, co tu od rana przechodzą i gapią się... Mignot, w gruncie rzeczy porządny chłop, powie to samo, co wszyscy, z obawy by się nie skompromitować, ponieważ jestem Żydem. A co się tyczy panny Rouzaire – ta bez wahania wyda mnie na pastwę, jeżeli jej to podszeptał spowiednik i jeśli w tym szlachetnym czynie upatruje jakieś widoki awansu czy chociażby uzna – nia... Ha! podejrzewają mnie, i teraz ruszy cała ta klerykalna sfera!

Mówił niemal ze śmiechem. Ale Rachela, pogrążona w swej zwykłej bierności, jak gdyby jeszcze wzmożonej przez ciężkie zmartwienie, zerwała się nagle i z twarzą płonąca od bolesnego wzburzenia wybuchnęła:

– Ciebie! Ciebie podejrzewają o podobną ohydę! Ciebie, który wróciłeś wczoraj taki dobry, taki łagodny! Trzymałeś mnie w objęciach przemawiając tak czule! Ta dzika niedorzeczność! Czyż nie wystarczy, że powiedziałam prawdę wskazując godzinę twego powrotu owej nocy, którąśmy razem spędzili?

Iz płaczem rzuciła się mężowi na szyję ulegając ponownie słabości kobiety rozpieszczonej, uwielbianej. Simon przyciskał ją do serca starając się pocieszyć, uspokoić.

– Nie trap się, najdroższa! To brednie, te wszystkie historie nie wytrzymują krytyki. Nie przejmuj się, ja jestem całkiem spokojny, mogą tu przyjść jeszcze raz, mogą przetrząsnąć całe moje życie, nie znajdą tam nic zdrożnego. Wystarczy mi mówić prawdę, bo, widzisz, nic się nie może ostać wobec prawdy, ona jest wielką, wieczną tryumfatorką.

I zwrócił się do przyjaciela:

– Czyż nie tak, mój poczciwy Marku: kiedy się ma za sobą prawdę, jest się niezwyciężonym?

Gdyby nawet pogląd Marka nie był ustalony, resztki jego wątpliwości rozwiałyby się pod wpływem tej wzruszającej sceny. Ulegając serdecznemu odruchowi uściskał tych dwoje ludzi, jak gdyby na znak swej wierności i gotowości okazania im pomocy w krytycznych przejściach, jakie przewidywał. Pragnąc działać niezwłocznie, skierował rozmowę ponownie na temat owego wzorca kaligraficznego, wyczuwał bowiem dobrze, że stanowi on ważny punkt, jedyny, na którym ma się oprzeć cała sprawa. Ale jakież to zagadkowy obiekt ten wzorek, zmięty, pogryziony, z jednym rogiem zapewne oderwanym zębami nieszczęsnej ofiary, cały zmoczony śliną, z tym na poły zatartym inicjałem czy.: też kleksem! Nakreślone pięknym angielskim pismem słowa: „Miłujcie się wzajemnie”, zakrawały na okrutną ironię. Skąd pochodził ten arkusik? Kto go przyniósł: dziecko czy morderca? Jak to stwierdzić, skoro panie. Milhomme, właścicielki pobliskiego składu materiałów piśmiennych, sprzedają stale takie wzorki? Simon zaś

mógł jedynie powtórzyć oświadczenie, że tego wzorka nigdy nie miał w swojej szkole.

– Wszyscy moi uczniowie to potwierdzą: takiego wzorka nigdy nie było w szkole, nigdy go nie widzieli na oczy.

Słowa te stanowiły dla Marka cenną wskazówkę.

– Zatem mogliby złożyć takie zeznanie! – zawołał. – Skoro ludzie puszczają fałszywe pogłoski, jakoby policja znalazła u ciebie obciążające dowody w postaci identycznych wzorków pisma, trzeba niezwłocznie przedstawić stan faktyczny zgodnie z prawdą, należy więc porozumieć się z twoimi uczniami u nich w domach, w obecności rodziców, skłonić do złożenia zeznań, zanim ludzie zamącą ich dziecięcą pamięć... Podaj mi kilka nazwisk, podejmuję się załatwić tę sprawę, zabiorę się do tego jeszcze dziś po południu.

Ufny w swą niewinność, Simon wzbraniał się. Wreszcie ustąpił podając nazwisko gospodarza Bongard, mieszkającego przy drodze do Désirade, robotnika budowlanego Doloir przy ulicy Plaisir oraz urzędnika Savin – przy ulicy Fauche. Ci trzej wystarczali, mógł też Marek odwiedzić papeterię pań Milhomme. Kiedy już wszystko omówiono, Marek udał się do domu na śniadanie, przyrzekłszy, że wróci jeszcze wieczorem zdać sprawę ze swych starań.

Ale po drodze, doszedłszy do placu, natknął się znowu na pięknego Mauraisin. Inspektor prowadził ożywioną rozmowę z panną Rouzaire. Zazwyczaj zachowywał się bardzo poprawnie, bardzo ostrożnie wobec nauczycielek, od czasu gdy pewna panienska o mało nie naraziła go na znaczne kłopoty, podniósłszy krzyk, jak gdyby ją obdzierał ze skóry, dlatego że chciał ją pocałować. Szpetna panna Rouzaire, jak mówiono, bynajmniej nie krzyczała; tym się tłumaczyły jej chlubne świadectwa oraz czekający ją rychły awans. Stojąc przy furtce swego ogródka, panna Rouzaire rozprawiała z ożywieniem, gestykulowała szeroko, wskazując sąsiedni budynek szkolny, a Mauraisin słuchał uważnie, kiwając głową. Następnie oboje przeszli do ogrodu, dyskretnie zamknąwszy furtkę. Niewątpliwie nauczycielka opowiadała o zbrodni, o przypadkowej roli, jaką w tym wydarzeniu odegrała, o odgłosach, które jak to obecnie utrzymywała, słyszała owej nocy. I Marek wzdrygnął się znowu, tak jak rankiem, czując, że wkracza w środowisko wrogie, że się tu zawiązuje głuchy spisek ciemnych sił, że się zbiera burza, a atmosfera staje się coraz cięższa. Ten inspektor szkolny w osobliwy doprawdy sposób śpieszy na pomoc nauczycielowi w niebezpieczeństwie, wysłuchując przede wszystkim opinii wszystkich nieprzyjaznych i zawistnych sąsiadów...

Już o drugiej po południu Marek mijał rogatkę Maillebois kierując się na drogę wiodącą do Désirade. Bongard miał tam niewielkie gospodarstwo. Sam uprawiał swoje pole z wielkim trudem, ot, jak powiadał, byleby tylko mieć co do gęby włożyć. Marek zastał go wracającego z pola z furą naładowaną sianem. Był to tęgi, barczysty chłop, rudy, z okrągłymi oczyma, z twarzą spokojną i bez wyrazu; nie nosił wąsów ani brody, ale golił się rzadko. Opodał ujrzał Marek jego żonę przygotowującą karmę dla krowy; była to wysoka blondynka, koścista

i nieładna; jej zaczerwieniona piegowata twarz miała wyraz zamknięty. Oboje obrzucili nieufnym spojrzeniem wchodzącego do ich zagrody obcego pana. – Jestem nauczycielem z Jonville. Wasz synek chodzi do szkoły gminnej w Maillebois, prawda?

Ów synek, Ferdynand, który bawił się na drodze, nadbiegł właśnie. Był to dziewięcioletni tęgi chłopak, jakby wyciosany nożem ogrodniczym, czoło miał niskie, a rysy grube. Za nim szła siostra Aniela, dziewczynka siedmioletnia o podobnej tępej twarzy, lecz z roztropniejszym wyrazem i bystrymi oczyma, w których błyskała budząca się inteligencja, jakby usiłująca przerobić oporną powłokę cielesną. Aniela usłyszała rzucone przez Marka pytanie i zawołała piskliwym głosem:

– Ja chodzę do panny Rouzair, a Ferdynand do pana Simon.

Istotnie Bongard umieścił dzieci w szkole świeckiej: przede wszystkim dlatego, że to nic nie kosztowało, a nadto ponieważ stronił od księży instynktownie, nie rozważając dokładniej tej sprawy. On sam nie praktykował, a żona wprawdzie uczęszczała do kościoła, ale ot tak, z przyzwyczajenia tudzież gwoli rozrywce. Był zupełnym nieukiem, ledwo potrafił czytać i pisać; w żonie, jeszcze mniej od niego wykształconej, cenił jedynie wytrzymałość roboczego bydłęcia, pozwalającą jej pracować bez skargi od rana do wieczora. Toteż niewiele go obchodziły postępy dzieci w naukach; pracowity Ferdynand okrutnie się mozolił nic sobie nie mogąc przyswoić, a mała Aniela zadawała sobie jeszcze więcej trudu i dzięki uporowi była znośną uczennicą. Rzekłbyś, że w tej bryle ludzkiego surowca, ledwie wczoraj wydobytej z ładu, budziła się inteligencja w długotrwałym, bolesnym wysiłku...

– Jestem przyjacielem pana Simona – podjął Marek – i przychodzę w jego imieniu, w związku z tym, co się stało. Słyszeliście przecie o tej zbrodni?

Oczywiście, słyszeli. Nagle ich oblicza, już od początku niespokojne, stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione, nie wyrażając ani uczuć, ani myśli. Po cóż przychodzą do nich z jakimiś pytaniami? Nikomu nic do tego, co oni sądzą o tych sprawach. A w podobnych rzeczach należy być ostrożnym, bo nieraz jedno nieopatrznie wypowiedziane słówko wystarczy, aby kogoś skazano.

– Otóż – ciągnął Marek – chciałbym wiedzieć, czy wasz chłopczyk widział w klasie wzorek do kaligrafii taki jak ten.

Marek przed udaniem się w drogę własnoręcznie wykaligrafował na skrawku papieru odpowiednich rozmiarów ozdobnym angielskim pismem sentencję: „Miłujcie się wzajemnie.” Teraz dokończywszy wyjaśnienie podsunął papier Ferdynandowi, który przyglądał mu się, zdumiony, medytując ociężale, nie pojmując jeszcze, o co chodzi.

– Przyjrzyj się dobrze, mój mały, czy widziałeś taki wzorek w szkole?

Ale zanim malec zdobył się na odpowiedź, wtrącił się Bongard oświadczając z nieufną miną:

– On nie wie, skąd by dziecko miało wiedzieć!

A gospodyni, jak cień trzymająca się swego chłopca, przywodziła:

– Ma się rozumieć, dziecko nie może wiedzieć.

Nie zwracając na nich uwagi, Marek ponowił pytanie, wetknąwszy paperek Ferdynandowi do ręki; ten w obawie, że go mogą ukarać, wykrztusił wreszcie z wysiłkiem:

– Nie, proszę pana, nie widziałem.

Uniósłszy głowę napotkał oczy ojca tak bacznie w niego wpatrzone, że czym prędzej dorzucił zająkliwie:

– Chyba żebym przecie widział... Ja nie wiem.

I nie podobna było nic poza tym z niego wydobyć; chłopak bąkał odpowiedzi bezładne, a równocześnie sami rodzice mówili na chybił trafił „tak”, to znowu „nie” – zależnie od tego, co im się wydawało korzystne. Taki już miał przezorny zwyczaj Bongard: kiwał głową, przytakując wszystkiemu, co mu mówiono, byle się tylko nie narazić. Tak, tak, to straszna rzecz podobna zbrodni, a je – żeli złapią sprawcę, powinni mu uciąć łeb. Cóż, każdy powinien trzymać się swojego zawodu – żandarmi swój dobrze znają, a łotrów nigdzie nie brak. Co się zaś tyczy księży, owszem, i oni mają swoje dobre strony, ale, bądź co bądź, każdy ma prawo postępować wedle swego rozumienia... I Marek wreszcie odszedł z niczym, przeprowadzony zaciekawionymi spojrzeniami dzieci i ścigany piskliwym głosem Anielki, która teraz, kiedy już „tego pana” nie było przy nich, paplała swobodnie z braciszkiem.

Wracając do Maillebois, młody nauczyciel medytował smętnie. Oto przed chwilą zderzył się z grubym pokładem ciemnoty, z olbrzymią ślepą i głuchą masą, jeszcze uśpio, ną. Podobnie jak owa rodzina Bongardów, cała masa chłopska uporczywie trwała w swej prymitywnej wegetacji, zwolna tylko budząc się z mroków. Toż był to cały wielki odłam narodu, który należało kształcić, jeżeli się pragnęło zbudzić go dla prawdy i sprawiedliwości! Ale jakież to ogromny trud, jakże go wydzwignąć z mułu, w którym grzązł, ilu jeszcze trzeba, by pokoleń, aby tę rasę wyzwolić z ciemności! W tej chwili znaczna większość społeczeństwa tkwi oto w dzieciństwie, w pierwotnym nierozumie. W zetknięciu z takim Bongardem natrafiamy na surową materię, niezdolną do sprawiedliwości ponieważ nic nie wie i o niczym wiedzieć nie chce.

Marek zboczył na lewo i minąwszy Grand' Rue znalazł się w ubogiej dzielnicy Maillebois. Zakłady przemysłowe, cuchnące odpadkami, zakażały rzeczkę Verpille, mrowie robotniczego ludu gnieździło się w ponurych domach przy wąskich uliczkach. Tam to, przy ulicy Plaisir, murarz Doloir zajmował na pierwszym piętrze, nad handlem win, cztery dosyć obszerne izby. Niedokładnie poinformowany, Marek szukał mieszkania murarza i nagle natknął się na grupę przybyłych z pobliskiej budowy robotników, którzy wstąpili na szklaneczkę. Rozmawiali, wzburzeni, dyskutując na temat zbrodni. – Ja ci powiadam, że Żyd jest zdolny do wszystkiego! – wołał wysoki blondyn. – Był u nas taki jeden w pułku; kradł, ale mu to nie przeszkodziło awansować na kaprala, bo Żyd zawsze sobie poradzi.

Drugi murarz, drobny brunet, odrzekł wzruszając ramionami:

– Zgoda, Żydzi są niewiele warci, ale przecie i księza też nielepsi.

– E, cóż księza! Trafiają się dobrzy, trafiają się i źli. Ale księza zawsze to jeszcze Francuzi, a te parszywe bestie, Żydy, już dwukrotnie przehandlowały Francję zagranicą. – A gdy brunecik, na pół przekonany, pytał go, czy to w „Petit Beaumontais” wyczytał o tym – Nie – odpowiedział. – ja nie znoszę gazet. Ale mówili mi koledzy, każdy to doskonale wie.

Wszyscy murarze w zgodnym milczeniu opróżnili szklanki. Wychodzili właśnie z winiarni, kiedy Marek podszedł i zwracając się do wysokiego blondyna zapytał o adres murarza Doloir. Robotnik roześmiał się.

– Ja jestem Doloir, proszę pana, mieszkam tu: o, tam gdzie te trzy okna.

Krzepki drągał o postawie eks-wojskowego był szczerze ubawiony tą przygodą. Spod nastroszonych, bujnych, jasnych wąsów błyskały białe zęby pośrodku rumianej twarzy o szerokich, poczciwych oczach.

– No, proszę pana, nie podobna było lepiej trafić. Czym mogę służyć?

Marek przyglądał mu się z sympatią, choć brzmiały mu jeszcze w uszach okropne słowa, jakie przed chwilą usłyszał. Doloir, od wielu lat zatrudniony w przedsiębiorstwie burmistrza Darras, był niezłym robotnikiem; zdarzało mu się czasem wypić o jedną szklaneczkę za dużo, ale żonie akuratnie przynosił tygodniówkę. Pomstował trochę na przedsiębiorców nazywając ich podłą szajką, albowiem, nie bardzo wiedząc czemu, mienił się socjalistą; niemniej przecie żywił uznanie dla Darrasa, który grubo zarabiał starając się przy tym zachować koleżeńskie stosunki ze swoimi pracownikami. Najtrwalszy ślad na życiu Doloira pozostawiła jego trzyletnia służba wojskowa. Opuścił ją do szaleństwa uradowany z wyzwolenia i przeklinając ten szkaradny zawód, w którym przestaje się być człowiekiem. I od tego czasu wciąż przeżywał na nowo owe trzy lata życia w koszarach; nie było dnia, by się w nim nie odezwało jakieś wspomnienie. Rękę miał jakby popsutą wskutek manipulowania karabinem, kielnia mocno mu ciążyła, do pracy powrócił niechętnie, ospale, jak ktoś, co już od niej odwykł; wolę miał zdławioną, a ciało rozleniwione skutkiem nałogu próżnowania poza godzinami ćwiczeń. Nigdy już nie był potem doskonałym robotnikiem, jak dawniej. Wciąż zaprzętały mu głowę sprawy wojskowe, mówił na ten temat bez końca, z byle jakiego powodu, paplał zresztą mętnie i bez istotnej znajomości przedmiotu. Nie czytał nic i o niczym nie miał pojęcia – prostodusznie uczciwy, zacięty na punkcie patriotyzmu, który w jego rozumieniu sprowadzał się do tego, by uniemożliwić Żydom wydanie Francji na łup zagranicą.

– Ma pan dwoje dzieci uczęszczających do szkoły gminnej – rzekł Marek. – Otóż przychodzę w imieniu mojego kolegi, nauczyciela Simon, w sprawie pewnej informacji... Ale, jak widzę, niezbyt jest pan łaskawy dla Żydów...

Doloir nie przestawał się śmiać.

– A prawda, pan Simon jest Żydem... Ale, swoją drogą, aż dotychczas miałem go za porządnego człowieka... O jaką to informację chodzi?

A gdy się dowiedział, że chodzi tylko o pokazanie dzieciom wzorka do kaligrafii, aby sprawdzić, czy posługiwali się takimi wzorkami w szkole, zawołał:

– Nic prostszego, jeżeli się to panu może przydać! Proszę, wstąpimy na górę, dzieci muszą być w domu. Otworzyła im pani Doloir, przysadzista brunetka; na twarzy jej malowała się stanowczość i powaga, czoło miała niskie, spojrzenie szczere, szczękę kwadratową. Mając lat zaledwie dwadzieścia dziewięć, była już matką trojga dzieci, a niebawem miała urodzić czwarte; mimo ostatnie miesiące ciąży wstawiała pierwsza i kładła się spać ostatnia, ustawicznie zajęta porządkami, bardzo pracowita i oszczędna. Po narodzinach trzeciego dziecka porzuciła zajęcie w pracowni krawieckiej; zajmowała się teraz już tylko gospodarstwem domowym, ale jako kobieta rzetelnie zarabiająca na swój chleb.

– Ten pan jest przyjacielem kierownika szkoły i chce porozmawiać z dziećmi – wyjaśnił Doloir.

Marek wszedł do niewielkiej, czyściutkiej jadalni. Obok, po lewej stronie, szeroko otwarte drzwi prowadziły do kuchni. Naprzeciwko zaś znajdowały się pokoje rodziców i dzieci.

– August, Karol! – zawołał ojciec.

Przybiegli obydwaj, jeden ośmio – drugi sześciolatek, za nimi zaś czteroletnia siostrzyczka, Łucja. Były to dzieci ładne i zdrowe, podobne jednocześnie do obojga rodziców; młodszy był mniejszego wzrostu, ale wyglądał na rozumniejszego od brata, dziewczynka, już ładniutka, miała słodki uśmiech blondynki.

Kiedy Marek pokazywał chłopcom wzorek kaligraficzny i zadawał im pytania, pani Doloir, która dotychczas stała w milczeniu, wsparta o krzesło, z ogromnym brzuchem, mężnie panująca nad znużeniem, pośpieszyła wtrącić się do rozmowy.

– Pan wybaczy, ale ja nie chcę, żeby dzieci panu odpowiadały.

Wyraziła to grzecznie, beznamiętnie, tonem przykładnej matki rodziny, spełniającej swój obowiązek.

– Ale dlaczego? – zapytał zdziwiony Marek.

– Och, proszę pana, nie mamy potrzeby mieszać się w tę sprawę, która może się źle skończyć. Nasłuchałam się o niej od wczoraj, aż mi uszy puchną, no i po prostu nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

A gdy Marek nalegał ujmując się za Simonem, dodała: – Ja nic nie mam przeciwko panu Simon; dzieci nigdy się na niego nie żaliły. Cóż, jeżeli go oskarżają, niech się broni, to jego rzecz. Ja tam zawsze odsuwałam męża od polityki; i teraz uważam, że powinien trzymać język za zębami, wziąć się za kielnię i nie zajmować się ani Żydami, ani księżmi. To wszystko właściwie także polityka.

Nigdy nie chodziła do kościoła, chociaż dzieci ochrzciła i była zdecydowana posłać je do pierwszej komunii. Tak, to się należy... Z instynktu była po prostu konserwatystką, przyjmowała to, co jest, urządziła się zabiegliwie w swym ciasnym bytowaniu, lękając się wszelkich katastrof, które mogłyby nadszarpnąć jeszcze zasoby rodziny. Tonem zaciętej stanowczości dorzuciła:

– Nie chcę, żebyśmy się narażali.

To byłej wielkie słowo, sam Doloir ugiął się potulnie pod jego wagą. Na ogół, choć we wszystkich sprawach pozwalał żonie przewodzić nad sobą, nierad był, kiedy wobec świadków wyzyskiwała swój autorytet. Tym razem wszakże schylił kark.

– Widzi pan, ja się nie zastanowiłem – podjął – ona jednak ma słuszość. Biedni ludzie, jak my, powinni siedzieć cicho. Pamiętam, w pułku mieliśmy takiego, co wiedział różne rzeczy o kapitanie. Ha! rychło się doczekał swego... Ileż to razy powędrował do paki!

Z kolei i Marek musiał ustąpić; rezygnując z dalszych prób rzekł! na odchodnym:

– Możliwe, że sąd zapyta waszych chłopców o to, o co ja chciałem pytać. Wtedy będą przecie musieli odpowiedzieć,

– W porządku! – odparła znów spokojnym tonem pani Doloir. – Niech się ich sąd wypyta, wtedy zoba – czymy... Odpowiedzą albo nie odpowiedzą, to moje dzieci i moją sprawą.

Marek skłonił się i wyszedł w towarzystwie Doloira, któremu śpieszno było wrócić do pracy. Po drodze murarz niemal go przeproszał: z żoną nie zawsze jest łatwo, ale co racja, to racja.

Po rozstaniu z Doloirem Marek, zniechęcony, wahał się, czy pójść pod trzeci z wskazanych mu adresów, do drobnego urzędnika nazwiskiem Savin. Odmowa Doloirów nie wypływała z głębin ciemnoty jak u Bongardów. To już był wyższy szczebel, gatunek ludzki bardziej okrzęsany; oboje, mężczyzna i kobieta, chociaż niewykształceni, ocierali się o inne warstwy społeczne, wiedzieli coś niecoś o życiu. Ale jakże jeszcze niewyraźny był ten świt, jakże niepewne było ich stąpanie omackiem poprzez mroki nierozumnego egoizmu, w jakże zgubnym kręgu omyłek utrzymywał ubogich ludzi brak solidarności! Jeśli nie byli szczęśliwsi, to dlatego że nie mieli pojęcia o warunkach życia zbiorowego, o tym, że warunkiem ich własnego szczęścia jest szczęście innych. I Marek rozmyślał o tym domu ludzkości, w którym od wieków usiłuje się trzymać drzwi i okna hermetycznie zamknięte, kiedy właśnie należałoby je otworzyć jak najszerzej, aby strumieniami wpuścić do wnętrza wolne powietrze, ciepło i światło.

Dumając nad tym minął róg ulicy Plaisir i szedł ulicą Fauche, przy której mieszkała rodzina Savin. Zawstydził się swego odruchu zniechęcenia i wkrótce znalazł się przed panią Savin, która przybiegła na odgłos dzwonka.

– Mąż, proszę pana, właśnie jest w domu, bo rano miał trochę gorączki i nie mógł udać się do biura. Pan będzie łaskaw za mną.

Śliczna była ta pani Savin; smukła brunetka, wesoła, mile uśmiechnięta; mając przeszło dwadzieścia osiem lat wyglądała wręcz na starszą siostrę swych czworga dzieci. Pierwsza

przyszła na świat córka, Hortensja, po – tem bliźniaki, Achilles i Filip, następnie znowu chłopiec, Leon, którego jeszcze karmiła. Mówiono, że jej mąż jest okropnie; zazdrosny, że ją podejrzewa, śledzi, ustawicznie miotany gniewnym niepokojem, zupełnie zresztą bezpodstawnymi albowiem ta skromna hafciarka, poślubiona przez niego dla swej urody, sierota, samiutka wówczas na świecie po śmierci ciotki, u której mieszkała, żywiła dla niego szczerą wdzięczność i prowadziła się bez zarzutu, jak przystało na dobrą żonę i matkę.

W chwili gdy miała wprowadzić Marka do sąsiedniego pokoju, zawahała się, jakby pod wpływem nagłego zakłopotania. Zapewne obawiała się jakiegoś odruchu złego humoru zawsze skorego do kłótni, nieznośnego w pozyciu małżonką, któremu ona, pogodna i pojednawcza, wołała ustępować dla świętego spokoju.

– Kogo mam zapowiedzieć?

Marek wymienił swoje nazwisko oraz cel odwiedzin. Pani Savin zgrabnym, pełnym wdzięku ruchem prześliznęła się przez uchylone drzwi. Pozostawszy sam, Marek rozejrzał się po wąskim ciasnym przedpokoju. Złożone z pięciu izb mieszkanie zajmowało całe piętro. Savin, niższy urzędnik skarbowy, kancelista w biurze poborcy podatkowego, uważał, że obowiązuje go zachowanie odpowiedniej stopy życiowej, pewnego blichtru. Żona nosiła kapelusz, on sam chodził zawsze w surducie. Żałosna była miernota tej egzystencji, skryta za fasadą wyższej, dostatniej klasy społecznej. Jego okropne rozgoryczenie wypływało z poczucia, że oto w trzydziestym pierwszym roku życia jest przykuty do mizernego stanowiska bez widoków awansu, skazany dożywotnio na pracę roboczego bydłęcia za śmiesznie niskie wynagrodzenie, ledwo starczające, by nie umrzeć z głodu. Nietęgiego zdrowia, stetryczały, Savin był wiecznie zły, zarazem potulny i porywczy, trawiony tyleż lękiem, co gniewem, w ustawicznej obawie przed niezadowoleniem zwierzchników. Uni – żony i tchórzliwy w biurze, w domu terroryzował żonę swymi wybuchami wściekłości chorego dziecka. Ona się tylko łagodnie uśmiechała, a uporawszy się z dziećmi i gospodarstwem, znajdowała jeszcze czas na zajęcie się robotą dla pewnej firmy w Beaumont: wyrabiała kwiaty z paciorków, co było rzemiosłem delikatnym, bardzo dobrze opłacanym; zarobkami tymi opędzano owe rodzinne „wydatki reprezentacyjne”. Lecz Savin, w głębi duszy podrażniony tym, urażony w swej mieszczańskiej ambicji, nie chciał, aby mówiono, że jego żona musi pracować; toteż trzeba się jej było kryć z tymi perełkami i odnosić zamówioną robotę potajemnie.

Przez chwilę uszu Marka dobiegały jakieś gniewne słowa ciskane falsetem. Następnie bardzo łagodny szept. W końcu zapanowało milczenie i pani Savin ukazała się ponownie.

– Proszę! niech pan będzie łaskaw wejść.

Savin ledwo się uniósł z fotela, w którym kurował swą gorączkę. Nauczyciel wiejski nie był dość ważnym gościem... Mały, łysy, Savin miał żalosną ziemistą twarz o nikłych, znużonych rysach, oczy blade i bardzo rzadką brudnożółtawą brodę. W domu donaszał stare surduty. Tego

zaś dnia okręcony dokoła szyi szalik nadawał mu wygląd schorowanego i zaniedbanego staruszka.

– Żona mi powiedziała, że przychodzi pan w związku z tą okropną historią, która pono grozi kompromitacją nauczycielowi Simon; w pierwszej chwili, wyznam szczerze, chciałem nie przyjąć pana...

Nagle urwał. Oto spostrzegł na stole rozpoczętą robotę: owe kwiatuszki z perełek, które wyrabiała żona siedząc przy nim w zamkniętym pokoju, podczas gdy on czytał „Le Petit Beaumontais”. Łypnął z pasją w jej stronę; zrozumiała to jego spojrzenie i czym prędzej przykryła robotę niedbale porzuconą obok gazetą.

– Och – podjął – proszę nie uważać mnie za reak – cjonistę. Jestem republikaninem, nawet bardzo zdecydowanym republikaninem, moi przełożeni doskonale o tym wiedzą. Kiedy się jest w służbie Republiki, nieprawdaż, być republikaninem to nakaz prostej uczciwości. Słowem, jestem zawsze i w każdej okoliczności lojalny wobec rządu.

Zmuszony do grzecznego słuchania, Marek potakiwał tylko głową w milczeniu.

– W kwestii religii mam pogląd nader prosty: księża powinni i się trzymać swojego podwórka. Jestem antyklerykałem, tak jak jestem republikaninem... Ale, śpieszę dodać, dzieciom i kobietom potrzebna jest, moim zdaniem, religia, a dopóki katolicyzm jest religią panującą w kraju, to cóż! tak samo dobra ta, jak każda inna... Toteż niniejszej mojej małżonce wytłumaczyłem, iż dla niewiasty w jej wieku, na jej stanowisku, jest właściwe i potrzebne okazanie ludziom, że trzyma się jakiejś reguły, jakiejś moralności. Moja żona chodzi na mszę do kapucynów.

Pani Savin zmieszała się i, zarumieniona, spuściła oczy. Sprawa praktyk religijnych przez długi czas stanowiła przedmiot małżeńskich sporów. Ona wzbraniała się, protestując całą swą uroczą subtelnością, całym sercem łagodnym i prawym. On, opętany zazdrością, wyrzucając jej ustawicznie to, co nazywał niewiernością myślową, wyłącznie w spowiedzi i komunii widział zapobiegawczy hamulec moralny, jedynie odpowiedni do powstrzymania kobiet na pochyłości zdrady. I w końcu musiała ustąpić; miała stałego spowiednika, wybranego przez męża: był nim ojciec Teodozjusz, w którym podświadomie wyczuwała rozpustnika. Toteż upokorzona, zawstydzona, wzruszała tylko ramionami, jak zawsze posłuszna w imię spokoju doniowego.

– Co się zaś tyczy dzieci – ciągnął Savin – to, niestety, moje środki materialne nie pozwalają mi na posyłanie Achillesa i Filipa do kolegium; więc jako urzędnik państwowy i republikanin, umieściłem ich, oczy – wiście, w świeckiej szkole państwowej. Podobnie moja córka, Hortensja, chodzi do szkoły panny Rouzair, ale w głębi duszy bardzo się cieszę, że ta osoba ma przywiązanie do religii i że prowadzi do kościoła swoje uczennice, bo to ostatecznie jej obowiązek – zaprotestowałbym, gdyby go nie wypełniała... Chłopcy, uważa pan, zawsze sobie dadzą radę. A jednak, gdyby nie to, iż muszę tłumaczyć się ze swych poczynań wobec

zwierzchności, czy nie sądzi pan, że postępowałbym rozważniej, kształcąc synów w szkole zakonnej?... Byliby w przyszłości protegowani, popierani, zaopatrzeni, tak natomiast będą wegetować podobnie, jak ja sam wegetuję.

Zalewała go wprost gorycz, zdjęty głuchym lękiem, zniżył głos.

– Widzi pan, księża są mocniejsi; należałoby bądź co bądź trzymać z nimi.

Marek uczuł litość, tak żaloszny wydał mu się ten wąty człeczyna, drżący wszystek, dławiący się własną miernotą i głupotą. Wstał wyczekując końca tej całej przemowy.

– A zatem, proszę pana, ta informacja, którą chciałem otrzymać od pańskich synów?...

– Chłopców nie ma w domu – odrzekł Savin. – Sąsiadka zabrała ich na spacer... Ale gdyby tu nawet byli, czy powinien bym zezwolić, aby panu odpowiedzieli? Niech pan sam osądzi! Urzędnikowi państwowemu w żadnej okoliczności nie wolno brać niczyjej strony. Dość mam już kłopotów w biurze, na cóż mi jeszcze obarczać się jakąś odpowiedzialnością w tej paskudnej sprawie!

A gdy Marek żegnał się pośpiesznie, Savin dorzucił:

– Zapewne, choć Żydzi pożerają naszą nieszczęsną Francję, temu panu Simon nic zarzucić nie mogę... chyba to tylko, że zawód wzbroniony. Spodziewam się, że „Le Petit Beaumontais” podejmie kampanię w tej sprawie... Owszem, wolność i sprawiedliwość – takie powinno być hasło prawego republikanina. Ale ojczyzna przede wszystkim, prawda? I tylko ojczyzna, kiedy jest ona w niebezpieczeństwie!

Milcząca przez cały czas pani Savin odprowadziła Marka aż do drzwi; z wciąż zażenowaną miną uległej kobiety-niewolnicy, przerastającej moralnie swojego surowego władcę, uśmiechała się tylko uroczo. W chwili gdy wychodził na ulicę, spotkał odprowadzone przez sąsiadkę dzieci. Dziewięcioletnia Hortensja była już ładną, zalotną osobką, poglądającą spode łba oczyma, które błyskały figlarnie, kiedy ich nie przysłaniała bogobojna obłuda, nabyta pod kierunkiem panny Rouzair. Bardziej jednak zainteresowali Marka dwaj bliźniacy, Achilles i Filip, chorobliwie chudzi i bladzi tak jak ich ojciec, siedmiolatki o niemiłym i ponurym usposobieniu, które wpływało z ich niedokrwistości. Tłocząc się ku poręczy schodów, omal nie przewrócili siostry. A kiedy się na górze otworzyły drzwi wejściowe, z mieszkania rozległy się przenikliwe wrzaski niemowlęcia; to malutki Leon krzyczał w ramionach karmiącej go matki.

Na ulicy Marek przyłapał się na głośnym monologowaniu. Teraz miał komplet: od ciemnego chłopca, poprzez otepiałego robotnika, do głupiego, lękliwego urzędniczyny, nadpsuty owoc koszar i pracy najemnej. Z każdym szczeblem wzwyż dołączało się do ciemnoty ciasne samolubstwo i niskie tchórzostwo. Wszystkie umysły tkwiły w gęstej pomroce, lecz wyglądało na to, że bez metody nabyte półwykształcenie, bez solidnych podstaw naukowych, doprowadzało tylko do zatrucia inteligencji, do jeszcze groźniejszego stanu zepsucia. Oświata! tak, oczywiście – ale pełna, wyzwolona z obłudy i kłamstwa i wyzwalająca całą prawdę! I Marek, na małym

odcinku żarliwie podjętej misji ratowania kolegi, zadrzał w obliczu tej otchłani niewiedzy, ciemnoty i niegodziwości, która się nagle przed nim otwarła. Niepokój jego wzrastał. Jakaż to będzie klęska, gdy wypadnie zwrócić się do tych ludzi, aby dać świadectwo prawdzie! Ludzie ci – to Francja, ogromna rzesza, ciężka, bezwładna, wśród niej zapewne dużo poczciwych jednostek, ale tworzą ołowianą masę przygniatającą naród do ziemi, niezdolną do lepszego życia, niezdolną do egzystencji wolnej, sprawiedliwej, szczęśliwej, albowiem jest ciemna i zatruta. Zmierzając powoli ku szkole, aby powiadomić Simona o żalnym wyniku swoich starań, Marek nagle przypomniał sobie, że nie odwiedził pań Milhomme, prowadzących papeterię przy ulicy Courte. A choć się i po nich nie spodziewał wiele, postanowił misję swą wypełnić do końca. Starszy z dwóch braci Milhomme, Edward, odziedziczywszy po stryju niewielki składzik materiałów piśmiennych, mieszkał w Maillebois wiodąc wraz z żoną skromną egzystencję w domowym zaciszu, natomiast młodszy, Aleksander, ruchliwy i ambitny, był na drodze do zdobycia majątku, objeżdżając prowincję jako agent handlowy. Ale obu rychło dosięgła śmierć: starszy zginął tragicznie wskutek upadku do piwnicy, w pół roku zaś później młodszego – gdzieś na drugim końcu Francji – powalił krwotok płucny. Pozostały dwie wdowy, jedna ze swym skromnym sklepem, druga zaś z kilkunastoma tysiącami franków, stanowiącymi zaczątek spodziewanej fortuny. Pani Edwardowa, niewiasta stanowcza i zaradna, potrafiła skłonić bratową do wejścia w spółkę; kapitał jej umożliwił rozszerzenie interesu: otworzono dział sprzedaży podręczników oraz pomocy szkolnych. Każda z nich miała syna, odtąd więc panie Milhomme, jak je nazywano, pani Edwardowa z małym Wiktorem i pani Aleksandrowa z małym Sebastianem, prowadziły razem gospodarstwo i żyły w ścisłej wspólności interesów, mimo radykalne przeciwieństwo charakterów.

Pani Edwardowa przestrzegała praktyk religijnych, nie tyle z głębokiej wiary, ile ze względów handlowych: miała bowiem klientelę pobożną, którą należało zje – dnywać. Pani Aleksandrowa natomiast, wyzwoliwszy się z więzów religijnych przez małżeństwo z niefrasobliwym ateuszem, zdecydowanie odsunęła się od kościoła, gdzie od dawna nie postąpiła jej noga. Sprytna dyplomatka, pani Edwardowa, pomysłowo wyzyskała tę rozbieżność. Klientela wzrosła, sklep, nader fortunnie mieszczący się między szkołą braciszków a szkołą świecką, tkwił tam jakby okrakiem, prezentując swe artykuły odpowiednie dla obydwu zakładów: książki, tablice, ryciny, nie mówiąc już o zeszytach, piórach i ołówkach. Toteż obydwie zdecydowały, że każda zachowa swoje poglądy i zwyczaje, jedna w stosunkach z księżmi, druga – z wolnomyślicielami, tak aby zadowolić obie strony. By zaś ten stan rzeczy został uznany przez opinię publiczną i powszechnie wiadomy, Sebastiana umieszczono w szkole świeckiej, natomiast Wiktor uczył się u braciszków. W ten sposób uregulowana, prowadzona z niepospolitą zręcznością spółka rozwijała się pomyślnie; sklep pań Milhomme należał do najlepiej prosperujących firm w Maillebois.

Marek przystanął na ulicy Courte, gdzie były wszystkiego dwa domy: papeteria oraz plebania, i przez chwilę przyglądał się tej papeterii, na której wystawie święte obrazki mieszały się z tablicami szkolnymi wysławiającymi Republikę, a zawieszane na sznurkach pisma ilustrowane niemal zagradzały wejście. Miał właśnie przekroczyć próg, kiedy zaszła mu drogę pani Aleksandrowa, wysoka i jasnowłosa; choć miała dopiero trzydzieści lat, twarz jej o łagodnym wyrazie już przywiedła, lecz zawsze rozjaśniona była nikłym uśmiechem. Obok stał, przytulony do matki, Sebastian, chłopczyk siedmioletni, łagodny i jasnowłosy jak ona, bardzo ładny, z niebieskimi oczyma, cienkim nosem i wdzięcznie wykrojonymi ustami.

Pani Aleksandrowa знаła Marka; pierwsza wszczęła z nim rozmowę na temat okropnej zbrodni, którą zdawała się być mocno przejęta. – Ach! co za straszna historia, panie Froment! I pomyśleć, że stało się to tak blisko nas! Tego biednego Zefiryńka widywałam stale, przechodził tędy idąc do szkoły i wracając; a tak często wstępował tu po zeszyty i pióra!... Nie mogę wprost sypiać po nocach od czasu, jak widziałam, jedna z pierwszych, jego zwłoki.

Następnie tonem współczucia zaczęła mówić o Simonie, o jego ciężkim zmartwieniu. Uważała go za człowieka bardzo zacnego, bardzo uczciwego – ze względu na życzliwość dla jej synka, który w szkole wyróżniał się inteligencją i posłuszeństwem. Nigdy nie uwierzy, by Simon był zdolny do tak okropnego czynu. Wzorek kaligraficzny, o którym tyle się mówi, niczego by nie dowiódł, nawet gdyby w szkole Simona znaleziono identyczny.

– Sprzedajemy to, panie Froment, przejrzałam już wzorki, jakie mamy w sklepie... Otóż żaden nie zawiera zdania: „Miłujcie się wzajemnie.”

W tym momencie przysłuchujący się uważnie mały Sebastian podniósł głowę:

– Ja widziałem taki sam wzór. Kuzyn Wiktor przyniósł od braciszków arkusik z takim właśnie napisem.

Matka spojrzała na niego, zdumiona.

– Co ty mówisz? Wcale mi o tym nie wspomniałeś!

– Pewnie nie pytałaś mnie o to. A zresztą Wiktor nie pozwolił mi mówić, ponieważ zabieranie wzorków jest zabronione.

– No więc gdzież jest ten wzorek?

– Och, nie wiem! Wiktor go gdzieś schował, żeby niedostać bury z tego powodu.

Marek słuchał tego dialogu z wielką radością, z bijącym nadzieją sercem. Czyż wreszcie prawda się narodzi, wypowiedziana ustami tego dziecka? Mogło to być owym nikłym promieniem, co się stopniowo rozszerza, by zajaśnić olśniewającym blaskiem. I zaczął zadawać Sebastianowi ściśle a rozstrzygające sprawę pytania, kiedy weszła pani Edwardowa wraz z Wiktorem; wracała z wizyty, którą właśnie pod pozorem obrachunku za dostawy złożyła bratu Fulgencjuszowi.

Wyższa jeszcze od bratowej, pani Edwardowa była tęgą brunetką o męskim wyglądzie; ruchy

miała gwałtowne, mowę hałaśliwą. Niezła w gruncie kobieta, uczciwa na swój sposób, nie ukrzywdziłyby nawet na grosz współniczki, nad którą sprawowała bezapelacyjną władzę. Ona w tym stadle była mężczyzną, a jej towarzysza na swą obronę miała jedynie tę swoją siłę bezwładności, tę właśnie łagodność, która nieraz po wielu tygodniach, nawet miesiącach, jej ostatecznie przynosiła zwycięstwo. Dziewięcioletni czarnowłosy Wiktor był również tęgi, pyzaty – zupełne przeciwieństwo Sebastiana.

Poinformowana natychmiast, o co rzecz idzie, pani Edwardowa spojrzała na syna surowo.

– Jakże to, wzór kaligraficzny? Ukradłeś u braciszków i przyniosłeś do domu?

Wiktor łypnął w stronę Sebastiana z rozpaczą i złością.

– Ależ nie, mammo!

– Ależ tak, mój panie, skoro twój kuzyn go widział! On nie ma zwyczaju kłamać.

Chłopiec zamilkł nie przestając obrzucać kuzyna groźnymi spojrzeniami; ten czuł się nieswojo, albowiem żywił respekt dla siły fizycznej swego towarzysza zabaw i zazwyczaj brał na siebie rolę pokonanego i bitego wroga, kiedy się bawili w wojnę. Były to, pod przewodem starszego, przerażające szarże, galopady bez końca po całym mieszkaniu, do których młodszy, tak łagodny i wrażliwy, pozwalał się wciągać z jakimś upojnym lękiem.

– Z pewnością go nie ukradł – podsunęła wyrozumiale pani Aleksandrowa. – Może zabrał przez nieuwagę.

Pragnąc przebłagać kuzyna za niedyskrecję, Sebastian skwapliwie potwierdził to przypuszczenie: – Ma się rozumieć, tak musiało być, ja nie powiedziałem, że on ukradł ten wzorek.

Jednakże pani Edwardowa, już uspokojona, przestała się gwałtownie domagać od Wiktora odpowiedzi, widząc, że ten milczy, że za nic nie chce się przyznać. Musiała niewątpliwie rozważyć, iż nie jest rzeczą rozsądną roztrząsanie tej sprawy przy obcym, że może to mieć poważne następstwa. Wyobraziła sobie, że oto się angażuje, zrażając bądź szkołę braciszków, bądź szkołę państwową, tracąc z miejsca jeden z dwóch odłamów klienteli. Spojrzała rozkazująco na panią Aleksandrową, syna zaś odprawiła jedynie słowami:

– W porządku, wracaj, załatwimy to za chwilę. Zastanów się, a jeżeli nie wyznasz mi najprawdziwszej prawdy, będziesz miał ze mną sprawę. – Po czym, zwracając się do Marka, oświadczyła: – Zakomunikujemy o tym panu. Może pan być pewny, że on wszystko powie, bo inaczej oberwie lanie, które długo popamięta.

Marek musiał zrezygnować z dalszych nalegań, chociaż gorąco pragnął natychmiast poznać całą niewątpliwą prawdę, aby ją, jak zbawienny lek, przekazać Simonowi. Nie miał już wątpliwości co do faktu rozstrzygającego, tryumfalnego dowodu, który mu się trafem dostał w ręce. Niezwłocznie udał się do przyjaciela, aby mu zdać sprawę z tego popołudnia, opowiedzieć o kolejnych niepowodzeniach u Bongardów, Doloirów i Savinów, a następnie

o niespodzianej rewelacji, jakiej mu dostarczyła wizyta u pań Milhomme. Simon wysłuchał go ze spokojem, nie okazując wielkiej radości, jak się tego spodziewał Marek. Aha, takie wzorki są u braciszków. To go nie dziwi. A co się jego tyczy, czemuż tu się martwić, skoro jest niewinny.

– Dziękuję, mój drogi, za wszystkie starania – dodał po chwili. – I rozumiem, jak doniosłe jest zeznanie tego dziecka. Ale, widzisz, nie mogę pogodzić się z myślą, że mój los zależy od tego, co ludzie powiedzą lub czego nie powiedzą, skoro w niczym nie zawiniłem. To dla mnie jasne jak słońce.

Marek roześmiał się serdecznie. Podzielał teraz tę niezachwianą ufność. I porozmawiawszy jeszcze przez chwilę, już miał odejść, lecz odwrócił się, by zapytać:

– A piękny Mauraisin? Czy cię nareszcie odwiedził?

– Nie, jeszcze nie.

– No to, kolego, widocznie pragnie przedtem poznać opinię całego Maillebois. Widziałem go dziś rano rozmawiającego z ojcem Crabot, potem z panną Rouzairre. A podczas moich dzisiejszych wędrówek spotkałem go chyba dwukrotnie, jak się chyłkiem przemykał ulicą Kapucyńską i jak się potem udawał do mera... Przeprowadza rekonesans, aby potem nie żałować, iż nie stanął po stronie mocniejszych.

Simon, dotychczas tak opanowany, drgnął niespokojnie, zachował bowiem nieśmiały respekt oraz lęk w stosunku do zwierzchników. W całej tej katastrofie najbardziej go trapiła możliwość skandalu, grożącego mu utratą posady albo w każdym razie popsuciem opinii. I już miał się zwierzyć z tych obaw, kiedy właśnie ukazał się Mauraisin. Minę miał chłodną i frasobliwą. Musiał wreszcie zająć stanowisko.

– Tak, panie Simon, pośpieszyłem tu w związku z tą okropną historią. Jestem wręcz w rozpacz, chodzi mi zarówno o szkołę, jak i o was wszystkich, no i o nas samych. To sprawa bardzo, bardzo, bardzo poważna.

Cedząc słowa z rosnącą surowością, inspektor szkół powszechnych przeżył swą drobną postać. Obdarzył suchym uściskiem dłoni Marka, o którym wiedział, że jest bardzo ceniony przez szefa, inspektora szkół wyższych, Le Barazera. Ale spoglądał nań z ukosa przez swój nieodłączny monokl, jakby wyczekując jego odejścia. Niesposób było pozostać dłużej, choć Marek z przykrością opuszczał Si – mona, widząc, jak on, co tak dzielnie zachowywał się od rana, blednie teraz przed człowiekiem, od którego zależy. Powrócił do domu pod nowym przykrym wrażeniem nieprzychylnego stanowiska, jakie zajął ten Mauraisin, w którym wietrzył zdrajcę.

Wieczór u „tych pań” minął spokojnie. Ani pani Du-parque, ani pani Berthereau nie odzywały się już na temat zbrodni; mały domek zasypiał w swym martwym spokoju, jak gdyby nic się nigdy do jego wnętrza nie przedostało z tragicznej ulicy. Marek uznał tedy za właściwe również zachować milczenie i nie wspominał wcale, jak ruchliwie spędził popołudnie. Przed

udaniem się na spoczynek powiedział tylko żonie, że jest już zupełnie uspokojony co do losów swego przyjaciela Simona. Genowefa bardzo się tym ucieszyła, potem rozmawiali aż do późnej godziny, gdyż dopiero wtedy mogli pomówić swobodnie w tym domu, gdzie nie byli nigdy sami i czuli się jak para obcych przybyszów. Zasnęli rozkosznie, spleceni czułym uściskiem, znów całkowicie zespoleni. Ale rankiem Marek z bolesnym zdumieniem przeczytał w „Petit Beaumontais” nikczemny artykuł wymierzony przeciwko Simonowi. Wspomniał notatkę z poprzedniego dnia, tak życzliwą, tak wychwalającą nauczyciela; a oto jeden dzień wystarczył, aby nastąpił zupełny zwrot. Żyd stawał się ofiarą dzikiej nagonki, oskarżono go wyraźnie o dokonanie potwornej zbrodni, z niesłychaną perfidią w doborze hipotez i fałszywych wniosków. Cóż to się wydarzyło, czyj tu potężny wpływ podziałał, jakie było źródło tego jadowitego artykułu tak zredagowanego, by na zawsze zgubić Żyda w opinii ciemnego ludu, skwapliwie chłonącego kłamstwo? Taki melodramat, pełen tajemniczych komplikacji i baśniowych nieprawdopodobieństw, wyda się – Marek czuł to dobrze – urzeczywistnieniem legendy, dowiedziona prawdą, od której ludzie nie będą już chcieli odstępować. Kiedy więc przeczytał artykuł, doznał znów wrażenia, że się tu dokonywa jakaś podziemna robota, że od wczorajszego dnia działają jakieś potężne tajemnicze moce, aby zgubić niewinnego i w ten sposób ocalić nieznanego winowajcę.

A tymczasem nie zaszło żadne nowe wydarzenie, sadownicy nie pokazali się więcej, na miejscu trwali wciąż tylko żandarmi, strzegąc izby, w której żałosny trupek czekał na pogrzebanie. Dokonana w przeddzień sekcja potwierdziła jedynie brutalność gwałtu, dorzucając ohydne szczegóły. Zefirynek umarł zaduszony, jak to wskazywały sine ślady dziesięciu drapieżnych palców na jego szyi. Pogrzeb wyznaczono na popołudnie; czyniono przygotowania, by odbył się z demonstracyjną pompą; pono miały w nim wziąć udział władze, jak również wszyscy koledzy chłopczyka – szkoła braciszków w pełnym komplecie.

Toteż Marek, na nowo zatroskany, spędził rano w przygnębieniu. Nie poszedł zaraz tego ranka do Simona; postanowił udać się tam dopiero wieczorem, wracając z pogrzebu. Tymczasem poprzestał na przechadzce po miasteczku, które wydało mu się jak gdyby senne, opite okropnościami, wyczekujące następnego widowiska. Nieco swobodniejszy, kończył właśnie śniadanie w towarzystwie „tych pań”, rozweselony szczebiotem wyjątkowo ożywionej tego dnia córeczki, kiedy weszła Pelagia przynosząc deser: wspaniałe placek ze śliwkami. Służąca nie mogła ukryć rozpierającej ją radości.

– Wie pani, właśnie aresztują tego żydowskiego bandytę... No, nareszcie, czas już był!

Poblądły mocno Marek zapytał:

– Aresztują Simona? Skąd ta wiadomość?

– Ależ wszyscy w mieście o tym mówią. Rzeźnik z przeciwka tylko co popędził tam, żeby zobaczyć.

Marek odłożył serwetkę i nie tknąwszy deseru wstał i wyszedł. „Te panie” spojrzały po sobie z osłupieniem, dotknięte takim brakiem ogłady. Nawet Genowefa była wyraźnie niezadowolona.

– Zachowuje się jak szaleniec – stwierdziła oschle pani Duparque. – No, moja maleńka, ja cię uprzedzałam. Tam, gdzie nie ma religii, nie ma szczęścia.

Na ulicy Marek istotnie zauważył, że dzieje się coś niezwykłego. Wszyscy sklepikarze stali w progach swych sklepów, ludzie uganiaли we wsze strony, wzbierała fala groźnych i szyderczych okrzyków. Marek przyspieszał kroku. Gdy przechodził przez ulicę Courte, zobaczył panie Milhomme wraz z dziećmi stojące przed wejściem do sklepu, najwidoczniej również żywo zaciekawione wielkim wydarzeniem. Zaraz pomyślał, że tutaj mógłby znaleźć pożądanых świadków; należało się co do tego upewnić.

– Więc to prawda! – zagadnął. – Aresztują pana Simon?

– Ano tak, panie Froment – odpowiedziała swym łagodnym tonem pani Aleksandrowa. – Właśnie przechodził tędy komisarz.

– A wie pan – wtrąciła z kolei pani Edwardowa patrząc nań uważnie i nie czekając, aż Marek wypowie pytanie, które już odczytywała w jego spojrzeniu – wie pan, ten rzekomy wzór kaligraficzny... otóż okazało się z całą pewnością, że Wiktor nigdy go nie miał w rękach. Wybadałam go i jestem przekonana, że nie kłamie.

Chłopiec podniósł kwadratowy podbródek pozierając w stronę Marka ze spokojną czelnością.

– Nie, ma się rozumieć, że nie kłamie.

Lodowaty dreszcz przejął serce Marka. Zdumiony, zwrócił się do pani Aleksandrowej:

– Cóż więc znaczy to, co mówił pan syn? Widział przecie ten arkusik w rękach kuzyna, zapewniał o tym.

Wyraźnie zakłopotana matka nie odpowiedziała zrazu. Synek, tak łagodny i wrażliwy, tulił się do jej kolan, jak gdyby chciał ukryć twarz w fałdach jej sukni; a ona gestem machinalnym, lecz drżącą dłonią gładziła go po włosach, rzekłbyś otaczając jego głowę fraszobliwą opieką.

– Zapewne, panie Froment, Sebastian widział ten papier... zdawało mu się, że go widział... Ale teraz nie jest już tak całkiem pewny, obawia się, że się mógł omylić. Tak więc, pojmuje pan, nic się tu już nie da zrobić...

Nie nalegając dłużej na obie panie, Marek zwrócił się wprost do chłopczyka:

– A więc rzeczywiście nie widziałeś tego wzorka? Uważaj, moje dziecko, nie ma na świecie nic gorszego od kłamstwa!

Sebastian bez słowa jeszcze głębiej wtulił twarz w fałdy matczynej spódnicy i wybuchnął łkaniem. Nie ulegało wątpliwości, iż to pani Edwardowa narzuciła mu swą wolę wytrawnego kupca, gdyż obawiała się utraty jednego lub drugiego skrzydła swojej klienteli w razie zajęcia zdecydowanego stanowiska. Była jak skała, nic już nie można było z niej wydobyć. Niemniej

raczyła dyskretnie wyjawić motywy swego postępowania.

– Mój ty Boże! Cóż, panie Froment, my tu nie zwracamy się przeciw nikomu, my, którym ze względu na sklep wszyscy są potrzebni... Tylko, to już trzeba przyznać, wszelkie poszlaki zwracają się przeciw panu Simon. Proszę: ten pociąg, na który, jak powiada, spóźnił się, ten bilet powrotny, który pono wyrzucił na dworcu, ten powrót piechotą, ten sześciokilometrowy marsz, w czasie którego nikt go nie widział. A poza tym, wie pan, panna Rouzaire całkiem wyraźnie słyszała jakieś hałasy przed jedenastą, on natomiast twierdzi, że wrócił dopiero o godzinę później. No i jeszcze: proszę mi wyjaśnić, jak to się dzieje, że pan Mignot musiał pójść budzić go około godziny ósmej, skoro pan Simon zazwyczaj wstaje tak wcześnie?... Ale cóż, może wyjdzie z tego obronną ręką, daj mu to Boże...

Niecierpliwym gestem Marek powstrzymał dalsze jej słowa. To, co mu wyrecytowała, czego wysłuchał z przerażeniem, wszystko czytał był rano w „Petit Beaumontais”. W milczeniu spojrzał na obie kobiety, jedną zaciętą w ślepym uporze, drugą drżącą na całym ciele, sam wstrząśnięty do głębi wobec tego niespodziewanego kłamstwa, które mogło sprowadzić tak groźne następstwa. I odszedł spiesząc do Simona.

Przed wejściem, strzeżonym przez dwóch policjantów, stała karetka. Straż miała surowe instrukcje; w końcu przecie wpuszczono go. Podczas gdy Simon przebywał w sali wykładowej pod dozorem dwóch innych policjantów, komisarz policji, przybyły z rozkazem aresztowania, podpisanym przez sędziego śledczego Daix, przeprowadzał ponowną ścisłą rewizję w całym domu, zapewne w poszukiwaniu owego sławetnego wzorka do kaligrafii. Ale nic nie znalazł; a gdy Marek odważył się spytać jednego z policjantów, czy podobną rewizję przeprowadzono także w domu braci szkolnych, ten spojrzał nań z osłupieniem: rewizja u tych zacnych braciszków? Po cóż to? Marek zresztą sam wzruszył ramionami nad własną naiwnością, bo niewątpliwie nic by im taka rewizja nie zaszkodziła: dawno już wszystko zniszczyli, spalili. Ledwo mógł powstrzymać okrzyk protestu. Czuł swoją niemoc w wyprowadzeniu na jaw prawdy i to poczucie przyprawiało go wręcz o rozpacz. Przez całą jeszcze godzinę wypadło mu. czekać w przedpokoju, aż komisarz zakończy swe poszukiwania. Wreszcie na chwilę ujrzał Simona, kiedy go wyprowadzili policjanci. Znalazła się tam wraz z dziećmi i pani Simon, która z płaczem rzuciła się mężowi na szyję; podczas tego komisarz poczciwy w gruncie człek mimo szorstkie pozory służbisty, udał, że wydaje jakieś ostatnie polecenia. Nastąpił moment rozdierający. Simon, blady, złamany w obliczu tej katastrofy niszczącej jego karierę, usiłował okazywać całkowity spokój.

– Ach, nie martw się, moja droga! To jedynie omyłka, straszna omyłka. Wszystko się niewątpliwie wyjaśni, skoro tylko zostaną przesłuchany, i niebawem wrócę do ciebie.

Lecz ona łkała jeszcze gwałtowniej, piękne jej oblicze całe lśniło od łez, gdy wiodła ku niemu nieszczęsne dzieci, Józefa i Sarę, aby je raz jeszcze ucałował.

– Tak, tak, drogie maleństwa... bądź dobra dla nich, czuwaj nad nimi troskliwie aż do mego powrotu... Ach, proszę, proszę cię, nie płacz już, odbierasz mi całą odwagę.

Gdy się wyrwał z jej objęć, ujrzał tuż przed sobą Marka – oczy jego rozbłysły niewymowną radością. Skwapliwie uchwycił wyciągniętą dłoń przyjaciela.

– Ach! dziękuję ci, kolego! Zawiadom natychmiast mego brata Dawida i powiedz mu wyraźnie, że jestem niewinny. Niech szuka wszędzie i niech znajdzie winnego, powierzam mu honor własny i moich dzieci.

– Bądź spokojny – odpowiedział po prostu Marek głosem zdławionym przez wzruszenie – ja mu pomogę.

Powrót komisarza przerwał ten dialog; trzeba było wyprowadzić zrozpaczoną panią Simon, w momencie gdy nauczyciel opuszczał salę pod eskortą dwóch policjantów. Rozegrała się teraz scena wręcz potworna. Pogrzeb Zefiryńka był wyznaczony na godzinę trzecią, aresztowanie zaś zdecydowano przeprowadzić o pierwszej, aby uniknąć niepożądanego zbieżności. Ale rewizja przeciągnęła się tak długo, że właśnie spotkanie to nastąpiło. Kiedy Simon ukazał się na ganku, w dole plac był już wypełniony tłumem ciekawych, którzy ściągnęli tu w odruchu gorączkowej, plotkarskiej litości, aby popatrzeć na kondukt. Toteż tłum ten, podniecony bajdami wyczytanymi w „Petit Beaumontais”, wstrząśnięty potwornością zbrodni, wybuchnął mści – wymi okrzykami na widok nauczyciela, tego przekłętogo Żyda, mordercy dzieciątek, który dla swych niecznych praktyk potrzebował dziewiczej krwi, jeszcze uświęconej przez hostię. Oto odżywała legenda, teraz już niezniszczalna, przechodząc z ust do ust, wzbudzając groźną tłumaczkę.

– Śmierć, śmierć mordercy, świętokradcy!... Śmierć, śmierć Żydowi!

Zdrętwiały, bardzo blade i sztywny, Simon z wysokości ganku odpowiedział okrzykiem, który nie miał już zamilknąć w jego ustach, niby głos dobyty z głębi sumienia:

– Jestem niewinny! Jestem niewinny!

Wtedy rozpętała się wściekłość, urągliwe wrzaski wzbity się nawałnicą, buchnęła olbrzymia, wezbrana fala, aby nieszczęsnego człowieka obalić, zdruzgotać.

– Śmierć, śmierć Żydowi!

Policjanci czym prędzej wepchnęli Simona do karetki, woźnica ruszył tęgim klusem, podczas gdy nieszczęśliwiec wciąż niezmordowanie powtarzał swój okrzyk, górujący nad wrzawą:

– Jestem niewinny! Jestem niewinny! Jestem niewinny!

Przez całą długość Grand'Rue tłum gnał za pojazdem wrzeszcząc coraz głośniejsze. A Marek pozostał na placu, oszołomiony, przybity, wspominając tak różną manifestację – pomruki oburzenia, wybuchy buntu, którymi ledwie przedwczoraj powitano zakończenie uroczystości szkolnej u braciszków. Wystarczyły więc dwa dni, aby dokonał się taki zwrot w opinii publicznej! Przerażała go owa niezrównana zręczność, okrutny pośpiech, z jakim działały tajemnicze ręce gromadząc tyle mroków. Jego nadzieje runęły, widział prawdę zaciemnioną,

pokonaną, w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nigdy dotychczas nie odczuwał podobnego przygnębienia.

Lecz oto formował się orszak pogrzebowy. Marek stwierdził, że panna Rouzaire, która prowadziła swe uczennice, obserwowała kalwarię nieszczęsnego Simona bez jednego odruchu sympatii, w sztywnej postawie oficjalnej pobożności. Otoczony kilkoma uczniami, Mignot również nie pokwapił się uścisnąć dłoni swego kierownika; trwał na miejscu z wyrazem chmurnego zakłopotania, niewątpliwie w rozterce między głosem serca a głosem rozwagi. Wreszcie kondukt ruszył z nadzwyczajną pompą, kierując się ku kościołowi Św. Marcina. I tu znów wyczuwało się, jak starannie doświadczone ręce przygotowały wszystko, by ludność rozrzewnić, wzniecić w niej litość i potrzebę zemsty. Przede wszystkim więc dookoła trumienki zgrupowano kolegów Zefiryńka, tych, co równocześnie z nim przystąpili do pierwszej komunii. Następnie na czele żałobnego orszaku kroczył mer Darras z przedstawicielami władz. Wreszcie defilowali w komplecie uczniowie szkoły braciszków, a prowadził ich brat Fuigencjusz ze swymi trzema pomocnikami: Izydorem, Łazarzem i Gorgiaszem. Rzucała się w oczy postawa brata Fulgencjusza, który z poważną i przejętą miną spieszył to tu, to tam, wydawał polecenia, wtrącając się nawet do prowadzonych przez pannę Rouzaire dziewczynek, jak gdyby i one były pod jego komendą. A dalej widać było kapucynów z przeorem, ojcem Teodozjuszem, jezuitów z kolegium Valmarie z rektorem, ojcem Crabot, wielu księży przybyłych z okolicy. Było to takie kłębowisko habitów i sutann, jakby cały Kościół został zmobilizowany dla zapewnienia sobie tryumfu i sięgał, jak po swą własność, po to splugawione i skrwawione ciało, odprowadzane z taką paradą. W szpalerze publiczności wybuchały łkania, tu i ówdzie rozlegały się wściekłe okrzyki:

– Śmierć Żydom! Śmierć Żydom!

Jeszcze jeden szczegół utwierdził Marka w jego gorzkich refleksjach. Zobaczył w tłumie inspektora szkół powszechnych. Mauraisin, przybyłego zapewne z Beaumont. podobnie jak poprzedniego dnia, aby wytyczyć sobie linię. postępowania. I oto w momencie gdy przechodził ojciec Crabot, Marek doskonale zauważył, jak ci dwaj wymienili uśmiechy i dyskretne ukłony, niby ludzie, co się rozumieją i popierają wzajemnie. Wszystka potworna niesprawiedliwość, od dwóch dni wzbierająca w mroku, ukazała mu się w jasnym świetle przy dźwiękach dzwonów kościoła Św. Marcina, bijących na cześć nieszczęsnego zmarłego malca, *którego* tragiczny zgon miał być przemyślnie wyzyskany.

Nagle szorstka dłoń zaciążyła Markowi na ramieniu, a jednocześnie rozległ się nabrzmiały ironiczną pasją głos:

– Ha! mój ty dzielny i naiwny kolego, co mówiłem? Proszę: parszywemu Żydowi dowiedziono, że zgwałcił i zamordował wychowanka, a podczas gdy jego wiozą do więzienia w Beaumont, zaci braciszkiwie tryumfują.

Był to nauczyciel Férou, ów zbuntowany głodomór; jeszcze bardziej niż kiedykolwiek rozmamłany, potrząsał długą, kościstą głową ze zmierzwioną czupryną, rechocąc szerokimi ustami.

– Jakże tu ich oskarżyć, skoro mały nieboszczyk należy do nich, do nich wyłącznie i dą tego ich Pana Boga? Och! z pewnością nikt się nie ośmieli ich oskarżyć, teraz kiedy całe Maillebois widziało, jaki mu wspaniały sprawili pogrzeb. A najparadniejsze to bzykanie tej dziwacznej muchy, tego durnia, brata Fulgencjusza; wszędzie go pełno. Nadmiar gorliwości! A widzieliście ojca Crabot z tym sprytnym uśmieszkiem kryjącym sporo głupoty, mimo że ma renome tryumfującego spryciarza? Ale zapamiętajcie sobie moje słowa: najmądrszy, jedyny mądry wśród nich, to niewątpliwie ojciec Filibin, udający poczciwego głupca. Możecie go dziś szukać, nie ma obawy, nie znajdziecie go. On tkwi w cieniu i gwarantuję, że nie byle jaką robótkę tam odwała... Ach! nie wiem, kto jest winowajcą, z pewnością żaden z tych tutaj, ale że ktoś z ich kliki, to bije wprost w oczy... a oni raczej świat wywrócą do góry nogami, niż go wydadzą! Marek, zgnębiony, w milczeniu potrząsał głową.

– Rozumiecie więc – ciągnął Férou – jaka to okazja, aby zgnieść szkołę świecką. Nauczyciel gminny – pederasta i morderca! Ha, jakaż to kolubryna! Jak się rozprawią z nami wszystkimi, bezbożnikami i bezojczyźniakami! Śmierć sprzedawczykom i zdrajcom! Śmierć Żydom!

I przepadł w tłumie, wymachując długimi rękami. Jak powiadał, zapamiętały w gorzkiej ironii, w gruncie rzeczy było mu obojętne: czy skończy na stosie, obleczony w nasiarkowaną koszulę, czy też zdechnie z głodu w swej nędznej szkółce w Moreux.

Wieczorem, gdy po obiedzie spożytym milcząco w zimnym domu w towarzystwie „tych pań” Marek położył się przy boku Genowefy, ta, widząc jego przygnębienie, objęła go łagodnym uściskiem kochanki i wybuchnęła płaczem. Wzruszyło go to do głębi, tego dnia bowiem wyczuł między sobą a żoną lekki rozdźwięk, jak gdyby sygnał grożącego rozstania. Przytulił ją do serca i długo w milczeniu płakali razem.

Wreszcie, z pewnym akcentem wahania, Genowefa powiedziała:

– Słuchaj, mój drogi, myślę, że dobrze by było przerwać nasz pobyt u babci. Wyjedźmy jutro.

Bardzo zdziwiony, zapytał:

– Czyżby już nas miała dosyć? Czy polecono ci zawiadomić mnie o tym?

– Och, nie, nie! Przeciwnie! To zmartwiłoby mamę. Trzeba by wymyślić jakiś pretekst, niechby nas, na przykład, odwołano depeszą.

– Czemuż tedy nie mielibyśmy spędzić tutaj całego miesiąca, jak zazwyczaj? Nie przeczę, są pewne tarcia, ale ja tam się nie skarżę.

Genowefa milczała, zakłopotana, nie śmiejąc wyznać, że nurtuje ją głuchy niepokój, bo tego wieczora, w atmosferze bogobojnej nieprzychylności, w której zmuszała ją żyć babka, uczuła,

jakby ją coś rozdzielało od męża. Miała wrażenie, że wracają dawne panieńskie myśli i uczucia, sprzeczne z jej obecnym życiem żony i matki. Ale był to tylko przelotny dreszcz i niebawem pod wpływem pieścizot Marka Genowefa odzyskała pogodę i ufność. Z kołyski, stojącej obok, docierał do niej miarowy oddech śpiącej Ludwiczki.

– Masz słuszność, zostaliśmy tu... I spełniaj swą powinność, jak ci każe sumienie. Znadto się kochamy, byśmy nie mieli być zawsze szczęśliwi.

III

Odtąd wszystko się ułożyło; w domku „tych pań” nie mówiono już o sprawie Simona. Wystrzegano się nawet najdrobniejszych napomknień, aby uniknąć niemiłych kłótni. Przy stole rozmawiano po prostu o pogodzie, jak gdyby się było o sto mil od Maillebois, gdzie szalały coraz gwałtowniejsze podmuchy namiętności, taka burza sporów, iż stawali przeciwko sobie ludzie związani trzydziestoletnią *przyjaźnią*, rozpadały się rodziny, dochodziło do gróźb, a nieraz i do bitki. Marek zaś, tak beznamiętny, tak milczący w rodzinnym domu Genowefy, na zewnątrz występował jako jeden z najpłomienniejszych bohaterskich obrońców prawdy i sprawiedliwości.

Wieczorem owego dnia, kiedy aresztowano Simona, namówił jego żonę, aby zamieszkała wraz z dziećmi u swych rodziców, Lehmannów, w ciasnym, ciemnym domu ubogiego krawca przy ulicy du Trou. Był to okres wakacji, szkoła była zamknięta, a zresztą młodszy nauczyciel Mignot, z zapalem łowiący każdego ranka ryby w pobliskiej rzeczce Verpille, pozostał na miejscu, aby pilnować bu – dynku. Została również panna Rouzaire, rezygnując tego roku z tradycyjnego wyjazdu do dalekiej ciotki, gdyż pragnęła mieć swój udział w sprawie, w której jej zeznanie miało tyle zaważyć. Pani Simon pozostawiwszy meble, aby przeprowadzka nie wyglądała na rozpaczliwą ucieczkę bez nadziei powrotu, na przyznanie się do zbrodni, zabrała Józefa i Sarę i zjawiła się na ulicy du Trou z jedną tylko walizką, jak gdyby po prostu wybrała się na parę tygodni w odwiedzinach do rodziców.

Odtąd Marek codziennie odwiedzał Lehmannów. Owa ulica du Trou, łącząca się z ulicą du Plaisir, była jedną z najbardziej ponurych w ubogiej dzielnicy, a jednopiętrowy domek składał się tylko z ciemnego sklepu, jeszcze ciemniejszego pokoju za tym sklepem na parterze oraz z trzech klitek na górze, do których prowadziły czarne schody, nie licząc wysokiego i obszernego strychu, jedyne pomieszczenia nawiedzane niekiedy przez promień słońca. Przesiąkniętą zieloną wilgocią zasklepie służyło jednocześnie za kuchnię i jadalnię. Rachelę zajęła na nowo swój ponury pokój z panieńskich czasów, a stare małżeństwo musiało się zadowolić jedną izdebką, trzecią odstupując dzieciom, które na szczęście korzystały ze strychu jak z dużej i wesołej sali rekreacyjnej. Marka nie przestawał dziwić fakt, iż kobieta tak urocza jak Rachelę, tak rzadkiej piękności, zrodziła się w tej norze, z zabiedzonych rodziców, pod brzemieniem

długiego dziedzictwa troski i nędzy. W pięćdziesiątym roku życia krawiec Lehmann był klasycznym typem żydowskim: drobny, niepozorny, z dużym nosem, mrugającymi oczyma, ustami ginącymi w głębi gęstej, siwej brody. Wykoszlawiony skutkiem swego zawodu, miał jedno ramię wyższe od drugiego, co jego postawie przydawało wyraz pokory, skutkiem czego robił wrażenie wiecznie zakłopotanego. Żona, która wraz z nim od rana do wieczora ślęczała nad robotą, ginęła w jego cieniu, jeszcze bardziej przy gaszona pokorą i głuchym niepokojem. Oboje wiedli nędzny żywot, z trudem zarabiając na życie uporczywą pracą, dzięki powoli zdobytej klienteli, złożonej z nielicznych zamożnych miejscowych izraelitów oraz kilku chrześcijan pragnących ubierać się tanio. Francuskie złoto, którym według twierdzenia antysemitów opychało się żydostwo, na pewno tutaj się nie gromadziło; i doprawdy, litość ścisła serce na widok tej pary starszków, tak steranych i biednych, wiecznie drżących z obawy, by im nie odjęto od ust ciężko zdobywanego chleba.

U Lehmannów Marek poznał Dawida, brata Simona. Wezwany telegraficznie, przybył śpiesznie już wieczorem w dniu aresztowania brata. Starszy od Simona o trzy lata, był wyższy i tęższy, twarz miał pełną, o rysach wyrazistych, jasne i energiczne wejrzenie. Po śmierci ojca, ubogiego zegarmistrza z Beaumont, zrujnowanego przez proces sądowy, gdy brat rozpoczął studia w École Normale, Dawid zaciągnął się do wojska, w którym przesłużył dwanaście lat. Będąc już porucznikiem, w przeddzień awansu na kapitana, po niezliczonych wahaniach i wybuchach goryczy podał się do dymisji, nie mając już siły na odpięcie zniewag, jakie go spotykały ze strony kolegów i zwierzchników z powodu jego żydowskiego pochodzenia. Stało się to przed pięciu laty; Simon właśnie wówczas poślubił Rachelę Lehmann, oczarowany jej urodą. Dawid pozostał kawalerem; pełen inicjatywy i energii, wpadł na pomysł uruchomienia pewnego przedsiębiorstwa, a mianowicie eksploatacji piasku i żwiru z rozległych terenów, którymi dotychczas nikt się nie interesował. Znajdowały się one w obrębie majątku Désirade, podówczas należącego jeszcze do bankiera miliardera, barona Nathan; ten chętnie za niewysoką cenę wypuścił je w dzierżawę na przeciąg lat trzydziestu współwyznawcy, który ujął go swą rzutkością i trzeźwym, pracowitym umysłem. W ten sposób Dawid był na drodze do zdobycia fortuny, zarobił – szy już około stu tysięcy franków w ciągu trzech lat kierowania poważnym interesem, który mu zajmował wszystkie czas.

Niemniej bez wahania porzucił wszystko, powierzwszy prowadzenie przedsiębiorstwa zaufanemu majstrowi. Od razu po pierwszej rozmowie z Markiem nabrał niezachwianego przeświadczenia, że brat jego jest niewinny. Nie wątpił zresztą o tym ani chwili, wobec fizycznej wręcz niemożliwości, by takiego czynu dokonał taki człowiek; znał przecież brata lepiej niż kogokolwiek na świecie – jak samego siebie. Było to dla niego jasne jak słońce. Przy całej jednak spokojnej odwadze zachowywał wielką ostrożność, ponieważ bał się zaszkodzić bratu i zdawał sobie sprawę, że jako Żydzi, nie mogą liczyć na powszechną zyczliwość. Tak więc, kiedy Marek

w porywczym słowach zwierzył mu swoje nieodparcie nasuwające się podejrzenia, że winny jest jeden z braci szkolnych, Dawid starał się go zmiłogować; wprawdzie w głębi duszy podzielał jego zdanie, nalegał jednak, by nie poniechano wersji o rzekomym „przygodnym” zbrodniarzu, włóczędze, co wtargnął i umknął przez okno. Obawiał się, że oskarżenie bez dowodów podnieci jeszcze bardziej opinię, przewidywał opór sprzymierzonych potęg, opór, który go zdruzgoce, gdyby wystąpił nie mając w ręku rozstrzygającego argumentu. A na razie – dlaczego nie podjąć hipotezy o włóczędze, hipotezy przyjętej przez wszystkich w momencie, gdy zbrodnię odkryto? Simon skorzystałby na tym, gdyż w umysłach jego sędziów obudziłyby się wątpliwości. Stanowiło to doskonałą tymczasową bazę operacyjną, braciszkanie bowiem byli tak czujni i tak popierani, że kampania wymierzona przeciwko nim na pewno zwróciła się przeciw oskarżonemu.

Dawid uzyskał widzenie z Simonem w obecności sędziego śledczego Daix; długi uścisk, jaki wymienili, był wyrazem ich serdecznej wspólnoty i jednakiej zaciętej woli. Odwiedzał *go* następnie w więzieniu, a wiadomości, jakie stamtąd przynosił do domu Lehmannów, były zawsze te same: Simon jest ogromnie przygnębiony, jego umysł nieustannie pracuje w napięciu nad rozwikłaniem zagadki, wciąż gotów z niebywałą energią bronić honoru swojego i swych dzieci. Kiedy Dawid w ciemnym, ciasnym sklepiku opowiadał w obecności Marka o tych odwiedzinach, ten był głęboko poruszony widokiem niemej boleści Racheli, tak pięknej i żalostnej w swej bezradności delikatnej kobiety zdruzgotanej przez los. Starzy Lehmannowie także nie mogli się zdobyć na nic innego prócz westchnień, beznadziejnej rozpaczki biednych ludzi, zrezygnowanych, pod brzemieniem wzgardy. W milczeniu mozolili się dalej nad swą robotą, również przekonani o niewinności zięcia, ale nie śmiejąc nawet głosić jej w obecności klientów, z obawy że pogorszą tylko jego sprawę, a sami stracą chleb. Najgroźniejsze było to, że w Maillebois rosło wzburzenie: pewnego wieczora jakaś banda krzykaczy wybiła szyby w sklepie. Trzeba było co rychlej zamknąć okiennice. Na ulicach ukazały się pisane ręcznie wezwania, wyznaczające patriotom zbiórkę w celu podpalenia domu. A przez kilka dni, szczególnie pewnej niedzieli po zakończeniu jakiejś uroczystości kościelnej u kapucynów, nastroje antysemickie przybrały takie rozmiary, iż mer Darras musiał aż zażądać policji z Beaumont, uważając za konieczne, wobec groźby ekscesów, strzeżenie ulicy du Trou.

Z każdą godziną sprawa się gmatwała, nasiąkała jadem, przybierała charakter krwawej walki socjalnej. Sędzia Daix niewątpliwie otrzymał polecenie energicznego przeprowadzenia śledztwa. W ciągu niespełna miesiąca wezwał i przesłuchiwał wszystkich świadków: suplenta Mi-gnot, pannę Rouzair, ojca Filibina, brata Fulgencjusza, dzieci ze szkoły, funkcjonariuszów kolejowych. Impulsywny jak zwykle brat Fulgencjusz nastawał, aby przesłu – chano również jego trzech asystentów, braci: Izydora, Łazarza i Gorgiasza; zażądał nawet, by przeprowadzono w jego szkole rewizję, w związku z wzorkiem kaligraficznym; oczywiście, nic nie znaleziono. Ale

najwięcej energii poświęcił Daix drobiazgowemu śledztwu dotyczącemu włóczęgi, który mógł być owej nocy ze środy na czwartek wśliznąć się do pokoju ofiary. Podczas każdego przesłuchania Simon nie przestawał twierdzić, że jest niewinny, i domagać się po prostu, by sędzia wykrył winowajcę. Sędzia uruchomił całą żandarmerię, kazał przetrząsnąć wszystkie drogi w departamencie; zatrzymano, a następnie zwolniono z pół setki łazików, nie natrafiając na żaden trop godny uwagi. Pewnego wędrownego handlarza przetrzymano nawet niepotrzebnie pod kluczem całe trzy dni. Ostatecznie sędziemu, zmuszonemu do odrzucenia hipotezy o włóczędzie, pozostawał wciąż tylko ów wzorek kaligraficzny, jako jedyny dowód rzeczowy, na którym trzeba będzie oprzeć całe oskarżenie. Toteż Marek i Dawid w końcu się uspokoili, gdyż zdawało im się niemożliwością zmontowanie poważnego oskarżenia na tak wątpliwym materiale. Jak to powtarzał Dawid, nie wykryto włóczęgi, lecz niemniej przeto trwała hipoteza o jego istnieniu, trwała wątpliwość. A gdy dodamy do tego brak dowodów przeciwko Simonowi, nieprawdopodobieństwa natury moralnej, jego niezmiennie wołanie, iż jest niewinny – jakże przypuścić, by jakikolwiek niepozabawiony sumienia sędzia śledczy mógł sformułować wniosek oskarżycielski? Umorzenie sprawy było niechybne, zaczęli liczyć się z tym konkretnie.

Bywały wszakże dni, kiedy Marek i Dawid, bratersko złączeni w działaniu, tracili tę pogodną ufność. Umorzenie sprawy nasuwało się jako prosty akt zdrowego rozsądku, a tymczasem docierały do nich niepomysłne pogłoski. Skazanie niewinnego zapewniało bezkarność istotnemu sprawcy zbrodni. Kongregacja nie ustawała w zabiegach. Zauważono, iż ojciec Crabot ożywił swą działalność towarzyską: mnożyły się jego wizyty w wytwornych domach w Beaumont, obiady w sferach rządowych i sądowniczych, a nawet w kręgu akademickim. Słowem, wszędzie walka zaostrzała się, w miarę jak zdawały się wzrastać widoki, że Żyd będzie wypuszczony na wolność. Wtedy to Dawidowi przyszło na myśl zainteresować tą sprawą barona Nathan, bogatego bankiera, dawnego właściciela majątku Desirade. Dowiedział się właśnie, że baron przebywa na wywczasach u córki, hrabiny de Sangleboeuf, która wniosła mężowi w posagu owe isticie królewskie dobra z dodatkiem dziesięciu milionów gotówki. Tedy pewnego pięknego sierpniowego poranka Dawid w towarzystwie Marka, który także znał barona, odbył uroczą wycieczkę pieszą, gdyż do Desirade było z Maillebois nie więcej niż dwa kilometry drogi.

Trzydziestosześcioletni hrabia Hektor de Sangleboeuf, ostatni z tego rodu, potomek koniuszego królewskiego na dworze Ludwika Świętego, był zupełnie zrujnowany, wykończywszy resztki zmarnowanej przez ojca fortuny. Znudzony życiem garnizonowym, opuścił służbę w pułku kirasjerów i żył w wolnym związku z margrabiną de Boise; ta starsza od niego, o dziesięć lat wdowa zanadto dbała o własny dostatek, aby dążyć do małżeństwa z Hektorem wobec katastrofalnej perspektywy, jaką stworzyłoby na przyszłość takie połączenie biedy z nędzą. I powiadano, że to właśnie ona wpadła na świetny pomysł skojarzenia małżeństwa Hektora z Leą, córką bankiera Nathan, dwudziestoczteroletnią osóbką nieskazitelnej urody,

ociekającą milionami. Nathan potraktował ten interes ze znajomością rzeczy, nic nie tracąc ze swej zwykłej bystrości, zdając sobie doskonale sprawę z tego, co daje i co w zamian otrzymuje; dołączył córkę do dziesięciu milionów wydobytych z kasy, po to, by mieć zięcia hrabiego, przedstawiciela bardzo starej i autentycznej arystokracji; to otwierało mu niedostępny dotychczas świat. Sam otrzymał niedawno tytuł baronowski; oto nareszcie wymykał się z wiekowego getta, uchodził z kręgu powszechnej wzdargy, której poddmuchy prześladowały go jak zmora. Handlarz pieniędzy, nagromadziwszy złoto w swych piwnicach, teraz namiętnie pragnął już tylko jednego: stać się takim jak inni, katolicy, równie zajadli handlarze pieniędzy; pragnął lubować się pychą i władzą, być księciem fortuny witanym pokłonami, honorowanym, uwielbianym, nade wszystko zaś uwolnić się od natrętnego lęku przed kopniakami i zniewagami. Toteż teraz, rezydując u zięcia w Désirade, tryumfował dyskontując dla siebie z faktu posiadania córki-hrabiny nie lada profit, profit wysokiego szacunku; i tak niewiele już pozostało w nim z Żyda, iż przystąpił do obozu najbardziej zażartych antysemitów, stając się ponadto gorliwym rojalistą, patriotą i zbawcą Francji. Aż sprytna i zawsze uśmiechnięta margrabina de Boise musiała go nieco mitygować, wyciągnawszy z tego starannie obmyślonego i zrealizowanego interesu wszystką spodziewaną korzyść dla siebie samej i dla swego przyjaciela Hektora de Sangleboeuf.

Fakt owego małżeństwa bynajmniej zresztą nie wpłynął na zmianę sytuacji: do długoletniego już związku hrabiego z margrabiną włączyła się jedynie osoba pięknej Lei. Pani de Boise, piękna jeszcze blondynka u schyłku dojrzałej urody, nazbyt rozumna, by nie okrasić spokojnego szczęścia długotrwałych stosunków uciechami dobrobytu, nie była zazdrosna w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dobrze zresztą znała Leę, ten wspaniały posąg marmurowy, samolubne bożyszcze, po prostu szczęśliwe, że zostało umieszczone w sanktuarium, gdzie je całe otoczenie uwielbiało, nie nużąc przy tym zbytnio. Lea nie chciała nawet czytać, to ją nudziło. Wystarczało jej siedzieć bezczynnie, przyjmować okazywane względy i zajmować się wyłącznie własną osobą. Niewątpliwie, rychło przestał być dla niej tajemnicą rzeczywisty stosunek łączący margrabinę z jej mężem; ale odsunęła precz od siebie trud niemiłej troski, w końcu doszło nawet do tego, że nie mogła się wręcz obyć bez tej przyjaciółki, która ją obsypywała pieścizotami, głosiła ustawicznie swój dla niej zachwyty, nie szczędziła czułych słówek: „mój koteczku”, „moja ty ślicznotko”, „mój ty skarbie”. Nie znalazłbyś równie wzruszającej przyjaźni! Niebawem też margrabina miała swój pokój w pałacu w Désirade i stałe miejsce przy stole. Następnie wpadła na genialny wprost pomysł: postanowiła nawrócić Leę na katolicyzm. Hrabina zrazu ogromnie się przestraszyła, przewidując, że będą ją zameczać obrzędami i praktykami. Lecz skoro wciągnięto do tej sprawy ojca Crabot, ów – ze swym wielkoświatowym wdziękiem – potrafił wyrównać nazbyt uciążliwe ścieżki. A skłonił Leę ostatecznie i tym razem ojciec, rozentuzjasmowany pomysłem margrabiny, miał bowiem nadzieję, że woda tego chrztu nieco i z niego samego zmyje hańbiące żydostwo. Uroczystość ta wywarła duże wrażenie na

wytwornym towarzystwie w Beaumont; wiele o niej mówiono jako o wielkim tryumfie Kościoła.

Wreszcie margrabina de Boise, która z macierzyńską troskliwością kierowała krokami życiowymi Hektora de Sangleboeuf, traktując go jako swoje duże dziecko, niezbyt rozumne, ale potulne; uzyskała dla niego – dzięki rozległej majątności i milionom wniesionym przez żonę – godność deputowanego okręgu Beaumont. Wymogła potem na nim, by przystąpił do drobnej grupy reakcyjnych oportunistów, wysługujących się Republice, i miała nadzieję wywindować go kiedyś na wysokie stanowisko; co zaś najśmieszniejsze, bankier Nathan, Żyd ledwo wyzwolony z dziedzicznego pohańbienia, gdy raz został nieprzejednanym rojalistą, okazał się rojalistą znacznie gorliwszym od swego zięcia – na przekór owemu koniuszemu Ludwika Świętego... Nathan tryumfował z racji posiada – nia wychrzczonej córki, sam wybrał jej nowe imię: Maria – i tak się do niej zawsze zwracał z jakąś zbożną afektacją. Upajał się także posiadaniem zięcia-posła, marząc zapewne, że fakt ten wyzyska, zażywając zresztą bezinteresownej rozkoszy w tym wytwornym domu, obecnie pełnym księży, gdzie wciąż mówiono o działalności pobożnej i filantropijnej, do której margrabina de Boise wciągała teraz Marię, złączoną z nią jeszcze ściślejszym i czulszym przymierzem.

Kiedy Dawid z Markiem, wpuszczeni przez odźwiernego, znaleźli się w parku Désirade, zwolnili kroku radując się wspaniałym sierpniowym dniem, zachwyceni pięknnością ogromnych drzew, niewymowną delikatnością trawników, rozkoszną świeżością wód. Była to iście królewska siedziba: zewsząd przez wycięte w czarodziejskiej zieleni perspektywy widać było wznoszący się w głębi okazały renesansowy zamek podobny koronce z różowego kamienia na tle błękitu nieba. I w obliczu tego rajy żydowskiego milionera, na widok przepychu tego majątku, który Żyd Nathan, handlarz złota, zdobył dzięki swoim transakcjom, w duszę Marka wdarło się nieodparte wspomnienie ciemnego, ciasnego sklepiku przy ulicy du Trou. ponurej rudery, pozbawionej słońca i powietrza, gdzie Żyd Lehmann od trzydziestu lat ślęczał nad krawiecką robotą, ledwo mogąc zarobić na chleb. Iluż innych Żydów, jeszcze biedniejszych, zdycha z głodu w obrzydliwych norach! Stanowili olbrzymią większość, i tu występowało w całej pełni niedorzeczne zakłamanie antysemityzmu, owej masowej banicji rasy oskarżanej o opanowanie całego świata, gdy przecie w tej społeczności było tylu ubogich robotników, tyle ofiar niesprawiedliwości socjalnej, zmiażdżonych przez wszechpotęgę pieniądza – czy to żydowskiego, czy katolickiego. Gdy jakiś Żyd stawał się jednym z książąt kapitału, zaraz kupował sobie tytuł barona, wydawał córkę za hrabiego ze starego rodu, pozował na większego roja – listę od samego króla i w końcu zostawał renegatem, zajadłym antysemitą, wyrzekał się i niszczył współbraci. Nie ma kwestii żydowskiej, jest tylko kwestia nagromadzonego pieniądza, szerzącego zarazę i zgniliznę.

Gdy Dawid i Marek stanęli przed zamkiem, ujrzeni pod rozłożystym dębem barona Nathan wraz z córką i zięciem, w towarzystwie margrabiny de Boise oraz zakonnika, w którym poznali

ojca Crabot. Spożyto śniadanie w ścisłym gronie, zaprosiwszy po sąsiedzku rektora kolegium w Valmarie, jako że oba majątki były od siebie oddalone zaledwie o trzy kilometry, i zapewne przy deserze porozmawiano na tematy poważne. Następnie towarzystwo przeszło tu, pod ten dąb, aby się nacieszyć pięknym popołudniem; rozsiadło się na ogrodowych krzesłach w pobliżu marmurowego basenu, do którego nieprzerwanym sznurem kryształu spływała woda, bijąca ze źródła ukrytego w amforze trzymanej przez swawolną nimfę.

Skoro tylko baron dostrzegł przybyszów, którzy dyskretnie przystanęli w niejakim oddaleniu, podszedł do nich szybko, odprowadził na stronę, a nawet posadził na krzesłach, ustawionych po drugiej stronie basenu. Niskiego wzrostu, nieco przygarbiony, zupełnie łysy już od pięćdziesiątego roku życia, żółtolicy, szerokonosy, o czarnych oczach, oczach drapieznika, głęboko osadzonych pod wyrazistymi łukami brwi, przybrał postawę boleściwej sympatii, jak gdyby przyjmował ludzi w grubej żałobie, oplakujących zgon krewnego. Te odwiedziny zresztą nie zdziwiły go, musiał się ich spodziewać.

– Ach! biedny mój Dawidzie, jakże ci współczuję! Dużo o tobie myślałem od czasu tego nieszczęścia... Wiesz, jak wysoko cenię twój umysł człowieka przedsiębiorczego oraz twoją pracowitość... Ale jakąż fatalną, jakże okropną sprawę zwał ci na kark twój brat! On cię kompromituje, on cię rujnuje, mój biedny Dawidzie! W odruchu szczerego strapienia wznosił drżące dłonie i jak gdyby przerażony wizją powrotu dawnych prześladowań, dodał:

– Ten nieszczęśnik wszystkich nas kompromituje!

Wtedy ze swą zwykłą spokojną odwagą Dawid przemówił broniąc sprawy brata, wyraził absolutne przeświadczenie o jego niewinności, przedstawił nieodparte wedle swego mniemania dowody materialne i moralne. Nathan słuchał potrząsając głową.

– Tak, tak, to całkiem naturalne, sądzisz, że jest niewinny, ja sam wciąż pragnę w to wierzyć. Niestety, nie mnie potrzeba przekonać, ale przedstawicieli sprawiedliwości, a także ten rozpętany lud, który gotów dać się we znaki nam wszystkim, jeżeli Simon nie zostanie skazany... Nie, stanowczo nigdy twemu bratu nie wybaczę tej historii, którą nam zwał na kark!

Następnie, kiedy mu Dawid wyjaśnił, iż przyszedł jednak do niego licząc na pomoc takiego potentata w wydobywaniu na jaw prawdy, Nathan słuchał go z wyrazem coraz chłodniejszym, coraz bardziej nieprzystępnym.

– Pan baron zawsze mi okazywał tyle względów... Otóż, wiedząc, że dawniej często pan tu zapraszał sadowników z Beaumont, pomyślałem, że pan mógłby mnie poinformować. Zna pan, między innymi, pana Daix, sędziego śledczego, wyznaczonego do tej sprawy, który jak się spodziewam, zgłosi wniosek o jej umorzenie. Może więc coś panu o niej wiadomo... nie mówiąc już o tym, że jeżeli decyzja nie jest jeszcze powzięta, słówko z pana strony mogłoby bardzo się przydać.

– Ależ nie! Nie! – zastrzegł się Nathan. – Ja nic nie wiem, nie chcę nic wiedzieć!... Nie mam

żadnego oficjalnego stanowiska, żadnego wpływu... No i obezwładnia mnie fakt, iż jestem współwyznawcą: skompromitowałbym siebie, a panu bym się nie przysłużył... Proszę zaczekać, zawołam tu zięcia. Marek, towarzyszący Dawidowi jedynie jako nauczyciel, kolega Simona, aby w tym charakterze poprzeć jego zabiegi, słuchał w milczeniu. Obserwował przy tym siedzące pod sąsiednim dębem damy: hrabinę Marię, jak nazywano piękną Leę, i margrabinę de Boise, oraz rozpartego między nimi w ogrodowym fotelu ojca Crabot i stojącego obok z cygarem w ustach hrabiego Hektora de Sangleboeuf. Margrabina, delikatnej a żywej jeszcze urody, jasna blondynka z lekko pudrowanymi włosami, ogromnie się niepokoiła z powodu promyka słońca, muskającego karczek hrabiny; ta piękna brunetka, ocieężała i wyniosła, daremnie ją uspokajała przysięgając, że nic jej to nie szkodzi. Margrabina zmusiła ją do zamienienia się miejscami, obsypując przy tym przyjaciółkę klasyczną serią czułych zdrobnień: „koteczku”, „mój skarbie”, „mój ty klejnociku”. Pogodny i zadowolony w swej postawie pobłażliwego spowiednika, ojciec Crabot uśmiechał się do obydwu pań. A w marmurowym basenie kryształowy strumyk wody, którą ze swej urny wylewała zalotna nimfa, zdawał się snuć nieprzerwaną fletową nutkę.

Na wezwanie teścia Sangleboeuf zbliżył się powoli. Był to mężczyzna tęgi o krótko przyszyżonych, szorstkich rudych włosach, z puciołowatą, rumianą twarzą; miał wąsko sklepione czoło, wypukłe wodnisto-niebieskie oczy, mały, miękki nos i duże, żarłoczne usta, na poły ginące pod gęstym wąsem. Kiedy baron wyłożył mu cel odwiedzin Dawida, hrabia rozgniewał się i zareplikował brutalnie, siłąc się przy tym zachować swoisty ton jakiejś wojskowej swady.

– Mieszać mnie w tę sprawę? O, co to, to nie! Proszę mi wybaczyć, ale ja rezerwuję swój autorytet poselski dla spraw jaśniejszych i czystszych. Oczywiście, co do pana, nie wątpię, że jest pan porządnym człowiekiem. Ale doprawdy nie łatwo panu będzie obronić brata... No i przecież, jak utrzymują wszyscy wasi poplecznicy, to my właśnie jesteśmy wrogami. Czemuż tedy do nas się zwracacie?

Patrzył gniewnie na Marka okrągłymi oczami o mętym wejrzeniu, wyrzekając na bezbożników, przybłędów, an-tymilitarystów. Nie wzięwszy udziału – ze względu na zbyt młody wiek – w wojnie w roku siedemdziesiątym, miał za sobą jedynie służbę garnizonową. Niemniej przeto pozostał, jak sam chętnie zwykł był mawiać, kirasje-rem do szpiku kości. I szczycił się tym, iż wezgłowie swego łóżka przybrał dwoma godłami symbolizującymi całe jego życiowe credo – były to: krucyfiks i sztandar, ten sztandar, dla którego, niestety, nie dane mu było umrzeć.

– Proszę pana, kiedy krucyfiks powróci na swoje miejsce w szkole, kiedy wasi nauczyciele będą wychowywać chrześcijan, zamiast wychowywać obywateli, wtedy dopiero będziecie mogli na nas liczyć, jeżeli wam wypadnie prosić nas o jakąś przysługę.

Poblądły i zmrożony, Dawid ani słowem nie przerywał tej tyrady. Następnie zaś oświadczył

spokojnie:

– Ależ panie, ja pana o nic nie proszę. Pozwoliłem sobie zwrócić się do pana barona.

Wtedy Nathan przerwał tę scenę, która stawała się zbyt drażliwa, zapraszając Dawida i Marka w głąb parku, jak gdyby chciał ich odprowadzić ku wyjściu. Dosłyszawszy wykrzyknienia Hektora, ojciec Crabot na chwilę uniósł głowę, po czym powrócił do salonowej konwersacji z hrabiną i margrabiną, swymi najmilszymi penitentkami. A kiedy przyłączył się do nich Sangleboeuf, słysząc było wyraźnie ich śmiechy, tryumfalne wykrzyki hrabiego, chęlnego się ku uciesze dam oraz ich spowiednika ostrą nauczką, udzieloną tym parszywym Żydom.

– Cóż poradzić? oni wszyscy są tacy – zniżając głos oświadczył Dawidowi i Markowi Nathan, kiedy się oddalili o jakie trzydzieści kroków. – Przywołałem zięcia po to, abyście sami osądzili, jaki nastrój panuje w departa – mencie – mam na myśli sfery wyższe: deputowanych, urzędników, sadowników. W jakież więc sposób mógłbym się panom przysłużyć? Nikt by mnie nie słuchał.

Ale ta obłudna poczciwość, przez którą przebijał wiekowy, atawistyczny lęk, snadź jemu samemu wydała się tchórzostwem, dodał tedy:

– Zresztą oni mają słuszość, sam jestem po ich stronie: Francja przede wszystkim... ze swą chlubną przeszłością i zespołem swych solidnych tradycji. Nie możemy jej oddać w ręce masonów i przybłędów... I proszę mnie posłuchać, panie Dawidzie, nie puszcę pana nie udzieliwszy mu dobrej rady. Niechże pan porzuci tę sprawę, straci pan przez nią wszystko, to będzie katastrofa, bankructwo. Pański brat sam da sobie radę, jeżeli jest niewinny.

To rzekłszy uściśnął, im dłonie i zawrócił spokojnym krokiem, gdy oni, obydwaj milczący, wychodzili z parku. Ale kiedy się znaleźli na drodze, spojrzeli na siebie niemal rozbawieni, tak im się ta scena wydała typowa i wykończona w szczegółach.

– Śmierć Żydom! – szyderczo wykrzyknął Marek.

– Och, wstrętne Żydzisko! – rzekł Dawid tym samym tonem gorzkiej kpiny. – Doradził mi po prostu, żebym opuścił w nieszczęściu brata. On by się w takim wypadku nie zawahał! Niejednego z braci opuścił w nieszczęściu i niejednego jeszcze opuści!... Nie ma co, to nie do drzwi moich sławetnych a potężnych współwyznawców powinienem kołatać. Strach zbytnio ich upadła.

Tymczasem po energicznym przeprowadzeniu śledztwa sędzia Daix zwlekał z przedstawieniem swego wniosku. Podejrzewano, że coraz dotkliwiej dręczyły go wątpliwości; obdarzony nader czułym zmysłem zawodowym, był zbyt rozumny, by nie zwęszyć prawdy, lecz z drugiej strony przejmował się reakcją opinii publicznej, w domu zaś tyranizowała go groźna małżonka. Panią Daix, również jedną z ulubionych penitentek ojca Crabot, pobożną, szpetną i zalotną, nieustannie trawiła zajadła ambicja; mierziło ją ubogie gospodarstwo, marzyła

o Paryżu, o strojach, o wyrobieniu sobie dzięki jakiemuś głośnemu procesowi stosunków w eleganckim świecie. I oto miała ten proces! Powtarzała wciąż mężowi, że byłby głupcem, gdyby nie wyzyskał sposobności, że jeżeli wypuści na wolność tego parszywego Żyda, to na starość z pewnością pójdą z torbami. Ale Daix walczył, jeszcze uczciwy, a jednak zachwiany, nie śpiesząc już, czepiając się nadziei, że nastąpi jakieś wydarzenie, które mu pozwoli pogodzić interes z obowiązkiem. Marek uważał tę nową zwłokę za pomyślną wróżbę; świadom wprowadzenia owych szarpiących sędziego skrupułów, lecz pełen optymizmu nie przestając wierzyć, że prawda ma w sobie siłę nieodpartą, której ulega każda dusza.

Od czasu tragicznego wydarzenia często chadzał rankiem do Beaumont, w odwiedzinach do swego starego przyjaciela Salvana, dyrektora École Normale. Słuchał jego cennych informacji i z rozmowy tej czerpał ufność i odwagę. A poza tym Marek zachował sentyment do tych budynków szkolnych, gdzie spędził trzy lata w nastroju entuzjazmu i apostołstwa. Ożywały wszystkie wspomnienia: tak licznych i urozmaiconych wykładów, pokojów, w których się samemu gospodarowało, pauz między lekcjami, godzinnych przechadzek po mieście w czasie nabożeństw. Szkoła mieściła się na odludnym placu u wylotu ulicy de la République, a kiedy wkraczał do gabinetu dyrektora, skąd było wyjście do małego ogródka, wśród tej wakacyjnej ciszy doznawał wrażenia, że się znajduje w przystani spokoju i błogiej pewności.

Przybywszy tam jednak pewnego ranka, Marek zastał Salvana – wbrew jego naturze – rozdrażnionego i przybitego. Zanim został przyjęty, musiał czekać chwilę w przedpokoju; uklonił się wychodzącemu z gabinetu interesantowi, którym okazał się nauczyciel Doutrequin, człek z czołem niskim i upartym, o szerokiej, wygolonej twarzy urzędnika świadomego swojej misji. A kiedy on z kolei wszedł do pokoju Salvana, zdumiał się na widok gospodarza, który, ogromnie wzburzony, wznosząc ręce zawołał:

– A więc, mój drogi, znasz już okropną nowinę? Salvan był średniego wzrostu, bardzo prosty w obejściu

i pełen energii; jego poczciwe, krągłe oblicze tchnęło szczerością i pogodą, a uśmiechnięte zazwyczaj oczy patrzyły ludziom prosto w twarz. Dzisiaj te oczy płonęły szlachetnym gniewem.

– Co się stało? – spytał z niepokojem Marek.

– Aha, więc jeszcze nie wiesz... Otóż, mój drogi, te kanalie się rozzuchwały: wczoraj wieczorem Daix sformułował swój wniosek o wszczęcie postępowania sądowego.

Marek, pobladły z wrażenia, milczał, Salvan zaś, wskazując rozłożony na biurku numer „Petit Beaumontais”, dodał:

– Doutrequin, który stąd przed chwilą wyszedł, zostawił mi tę wstrętną szmatę, potwierdził zresztą podaną w niej wiadomość, gdyż zna pisarza sądowego.

Salvan chwycił gazetę, zmiażdżył ją w ręce i z obrzydzeniem cisnął w kąt.

– Och! wstrętna szmata, nienawistny jad, co zatruwa i wyniszcza cały naród.

Niesprawiedliwość dochodzi do głosu dlatego, że ta szmata swymi kłamstwami zakaza maluczki, ten nieszczęsny lud francuski, jeszcze ciemny, tak skłonny wierzyć bajdom, którymi schlebia się jego niskim namiętnościom... A najgorsze, że dziennik ten początkowo rozchodził się wszędzie, docierał do wszystkich rąk pozostając neutralnym, nie reprezentując żadnego stronnictwa, będąc, ot, zbiorem powieści odcinkowych, wiadomości codziennych, przyjemnych artykułów popularyzatorskich, dostępnych ludziom mniej wykształconym. W ten sposób w ciągu długich lat stał się przyjacielem, wyrocznią, chlebem powszednim prostaczków i biedaków, tej masy, co nie potrafi myśleć samodzielnie. A teraz wyzyskuje swą wyjątkową sytuację, swą olbrzymią klientelę, idąc na żołąd stronnictw obskuranckich i reakcyjnych, czerpiąc zyski z wszelakich kanciarskich kombinacji finansowych i mętnych intryg politycznych... Niechże tam sobie pisma bojowe szermują łgarstwem, obelgami – to jest prawie bez znaczenia: służą jakiemś stronnictwu, znamy je, wystarczają nam same ich tytuły. Tak na przykład „La Croix de Beaumont” prowadzi namiętną kampanię przeciw naszemu przyjacielowi Simon – żydowskiemu nauczycielowi, trucicielowi i mordercy dzieci, a ja się tym bynajmniej nie przejmuję. Ale że „Le Petit Beaumontais” ogłasza wiadome ci nikczemne, ohydne artykuły, te donosy, te pozbierane z rysztoła oszczerstwa – to jest wręcz zbrodnia, podstępne zatruwanie ludu. Wśliznąć się z niewinną minką między prostaczków, a potem do każdej potrawy dodawać arszeniku, wprowadzić w obłąd, podjudzać do potwornych czynów po to, by mieć większy nakład! Nie znam cięższej zbrodni... Bo, niewątpliwie, jeżeli sędzia Daix nie zgłosił wniosku o umorzenie sprawy, to dlatego iż poczuł nacisk opinii publicznej ten żałosny człeczyna o chwiejnej uczciwości, którego żona należy do szerzycieli zgnilizny. A opinia publiczna? To „Le Petit Beaumontais” chelpi się, że ją kształtuje, „Le Petit Beaumontais”, pierwsza przyczyna niesprawiedliwości, ziarno oglupienia i okrucieństwa rzucane wszędzie w szerokie masy; i obawiam się, że ujrzymy teraz wschodzący z niego nienawistny plon.

Salvan z wyrazem pełnym rozpacz i trwogi opadł na fotel przy biurku. Zapanowała cisza, Marek przemierzał z wolna gabinet, przygnębiony tymi uwagami, z którymi zgadzał się całkowicie. Przystanąwszy zapytał:

– Ale przecie trzeba coś przedsięwziąć! Cóż zrobimy? Przypuśćmy, że dojdzie do tego nikczemnego procesu, ale Simona nie mogą skazać, to już byłoby zbyt potworne. I myślę, że nie będziemy siedzieć z założonymi rękoma... Kiedy Dawid dowie się tej strasznej rzeczy, będzie chciał działać. Cóż nam pan radzi?

– Ach, mój drogi! – zawołał Salvan. – Jak chętnie pierwszy bym działał, gdybyś mi wskazał środki po temu! Domyślasz się przecie, że w osobie tego nieszczęsnego Simona prześladowają i usiłują zmiażdżyć nauczyciela szkoły świeckiej. Nasza droga École Normale jest w ich mniemaniu wylęgarnią bezbożników i bezojczyźniaków, których zajadle tępią, a ja sam, jej kierownik, jestem jakimś szatanem, rodzicielem misjonarzy-ateuszów, o którego zgubie. od

dawna marzą. Co za tryumf dla tej bandy zakonnej, gdyby tak któryś z naszych byłych uczniów znalazł się na szafocie, obwiniony o ohydny zbrodnię... Och! biedna ta moja szkoła, biedna instytucja! Przecież to moje marzenie, aby stała się użyteczna, potężna, potrzebna dla losów kraju! Jakież straszne chwile jeszcze jej gotują!

W tych pełnych wzruszenia słowach płonęła wszystka jego żarliwa wiara w wartość umiłowanej pracy. Były nauczyciel, dawny inspektor szkół powszechnych, świątły bojownik nauki i postępu, Salvan, z chwilą gdy mu powierzono kierownictwo École Normale, poświęcił się wyłącznie jednemu celowi: kształceniu dobrych nauczycieli, wyznawców wiedzy opartej na doświadczeniu, wolnych od wpływów Rzymu, nauczycieli, którzy by nareszcie wpajali ludowi prawdę i wychowywali lud do wolności, do sprawiedliwości i pokoju. W tym się zawierała cała przyszłość narodu i ludzkości.

– Skupimy się wszyscy wokół pana – powiedział ze wzruszeniem Marek – nie pozwolimy, by brudżono panu w tym dziele najpilniejszym dziś i najwznioślejszym: dziele zbawienia.

Salvan uśmiechnął się smutnie.

– Ach! iluż, mój drogi, jest was wszystkich razem przy mnie?... Jesteś ty i był ten nieszczęsny Simon, na którego bardzo liczyłem. Dodajmy jeszcze pannę Mazeline, tę nauczycielkę, co pracuje razem z tobą w Jonville; gdybyśmy mieli kilkadziesiąt takich jak ona, przyszłe pokolenie posiadałoby nareszcie obywatelki, małżonki i matki wyzwolone spod władzy księdza. Co się zaś tyczy Fécrou, ten wykoleja się przez nędzę i bunt, to umysł zatruty goryczą... No i pozostaje stado – obojętne, samolubne, kostniejące w rutynie, mające tylko jedno na myśli: schlebiać przełożonym, aby być dobrze notowanym. Nie mówiąc już o renegatach, o tych, co z naszych szeregów przeszli na stronę wroga, jak na przykład panna Rouzaire, co sama jedna wykonywa robotę dziesięciu siostrzyczek zakonnych i tak wstrętną rolę odgrywa w sprawie Simona. Zapomniałem o tym biedaku Mignot, jednym przecie z naszych najlepszych uczniów; niezły to chłopak, ale go *trzeba* urobić; będzie dobry albo lichy, zależnie od wpływu.

Zapałał się, zakończył z mocą:

– A proszę: taki Doutraquin, ten co stąd przed chwilą wyszedł, czyż jego przypadek nie jest rozpaczliwy? Jest to nauczyciel i również syn nauczyciela; w roku siedemdziesiątym miał piętnaście lat; w trzy lata później wstąpił do École Normale, drżący jeszcze po przeżytej inwazji, wyrosły w gniewie i łaknący odwetu. Wtedy cała oświata miała jeden kierunek: rozpalanie patriotyzmu. Chciano mieć wyłącznie żołnierzy, armia stawała się świątynią, sanktuarium, ta armia, która przez trzydzieści lat stała z bronią u nogi, w pogotowiu, i pochłonęła miliardy. Toteż ukształtowano nam Francję wojowniczą zamiast Francji postępu, prawdy, sprawiedliwości i pokoju, Fran – cji, która mogłaby ocalić świat... I oto takiego Doutraquin, prawego przecie republikanina, byłego stronnika Gambetty, wczorajszego antyklerykała, patriotyzm wpędził w antysemityzm i wpędzi w klerykalizm. Właśnie wygłosił mi tu osobliwą przemowę, będącą

refleksem artykułów „Petit Beaumontais”, a więc: Francja przede wszystkim, poszanowanie armii podniesione do rangi dogmatu, konieczność wygnania Żydów, racja stanu w służbie zagrożonej ojczyzny, wreszcie swoboda nauczania jeszcze bardziej rozszerzona, co oznacza pozostawienie zgromadzeniom zakonnym całkowicie wolnego pola działania czyli oglupiania ludu. To bankructwo republikanów-patriotów z pierwszego szeregu... A przecie Doutrequin to zacny człek, doskonały nauczyciel, ma dzisiaj pod swym kierunkiem pięciu suplentów, jego szkoła jest najlepiej prowadzona w Beaumont. Dwaj synowie już są suplentami w departamencie i wiem, że podzielają poglądy ojca, spotęgowane jeszcze domieszką młodzieńczej egzaltacji. Dokąd zajdziemy, jeżeli taki duch będzie nadal przenikał naszych nauczycieli ludowych?... Stanowczo, wielki czas wychować innych pedagogów, dać naszemu biednemu ludowi legion nauczycieli o umysłach wyzwolonych, którzy będą go uczyć prawdy, jedyne źródła sprawiedliwości, dobroci i szczęścia!

Ostatnie słowa wypowiedział z takim ogniem, że Marek, rozweselony, stwierdził:

– No, drogi profesorze, poznaję cię: nie myślisz zrezygnować z walki i musisz w końcu zwyciężyć, gdyż z tobą jest prawda.

Równie wesoło Salvan przyznał, że uległ przed chwilą przelotnemu zniechęceniu. To ten niegodziwy proces, którym grożono Simonowi, wytrącił go z równowagi.

– Jak działać? Pytasz o radę?... Ha, zbadajmy wspólnie położenie.

Jest rektor Forbes, człowiek łagodny i uprzejmy, bar – dzo wykształcony, bardzo inteligentny, ale pochłonięty swymi studiami nad historią starożytną, zubożniały, żywiący głuchą wzdargę dla współczesności, zwykły trybik między ministrem a personelem uniwersyteckim. Następnie Le Barazer, inspektor szkół wyższych. Wszystką nadzieję przyszłego zwycięstwa opierał Salvan na tym człowieku dzielnym i mądrym, a przy tym subtelnym dyplomacie. Le Barazer, choć liczy dopiero pięćdziesiąt lat, wywodzi się z heroicznej epoki początków Republiki, kiedy świeckie i obowiązkowe nauczanie uznawano wręcz za podstawę wolnej i sprawiedliwej demokracji. Aktywista od zarania, Le Barazer zachował nienawiść do klerykalizmu i przeświadczenie o konieczności odsunięcia księdza od katedry, uwolnienia umysłów od wszelkich fałszywych dogmatów, jeżeli naród ma być silny, świadomy i władający pełnią swego rozumu. Ale wiek, napotykanie przeszkody, zacięty, ustawicznie wznawiany opór ze strony kleru zaprawiły jego republikański zapał wielką ostrożnością, skłaniając go do stosowania przemyślanej taktyki, wyzyskiwania drobnych codziennych zdobyczy terenowych, przeciwstawiania atakom przeciwników inercji, gdy nie podobna przeciwstawić im siły. Jako były profesor liceum w Paryżu, używał wszelkich atutów, jakie dawało mu stanowisko inspektora, nie podejmując nigdy otwartej walki ani z prefektem, ani z posłami i senatorami, chociaż nie ustępował, dopóki nie przeprowadził swojej woli. Dzięki niemu właśnie gwałtownie zwalczany przez klerykałów Salvan mógł względnie spokojnie prowadzić w École Normale swą

pracę odnowicielską, odświeżając kadry pedagogiczne w szkolnictwie powszechnym; i zapewne on jeden mógłby coś zdziałać dla obrony Simona przed swym podwładnym, inspektorem Mauraisin. Bo należało się liczyć z tym „pięknym Mauraisin”; mógł okazać się groźnym, zdradzić uniwersytet i oddać się do rozporządzenia zgromadzeniu zakonnemu, gdy zwietrzy, co się święci, i nabierze przekonania, że to Kościół zwycięży i suciej opłaci wyświadczone usługi.

– Czyś słyszał o jego zeznaniach? – ciągnął Salvan. – Zeznając przed sędzią Daix pono ogromnie obciążył Simona. I takim obłudnikom powierza się inspekcję naszych szkół! To tak jak z tym Depinvilliers, dyrektorem liceum w Beaumont, który każdej niedzieli zjawia się na mszy w kościele Św. Maksencjusza z żoną i dwiema córkami brzydulkami. Oczywiście każdy ma swobodę poglądów. Ale jeżeli takiemu Depinvilliers wolno chodzić na mszę, nie powinno mu być wolno oddawać w ręce jezuitów jednego z naszych średnich zakładów naukowych. Ojciec Crabot rządzi się w naszym liceum tak samo, jak się rządzi w kolegium w Valmarie; i czyż to nie szczyt ironii: owo liceum świeckie, liceum republikańskie, które ludzie w dyskusjach czasem przeciwstawiają jego rywalowi, kolegium kongregacyjnemu, w rzeczywistości jest po prostu jego potulną filią?... Och! pięknie sobie nasza Republika poczyna, w czyste i pewne ręce oddaje swe losy... Rozumiem, że Mauraisin pracuje dla tamtego obozu, który działa bez wythnienia i dobrze płaci.

A gdy Marek zbierał się do wyjścia, Salvan dodał jeszcze:

– A zatem skomunikuję się z Le Barazer. Sam nie staraj się o to; lepiej aby to wyszło ode mnie, ode mnie, którego on tak dzielnie wspiera. Nic z nim nie można osiągnąć naciskiem; wystąpi w momencie, który uzna za odpowiedni, i zastosuje własne metody; niewątpliwie przygasi „pięknego Mauraisin”, jeżeli nie będzie mógł wyświadczyć Simonowi bardziej bezpośredniej przysługi... Ale radzę ci zobaczyć się z Lemarrois, naszym merem i deputowanym; to dawny przyjaciel twego teścia, Berthereau, znasz go dobrze, prawda? Otóż on może ci się przydać.

Wyszedłszy od Salvana Marek postanowił udać się niezwłocznie do Lemarrois. Dochodziła godzina jedenasta: zastanie go z pewnością. Ruszył tedy ulicą Gambetty, przecinającą na dwoje Beaumont i wiodącą od liceum do ratusza, i znalazł się w alei des Jaffres, na słynnej promenadzie ciągnącej się między prefekturą a katedrą. W tej to alei, w samym sercu arystokratycznej dzielnicy, miał Lemarrois przepyszny pałac, w którym jego małżonka, urodziwa paryżanka, urzędowała przyjęcia towarzyskie. Zamożny, znany już lekarz, Lemarrois sprowadził ją z Paryża, kiedy – z pretensjami do kariery politycznej – powrócił do rodzinnego miasta. Powiadano, że jako młodzieniaszek, w czasie studiów medycznych, przypadkowo zbliżył się z Gambettą, że pod jego wpływem młody zapaleniec wyrósł na solidnego republikanina i stał się ulubionym uczniem wielkiego męża. Toteż w Beaumont ten małżonek sympatycznej kobiety, sam bardzo popularny wśród biedoty, którą leczył bezpłatnie, człek rozumny i w gruncie rzeczy poczciwy, poczytywany

był za filar republiki burżuazyjnej. Szybko zrobił karierę polityczną: najpierw został radnym miejskim, następnie członkiem rady departamentu, wreszcie posłem i merem. Od dwunastu lat utrzymał godność mera i posła, niby nabyte dobra, których czuł się prawomocnym posiadaczem, będąc bezspornym władcą miasta, przywódcą grupy posłów departamentu, choć w jej skład wchodziła przecie i reakcyjniści.

Zaledwie Marek wszedł do obszernego, urządzonego z dostojną powagą gabinetu, Lemarrois podbiegł ku niemu, wyciągając obydwie dłonie i uśmiechając się z sympatią. Był to brunet ledwo siwiejący, mimo że zbliżał się do pięćdziesiątki; miał dużą głowę o rzeźbionym profilu i bystre, jasne oczy.

– Ach! kochany panie, dziwiłem się, że mnie pan nie odwiedził, i łatwo mi się domyślić, co pana do mnie sprowadza... Rzeczywiście, co za potworna historia ta sprawa Simona! Nieszczęśliwiec jest niewinny, to oczywiste, świadczy już o tym sama pasja, z jaką go prześladują. Ja jestem z wami, ach! całym sercem z wami!

Uradowany tym miłym powitaniem, zetknięciem się nareszcie z człowiekiem sprawiedliwym, Marek pośpieszył wyjaśnić, że przychodzi prosić o jego wszechmocne poparcie. Z pewnością da się jeszcze coś zrobić, nie podobna dopuścić do osądzenia i skazania niewinnego.

Ale Lemarrois już wznosił ramiona ku niebu.

– Działać, działać, ma się rozumieć!... Tylko... cóż można wskórać przeciwko opinii publicznej, kiedy już cały departament jest podminowany?... Wiadomo chyba panu, że sytuacja polityczna staje się tu coraz trudniejsza. A wybory powszechne mają się odbyć w maju, czyli zaledwie za dziewięć miesięcy! Proszę to rozważyć, zastanowić się, do jakiej maksymalnej ostrożności jesteśmy zmuszeni, jeżeli nie chcemy narazić Republiki na porażkę!

Siadł i z obliczem nagle spochmurniałym obracał machinalnie w palcach duży nóż do rozcinania kartek, rzeźbiony w kości słoniowej. I zwierzył się ze swych obaw, opisał niespokojny nastrój panujący w departamencie, gdzie socjaliści wykazywali wielką ruchliwość i zyskiwali teren. Nie można powiedzieć, że się ich lękał, gdyż żaden z kandydatów socjalistycznych nie miał jeszcze widoków przejścia w głosowaniu; ale kiedy ostatnie wybory wyłoniły dwóch reakcjonistów (z których jednym był „nowozaciężny” Sangleboeuf), stało się to w wyniku dywersji podjętej przez socjalistów. W przyszłym maju bitwa będzie *jeszcze* ostrzejsza. Wyraz „socjaliści” nabierał w jego ustach agresywnej goryczy, odzwierciedlającej lęk i gniew republiki burżuazyjnej, tej, która włada, wobec powolnego, lecz nieodpartego pochodu republiki socjalnej, sięgającej po władzę.

– A więc, mój zuchu, jakże pan sobie wyobraża moją pomoc? Mam skrępowane ręce i nogi, gdyż trzeba się liczyć z opinią publiczną... Och, nie mówię o sobie: ja jestem pewny, że będę wybrany, ale przecie muszę solidaryzować się z kolegami, aby ich nie zawieść... A poza tym, oczywiście, gdyby tu chodziło jedynie o ten mój mandat, poświęciłbym go bez wahania, idąc

wyłącznie za głosem sumienia, obwieściłbym otwarcie to, co uważam za prawdę. Ale gra idzie o samą Republikę i chodzi o to, by nie została pobita w naszych osobach... Ach! gdyby pan wiedział, ile się niekiedy spotyka okrutnej zawiści!

Następnie począł wyrzekać na prefekta Hennebise; ten przystojniś w binoklach, starannie odziany i uczesany, bynajmniej mu nie pomaga, przejęty obawą narażenia się bądź ministrowi, bądź jezuitom, i tu, i tam zabiegający o względy, powtarzający ustawicznie zalęknionym tonem: „Uch! żadnych historii!” Ten niewątpliwie skłania się na stronę księży i wojskowych, i trzeba go pilnować zachowując przy tym jego własną taktykę dyplomatyczno-kompromisową.

– Tak, tak, mój zuchu, ma pan przed sobą człowieka zdesperowanego, który musi przez dziewięć miesięcy obliczać każdy swój krok i każde słowo, jeżeli nie chce zostać, ku radości klechów, wygwizdany przez czytelników „Petit Beaumontais”. Sprawa Simona doprawdy zjawia się diablo nie w porę. Ach! gdyby nie te czekające nas wybory! Zaraz wziąłbym się do rzeczy!

I nagle, tracąc swój zwykły spokój, wybuchnął:

– Nie mówię już o tym, że ten wasz Simon, nie dość iż nam zwala na kark tę sprawę w wyjątkowo trudnym momencie, jeszcze wybiera sobie na obrońcę Delbosa, tego socjalistę, postrach wszystkich lojalnych obywateli. To już szczyt! Chyba sam chce, żeby go skazano.

Marek słuchał tego wszystkiego ze ściśniętym sercem, przeżywając jeszcze jedno rozczarowanie. Znał Lemarrois jako człowieka uczciwego, który nieraz dawał dowody wierności ideom republikańskim.

– Ale Delbos – powiedział wreszcie – to bardzo zdolny adwokat, i jeżeli nieszczęsny Simon zwrócił się do niego, to dlatego, że uważał go, podobnie jak my wszyscy, właśnie za odpowiedniego w tych okolicznościach. Nie ma zresztą bynajmniej pewności, czy inny adwokat podjąłby się obrony w tej sprawie... Czasy są zaiste okropne, coraz więcej jest tchórzów.

Lemarrois odczuł te słowa jak policzek. Drgnął, ale nie wybuchnął. I nawet począł się uśmiechać.

– Uważa pan, że jestem bardzo przezorny, prawda, młody przyjacielu? Z latami przekona się pan, iż w polityce nie zawsze łatwo jest pogodzić praktykę z przekonaniami... Ale dlaczego się pan nie zwróci do mego kolegi, waszego młodego posła Marcilly? To przecie ukochanie i nadzieja całej inteligenckiej młodzieży w departamencie. Cóż ja? Zaliczam się już do starych wyjadaczy, zużytych i ostrożnych, to wiadomo. Natomiast Marcilly, człek o umyśle tak szerokim i niezależnym, z pewnością stanie na czele waszej grupy... Niech pan pójdzie, niech pan pójdzie do niego.

Po czym odprowadził Marka aż na schody, znów ściskając mu dłonie i przyrzekając, że go wspomůže całym swoim autorytetem, skoro tylko pozwolą mu na to okoliczności.

Rzeczywiście, czemu nie odwiedzić posła Marcilly? Mieszkał przy tej samej ulicy, tuż obok, a jeszcze nie było dwunaste]. Marek mógł się do niego udać; był przecież jego dyskretnym

agentem wyborczym, podjąwszy się tej roli pod wpływem entuzjazmu dla tak bardzo sympatycznego kandydata, człowieka o wielkiej kulturze literackiej. Urodzony w Jonville, wybitny uczeń École Normale, Marcilly przez dwa lata wykładał na uniwersytecie w Beaumont; tam też po zgłoszeniu dymisji postawił swą kandydaturę na posła. Niedużego wzrostu, delikatny blondynek z miłą, zawsze uśmiechniętą twarzą, urzekał serca niewieście i zjednywał mężczyzn dzięki wyjątkowej umiejętności znajdowania w każdej sytuacji odpowiedniego słowa, dzięki uczynnej gotowości, jaką każdemu okazywał. Lecz przede wszystkim podbijał młodych własną młodością – miał ledwie trzydzieści dwa lata – i talentem mówcy: w gładkiej formie dawał wyraz szerokim poglądom, roztrząsał poszczególne zagadnienia ze swobodnym wdziękiem oraz doskonałą znajomością ludzi i spraw. No, nareszcie Beaumont miało posła naprawdę młodego, na którym można polegać!. Ten wywołał zwrot w polityce, ożywił ją dopływem świeżej krwi wstępujących pokoleń, posługując się przy tym nieskazitelnym stylem, zaprawiając swe wystąpienia rozkosznym smaczkiem dobrej literatury! Istotnie od trzech lat Marcilly odgrywał w Izbie rolę coraz poważniejszą. Jego autorytet stale wzrastał, otwierała się już przed nim mimo młody wiek perspektywa teki ministerialnej. I niewątpliwie, troszcząc się z niezmordowaną uprzejmością o sprawy swych wyborców, jeszcze skuteczniej zabiegał o własne, każdą najdrobniejszą okoliczność wyzyskując jako dogodny szczebel, torując sobie drogę w sposób tak naturalny, tak swobodnie, że nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, iż Marcilly to po prostu karierowicz, przedstawiciel młodzieży niecierplivej i rozgorączkowanej, chciwej wszelkiego użycia i pełni władzy.

W wytwornie urządzonej apartamencie Marcilly powitał Marka z koleżeńską serdecznością, jak gdyby ten skromny nauczyciel wiejski był jego kolegą uniwersyteckim. Z miejsca zaczął mówić o Simonie, wyrażając wzruszonym głosem, jak szczerze go obchodzi smutny los tego nieszczęśliwca. Oczywiście, nie omieszka przyjąć mu z pomocą, przemówi w jego sprawie, odwiedzi, kogo wypada. Ale następnie w sposób nader delikatny zalecił wielką oględność z uwagi na wybory. Właściwie tedy była to, chociaż słodziej przyrządzona, ta sama odpowiedź, jakiej udzielił Lemarrois, skryte postanowienie, że się palcem nie ruszy, by nie narazić świętej nawy kandydatów już przedstawionych. Dwie te metody różniły się wprawdzie: starsza była brutalniejsza, a druga, nowsza, stosowała delikatniejsze chwytły, lecz obie były zgodne w zajadłej chęci, by nie wypuścić z rąk ani rąbka zdobytej władzy. I w tej chwili Marek po raz pierwszy doznał wrażenia, że ten Marcilly to najczystszy okaz arywisty, z zimną krwią dążącego do osobistych celów. Niemniej wypadło mu na odchodnym wyrazić podziękowanie, gdyż młody deputowany zapewniał o swej gotowości do usług, potokiem słodkich słówek oddając się do jego rozporządzenia.

Powróciwszy do Maillebois, Marek nie mógł się wyzbyć obaw i zatroskania. A gdy po południu wybrał się do Lehmannów na ulicę du Trou, chcąc dodać im otuchy, zastał całą rodzinę

pograżoną w rozpacz. Tak liczyli na umorzenie sprawy! Wstrząśnięty fatalną wiadomością, Dawid czepiał się jeszcze nadziei, że nastąpi jakiś cud, że nie dojdzie do tego niegodziwego procesu. Lecz w ciągu kilku następnych dni sprawy potoczyły się bardzo szybko, sąd zatwierdził akt oskarżenia okazując szczególny pośpiech, a prokuratura wyznaczyła rozprawę w najbliższym terminie – na sesji październikowej. Wówczas Dawid, ożywiony płomienną wiarą w niewinność brata, tą mocą i niezłomnością charakteru, które miały uczynić z niego bohatera, odzyskał wszystką swą odwagę i ufność. Proces zatem odbędzie się, wypadnie znieść tę hańbę. Ale gdzież znajdują się sędziowie, co się ośmielią skazać Simona wobec zupełnego braku dowodów? Sama myśl o wyroku skazującym wydawała się potworna, niedopuszczalna. Z więziennej celi Simon w dalszym ciągu głosił swą niewinność; z takim spokojem oczekiwał rozprawy, tak wierzył, że wkrótce będzie wolny, iż Dawid po każdych odwiedzinach u brata wychodził pokrzepiony, podniesiony na duchu. W rodzinie Lehmannów snuto nawet projekty na najbliższą przyszłość; Rachela mówiła o spędzeniu całego miesiąca wraz z mężem i dziećmi u przyjaciół w zacisnym kątku Prowansji. W tym to właśnie momencie odrodzonej nadziei Dawid wybrał się pewnego ranka w towarzystwie Marka do Beaumont, aby odwiedzić Delbosa i rozmówić się poważnie na temat procesu.

Młody adwokat mieszkał przy ulicy Fontanier, w ruchliwej dzielnicy handlowej. Syn miejscowego chłopa, studia prawnicze odbył w Paryżu, gdzie przez pewien czas pozostawał w stosunkach z młodzieżą socjalistyczną. Dotychczas wszakże nie związał się całkowicie z żadnym stronnictwem, gdyż nie natrafił jeszcze na którąś z tych głośnych spraw, co rozstrzygają o karierze adwokata. Teraz, zgodziwszy się wziąć udział w procesie Simona, Delbos zdecydował o swym losie. Studiował sprawę z zapałem, przejęty faktem, że stanął oko w oko z wszystkimi władzami publicznymi, z wszystkimi siłami reakcji, które aby uchronić od runięcia zmurszałe stropy prastarej budowli społecznej, sprzysięgły się na zgubę nieszczęśliwego człowieka. A w perspektywie widniał wojujący socjalizm, jedyny możliwy ratunek kraju, nowa siła nareszcie wyzwolonego ludu.

– Ha! bitwa zaczęta! – krzyknął wesoło adwokat witając przybyłych, których wprowadził do swej ciasnej kancelarii, zatłoczonej książkami i aktami. – Cóż! nie wiem, czy zwyciężymy, ale w każdym razie zadamy im bobu!

Drobny, szczupły brunet, o płomiennym wejrzeniu i mowie, Delbos miał wspaniale brzmiący głos i niepospolity dar wymowy, w ustawicznych gorących wzlotach harmonijnie łącząc zapał, logikę i ścisłość.

Dawida uderzył jednak ów akcent niewiary w zwycięstwo. Powtórzył tedy zdanie, które od tygodnia miał na ustach.

– Zwyciężymy na pewno. Gdzież znajdzie się sąd, co by się ośmielił skazać mego brata, nie mając żadnych przeciwko niemu dowodów?

Delbos popatrzał nań, po czym roześmiał się z cicha.

– Och, proszę pana, wyjdźmy na ulicę, a pierwsi spotkani obywatele pluną panu w twarz wymyślając od parszywych Żydów. Nie, chyba pan nie czytuje „Petit Beaumontais” i nie zna szlachetnych serc swych bliźnich... Prawda, panie Froment, że wszelkie złudzenia byłyby ryzykowne i niebezpieczne?

A kiedy Marek opowiedział mu o rozczarowaniach, jakich doznał podczas wizyt u osób wpływowych, adwokat zaakcentował jeszcze mocniej swe zastrzeżenia, pragnąc wyprowadzić Dawida z oczywistego błędu.

– Owszem, mamy Salvana, to człowiek uczciwy, apostoł, ale tak mocno zagrożony, że sam potrzebuje obrony. Le Barazer zaś da za wygraną, poświęci Simona zachowując wszystek swój autorytet na obronę sprawy nauczania świeckiego. Co się tyczy pocziwego Lemarrois, ten wczorajszy niezłomny republikanin błądzi teraz – właściwie nawet bezwiednie – po ścieżce wahań, wiodącej ku reakcji. – Ale podniecenie adwokata wzmoгло się, kiedy wymienił nazwisko deputowanego Marcilly. – Och! ten słodziutki Marcilly, nadzieja całej inteligentniejszej młodzieży, kokietujący wszystkie postępowe ugrupowania! Oto typ, na którym wcale nie można polegać, wczorajszy i przedwczorajszy kłamca, jutrzejszy renegat i zdrajca! Od wszystkich tych ludzi otrzymuje się tylko piękne słowa, ale nie można oczekiwać czynu, odruchu szczerości, odwagi.

Osądziwszy w ten sposób koła uniwersytetu i polityki, Delbos przeszedł z kolei do sądownictwa. Był przeświadczony, że sędzia Daix zwietrzył prawdę, lecz odsunął ją na bok pod terrorem nieustannych kłótni domo – wych, którymi szarpała go żona, aby nie dopuścić do uwolnienia „parszywego Żyda”; doznawał przy tym ciężkich wyrzutów sumienia, ponieważ był rzetelnym fachowcem i uczciwym w gruncie człowiekiem. Z drugiej strony należało się obawiać prokuratora, fertycznego Raoula de la Bissonnière, którego mowa oskarżycielska, przybrana literackimi kwiatkami, jakimi lubił ozdabiać swe wystąpienia, z pewnością będzie okrutna w treści. Rodem z drobnej, ale ambitnej szlachty, de la Bissonnière przybierał pozę, jak gdyby służąc Republice ponosił ciężką ofiarę; spodziewał się za to nagrody w postaci szybkiego awansu, o którego przyśpieszenie usilnie zabiegał, będąc jednocześnie przyjacielem rządu i zakonów, patriotą i ognistym antysemitą. Co zaś dotyczy przewodniczącego Gragnon, w jego osobie zjawi się typowy prezes jowialny, skory do wypitki, zapalony myśliwy, lowelas i dowcipniś, człek o niby to szorstkich manierach, ale całkiem niewątpliwy sceptyk, bezduszny i bezideowy, gotów zawsze służyć silniejszemu. Pozostaje wreszcie ława przysięgłych, w nie znanym jeszcze składzie, łatwym wszakże do przewidzenia: kilku sklepikarzy, paru emerytowanych kapitanów, może dwóch czy trzech architektów, lekarzy lub weterynarzy, urzędnicy, rentierzy, przemysłowcy – wszyscy zatruci, drżący o własną skórę, ulegli wobec powszechnego szaleństwa.

– Jak pan widzi – zakończył cierpko Delbos – pański brat został opuszczony przez

wszystkich; ma pecha, że potrzebuje pomocy w momencie, kiedy obawa przed bliskimi wyborami wszystko hamuje, paraliżuje nawet przyjaciół prawdy i sprawiedliwości; toteż będzie go sędził dobrany zespół: głupota, egoizm i tchórzostwo.

Wobec bolesnego milczenia Dawida dodał:

– No! nie damy się pożyć bez krzyku. Tylko wolę brutalnie przedstawić panu stan rzeczy... A teraz rozważmy, jak sprawa wygląda. Wiedział z góry, jaka będzie treść oskarżenia. Świadkowie zostali ze wszech stron poddani gwałtownej presji. Prócz opinii publicznej, w której kręgu żyli jak gdyby przeniknięci skażonym powietrzem zarazy, działały na nich tajemne moce, oplątując misterną siecią codziennych pouczeń, podsuwając przekonania i dyktując, jakich odpowiedzi mają udzielić sędziemu. Panna Rouzairre podobno wypowiedziała się zupełnie zdecydowanie, że dokładnie o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć usłyszała, jak Simon wracał. Sam Mignot utrzymywał teraz, co prawda nie tak kategorycznie, że około tej właśnie godziny słyszał jakieś głosy i stapania. Ale największy nacisk wywarto zapewne na uczniów Simona: Bongarda, Doloira, Savina i Milhomme'a, których ukazanie się przed sądem, jak przewidywano, ogromnie wzruszy publiczność. Starano się wydobyć z nich zeznania niekorzystne dla oskarżonego. W szczególności mały Sebastian Milhomme oświadczył wśród łkań, że nigdy nie widział w rękach wracającego ze szkoły braciszków kuzyna takiego wzorka kaligraficznego, jaki znaleziono w izdebce Zefiryńka. A w związku z tym opowiadano o niespodzianych odwiedzinach dowódcy dywizji w Beaumont, generała Jarousse, dalekiego kuzyna pani Edwardowej Milhomme. Do owego kuzynostwa generał dotychczas jakoś się nie przyznawał i oto nagle sobie o nim przypomniał, a jego przyjacielska wizyta wywołała w pani Milhomme nie lada zdumienie i radość... Poza tym w akcie oskarżenia z naciskiem podkreślono fakt licznych a daremnych poszukiwań, przeprowadzonych w celu ujęcia nieznanego wędrowca, włóczęgi, na którego pierwotnie padło podejrzenie. Zaznaczono też, że tak samo na próżno usiłowano odszukać jakiegoś dróżnika czy przechodnia, który by zaświadczył, że spotkał Simona wracającego pieszo z Beaumont do Maillebois. Z drugiej, co prawda, strony nie zdołano stwierdzić jego powrotu pociągiem – którą to wersję forsował akt oskarżenia – nikt bowiem z funkcjonariuszów kolejowych nie przypominał sobie, by widział Simona, kontrola zaś skonstatowała brak kilku biletów powrotnych, których posiadaczy nie zdołano ustalić. Podobnie nader groźne miały być pono zeznania brata Fulgencjusza i ojca Filibina, zwłaszcza tego ostatniego, który jakoby posiadał miażdżący dowód, że ów wzór kaligraficzny pochodzi ze szkoły Simona. Dodajmy do tego, iż obydwaj rzeczoznawcy wyznaczeni przez sąd, obywatele Badoche i Trabut, rozpoznali kategorycznie w nieczytelnym, ledwo widocznym skrócie podpisu inicjały Simona: splecione z sobą duże litery F i S.

W tym stanie rzeczy powstaje akt oskarżenia. Simon kłamie – z pewnością wrócił z Beaumont pociągiem dziesiąta trzydzieści, przybywającym w dwanaście minut do Maillebois.

Musiała więc być dokładnie za kwadrans jedenasta, kiedy wchodził do domu; i o tej właśnie porze panna Rouzair, jak twierdzi, usłyszała otwieranie drzwi, jego głos i kroki. Skądinąd wydaje się pewne, że po powrocie z kaplicy kapucynów o godzinie dziesiątej Zefirynek nie zaraz położył się spać, że porządkował pozostawione na stole święte obrazki; tak więc scenę mordu można umiejscowić w czasie owego kwadransa poprzedzającego godzinę jedenastą. Następstwo faktów było całkiem naturalne: Simon spostrzega światło w pokoju siostrzeńca, wchodzi, zastaje go w koszuli, w momencie gdy dziecko ma położyć się do łóżka. Wtedy niewątpliwie, na widok tego aniołka o wąłym ciele kaleki, ulega napadowi szału erotycznego. Ale stwierdzano także jego rzekomą nienawiść ku temu dziecku, wściekłość, że to katolik; sugerowano nawet możliwość mordu rytualnego, gdyż ta potworna legenda zakorzeniła się jako pewnik w umysłach tłumu. Zresztą, nawet nie posuwając się aż tak daleko, można było z łatwością odtworzyć przebieg wydarzeń: ohydny gwałt, opór dziecka, szamotanie się, krzyki; zbrod – niarz, zatrwożony, z początku wtłacza chłopcu w usta to, co znajduje pod ręką, aby stłumić jego głos, a następnie, kiedy ten improwizowany knebel wypada na podłogę i znowu rozlegają się krzyki, jeszcze okropniejsze, oszalały ze strachu, tracąc głowę dusi go. Nie tak łatwo już było wytłumaczyć, jak to Simon znalazł pod ręką skręcone razem: egzemplarz „Petit Beaumontais” i wzorek kaligraficzny. Zapewne gazeta była w jego kieszeni, boć nie mogło jej mieć dziecko. Natomiast co do owego wzorka oskarżyciel zawahał się: może chłopczyk miał go w swym pokoju, a może Simon w kieszeni; przyjęto w końcu tę drugą hipotezę jako logiczniejszą, ponieważ z orzeczenia ekspertów wynikało, że wzór należał do Simona, skoro był oznaczony jego inicjałami. Po dokonaniu zbrodni dalszy ciąg był prosty: Simon zostawia na podłodze ciało swej ofiary, nic nie porządkuje w pokoju, otwiera tylko okno, aby stworzyć pozór, że morderca wtargnął i umknął tamtędy. Popelniał jednak trudną do pojęcia niezręczność, że nie podniósł i nie zniszczył gazety i wzorka, skręconych w kłębek na podłodze w pobliżu łóżka; dowód to jego nadzwyczajnego zdenerwowania. Toteż zapewne nie udał się natychmiast do żony, która oświadczyła, że wrócił o godzinie jedenastej czterdzieści: musiał przesiedzieć chwilę gdzieś na schodach, aby nieco ochłonać. Oskarżyciel nie posuwał się do podejrzewania żony Simona o współwinę; niemniej dawał do zrozumienia, że nie mówiła prawdy, kiedy opowiadała, jak spokojny i roześmiany, jak pogodnie czuły był jej mąż owej nocy; wskazywało na to zeznanie Mignota, który zdumiewał się, iż nauczyciel nazajutrz wstał tak późno; Mignot utrzymywał, że kiedy zbudził Simona przynosząc okropną nowinę, tamten był blady, drżący i ledwie trzymał się na nogach. W tym względzie wszyscy byli zgodni: panna Rouzair, brat Fulgencjusz, ojciec Filibin – twierdząc, że Simon omal nie zemdlął na widok martwego ciała, chociaż ujawnił przy tym oburzającą oschłość serca. Czyż to nie było jednym więcej druzgocącym dowodem? Wina oskarżonego dla nikogo nie mogła ulegać wątpliwości.

Wyłożywszy w ten sposób tezy aktu oskarżenia Delbos zauważył:

– Nieprawdopodobieństwa natury moralnej są tam oczywiste, nikt, mający choć trochę zdrowego rozsądku, nie uwierzy w winę Simona; no i nie brak także nieprawdopodobieństw fizycznych. Ale nie powinniśmy zapominać, iż ta okropna bajda sklecona jest dość zręcznie, by opanować wyobraźnię tłumu i przekształcić się w jedną z owych legendarnych opowieści, które nabierają mocy nienaruszalnych prawd... Słabość nasza tkwi w tym, że nie znamy prawdy, którą byśmy przeciwstawili tworzącej się legendzie. Hipoteza o nocnym włóczędzie, która pana, zdaje się, pociąga, przydatna jest jedynie o tyle, że sieje wątpliwość w umysłach przysięgłych; albowiem i ona budzi bardzo poważne zastrzeżenia... Kogóż więc oskarżać i jaki obrać system obrony?

Marek, dotychczas przysłuchujący się w milczeniu, nie zdołał powstrzymać okrzyku, w którym wybuchło jego zwolna ukształtowane przeświadczenie:

– Ależ dla mnie nie ma tu wątpliwości: to jeden z braciszków jest gwałcicielem i mordercą!

A na to Delbos, przytakując energicznym gestem, z zadowoleniem oświadczył z kolei:

– Właśnie! Jestem tego również zupełnie pewien. W miarę badania sprawy dochodzę do wniosku, że to jedyne prawdopodobne rozwiązanie.

A widząc, że Dawid frasobliwie potrząsa głową, dodał:

– Ha, wiem dobrze, iż oskarżenie bez rozstrzygających dowodów przeciw jednemu z tych ignorantynów wydaje się panu krokiem niebezpiecznym dla losów pańskiego brata. I niewątpliwie ma pan słuszność, bo jeżeli nie ukażemy w pełnym świetle osoby wykrytego przez nas przestępcy, ściagniemy na siebie oskarżenie o oszczerstwo, za co przyszłoby nam drogo zapłacić w dzisiejszych czasach idiotycznej reakcji klerykalnej... Ale przecież mam wystąpić z obroną, a czyż bądź co bądź najwłaściwszym sposobem dowiedzenia niewinności pańskiego brata nie będzie wskazanie, kim być musi, kim na pewno jest winowajca? Powie mi pan, że chodzi o to, by wiedzieć, kto nim jest, toteż chciałbym ten temat omówić gruntownie.

Dyskusja potoczyła się dalej. Marek wyłożył przesłanki, które doprowadziły go do wniosku, że zbrodni mógł dokonać jedynie ktoś z braci szkolnych. Przede wszystkim wzorek kaligraficzny niewątpliwie pochodzi stamtąd, przekonała go o tym niezbita scena, której był świadkiem u pań Milhomme, kiedy to Sebastian przyznał się, a następnie zaprzeczył; a dalej sprawa owego zgubionego, zapewne umyślnie oderwanego, rożka stronicy z podpisem, sprawa nader zawiła, której tajemnicy nie mógł przeniknąć wyczuwając jednak, że tam właśnie tkwi ukryta prawda. Wreszcie rozstrzygający dowód natury moralnej stanowiło zachowanie się zgromadzenia zakonnego, niezwykle gorączkowo zabiegającego o to, by Simon został oskarżony i osądzony. Nie mozoliłoby się tak, nie poruszało nieba i ziemi, gdyby nie potrzebowało ratować jakiejś parszywej owcy. Inna sprawa, że Kongregacja spodziewała się za jednym zamachem zadać cios także i świeckiemu nauczaniu, osiągnąć zwycięstwo dla zachwianego autorytetu Kościoła. Wreszcie ten gwałt i morderstwo nosiły swoiste piętno: był w tym okrutny, zakapturzony

sadyzm, jakaś mieszanina podłości z religianctwem, wyczuwało się tu habit. Ale te dowody, na które wskazywała logika i proste rozumowanie, nie mogły wystarczyć. Marek musiał to przyznać, ubolewając, że prowadził swoje badania w takim mroku, w atmosferze bezładu i terroru, wzmagających się z każdym dniem, rzekłbyś, za sprawą jakichś zręcznych, niewidzialnych rąk. – Zastanówmy się – zwrócił się do niego Delbos – nie posądza pan chyba ani brata Fulgencjusza, ani ojca Filibina?

– Och, nie! – odparł Marek. – Widziałem ich przy zwłokach dziecka owego ranka, kiedy zbrodnia została odkryta. Brat Fulgencjusz z pewnością w czwartek wieczorem po opuszczeniu kaplicy kapucynów wrócił do swej szkoły. Zresztą, jest to wprawdzie człek próżny i postrzelony, ale nie sądzę, by był zdolny do tak okropnych czynów... Co się zaś tyczy ojca Filibina, zostało dowiedzione, iż owego wieczora nie wydalął się z kolegium w Valmarie. Poza tym wydaje mi się, że to człowiek bądź co bądź przyzwoity, nieco szorstki, ale w gruncie raczej poczciwy.

Po chwili ogólnej ciszy Marek, patrząc gdzieś w dal, podjął w zamyśleniu:

– A jednak owego ranka, w momencie kiedy przybyłem do pokoiku Zefiryńka, jakby wyczułem, że zaszło tam coś, czego nie potrafię sobie wyjaśnić. Ojciec Filibin podniósł z podłogi egzemplarz „Petit Beaumontais” i stroniczkę z wzorem kaligraficznym, poplamione śliną, podziurawione zębami; i zastanawiam się nad tym, czy czasem nie skorzystał z tej krótkiej chwili, aby oderwać i ukryć róg kartki zawierający może jakąś wskazówkę. Co prawda suplent Mignot, który widział ów wzorek, twierdzi teraz, wbrew swym poprzednim wahaniom, że od początku właśnie brakowało tego rozka.

– A trzech zakonnicy, bracia Izydor, Łazarz i Gorgiasz? – zagadnął znowu Delbos.

Dawid, który ze swej strony z podziwu godną roztropnością i cierpliwością przeprowadził jak najdokładniejsze badania, poruszył głową przecząco.

– Każdy z nich ma alibi, które przed sądem potwierdzi z dziesięciu ich kamratów, nie licząc różnych pobożnych osób. Bardzo wygląda na to, że dwaj pierwsi powrócili do szkoły razem ze swym przełożonym, bratem Fulgencju – szem. Brat Gorgiasz odprowadził jedno z dzieci, ale już o pół do jedenastej był z powrotem, co stwierdza zgodnie cały personel zakładu, jak również inni świadkowie, ludzie świeccy, co prawda, przyjaciele braciszków, którzy podobno widzieli Gorgiasza, jak wracał.

Teraz znowu wmieszał się do rozmowy Marek. Zapatrzonej gdzieś w dal, jak ktoś ustawicznie tropiący prawdę, oświadczył z namysłem:

– Ten brat Gorgiasz wcale mi się nie podoba; myślałem o nim sporo... Dziecko, które odprowadził, to Polidor, siostrzeniec Pelagii, kucharki krewnych mojej żony; spróbowałem pociągnąć go za język, ale to mruk, kłamczuch

i leń, nie udało mi się nic z niego wydostać, a nawet zamącił mi obraz do reszty... Tak, tak, ten brat Gorgiasz... jego twarz, jego postać wciąż mnie prześladowają. Uchodzi za zmysłowego

brutala, cynika, za przesadnie pobożnego, wyznawcę religii surowej, nieprzejednanej i niszczycielskiej. Skądinąd słyszałem, iż niegdyś był w bliskich stosunkach z ojcem Filibinem, i nawet z samym ojcem Crabot... Brat Gorgiasz, oho! Ten brat Gorgiasz... tak, przez chwilę sądziłem, że to on. Ale ostatecznie skończyło się na przypuszczeniach.

– Bezsprzecznie – oświadczył Dawid, wedle swego zwyczaju kiwając głową – brat Gorgiasz nie budzi zaufania i mam to samo wrażenie, co pan. Tylko, czy to roztropne składać na niego doniesienie, skoro, jak pan sam powiada, opieramy się jedynie na rozumowaniu? Żaden ze świadków nie stanąłby po naszej stronie, wszyscy by okazali poparcie braciszce, wybielając go z naszych bezbożnych oskarżeń.

Delbos słuchał tych wywodów z wielką uwagą.

– Nie mam możliwości bronić pańskiego brata – powtórzył – jeżeli nie przeniesiemy walki na teren wroga... I proszę zauważyć, iż jedyna pomoc, z której może się pan spodziewać jakiejś korzyści, nadejdzie, być może, ze strony samego Kościoła; albowiem skoro wszyscy wchodzi w grę, dawny spór pomiędzy naszym biskupem, księdzem Bergerot, a rektorem z Valmarie, wszechmocnym ojcem Crabot, na nowo poważnie się zaostrzył, właśnie w związku ze sprawą Simona... Mam wrażenie, że to ojciec Crabot jest owym skrytym duchem, ową niewidzialną ręką, której działanie wyczuwa pan w mroku, a która całą aferą kieruje. Ma się rozumieć, nie wskazuję na niego jako na winowajcę, ale na pewno on jest tą wolą i siłą, co winowajcę osłania. Nacierając na niego, atakujemy głowę... Pomijam już, że będziemy mieli za sobą biskupa... oh! bynajmniej nie jawnie, ale czyż nie jest to cenne poparcie, choćby działało w ukryciu?

Marek uśmiechnął się z powątpiewaniem, jak gdyby chciał zaznaczyć, że nigdy nie można liczyć na poparcie ze strony Kościoła, kiedy chodzi o ludzką prawdę i sprawiedliwość. I on zresztą uważał, że ojciec Crabot to wróg, i że istotnie, aby walka była skuteczna, należy sięgnąć aż do niego, spróbować go zniszczyć. Porozmawiali więc o ojcu Crabot, o jego przeszłości owianej poetyczną i dość tajemniczą legendą. Uchodził on za naturalnego wnuka sławnego generała, księcia pierwszego Cesarstwa; fakt ten w oczach patriotów opromieniał jego dzisiejsze zbożne posłannictwo gromką chwałą bojów i zwycięstw. Ale jeszcze żywiej poruszała serca romantyczna historia jego powołania duchownego i wstąpienia do zakonu. W trzydziestym roku życia, jako bogaty, wytworny kawaler, miał się żenić z uroczą wdową, księżną o świetnym nazwisku i wielkim majątku, gdy śmierć skosiła ją brutalnie w kwiecie lat. Jak sam powiadał, ów grom z jasnego nieba rzucił go w objęcia Boga ukazując mu gorzką nicość uciech tego świata. To mu pozyskało czułą przychylność wszystkich niewiast, niewypowiedziane wrzuszonych, iż schronił się do Boga z miłości dla swej wybranej. Nadto, inna jeszcze legenda – o powstaniu kolegium w Valma – rie – dopełniała miary sympatii okolicznych dam dla ojca Crabot. Dobra Valmarie były podówczas własnością słynnej za młodu z gorącego temperamentu i romansowych przygód starej hrabiny de Quvedeville, która schroniła się na wsi, aby zapamiętała dewocją

uświęcić schyłek żywota. Straciwszy wskutek nieszczęśliwego wypadku syna i synową, wzięła na wychowanie swego wnuka i jedynego spadkobiercę, Gastona, dziewięcioletniego chłopca, krnąbrnego zuchwalca, nieopanowanego w mowie i lubującego się w niesfornych zabawach. Nie mogąc sobie dać z nim rady, a nie śmiejąc umieścić go w internacie, zdecydowała się sprowadzić do domu, w charakterze wychowawcy, młodego jezuitę, ojca Filibina. Był to mężczyzna dwudziestosześcioletni, chłop z pochodzenia i niezbyt okrzęsany, ale polecano go hrabinie ze względu na jego wyjątkową siłę charakteru. Niewątpliwie ten to wychowawca wprowadził do jej domu ojca Crabot, starszego

o pięć czy sześć lat, zażywającego wtedy pełni sławy, jaką owiana była jego miłosna historia z tragicznym, a budującym epilogiem. I oto po upływie pół roku ojciec Crabot, jako przyjaciel i spowiednik, królował w Valmarie, był tam istotnym panem i władcą, a jak utrzymywał ten czy ów złośliwiec, kochankiem hrabiny, która mimo wiek podeszły, stała się na nowo dawną namiętną i płomienną miłośnicą. Gaston jakoby mącił radosny spokój magnackiej rezydencji z jej sędziwymi drzewami, bystrymi potokami

i wielkimi aksamitnymi płatami zielonych trawników, toteż pono rozważano projekt wysłania go do zakładu wychowawczego jezuitów w Paryżu. Chłopak wdrapywał się na wierzchołki wyniosłych topól szukając wronich gniazd, w ubraniu rzucał się do rzeki, by łowić węgorze, wracał do domu w porwanej odzieży, z sińcami na rękach i na nogach, z pokaleczoną twarzą, a renomowany dla swej silnej ręki ojciec Filibin nie mógł go w żaden sposób poskromić. Ale nagle sprawa znalazła dramatyczne roz – wiązanie: Gaston utonął w czasie przechadzki, którą odbywał w towarzystwie ojca Filibina. Według słów zakonnika, chłopiec wpadł w niebezpieczną jamę, skąd nie zdołał go wydobyć piętnastoletni syn dworskiego ogrodnika, Jerzy Plumet, częsty towarzysz jego wypraw, chociaż nadbiegł dostrzegłszy z daleka wypadek. Zrozpaczona hrabina w rok potem umarła zapisawszy w testamencie Valmarie oraz całą swą fortunę ojcu Crabot – lub, ściślej mówiąc, drobnemu bankierowi w Beaumont, należącemu do grupy klerykałów, który występował tu jedynie jako potulny figurant. Testament ów zalecał założenie w majątku uczelni świeckiej pod nadzorem jezuitów. Ojciec Crabot wrócił więc wkrótce do Valmarie, tym razem w charakterze rektora, i od dziesięciu lat zakład rozwijał się pod jego kierunkiem. Rządził tam znowu – z głębi swej surowej celi o gołych ścianach, mającej za całe umeblowanie wąski tapczanik, stół i dwa krzesła, w której sam utrzymywał porządek. Kobiety spowiadał w kaplicy, ale mężczyzn – w tej właśnie celi, jak gdyby szcycąc się ubóstwem i osamotnieniem, trzymając się niby na uboczu w postawie groźnego bożyszcza, a kierownikowi kolegium, ojcu Filibinowi, przekazawszy sprawę codziennej styczności z uczniami i zarząd szkoły. Jednakże, choć się nieczęsto ukazywał, zastrzegł sobie obecność w rozmównicy w dni odwiedzin, udzielając się rodzinom, konferując zwłaszcza z paniami i pannami z miejscowej arystokracji, zajmując się przyszłością tych „drogich synów i córek”, jak

ich nazywał, kojarząc związki małżeńskie, zapewniając dobre stanowiska, rozporządzając tym wytwornym światkiem na chwałę bożą oraz swego zakonu. I w ten sposób stał się osobistością wszechwładną.

– Właściwie – zauważył Delbos – ten ojciec Crabot wydaje mi się miernotą, myślę, że cała jego potęga opiera się na głupocie środowiska, w którym działa; bardziej mnie niepokoi ojciec Filibin, ten pański pocziwina; jego pozorna szorstka otwartość sprawia na mnie osobliwe wrażenie... Ta ich historia z czasów hrabiny de Quédeville do dziś dnia wygląda dość podejrzanie: ta śmierć dziecka, owe wątpliwe pod względem prawnym kombinacje w celu zawładnięcia majątkiem i gotówką... A najgorsze to, że jedyny świadek sceny utonięcia Gastona, ów syn ogrodnika, Jerzy Plumet, to właśnie nasz brat Gorgiasz, którego ojciec Filibin ogromnie polubił i wykierował na zakonnik. I oto dziś, w obecnych niesamowitych okolicznościach, cała ta trójca jest znowu razem, i może w tym właśnie sedno sprawy. Bo jeżeli zbrodnię popełnił brat Gorgiasz, to wysiłki tamtych dwóch, aby go wybawić z opresji, niezależnie od troski o dobro Kościoła, tłumaczyłyby się poważnymi motywami osobistymi: istnieniem wspólnej ponurej tajemnicy, obawą, że Gorgiasz się wygada, gdyby poczuł, iż jest opuszczony... Niestety, jak to pan stwierdził, wciąż potykamy się o tę przeszkodę: to są tylko przypuszczenia, przesłanki, a potrzebne są nam konkretne fakty, ustalone i dowiedzione. Ale cóż, musimy jeszcze szukać; powtarzam: wtedy dopiero będę mógł bronić Simona, gdy będę uzbrojony dostatecznie, by wystąpić jako oskarżyciel i mściciel.

Rozmowa z Delbosem natchnęła Dawida i Marka świeżym zapalem. I tak jak przewidywali, niebawem mieli możliwość zauważyć z radością, że w obozie klerykalnym rozgorzał wewnętrzny spór. Proboszcz w Maillebois, ksiądz Quandieu, zrazu nie taił swego przeświadczenia o niewinności Simona. Nie posunął się aż do podejrzewania któregoś z mnichów, choć dobrze mu były znane skandale, jakie wydarzyły się w ich zakładzie. Niemniej cała jego postawa świadczyła, że nie pochwała forsownej kampanii, jaką prowadzili bracia szkolni i kapucyni, aby przeciągnąć na swoją stronę całą ludność miejscową; bo chodziło mu nie tylko o to, że z każdym nowym podbojem dokonanym przez zakonników tracił jedną owieczkę w swojej parafii, lecz jako człowiek światłego i szerokiego umysłu ubolewał szczerze, w imię samej religii, nad tym tryumfem najciemniejszych zabobonów. Później, widząc raptowne zakażenie opinii publicznej, zachował neutralność i nie odzywał się już wcale na temat tej sprawy; z boleścią patrzył na swą przeredzoną i zubożałą parafię, jako szczerze pobożny kapłan drżąc z obawy, że ludzie do reszty znieważą i umęczą jego łagodnego Pana, jego Boga miłosierdzia i dobroci, czyniąc z niego Boga kłamstwa i niegodziwości. I jedyną pociechą była mu wtedy świadomość, że to samo odczuwa darzący go sympatią i często przez niego odwiedzany biskup Bergerot. Podobnie jak proboszczowi, biskupowi mimo jego świątobliwość zarzucano gallikanizm, czyli po prostu to, że nie zawsze ślepo chyli czoło przed Rzymem i że jego czysta religijność wzdryga się wobec

bałwochwalstwa, wobec kupieckiej bezczelności przedsiębiorców spekulujących fałszywymi cudami. Toteż biskup smętnym okiem obserwował podboje kapucynów z Maillebois, tak jawnie ciągnących zyski z kultu świętego Antoniego Padewskiego, wprowadzonego w ich kaplicy; obserwował ową groźną a nieuczciwą konkurencję, morderczą dla kościoła Św. Marcina, parafii jego ulubieńca, księdza Quandieu. Strapienie jego potęgowała świadomość, że za kapucynami murem stoją jezuita, wszystkie posłuszne oddziały jego wroga, ojca Crabot, którego wpływ wyczuwał wszędzie, ojca Crabot, który krzyżował jego poczynania i roił o sprawowaniu – na miejsce i na stanowisku biskupa – władzy w całej diecezji. Biskup Bergerot zarzucał jezuitom, że ściągają Boga do ludzi, zamiast skłaniać ludzi, aby się oddawali Bogu, obwinał ich o kompromisową uległość wobec względów światowych, poczytywał za sprawców rozluźnienia wiary i praktyk religijnych, co, jego zdaniem, stanowiło dla Kościoła śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego też w obliczu sprawy Simona, zaalarmowany tak zaciekle nagonką na nieszczęśliwego nauczyciela, zbadał starannie rzecz całą wraz z księdzem Quandieu, posiadającym źródłowe informacje. Wtedy z pewnością ustalił się jego pogląd na tę sprawę – i może nawet znał nazwisko rzeczywistego winowajcy. Ale jakże postąpić, jak tu rzucić oskarżenie na zakonników bez obawy zaszkodzenia samej religii? Tak daleko nie sięgała jego odwaga. Niewątpliwie ten przymus milczenia przejmował go wielką goryczą i ze swej również strony z niepokojem przeżywał tę potworną i tragiczną awanturę, w którą wplątano jego wymarzony Kościół – Kościół pokoju, sprawiedliwości i dobroci.

Jednakże biskup Bergerot nie poddał się całkowicie; Nie mógł się pogodzić z myślą o opuszczeniu kochanego księdza Quandieu, o pozostawieniu go ostatecznie na pastwę tych, których nazywał „kupczakami w świątyni”. Tedy przy sposobności objazdu pasterskiego wstąpił do Maillebois, aby osobiście odprawić nabożeństwo i w ten sposób przywrócić wszystkim świetność przastarej i dostojnej katedrze Św. Marcina, której nawa pochodziła z XIV wieku. Tam to wygłaszając kazanie nie zawahał się ganić prostackich zabobonów, wskazał nawet wyraźnie, że chodzi mu o handel, który prowadzą kapucyni w swej jarmarcznie prosperującej kaplicy. Nikt nie miał wątpliwości, każdy wyczuł cios wymierzony nie tylko ojcu Teodozjuszowi, ale tym samym także ojcu Crabot. A gdy Jego Ekscelencja w zakończeniu swego przemówienia wyraził nadzieję, że Kościół we Francji pozostanie nieskałanym źródłem wszelkiej prawdy i sprawiedliwości, wzburzenie jeszcze wzrosło, gdyż dopatrzone się w tym aluzji do sprawy Simona, zarzucono biskupowi, że braci szkolnych wydaje na łup Żydom, sprzedawczykom i zdrajcom. Po powrocie do pałacu biskupiego Jego Ekscelencja przerażeniem rozpamiętywał swoje odważne wystąpienie, spełniając nalaną teraz już po brzegi czarę goryczy; a jego przyjaciele opowiadali o dziękczynnej wizycie księdza Quandieu, podczas której arcybiskup i skromny proboszcz płakali wspólnie.

W Beaumont rosło podniecenie, w miarę jak się zbliżała data sesji sądu przysięgłych.

Zatwierdziwszy akt oskarżenia, prokuratura przesłała go do sądu. Rozprawę wyznaczono na dwudziestego października. Toteż postawa biskupa do reszty rozpełtała namiętności. Każdego ranka „Le Petit Beaumontais” wznawiał swój posiew nienawiści, ogłaszając niegodziwe artykuły, pełne kłamstw i potwarzy. W wypadach przeciwko biskupstwu był teraz jeszcze gwałtowniejszy od samego „Croix de Beaumont”, pisma będącego przecie w rękach jezuitów. Stronnikom Simona to niespodziane poparcie ze strony biskupa Bergerot dodało nieco otuchy. Ale przeciwnicy skorzystali ze sposobności, aby opinię publiczną znieprawić nowymi plotkami, między innymi niesłychaną wieścią o zawiązaniu się komitetu żydowskiego, który szastając milionami ma sobie skaptować możnych tego świata. Tak na przykład biskup Bergerot otrzymał trzy miliony. Teraz całe miasto ogarnęło jakieś zbrodnicze szaleństwo. Od nizin aż do szczytów społecznych, od robotniczej dzielnicy Mauviot do arystokratycznej alei des Jaffres, poprzez ulicę Fontanier oraz wąskie sąsiednie zaułki, stanowiące siedlisko drobnego handlu, walka stawała się coraz zaciętsza, przy czym nielicznych obrońców Simona zalewała wciąż wzrastająca groźna fala jego wrogów. Dyrektor École Normale, Salvan, którego podejrzewano, że sprzyja Simonowi, stał się przedmiotem szyderczej demonstracji, natomiast kierownikowi liceum, antysemitie i patriocie Depinvilliers, zgotowano gorącą owację. Bandy płatnych zbirów, uliczna zbieranina, do której przyłączyła się również młodzież klerykałna, włóczyły się po mieście, wygrażając żydowskim sklepom. I jakże bolesny był widok robotników republikańców, wśród nich paru socjalistów, gdy odwracali się obojętnie, a niektórzy nawet stawali po stronie bezprawia. Rozpętał się terror, podłość przybrała olbrzymie rozmiary, wszelkie siły społeczne sprzymierzyły się przeciwko nieszczęsnemu podsądnemu, który z głębi swej celi nie przestawał wołać, iż jest niewinny. Grupa uniwersytecka, z rektorem Forbes na czele, przycichła już zupełnie z obawy, aby się nie narazić. Władza administracyjna, reprezentowana przez prefekta Hennebise, pragnąc uniknąć wszelkich kłopotów, od pierwszego dnia ogłosiła neutralność. Działacze polityczni, senatorzy i posłowie – jak to przewidział Lemarrois – milczeli lękając się, że stracą mandaty, jeżeli będą głosić co innego niż ich wyborcy. Nie liczący się już z osobą biskupa kler, którego rzeczywistym kierownikiem był ojciec Grabot, domagał się inkwizycyjnych stosów, wytępienia Żydów, protestantów i masonów. Armia, ustami generała Jarousse, także żądała oczyszczenia kraju oraz przywrócenia władzy cesarskiej lub królewskiej po wycięciu w pień bezbożników i zaprzańców. Pozostawali przedstawiciele sprawiedliwości, ku nim zwracały się nadzieje wszystkich, gdyż od nich przecie zależało rozstrzygnięcie, wyrok skazujący parszywego Żyda, co było jedyną rękojmą zbawienia Francji! Prezes Gragnon i prokurator Raoul de la Bissonnière stali się tedy najważniejszymi osobistościami; nikt nie wątpił, jaka będzie ich decyzja, gdyż powszechnie wiedziano o ich wrogim dla Simona nastawieniu, a przy tym o żądzy awansu i namiętym pragnieniu poklasku tłumów.

Kiedy zostały ogłoszone nazwiska sędziów przysięgłych, wzmogła się zawierucha kłótni

i intryg. W gronie tych przysięgłych znajdowało się wielu sklepikarzy, kilku przemysłowców, dwóch emerytowanych kapitanów, jeden lekarz i jeden architekt. I niezwłocznie przystąpiono do kampanii, wywierając na nich groźny nacisk; „Le Petit Beaumontais” ogłosił nazwiska i adresy przysięgłych, rzucając ich na pastwę rozwścieczonej tłuszczy, jeżeli nie wydadzą wyroku skazującego. Otrzymywali listy anoni – mowe, nieoczekiwane wizyty przyprawiały ich o drzenie, najbliżsi błagali, by nie zapomnieli, że mają żony i dzieci. Tymczasem w salonach przy alei des Jaffres stało się modną zabawą obliczanie szans, przewidywanie, jak będzie głosował każdy z sędziów. Zgadywanie, czy ława przysięgłych wyda wyrok skazujący czy nie, było grą towarzyską. Zwłaszcza w soboty, dnia przyjęć u pięknej pani Lemarrois, o tym tylko mówiono. A schodziły się tam wszystkie panie: generałowa Jarousse, mała, czarniawa brzydulka, co jej zresztą, jak powiadano, nie przeszkadzało szkaradnie przyprawiać generałowi rogi; prezesowa Gagnon, jeszcze wspaniała, bardzo marzycielska, adorowana przez młodych aplikantów; prefektowa Hennebise, sprytna i przezorna paryżanka, w wypowiedziach skąpa, a przysłuchująca się uważnie; widywano tam też zgryźliwą panią Daix, żonę sędziego śledczego, czasem zaś nawet prokuratorową de la Bissonnière, niewiastę łagodną i cichą, rzadko odwiedzającą salony. Wszystkie te damy spotkały się na wielkim przyjęciu wydanym w Désirade przez państwa Sangleboeuf za poradą barona Nathan, który zdołał skłonić swą córkę Leę, dzisiejszą katoliczkę Marię, by się otrząsnęła z bezwładu i wzorem tych dam stanęła na usługi dobrej sprawy. Istotnie rola, jaką tu odegrały kobiety, była wcale poważna: starczyły za całą armię, jak to określił młody deputowany Marcilly, który, oczekując rozstrzygnięcia, na razie z jednymi był *pro*, z drugimi *contra*. W końcu rozgorzał jeszcze jeden spór do reszty wzburzając umysły, mianowicie kiedy „Le Petit Beaumontais” pewnego ranka wysunął kwestię drzwi zamkniętych, podkreślając konieczność usuwania publiczności z sali sądowej w drażliwych momentach rozprawy i podczas przesłuchiwania niektórych świadków. Wystąpienie dziennika było bez wątpienia inspirowane; wyczuwało się w tym pomyśle głęboką znajomość psychologii tłumu, liczenie na ten cały ładunek potworności, którym tajemnica obciąża – ży oskarżenie, na to, że następnie łatwiej będzie okolicznościami nie znanymi publiczności umotywować skazanie niewinnego. Życzliwi Simonowi, wyczuwszy niebezpieczeństwo, zaprotestowali domagając się jawności rozprawy; natomiast przeciwnicy, przejęci świętym oburzeniem, podnieśli gwałt pytając, czy przyzwoici ludzie mają być narażeni na wysłuchiwanie wstrętnych szczegółów, takich jak na przykład sprawozdanie lekarza sądowego, gdzie wyniki sekcji były podane w sposób niedopuszczalny dla uszu kobiet. Tak tedy przez cały ostatni tydzień trwał w Beaumont okrutny zamęt.

Nadszedł wreszcie wielki dzień – dwudziestego października. Z chwilą rozpoczęcia się roku szkolnego Marek powrócił do Jonville wraz z Genowefą i Ludwiką, które tego roku panie Duparque i Berthereau gościły u siebie przez całe wakacje. Chętnie na to przystał, ponieważ przebywając w Maillebois mógł bardziej bezpośrednio prowadzić swoje „śledztwo”, pozostało

ono wszakże bez wyniku. Jednak pobyt w domu „tych pań”, gdzie nigdy nie padło ani jedno słowo na temat tej głośnej sprawy, tak go kępował, że z radością powitał swoją spokojną szkołę, szczęśliwy, iż oto znów go otacza gromadka wesołych dzieci; przywiązał się do wielu spośród nich. Oczekiwał ze wzruszeniem i niecierpliwością rozpoczęcia procesu, na który zgłosił się w charakterze świadka obrony, by zeznawać o moralnym życiu Simona, i odżywała w nim uporczywa nadzieja, że zwycięży prawda i sprawiedliwość; znowu teraz wierzył, że sprawa zakończy się wyrokiem uniewinniającym. Wydawało mu się niemożliwe, aby dzisiaj we Francji, kraju wolności i szlachetności, można było kogoś skazać bez dowodów winy. Gdy rankiem w poniedziałek przybył do Beaumont, wydało mu się, jakoby w mieście zarządzono stan oblężenia: skoszarowane oddziały wojska trzymano w pogotowiu, żandarmi i żołnierze strzegli dostępu do gmachu sądu; żeby się tam dostać, musiał przezwyciężyć mnóstwo przeszkód, chociaż miał formalne wezwanie. Wewnątrz schody i korytarze również były obsadzone strażą. Bardzo obszerna sala rozpraw lśniła od złocen i sztucznych marmurów w jaskrawym świetle, płynącym z sześciu dużych okien. Już na dwie godziny przed rozpoczęciem posiedzenia było pełno; tuż za fotelami sędziów skupiło się najwytworniejsze towarzystwo Beaumont; wystrojone damy siedziały po trosze wszędzie, nawet na ławach przeznaczonych dla świadków; w głębi stała teraz już dość hałaśliwa publiczność – publiczność specjalnie dobrana, typy sług kościelnych, płatni manifestanci uliczni wraz z towarzyszącą im garstką fanatyków spośród młodzieży katolickiej. Oczekiwanie trwało długo, Marek miał dosyć czasu, aby przyjrzeć się twarzom i uświadomić sobie, w jakiej atmosferze wrogich namiętności będzie się toczyć rozprawa.

Wreszcie na salę wszedł sąd: Gragnon ze swymi asesorami, a za nimi prokurator de la Bissonnière. Z formalnościami wstępnymi załatwiono się szybko. Wśród publiczności rozeszła się pogłoska, iż skompletowanie grona przysięgłych było dość mozolne, gdyż kilku kandydatów pod różnymi pozorami zażądało zwolnienia, tak bardzo lękali się odpowiedzialności związanej z uczestnictwem w tym procesie. W końcu dwunastu przysięgłych, obranych drogą losowania, przedfilowało kolejno i z ponurymi minami skazańców zajęło swe miejsca. Było tam pięciu sklepikarzy, dwóch przemysłowców, dwóch rentierów, lekarz, architekt i emerytowany kapitan. Architekt nazwiskiem Jacquin, człek pobożny, pracujący dla biskupstwa, jako pierwszy z wylosowanych, objął przewodnictwo ławy przysięgłych. Obrona nie oponowała, gdyż Jacquin cieszył się zasłużenie opinią człowieka skrupulatnego, prawego i poczciwego. Zresztą, na widok tych ludzi, których przybycia gorączkowo wyczekiwano i których nazwiska obiegiły całą salę, w obozie przeciwników Simona zapa – nowało jakby rozczarowanie. Ten i ów z przysięgłych musiał się wydać niepewny... spodziewano się bardziej wyraźnego zespołu, zdecydowanego już z góry na wydanie werdyktu o winie.

Zapadła głęboka cisza; rozpoczęło się przesłuchanie Simona. Kiedy wchodził do sali, wątpy i niezgrabny, wywarł niemiłe wrażenie, a potem gdy wyprostowany rzucał odpowiedzi tonem

oschłego spokoju, wydał się wręcz bezczelny. Prezes Gragnon przybrał swą drwiącą maskę „od wielkiego święta”, lustrując szarymi oczkami przede wszystkim adwokata obrony, mecenasa Delbos, którego nazywał anarchistą, obiecując sobie, że go obali jednym prztyczkiem. Tymczasem dowcipkował usiłując rozśmieszyć publiczność, stopniowo coraz bardziej rozdrażniony spokojną postawą podsądnego, którego – jako że nie kłamał – nie podobna było przyłapać na sprzeczności ani zbić z tropu. Gragnon stał się tedy wręcz arogancki, starając się daremnie wywołać protest ze strony Delbosa, obrońca bowiem dobrze wiedząc, z kim ma sprawę, uśmiechnął się w milczeniu. I ostatecznie, po pierwszym dniu rozprawy, stronnicy Simona opuścili salę w dobrym nastroju, przeciwnicy zaś – mocno zaniepokojeni, gdyż oskarżony w jasnych odpowiedziach dokładnie ustalił zarówno godzinę swego powrotu do Maillebois, jak to, że udał się wprost do pokoju żony. Przewodniczący nie mógł tym jego oświadczeniom przeciwstawić nic pewnego, dowiedzonego. Po zamknięciu posiedzenia wychodzących świadków obrony odprowadzono gwizdami, omal nie doszło do bójki na schodach gmachu sądowego.

We wtorek rozpoczęto przesłuchiwanie świadków przy jeszcze większym napływie publiczności. Pierwszy zeznawał nauczyciel Mignot; tym razem okazał się mniej kategoriyczny niż na śledztwie, nie śmiać już sprecyzować, o której godzinie usłyszał odgłosy kroków i rozmów, jak gdyby jego sumienie prostodusznego i poczciwego czło – wieka zatrwożyło się w obliczu groźnych następstw takiego świadectwa. Natomiast panna Rouzairé wystąpiła z bezlitosną surowością i precyzją, podawała z całym spokojem dokładną porę: godzinę dziesiątą czterdzieści pięć, dodając nawet, że doskonale poznała głos i chód Simona. Potem nastąpiła długa defilada kolejarzy, urzędników akcyzy, przygodnych przechodniów, którzy mieli ustalić, czy podsądny przyjechał pociągiem odchodzącym o godzinie pół do jedenastej, jak wynikało z aktu oskarżenia, czy też wrócił pieszo, jak to sam utrzymywał; te długotrwałe zeznania, zagmatwane i sprzeczne, pozostawiły wrażenie raczej przychylne dla obrony. Następnie przyszła kolej na ojca Filibina i brata Fulgencjusza. Pierwsze z tych zeznań, bardzo zwięzłe, sprawiło zawód, albowiem jezuita poprzestał na kilku bezbarwnych zdaniach o tym, jak zastał ciało chłopczyka leżącego na podłodze przy łóżku. Zgoła inaczej wypadło zeznanie brata Fulgencjusza: ubawił on całe audytorium gwałtownością, z jaką przedstawił ten sam fakt, gestykulując przy tym niesamowicie, jak pajac na sznurku; i rad z wywieranego wrażenia, nie przestawał kluczyć, gmatwając sprawę na niekorzyść podsądnego. Wreszcie wezwano trzech suplentów, braci: Izydora, Łazarza i Gorgiasza, świadków powołanych przez obronę. Wobec dwóch pierwszych Delbos ograniczył się do postawienia kilku małoważnych pytań, lecz gdy przed sądem stanął brat Gorgiasz, adwokat powstał przyglądając mu się bacznie. Dawny chłopaczek wiejski, syn ogrodnika z Valmarie, Jerzy Plumet – jako brat Gorgiasz, ignorantyn, stał się krzepkim drabem, czarnym, wygolonym, chudym i żyłastym, o niskim tępych czole,

o wystających kościach policzkowych i grubych ustach pod wydatnym orlim nosem. Nerwowy skurcz ściągał z lewej strony jego górną wargę, odsłaniając mocne zęby w mimowolnym, niesamowitym uśmiechu, równocześnie brutalnym i drwiącym. Kiedy się ukazał w starym czarnym habicie z białą koloratką wątpliwej czystości, po zgromadzonych przebiegł jakiś dreszcz. I z miejsca między adwokatem a zakonnikiem zawiązał się pojedynek, padały pytania ostre jak pchnięcia szpady, odpowiedzi trafne jak odparowania, dotyczące wieczora, w którym został dokonany mord, czasu zużytego przez świadka na odprowadzenie małego Polidora, godziny powrotu do szkoły. Zdezorientowana publiczność słuchała nie zdając sobie sprawy z kapitalnej doniosłości przesłuchania tego nie znanego jej osobnika. Zresztą brat Gorgiasz, ze swą miną porywczą i szyderczą, na wszystko miał odpowiedź, przedstawiał dowody, stwierdzał, że już od godziny pół do jedenastej leżał w łóżku w swej celi; a gdy wezwano ponownie braci: Izidora i Łazarza, oraz sprowadzono odźwiernego szkoły jak również dwóch zapóźnionych w ową noc spacerowiczów, mieszkańców Maillebois – wszyscy pod przysięgą potwierdzili oświadczenie ignorantyna. Zaznaczyć należy, iż to starcie nie obyło się bez interwencji przewodniczącego Gragnon, który znalazł sposobność odebrania głosu Delbosowi, uznając, że obrońca zadaje mnichowi pytania obraźliwe. Adwokat replikował, wysunął wnioski. Podczas tego starcia brat Gorgiasz zdawał się tryumfować łypiąc oczami wzgardliwie, spode łba, jakby arogancko zapewniał, że się niczego nie lęka pod opieką swego gniewnego i karcącego Boga, tak groźnego dla bezbożnych. Niemniej, chociaż nie osiągnął niczego, co by mógł bezpośrednio użytkować, incydent wywołał niemałe zamieszanie; można było wśród publiczności zauważyć ludzi zaniepokojonych perspektywą, iż wobec wątpliwości, powstałych w umysłach przysięgłych, Simon gotów wyjść cało z opresji. A lęk ten musiał objąć całą Kongregację, nastąpił bowiem nowy incydent, mianowicie po wypowiedzi rzeczoznawców, panów Badoche i Trabut, którzy ku powszechnemu zdumieniu wyjaśnili, jak w skróconym podpisie na wzorku kaligraficznym od – najdują inicjały Simona, choć nikt jakoś ich tam nie dostrzegął... Tak więc ów wzorek stanowił jedyny dowód rzeczowy w procesie, cała sprawa na nim się opierała, oświadczenie ekspertów nabierało ogromnej doniosłości, rozstrzygało o winie Simona. I wtedy to, wsłuchany uważnie w tok przewodu, ojciec Filibin poprosił przewodniczącego o udzielenie mu głosu. Stanąwszy przed sądem zakonnik, początkowo tak cichutki i rozmyślnie przygaszony, grzmiącym głosem opowiedział krótką historyjkę o jakimś liście Simona do przyjaciela, liście opatrzonym identycznym podpisem. A wobec nalegań prezesa Gragnon, domagającego się bliższych szczegółów, mnich wzniosł rękę w kierunku krucyfiksu i z teatralnym patosem oświadczył, że to tajemnica spowiedzi, i nic więcej nie chciał już dodać. Tak zakończył się drugi dzień procesu, wśród ogólnego podniecenia i nieopisanej wrzawy.

Nazajutrz, w środę, wyłoniła się kwestia tajności rozprawy. Chodziło o protokół lekarza sądowego oraz zeznania dzieci. Przewodniczący miał prawo zarządzić opróżnienie sali. Nie

kwestionując tego prawa, adwokat Delbos zwrócił uwagę na to, jak bardzo niebezpieczne jest wprowadzanie czynnika tajemnicy, i w końcu wystąpił z szeregiem wniosków. Nie wpłynęło to na zmianę decyzji przewodniczącego, którą liczni na sali żandarmi natychmiast wykonali wypychając stłoczoną publiczność. Ludzie, niesamowicie podnieceni, potracali się wzajemnie – następnie w kularach rozgorzały namiętne dyskusje. Gorączkowy nastrój wzrastał się przez całe dwie godziny trwania rozprawy przy drzwiach zamkniętych. Coraz nowe informacje, przerażające wieści obiegały tłum, jak gdyby to, o czym była mowa w sali posiedzeń, przesiąkało skroś ściany. Naprzód omawiano sprawozdanie lekarza sądowego, komentując każde słowo, dodając nie znane do – tychczas okropne szczegóły, dowodzące niezbieżności winy Simona. Potem z kolei zeznawali jego uczniowie: Bongard, Doloir, Savin i Milhomme. Przypisywano im wyznania, których nigdy nie poczynili. Ustalała się pewność, że Simon wszystkich ich pohańbił. Wreszcie posunięto się wręcz do twierdzenia, iż wniesiony przez Delbosa sprzeciw był tylko komedią i że to poplecznicy oskarżonego sami domagali się tajności rozprawy, aby ocalić szkołę świecką przed tak ciężką kompromitacją. Czyż z tą chwilą wyrok skazujący nie był całkiem pewny? Gdyby bowiem ktokolwiek żywił jakieś skrupuły wobec braku dowodów, że to właśnie Simon zgwałcił i zamordował Zefiryńka; odpowiedziano, iż sąd zyskał dowody w zeznaniach złożonych przy drzwiach zamkniętych i nie znanych ogółowi. Kiedy znów otwarto salę, publiczność wdarła się do wnętrza burzliwą falą, rozglądając się po kątach, węsząc, zgłodniała wyobraźnią chłonąc potworne szczegóły. Ale na zakończenie tego dnia procesu złożyły się już tylko zeznania świadków obrony – w ich liczbie przemawiał i Marek – którzy mieli scharakteryzować, moralną sylwetkę oskarżonego; wszyscy stwierdzili, jak dobrym i łagodnym człowiekiem był Simon, opisali jego miłość, jego przywiązanie do żony i dzieci. Spośród tych świadków jeden tylko na chwilę zajął uwagę zebranych, a mianowicie inspektor szkół powszechnych Mauraisin, któremu Delbos rozmyślnie sprawił nielada kłopot, powołując go przed sąd. Występując w charakterze oficjalnego przedstawiciela uniwersytetu Mauraisin pragnął przypodobać się przeciwnikom Simona, a zarazem obawiał się niezadowolenia ze strony bezpośredniego zwierzchnika, inspektora szkół wyższych Le Barazera, będącego, jak to wiedział, dyskretnym sympatykiem oskarżonego; musiał więc przede wszystkim potwierdzić wyrażoną we własnych raportach doskonałą opinię o Simonie, po czym mógł tylko próbować osłabić wrażenie mglistymi insynuacjami co do jego mo – ralności, skrytości charakteru i sekciarskiej gwałtowności przekonań religijnych.

Następne dwa dni, czwartek i piątek, wypełniły przemówienia prokuratora i obrońcy. W czasie przewodu prokurator de la Bissonnière zachowywał jak największą rezerwę, powstrzymując się od interwencji, notując coś na boku, lustrując własne paznokcie. Właściwie czuł się dość nieswojo, rozważał, czy wobec kruchości dowodów nie przyjdzie mu zrezygnować z niektórych punktów oskarżenia. Toteż jego mowa prokuratorowska wypadła dość blado. Dla

poparcia oskarżenia poprzestał jedynie na uwypukleniu prawdopodobieństwa winy, a zakończył po prostu prośbą o wymiar sprawiedliwości. Przemówienie trwało nie więcej niż dwie godziny, sukces był mierny, za to zaniepokojenie znaczne. Po prokuratorze zabrał głos Delbos, lecz nie starczyło mu czasu i swoje przemówienie obrończe, wygłoszone z wielkim spokojem i opanowaniem, zakończył dopiero nazajutrz. Rozpoczął od wizerunku Simona, którego ukazał na tle szkoły, otoczonego przywiązaniem i szacunkiem, oraz przy ognisku domowym w towarzystwie uroczej żony, przemiłych dzieci. Następnie, opisawszy potworną, bestialską zbrodnię, rzucił pytanie retoryczne: czy taki człowiek jest zdolny popełnić podobny czyn? Rozpatrzył kolejno rzekome dowody winy, wykazując ich nicość. W szczególności o wzorku kaligraficznym i orzeczeniu obydwu ekspertów mówił druzgocąco; dowiódł, iż ten jedyny rzeczowy punkt oskarżenia nie może dotyczyć Simona, przedstawił namacalnie absurdalność wywodów panów Badoche i Trabut. Polemizował, obalał zeznania, nawet te, które składano przy drzwiach zamkniętych, czym się ponownie naraził na upomnienie ze strony prezesa Gragnon; wywiązała się gwałtowna sprzeczka. Od tego momentu poczynając, adwokat przemawiał pod ustawiczną groźbą, iż mu odbiorą głos, i z obrońcy przeszedł do roli oskarżyciela, zwracając uwagę sądu na braci szkolnych oraz na kapucynów, a nawet na jezuitów. Precyzując zarzuty zaatakował w końcu samego ojca Crabot, chcąc w myśl swego planu „wymierzyć cios w głowę”. Tylko któryś z braciszków mógł dokonać zbrodni; Delbos nie wymieniając nazwiska wskazał, iż chodzi o brata Gorgiasza, wyłuszczył wszystkie motywy utwierdzające go w tym przeświadczeniu, odmalował skrytą robotę, rozległe sprzysiężenie klerykałów, zwrócone przeciwko Simonowi, konieczność uzyskania wyroku na niewinnego, ażeby ocalić winowajcę. I – kończąc przemówienie – zwrócił się do ławy przysięgłych wołając, że żąda się od nich skazania nie mordercy Zefiryńka, lecz Żyda i nauczyciela szkoły świeckiej. To zakończenie mowy obrończej, przerywane wielokrotnie upomnieniami przewodniczącego i wrogimi okrzykami z sali, ostatecznie uznane zostało za tryumf oratorski, klasyfikujący Delbosa jako pierwszorzędnego adwokata, lecz klient miał przypłacić ten tryumf ciężkim wyrokiem... Istotnie, La Bissonnière z miejsca przybrał wyraz bolesnego oburzenia, występując z repliką. Wydarzył się skandal bezprzykładowy: obrońca ośmielił się, bez ważkich dowodów, rzucić oskarżenie na jednego z braciszków. Co gorsza, oskarżył o współnictwo przełożonych tego zakonnika oraz innych duchownych, nie wyłączając nawet wysokiej osobistości, przed którą wszyscy ludzie uczciwi z szacunkiem chylą czoło. Oznacza to zniewagę religii, rozpętanie anarchistycznych namiętności, zatracenie całego kraju przez bezbożników pozbawionych patriotyzmu. Po tym wstępie prokurator w ciągu blisko trzech godzin przesadnie kwiecistymi frazesami grzmiał przeciwko wrogom społeczeństwa, prężąc swą drobną postać, jak gdyby w poczuciu, iż oto zmierza ku tak upragnionym wysokim godnościom. W zakończeniu dał upust ironii, zapytując, czy fakt, że ktoś jest Żydem, wystarcza za dowód niewinności; wezwał przysięgłych, by rzecz

zbadali z całą surowością, i zażądał gardła nik – czemnego deprawatora i dzieciobójcy. Zerwały się frenetyczne oklaski, po czym gwałtowna, desperacka replika Delbosa pogrzyżyła go do reszty w oczach tłumu, który obrzucił adwokata gradem wyzwisk i pogróżek.

Była już godzina siódma, kiedy przysięgli oddalili się na naradę. Wobec niewielu pytań sformułowanych przez sąd spodziewano się, że uporają się z tym w niespełna godzinę, tak iż zdąży się jeszcze na obiad. Zapadał zmrok, obszerną salę słabo oświetlało kilka dużych lamp, rozstawionych na stołach. Na ławie prasowej, gdzie jeszcze pracowali przybyli z różnych stron dziennikarze, zatknięto parę świec, które przypominały gromnice. W tej zadymionej i przegrzanej sali, pełnej olbrzymich, tragicznych cieniów, wszystkie panie pozostały na swych miejscach, tłum uporczywie trwał w oczekiwaniu, niesamowity w tym upiornym świetle. Wyzwalały się namiętności, rozprawiano na głos, panował ogłuszający zgiełk, podniecenie kipiące jak w rozprażonym kotle. Nieliczni stronnicy Simona tryumfowali twierdząc, że ława przysięgłych nie może orzec winy. Przeciwnicy, których na sali było pełno dzięki przezornym zarządzeniom prezesa Gragnon, okazywali silne zdenerwowanie; chociaż bowiem replika prokuratora spotkała się z burzliwą owacją, byli niespokojni, że ofiara może się im wymknąć z rąk. Rozeszła się pogłoska, że przewodniczący ławy przysięgłych, architekt Jacquin, zwierzył się komuś, jako sędzia, ze swej rozterki, wobec całkowitego braku dowodów winy. Wymieniano trzech innych sędziów, których postawa w czasie przewodu sądowego wydała się przychylna dla oskarżonego. Wyrok uniewinniający zdawał się możliwy wbrew przewidywaniom; pełne napięcia chwile przeciągały się w nieskończoność. Wybiła godzina ósma, potem dziewiąta, a sędziowie wciąż się nie zjawiali. Od dwóch godzin tkwili w sali obrad, snadź nie mogąc uzgodnić swego orzeczenia; wskutek tego nastrój niepewności jeszcze się wzmacniał. Chociaż drzwi do tej sali były szczelnie zamknięte, jakieś wieści, nie wiadomo jakim sposobem, przenikały stamtąd, rozdrażniając ostatecznie publiczność, udręczoną głodem, znużeniem i niecierpliwością. Nagle dowiedziano się, że przewodniczący ławy przysięgłych w imieniu całego zespołu poprosił prezesa sądu o przybycie do pokoju narad. Ktoś inny utrzymywał, że to właśnie sam prezes Gragnon oświadczył tym panom, iż jest do ich dyspozycji, nalegając, by się z nim porozumieli, co wydawało się niezbyt poprawne. I znów czekano, upływały długie minuty. Cóż tam robi przewodniczący wśród przysięgłych? Stosownie do przepisów powinien był ich jedynie informować o odpowiednich paragrafach kodeksu, w przypadku gdyby nie wiedzieli, jakie będą następstwa wydanego przez nich orzeczenia. Ale trwało to jakoś bardzo długo jak na zwykle wyjaśnienia tego rodzaju... Rozeszła się tedy nowa pogłoska wśród znajomych prezesa Gragnon, którzy jakby nie zdawali sobie sprawy z jej niedorzeczności: oto prezes udzielił przysięgłym jakiejś niezwykle doniosłej wiadomości; chodziło o nowy, uzyskany już po zamknięciu przewodu sądowego dowód rzeczowy, o którym uznał za konieczne powiadomić grono przysięgłych, z wyłączeniem obrony i obwinionego. Biła godzina dziesiąta kiedy

przysięgli ukazali się znów na sali.

Wtedy w czerwonym blasku światła na tle ruchomej masy cieni, wśród naprężonej ciszy, jaką sala przywitała powrót zespołu sądzącego, wstał przewodniczący ławy przysięgłych, architekt Jacquin. Był bardzo blady, widać było dokładnie jego postać oświetloną promykiem lampy. Głosem dosyć niepewnym wypowiedział przepisową formułę. Sędziowie przysięgli na wszystkie pytania odpowiedzieli „tak”; uznali jednak okoliczności łagodzące – na przekór logice – jedynie gwoli uniknięcia dla oskarżonego kary śmierci. Sąd wymierzył karę dożywotnich ciężkich robót. Wyrok ten odczytał prezes Gragnon swym zwykłym nosowym, lekko drwiącym tonem, z miną zadowolonego z życia hulaki. Spiesznym ruchem prokurator de la Bissonnière zgarnął papiery, jak człowiek odczuwający ulgę i rad z osiągnięcia tego, czego pragnął. Wśród publiczności natychmiast zerwały się gorące oklaski, wycie zgłodniałej sfory, której na łup rzucono dymiące jeszcze wnętrzności długo ściganego zwierza. Był to szal kanibalów raczących się wreszcie ludzkim mięsem. A jednak wśród tej wrzawy usłyszano krzyk górujący nad okrutnym ujadaniem, niezmienny krzyk Simona: „Jestem niewinny! Jestem niewinny!” Ten głos uporczywy zapadł w głąb szlachetnych serc, niby ziarno utajonej prawdy; adwokat Delbos ze łzami w oczach pochylał się ku oskarżonemu darząc go braterskim uściskiem.

Dawid, który wstrzymał się od przybycia na rozprawę, aby nie rozpętywać jeszcze bardziej nastrojów antysemitycznych, czekał na wynik w mieszkaniu Delbosa przy ulicy Fontanier. Aż do dziesiątej liczył upływające minuty, trawiony najokrutniejszą gorączką, nie wiedząc, czy ma się radować, czy smucić takim opóźnieniem. Co chwila wychylał się przez okno, nasłuchując dalekich hałasów. I nastrój ulicy, krzyki kilku przechodniów już mu przyniosły okropną wiadomość, kiedy wyczerpany, zapłakany Marek przybył, aby ją potwierdzić. Towarzyszył mu Salvan, z którym spotkali się przy wyjściu z gmachu sądu; również wstrząśnięty do głębi, Salvan zapragnął widzieć się z Dawidem. Nastąpiła godzina tragicznej rozpacz, w której zdawało się walić w gruzy wszystko, co dobre i sprawiedliwe; a kiedy z kolei przybył Delbos – po odwiedzeniu w celi więziennej Simona, który był jakby rażony piorunem, ale się nie załamał – rzucił się na szyję Dawidowi i uściskał go, tak jak tam uściskał jego brata.

– Och! płacz, przyjacielu! – zawołał. – To największa niesprawiedliwość, jaką popełniono w naszym stuleciu! **IV**

Kiedy po wakacjach Marek urządził się na nowo w Jonville, oprócz trosk wywołanych sprawą Simona czekała go jeszcze inna walka. Oto proboszcz tamtejszy, ksiądz Cognasse, postanowił zdobyć sobie względy wójta Martineau, chłopca z pochodzenia, aby zadać bobu nauczycielowi; w tym celu chciał posłużyć się piękną panią Martineau.

Straszny to był człowiek ów ksiądz Cognasse – wysoki, chudy, kanciasty, z wystającą brodą i spiczastym nosem oraz gęstą czarną grzywą nad niskim czołem. W oczach jego czał się

wojowniczy blask, sękaty, nie bardzo domyte dłonie zdawały się jakby stworzone na to, aby skrócić kark każdemu, kto by mu się ośmielił przeciwstawić. Czterdziestoletni proboszcz miał jedyną sługę w osobie sześćdziesięcioletniej starej panny, Palmiry, trochę garbatej, jeszcze groźniejszej od niego, skąpej i surowej; owa Palmira, postrach okolicy, warowała przy nim szczerząc kły i warcząc jak pies podwórzowy. Ksiądz uchodził za cnotliwego, ale był tęgim żarłokiem, a i wypić potrafił sporo, nigdy się zresztą nie upijając. Chłopski syn, tępy i uparty, ksiądz Cognasse trzymał się ściśle litery katechizmu, twardą ręką rządził swymi parafianami, pilnie przestrzegał własnych praw; szczególnie był wymagający, gdy chodziło o zapłatę, nigdy nikomu, nawet najuboższemu, nie ustąpił grosza. Toteż zapragnął opanować mera Martineau, tak by stać się faktycznym władcą w gminie, co – w zgodzie zresztą z duchem religii – miało mu zapewnić lepsze dochody. Jego starcie z Markiem nastąpiło z powodu kwoty trzydziestu franków, którą gmina dawniej dawała rocznie nauczycielowi *za* dzwonicie na nabożeństwa i którą Marek w dalszym ciągu pobierał, chociaż oświadczył kategorycznie, że więcej dzwonić nie będzie.

Ale Martineau nie był łatwy do ujarznienia, kiedy czuł za sobą oparcie. Był to rówieśnik księdza, krzepkiej budowy, jasnooki rudzielec o kwadratowej twarzy, małowówny i nieufny. Uchodził za najzamożniejszego rolnika w gminie, rozległe gospodarstwo zdobyło mu poważanie współobywateli, i od lat dziesięciu bez przerwy piastował urząd wójta gminy Jonville, gdyż w każdych wyborach opowiadano się za nim ponownie. Nie mając wykształcenia, umiejąc ledwo czytać i pisać, Martineau unikał wypowiedzania się w sprawie konfliktu szkoły z kościołem; obrał politykę trzymania się na uboczu, mimo że w końcu zawsze wybierał między księdzem a nauczycielem, opowiadając się za tym, kto mu się wydawał mocniejszy. Lecz w głębi duszy skłaniał się raczej ku nauczycielowi, miał bowiem we krwi ową niezyczliwość, ową odwieczną urazę chłopca do księdza, do leniwego sybaryty, co nic nie robi, a chce być opłacany, co sięga po kobietę i deprawuje dziewczynę w imię jakiegoś niewidzialnego, zawistnego i złośliwego Boga. Jednakże, choć nie praktykujący, Martineau nigdy osobiście nie wystąpił przeciwko proboszczowi, uważając, że ci ludzie są bądź co bądź diabelnie mocni. I dopiero spokojna energia, silna wola i inteligencja Marka sprawiły, że wójt stanął po jego stronie, pozwalając mu działać – sam nie angażując się zbytnio.

Wtedy to ksiądz Cognasse wpadł na pomysł posłużenia się piękną wójtową, nie dlatego, że była jego penitentką, gdyż i ona również nie praktykowała, lecz ponieważ widywał ją w kościele we wszystkie niedziele i święta. Była to silna brunetka o dużych oczach i świeżych ustach, z bardzo już wydatnym biustem. Uchodziła za kokietkę i rzeczywiście lubiła paradować w coraz to nowej sukni, nosić koronkowe czepki, przystrojając się złotą biżuterią. To właśnie było przyczyną jej gorliwości w uczęszczaniu na nabożeństwa; kościół stał się dla niej terenem rozrywki i kokieterii, jedynym miejscem spotkań towarzyskich, gdzie mogła występować

w pełnym blasku, przyglądać się i być ogladaną, lustrować wszystkie sąsiadki. W wiosce liczącej zaledwie ośmiuset mieszkańców, wobec braku jakiegokolwiek innego miejsca zebrani i okazji do uroczystości i zabaw, mała, wilgotna nawa kościelna, gdzie ksiądz pośpiesznie odprawiał mszę, stanowiła zarazem salon, salę widowiskową, promenadę, jedyny wspólny teren rozrywek dla spragnionych wrażeń kobiet; i prawie każdą z tych, co tu przychodziły, ściągało – tak samo jak piękną wójtową – jedyne wyznanie wiary: chęć wystrojenia się odświętnie i pokazania się innym. A przy tym jak robiły matki, tak samo też postępowały córki, taki był zwyczaj, tak wypadalo. Gdy więc ksiądz Cognasse zwrócił uwagę na panią Martineau i obsypał ją pochlebstwami, spróbowała wytłumaczyć mężowi, że w sporze o owe trzydzieści franków słuszność ma proboszcz. Atoli Martineau przerwał jej z miejsca i odesłał do dojenia krów, był bowiem człowiekiem starej daty i nie pozwalał kobietom wtrącać się do męskich spraw.

Historia owych trzydziestu franków była właściwie nader prosta. Odkąd Jonville miało nauczyciela, otrzymywał on trzydzieści franków za dzwonienie na wieży kościelnej. Marek, który już tego nie robił, zaproponował radzie gminnej, aby tę kwotę przeznaczyła na inny cel, oświadczając, że jeżeli ksiądz chce mieć dzwonnika, może go sobie sam opłacać. Ze starego, stale spóźniającego się zegara na wieży kościelnej nie wiele było pożytku; a tu właśnie dawny zegarmistrz, który się już wycofał z interesów, zgłosił się z propozycją, że go naprawi i będzie konserwować za trzydzieści franków rocznie. Marek zrazu z niejaką przekorą wdał się w tę sprawę, podczas gdy chłopcy medytowali po prostu nad tym, co będzie dla nich korzystniejsze: czy to, że będą słyszeli dzwon na mszę, czy to, że im zegar będzie wskazywał dokładny czas? O uchwaleniu nowego wydatku w postaci drugich trzydziestu franków nikt z nich nie pomyślał, jako że trzymali się zasady nie obciążania budżetu gminy zbędnymi kosztami. Rozegrała się nielada walka, starcie dwóch potęg: proboszcza i nauczyciela, który ostatecznie zwyciężył; ksiądz Cognasse, mimo płomienne, kazania, mimo gromy potępienia ciskane na zuchwalców chcących zgłuszyć głos Boga, musiał w końcu ustąpić. Lecz oto po kilku miesiącach milczenia na wieży kościoła znów rozkołysał się dzwon, zalewając wioskę wściekłą falą dźwięków. To stara sługa, owa straszna Palmira, swymi kusymi ramionami z furią szarpała sznur.

Odtąd ksiądz Cognasse, rozumiejąc, że wójt wymyka mu się z rąk, przywarował ostrożnie, odzyskawszy giętkość właściwą sługom Kościoła, choć w głębi duszy gniew nie dawał mu spokoju. Marek uczuł się panem sytuacji; Martineau coraz częściej przychodził do niego po radę, coraz lepiej z czasem zdając sobie sprawę, jak rzetelne i krzepkie były te ręce, którym się powierzał. W końcu Marek jako sekretarz urzędu gminnego sprawował dyskretnie władzę w gminie, pozostając zawsze w cieniu, oszczędzając cudze ambicje, tym silniejszy, że był po prostu inteligencją, zdrową i szlachetną wolą kierującą działaniem chłopów spragnionych przede wszystkim spokoju i dobrobytu. Pod jego kierunkiem szlachetne dzieło wyzwolenia postępowało naprzód, oświata rozpowszechniała się szybko, promieniując wszędzie, niwecząc niedorzeczne

przesady; wyganiając precz nędzę z mózgow wraz z nędzą i brudem z ubogich domostw, albowiem tylko świadomość wzbogaca człowieka. Jonville, czystsze niż kiedykolwiek, zapowiadało się teraz na najzasobniejszą i najszczęśliwszą gminę w departamencie. Wypada też zaznaczyć, że Markowi wybitnie pomagała w tym dziele panna Mazeline, nauczycielka szkoły żeńskiej, sąsiadująca z zakładem przez niego samego kierowanym. Była to drobna brunetka, nieładna, ale pełna uroku; miała szeroką twarz o mięsistych pocziwych ustach, wspaniałe czarne oczy pod wysokim wypukłym czołem płonące czułością i poświęceniem. I ona także uosabiała inteligencję, rozsądek, zdrową i prawną wolę; była urodzoną wychowawczynią; dążyła do emancypacji powierzonych jej opiece dziewczynek. Sama ukończyła École Normale w Fontenay-aux-Roses, uczelnię, która dzięki metodzie i sercu znakomitego pedagoga zrodziła cały zastęp pionierek; misję ich stanowiło przygotowanie przyszłych żon i matek. To, że mając dwadzieścia sześć lat była już kierowniczką szkoły, zawdzięczała panna Mazeline rozumnym przełożonym, takim jak Salvan i Le Barazer, którzy spodziewali się po niej pozytywnej pracy. Próbowali jej sił w tej ciemnej wiosce, wprowadzając nieco zaniepokojeni jej postępowymi przekonaniem, obawiając się, by nie naraziła się rodzicom uczennic antyklerykalnym kierunkiem nauczania, płomienną wiarą w to, że kobieta przyniesie szczęście światu, z chwilą gdy wyzwoli się spod księżego wpływu. Ale panna Mazeline działała z wielkim rozsądkiem i pogodą, i choć przestała prowadzić dziewczynki do kościoła, okazywała im tyle macierzyńskiej czułości, uczyła je i doglądała tak troskliwie, że chłopcy poczęli ją uwielbiać. W ten sposób stała się Markowi ogromnie pomocna, naocznie przekonując ludność, że można nie chodzić na mszę, czcić nie tyle Boga, ile pracę i sumienie ludzkie, a niemniej przeto być najzacniejszą, najrozumniejszą i najuczciwszą dziewczyną.

Przegrawszy w Jonville, zmuszony liczyć się z nauczycielem, ksiądz Cognasse dawał upust złości i rozgoryczeniu w sąsiedniej, odległej o cztery kilometry gminie Moreux, która mu również podlegała, nie posiadając własnego proboszcza. Moreux, liczące niespełna dwustu mieszkańców, było wiościzną zagubioną wśród pagórków, o niedogodnych drogach, co ją odosabniało, odcinało od świata; nie było tam jednak ubóstwa, nie znano ani jednego nędzarza, każda rodzina posiadała żyzne grunty i żyła w sennym spokoju, zasklepią w rutynie. Wójt Saleur, tęgi, przysadzisty chłop z bydlęcym pyskiem, z głową wciśniętą w ramiona, były hodowca, wzbogacił się nagle dzięki nader zyskowej sprzedaży swoich łąk, zagród i trzód spółce akcyjnej, skupiającej w swych rękach hodowlę bydła z całego powiatu. Po tej transakcji przeobraził swój dom w zbytkowną willę, stał się rentierem, burżujem, którego syn Honoriusz uczęszczał do liceum w Beaumont, zamierzając potem udać się na studia do Paryża. Toteż, chociaż nie był zbyt lubiany i wielce mu zazdrościono, mieszkańcy Moreux oddawali nań głosy przy każdych wyborach na wójta z tej jedynej racji, iż nie mając nic do roboty, mógł swobodnie zajmować się sprawami gminy. Odciążał się zresztą od tych zadań, chętnie je

spychając na barki nauczyciela Férou, któremu obowiązki sekretarza gminnego przynosiły sto osiemdziesiąt franków rocznie, a który za tę cenę musiał wykonywać niemałą pracę redagując listy, raporty, wypełniając różne papierki, kłopotąc się nieustannie. Całkowicie pozbawiony wykształcenia, ledwo umiejący się podpisać, prymitywny i tępy, choć w gruncie nawet niezły chłop, Saleur traktował Férou po prostu jak maszynę do pisania, patrząc nań ze spokojną wzdargą człowieka, który nie potrzebował tyle nauki, aby zdobyć majątek i żyć dostatnio. Nadto miał mu za złe, że Férou poróżnił się z księdzem Cognasse, odmawiając prowadzenia uczniów do kościoła oraz śpiewania na chórze; co prawda Saleur sam nie praktykował, chodził bowiem na mszę po prostu gwoli dobrych obyczajów, podobnie jak to czyniła jego żona, chuda, rudowłosa kobieta, bezbarwna – ani pobożna, ani płocha, dla której niedzielne nabożeństwo wchodziło w zakres obowiązków chłopki, co została damą; ale buntownicza postawa nauczyciela przyczyniała się do zaognienia ustawicznych zatargów między proboszczem z Jonville a mieszkańcami Moreux. Ci stale biadali, że są traktowani lekceważąco, że się im ciska tylko ochłapy nabożeństw jak z łaski, że są zmuszeni posyłać dzieci do Jonville na naukę katechizmu i przygotowanie do pierwszej komunii; na co ksiądz odpowiadał z pasją, że jeśli się chce tak wykorzystywać Pana Boga, trzeba trzymać własnego proboszcza. Zamknięty w powszednie dni, kościół w Moreux był ponurą i pustą stodołą. Niemniej ksiądz Cognasse każdej niedzieli wpadał tam na pół godziny jak burza, witany przez wszystkich z łękiem, terroryzując gminę swymi wybuchami złego humoru.

Doskonale zorientowany w sytuacji, Marek myślał o koledze Férou z wielkim współczuciem i sympatią. W tym tak zasobnym Moreux on jeden, nauczyciel, nie co dzień miał na chleb. W jego osobie okropna nędza ubogiego bakałarza znajdowała swój tragiczny wyraz. Pracę pedagogiczną rozpoczął, gdy miał już ukończone dwadzieścia cztery lata, jako suplent w Maillebois, pobierając dziewięćset franków rocznie. Obecnie, po sześciu latach pracy, jako nauczyciel etatowy, osadzony w tym zapadłym Moreux z powodu swego buntowniczego usposobienia, otrzymywał wciąż jeszcze zaledwie tysiąc franków rocznie, czyli po potrąceniach sześćdziesiąt dziewięć miesięcznie – dokładnie pięćdziesiąt dwa su dziennie; a miał do Wyżywienia żonę i trzy córeczki. W starej, wilgotnej ruderze, służącej za pomieszczenie dla szkoły, panowała czarna nędza, jadano tam zupy, jakimi wzdargziłyby psy, dziewczynki chodziły w dziurawych bucikach, ich matka nie miała się w co ubrać. A zadłużenie wciąż rosło, groźne, śmiertelne zadłużenie, w jakim grzęźnie tylu niższych pracowników państwowych. Ileż trzeba było heroicznego męstwa, aby możliwie najlepiej ukrywać tę nędzę, z podniesioną głową stać w wytartym surducie, zachowywać się, jak przystoi wykształconemu panu, któremu regulamin zabrania uprawiać jakikolwiek handel, szukać zarobków poza szkołą! Co dzień na nowo rozpoczynała się walka wymagająca cudów energii i woli. Syn pastucha, Férou, którego żywy umysł zachował wrodzoną niezależność, pełnił swoje obowiązki żarliwie, niekiedy nieustępliwie. Jego żona, miła, pulchna blondynka, ekspedientka sklepowa, którą poznał był u jej ciotki,

owocarki w Maillebois, a potem, jak przystało na porządnego chłopca, poślubił, gdy została matką, pomagała mu jak mogła, opiekując się córeczkami, ucząc je czytania i szycia, podczas gdy on mozolił się nad kształceniem swych uczniów, bardzo źle wychowanych, tępych i dokuczliwych. Jakże w tej niewdzięcznej pracy stopniowo nie ulec zniechęceniu, gwałtownym odruchom buntu przeciw niedoli? Urodzony w ubóstwie, Férou zawsze cierpiał biedę, skazany na lichą strawę i łataną odzież; a teraz, kiedy był panem nauczycielem, owa bieda nasiąkała okrutną goryczą. Wszędzie dokoła widział ludzi szczęśliwych, chłopów posiadających gospodarstwa, sytych, chełpiących się nagromadzonym grosiwem. W większości były to głąby, z których niejeden ledwo na palcach potrafił rachować, a chcąc napisać list musiał się do niego zwracać o pomoc. A on, jedyny w okolicy człowiek wykształcony i kulturalny, często nie miał franka na kupno kołnierzyków lub podzelowanie dziurawych butów. Chłopi traktowali go jak parobka, przytłaczali wzgardą z powodu podartej marynarki, której mu w duchu zazdrościli. Ale zwłaszcza druzgocące było dla niego porównanie, jakie czynili nieświadomie między nauczycielem a proboszczem: nauczyciel był lichy płatny, zabiedzony, prześladowany przez aroganckich uczniów i lekceważony przez ich rodziców, słabo popierany przez zwierzchność, pozbawiony istotnego autorytetu; proboszcz natomiast miał znacznie sutsze wynagrodzenie, korzystał, oprócz dochodów ubocznych, z licznych podarków, popierał go biskup, rozpieszczały dewotki; proboszcz przemawiał w imieniu jakiegoś groźnego władcy, władcy gromów, deszczu i słońca. Oto w jaki sposób ksiądz Cognasse, jakkolwiek stale z nimi skłócony, panował nad mieszkańcami Moreux, chociaż ci przestali już wierzyć i niemal zarzucili praktyki religijne. Natomiast nauczyciel Férou, dręczony ubóstwem, pojony żółcią, siłą rzeczy stawszy się socjalistą, był źle notowany z powodu wywrotowych wypowiedzi godzących w ustrój społeczny, który pozwalał zdychać z głodu jemu, przedstawicielowi rozumu i wiedzy, podczas gdy dokoła głupota i ignorancja opływały w dostatki.

Zima była bardzo ostra; już w listopadzie lody i śniegi skuły Jonville i Moreux. Marek dowiedział się, że dwie dziewczynki Férou zachorowały, a ojciec często nie ma na talerz rosółu dla nich. Postanowił więc mu pomóc, ale sam był w tak ciężkich warunkach, że musiał w tej zbożnej akcji powołać do spółki pannę Mazeline. Pobierał, podobnie jak Férou, zaledwie tysiąc franków rocznie; ale jego stanowisko sekretarza gminy było lepiej płatne, a budynek, mieszczący obydwie szkoły, męską i żeńską, przerobiony z dawnej plebanii i powiększony, zapewniał lepsze warunki higieniczne. Aż dotychczas zresztą Marek mógł wiązać koniec z końcem jedynie dzięki szczodrości pani Duparque, babki swej żony; stamtąd się zjawiały sukienki dla dziecka, bielizna dla matki, drobne kwoty jako podarunki świąteczne. Od czasu sprawy Simona pani Duparque nie dawała już nic; powitał to niemal z ulgą, zbyt mu bowiem było ciężko wysłuchiwać przykrych słów, towarzyszących prezentom. Ale jakże się to odbijało na gospodarstwie domowym, ileż było potrzeba wzmożonej pracy, energii i oszczędności, aby, zachowując pełnię godności, trwać na

posterunku! Marek, przywiązany do swej pracy, podjął ją z jakimś bolesnym zapalem, a kiedy odbywał lekcje i spełniał wszystkie obowiązki w tych pierwszych miesiącach zimowych, tak okrutnych dla biedoty, nikt się nawet nie domyślał, ile w nim było głuchego cierpienia, straszliwej beznadziei, wszystko to bo – wiem tłumił i krył zazdrośnie pod maską spokojnego heroizmu. Po wyroku skazującym Simona Marek wciąż trwał w przygnębieniu i rozterce; nie mógł się pogodzić z tą potworną niesprawiedliwością. Coraz zapadał w ponurą zadumę, a Genowefa słyszała, jak powtarzał: „To okropne, sądziłem, że znam swój kraj, a nie znałem go!” Tak, jakże mogło dojść do podobnej niesprawiedliwości we Francji, w tej Francji, w której się dokonała wielka rewolucja; w tej Francji, którą dotychczas podziwiał jako wyzwolicielkę, jako rzeczniczkę sprawiedliwości? Kochał ją gorąco za jej szlachetność, za niezawisłą odwagę, za wielkość, wzniosłość i wolność, które miała nieść światu. A oto dopuszcza, ba, domaga się skazania niewinnego i nawraca do dawnych nedorzeczości, do starego barbarzyństwa! Sprawiało mu to niewysłowiony ból, piekło sumienie jak zbrodnia, w której wziął udział. Ponadto, zraniony w swym namiętym umiłowaniu prawdy, w pragnieniu jej zdobycia i rozpowszechnienia, cierpiał nieznośnie, gdy widział, jak tryumfuje kłamstwo, a nie mógł go zwalczyć i zniszczyć głosząc otwarcie tę tak pilnie poszukiwaną prawdę!

Przeżywał ten proces od nowa, szukał wciąż, nie mogąc rozmotać zawiłych węzłów, przemyślnie splecionych niewidzialnymi dłońmi. I gdy wieczorami, znużony ciężką pracą, siadał w kręgu lampy, bywał tak udręczony, tak przytłoczony niemą rozpaczą, iż Genowefa, również milcząca, obejmowała go łagodnie i całowała czule, pragnąc go nieco pocieszyć.

– Mój ty biedaku, przestań już rozmyślać o tych smutnych sprawach, rozchorujesz się od tego!

Wzruszony do łez Marek odwzajemniał jej czułą pieśczętę.

– Tak, tak, masz słuszość, trzeba być dzielnym. Ale cóż! nie mogę powstrzymać się od tych myśli, to mnie okrutnie dręczy. Wtedy z uśmiechem, położywszy palec na usta, Genowefa prowadziła go do łóżeczka, w którym Ludwika już spała.

– Myśl tylko o naszej kruszynie, powiedz sobie, że pracujemy dla niej. Będzie szczęśliwa, jeżeli my sami będziemy szczęśliwi.

– Tak, tak, to by było najrozsądniejsze. Ale czyż szczęście nas trojga nie zależy także od szczęścia wszystkich ludzi?

W czasie trwania procesu Genowefa zachowała się nader taktownie i okazała mężowi wiele czułości. Bardzo cierpiała z powodu postawy „tych pań”, zwłaszcza babki, wobec Marka, którego nawet służąca Pelagia ostentacyjnie bojkotowała. Toteż kiedy młodzi małżonkowie opuszczali domek na placu Kapucyńskim, rozstano się bardzo chłodno; a od tego czasu Genowefa ograniczała się do rzadkich wizyt u „tych pań”, chcąc uniknąć ostatecznego zerwania. Po powrocie do Jonville ponownie zarzuciła praktyki religijne; nie chodziła już na mszę, gdyż nie

chciała, by pobożność jej służyła księdzu Cognasse jako oręż przeciwko jej własnemu mężowi. Pozornie nie obchodził jej spór między szkołą a kościołem, ale trwała wiernie u boku swego ukochanego Marka, któremu się oddała wszystka, mimo że tradycje rodzinne i katolickie wychowanie nie pozwalały na całkowitą aprobatę jego postawy. Tak też było i teraz w związku ze sprawą Simona: może nie podzielała zdania męża, lecz znając jego prawość i szlachetność, nie mogła go potępić za to, że postępuje tak, jak mu dyktuje sumienie. Wszakże, jako rozsądna kobieta, pozwalała sobie czasem dyskretnie nakłaniać go do ostrożności. Jakież byłby los ich dwojga, obarczonych małym dzieckiem, gdyby Marek aż tak się naraził zwierzchności, że zwolniono by go z posady? Zresztą, dotychczas zanadto się kochali, zbyt się pożądali – żadne nieporozumienie, żadna sprzeczka nie mogła ich naprawdę poróżnić. Wszelkie dąsy rychło kończyły się uściskami i ginęły pod deszczem płomiennych pocałunków.

– Ach! droga, droga Genowefo, należymy do siebie już na zawsze.

– Tak, tak, mój ukochany Marku, jestem twoja i wiem, jakiś ty dobry, rób ze mną, co zechcesz.

Toteż pozostawiał jej zupełną swobodę. Gdyby chodziła na mszę, on, w imię wolności sumienia, nie zdobyłby się na sprzeciw. Po narodzinach córki nie przyszło mu nawet na myśl zaprotestować w sprawie chrztu, tak bowiem mocno ulegał jeszcze wpływom tradycji i zwyczajów. Niekiedy odzywały się w nim głuche wyrzuty. Ale czyż miłość nie wystarcza, aby wszystko naprawić, czyż w końcu między dwoje ludzi, mimo najgroźniejsze wstrząsy, nie powraca harmonia, skoro są co wieczór ściśle zespoleni ciałem i duszą?

Sprawa Simona nie dawała Markowi spokoju, ciągle jeszcze żył w jej kręgu, gdyż nie mógł jej poniechać. Poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie wykryje rzeczywistego winowajcy, i dotrzymywał słowa – bardziej jeszcze z żarliwości niż z poczucia obowiązku. W każde wolne popołudnie, co czwartek, śpieszył do Maillebois, by odwiedzić rodzinę Lehmannów w ciemnym, ponurym sklepiku, przy ulicy du Trou. Skazanie Simona odbiło się tam piorunowym echem, zdawało się, że powszechna wzgarda usuwa rodzinę katorżnika za nawias społeczeństwa, wyrzekli się ich przyjaciele, nawet zwykli znajomi, co dotychczas dochowywali im jeszcze resztek życzliwości. Klienci odwracali się od ubogiego krawca; zalękniony Lehmann wraz ze swą tak żałośnie zrezygnowaną żoną byliby umarli z głodu, gdyby im się nie trafiła lichy płatna robota chałupnicza dla wielkich magazynów paryskich. Ale szczególnie żona Simona, bezradna Rachela, i jej dwoje dzieci, Józef i Sara, dotkliwie cierpieli wskutek dzikiej nienawiści, której przedmiotem było ich nazwisko. Dzieci, obrzucane przez łobuzów wyzwiskami i kamieniami, nie mogły powrócić do nauki w szkole; któregoś dnia chłopczyk przyszedł do domu z rozkrwawioną wargą. Matka, która przywdziała była żałobę, jeszcze bardziej olśniewająca urodą w swej niezmiennie czarnej sukni, płakała całymi dniami, nie wyglądając już znikąd ocalenia; chyba tylko jakiś cud mógł je przynieść. I w tym domu spustoszonego, pośród bezsilnej

boleści, jeden Dawid trwał niezłomny, milczący i czynny, szukając wciąż, nie tracąc nadziei. Podjął się nadludzkiego zadania: ocalić i zrehabilitować brata. Kiedy się widzieli po raz ostatni, przysiągł mu, że całe życie poświęci na to, by przeniknąć straszliwą tajemnicę, wykryć rzeczywistego mordercę, ukazać prawdę w pełnym świetle. Toteż eksploatację swych kamieniołomów powierzył na stałe zaufanemu zarządcy, pojmując, iż brak pieniędzy zahamowałby od razu wszelkie jego poczynania. Poświęcał teraz wszystkie czas tym poszukiwaniom, nieustannie czatując na najdrobniejsze choćby poszlaki, tropiąc nowe fakty. A gdyby nawet jego gorliwość miała osłabnąć, dodałyby mu bodźca listy, z rzadka nadchodzące z Cayenne do jego bratowej. Wyjazd Simona, załadowanie na okręt całej partii nieszczęśliwców, okropna podróż, przybycie na miejsce, do tego piekła katongi – wszystkie te dojmujące wspomnienia wstrząsały nim, co chwila przejmując śmiertelnym dreszczem. A potem nadchodziły listy cenzurowane przez zarząd więzienia, lecz wyczuwało się, iż każde zdanie zawiera skargę wydartą nieznośnymi mękami, protest niewinnego, który nieustannie roztrząsa swe rzekome przestępstwo, nie mogąc pojąć, czemu pokutuje za cudzą zbrodnię. Czyliż ten trawiący niepokój nie zakończy się szaleństwem? O swych towarzyszach, mordercach i złodziejach, Simon wyrażał się łagodnie; czuło się, że całą nienawiść skupił na dozorcach, katach, co, nie kontrolowani przez nikogo, poza granicami cywilizowanego świata, stawszy się z powrotem ludźmi jaskiniowymi, lubują się w dręczeniu innych ludzi. Było to siedlisko błota i krwi; pewnego wieczora ułaskawiony katorżnik podał o nim Dawidowi, w obecności Marka, okropne szczegóły, wzbudzające w ich sercach taką tkliwość, że wybuchnęły głośno bolesną skargą, obaj przejęci namiętym protestem.

Niestety, działający wspólnie Dawid i Marek nie wiele mogli osiągnąć, choć nie ustawali w poszukiwaniach, prowadzonych dyskretnie, lecz uporczywie. Przed wszystkim postanowili obserwować szkołę braciszków, a zwłaszcza brata Gorgiasza, którego nie przestali podejrzewać. Ale w trzy miesiące po procesie wszyscy trzej supłenci – bracia: Izydor, Łazarz i Gorgiasz – zniknęli jednocześnie, przeniesieni na inną placówkę, w drugim końcu Francji. Pozostał jedynie kierownik, brat Fulgencjusz, któremu przydzielono trzech nowych ignorantynów. Ani Dawid, ani Marek nie mogli nic z tego faktu wywnioskować, bo nie było tu nic niezwykłego: bracia bywali nieraz przetrzucani w ten sposób z jednego zakładu do drugiego. Zresztą, skoro przeniesiono ich wszystkich trzech, jakże rozpoznać, który z nich był tego kroku powodem? Co zaś najgorsze, skazanie Simona zadało straszliwy cios szkole świeckiej – wiele rodzin wycofało z niej dzieci, aby je umieścić u braciszków. Bogobojne damy czyniły wielki hałas w związku z tą okropną historią, jak gdyby to bezbożne nauczanie w szkole świeckiej było przyczyną wszelkiego zgorzienia i wszelakich zbrodni.

Nigdy jeszcze szkoła braciszków nie przeżywała takiego rozkwitu; Kongregacja upajała się tryumfem: w Maillebois na każdym kroku spotykało się rozpromienione zwycięstwem twarze

mnichów i księży. A tu, niestety, nowy nauczyciel, mianowany na miejsce Simona, blade, wątły człeczyna nazwiskiem Méchain, nie wydawał się bynajmniej zdolny do walki z zaborczą falą. Mówiono, że nie – domaga na płuca, że mu się mocno daje we znaki ta surowa zima, tak iż najczęściej zastępuje go w klasie Mignot. Ten zaś, zdezorientowany i bezradny, odkąd nie miał nad sobą kierownika, dawał posłuch podszeptom panny Rouzair, coraz bardziej oddanej stronnictwu klerykałów wodzącemu rej w okolicy; to jej przecie zapewniało prezenciki od rodzin uczniów, pochwalne raporty inspektora Mauraisin, rychły awans. Panna Rouzair skłoniła Mignota, by osobiście prowadził swych uczniów na mszę, za jej też radą zawieszono z powrotem w klasie na ścianie duży drewniany krucyfiks. Wyższe władze szkolne patrzyły na te rzeczy przez palce – może spodziewały się, że wywrze to dobre wrażenie na rodzinach uczniów, spowoduje nowy ich napływ do szkoły świeckiej. W rzeczywistości całe Maillebois przechodziło w ręce klerykałów; natężenie kryzysu było ogromne.

Przygnębienie Marka wzrastało jeszcze, kiedy stwierdzał, jak ciemnota i okrucieństwo opanowują kraj. Nazwisko Simona stało się przedmiotem dzikiej zgrozy, na sam jego dźwięk ludzie tracili głowy ze złości i ze strachu. Było to dla tłumu nazwisko przeklęte, przynoszące nieszczęście, symbol zbrodni. Należało milczeć, nigdy nie pozwalać sobie na jakiegokolwiek napomknienie, pod grozą ściągnięcia na ojczyznę najcięższych katastrof. Po rozprawie sądowej można było bądź co bądź wyliczyć kilku ludzi rozsądnych i prawych, którzy, poruszeni do żywego, nie wykluczali możliwości, iż Simon jest niewinnie skazany; lecz wobec wściekłego naporu fali nie śmieli się już odzywać i nawet innym doradzali milczenie – na cóż się tu zdadzą protesty, żądanie sprawiedliwości? po co się samemu wystawiać na zgubę? zmiotą cię, ot, jak źdźbło słomy, bez żadnej korzyści dla kogokolwiek. Okoliczności dostarczały coraz to nowych dowodów tych nastrojów i Marek z rozpaczliwym zdumieniem stwierdzał, w jakim zatruciu, w jakim stanie zakłamania i ciemnoty trwa lud – ność, niby we wstrętnej, wciąż rozszerzającej się kałuży. Kolejno zdarzyło mu się spotkać gospodarza Bongard, robotnika Doloir, urzędnika Savin i wyczuł, że każdy z nich byłby wielce rad odebrać dzieci ze szkoły świeckiej, aby je umieścić u braciszków, i że jeżeli tego nie uczynili, powodowała nimi głucha obawa narażenia się władzom. Bongard pozostał skryty, nie chciał rozmawiać o sprawie: jemu nic do tego, człowiek sam już nie wie, czy ma trzymać stronę księży czy rządu; w końcu przecie opowiedział, że Żydzi sprowadzają choroby na bydło okolicznych gospodarzy, jest tego całkiem pewien, gdyż jego dzieciaki, Ferdynand i Aniela, widziały osobnika, co wsypywał do studni jakiś biały proszek... Doloir uniósł się, mówił o armii, którą przybłądy chcą zniszczyć: jeden z jego dawnych kolegów pułkowych wyjaśnił mu, jak to w związku ze sprawą Simona zawiązał się międzynarodowy syndykat, aby Francję sprzedać Niemcom; po czym Doloir przysiągł, że spoliczkuje nowego nauczyciela, jeżeli jego synkowie, August i Karol, doniosą mu coś brzydkiego o tej przeklętej szkole, w której deprawuje się dzieci. Savin w swej urazie inteligenta-

nędzarza ujawnił najwięcej chłodu i goryczy, bredził zresztą tak samo jak tamci dwaj, opętany uporczywym przeświadczeniem, że wegetuje dlatego, iż nie przystał do wolnomularzy, żalując przy tym w głębi duszy, że nie opowiedział się po stronie Kościoła; dawał do zrozumienia, że trzeba było nie lada heroizmu, aby w imię republikańskich przekonań odrzucić ponętne propozycje, jakie czynił mu spowiednik żony; co się zaś tyczy sprawy – ha! to dla każdego jasne: jest to komedia, poświęcenie jednego winowajcy, by zataić niegodziwości, jakie się dzieją w szkołach francuskich, tak świeckich, jak zakonnych; toteż był moment, gdy zamierzał odebrać swą Hortensję, Achillesa i Filipa, niechby się chowali poza wszelkim nauczaniem, w szkole natury. Marek wysłuchiwał tego wszystkiego i odchodził z huczącą głową i ściśniętym sercem, nie mogąc pojąć, jakim, sposobem ludzie rozsądni, nie będący zupełnymi matołami, mogli dojść do tego stopnia aberracji. Taka mentalność doprowadzała go do rozpaczy, wyczuwał w niej coś groźniejszego od ignorancji wrodzonej: stały dopływ rozpowszechnianych bzdur, głębokie, kolejno narosłe pokłady przesądów i legend, niszczycielskich dla rozumu. I jakże tu prowadzić dzieło uzdrowienia, jak temu nieszczęsnemu zatrutemu ludowi przywrócić zdrowie umysłowe i moralne? Szczególnie głębokiego, wzruszenia doznał Marek, gdy pewnego dnia wstąpił do sklepu pań Milhomme po jakiś podręcznik szkolny. Obie były właśnie w sklepie wraz z synami – pani Aleksandrowa z Sebastianem, pani Edwardowa z Wiktorem. Obsłużyła go pani Edwardowa, nieco zaskoczona jego nagłym wtargnięciem; zaraz zresztą opanowała się, ściągnęła czoło surową zmarszczką, znamionującą uparty egoizm. Pani Aleksandrowa drżąc wstała i wyprowadziła Sebastiana pod pozorem, że idzie umyć mu ręce. Ucieczka jej poruszyła Marka; dojrzał w niej – jak się tego domyślał – oznakę wielkiej rozterki panującej w tym domu od czasu, gdy zapadł wyrok na niewinnego człowieka. Czy prawda wyjdzie kiedyś z tego ciasnego sklepu? Poruszony bardziej niż kiedykolwiek, oddalił się wysłuchawszy przedtem niesamowitych opowiadań pani Edwardowej – usiłującej zażegnać wrażenie wywołane słabością szwagierki – jak to pewnej starej damie często ukazywał się we śnie Zefirynek, ofiara Simona, z palmą męczeńską w dłoni, jak to szkołą braciszków, odkąd rzucono na nią podejrzenie, opiekuje się samo niebo, chroniąc ją przed piorunami, bo już trzykrotnie piorun uderzył tuż w pobliżu, a szkole nic się nie stało...

Kiedy wreszcie Marek udał się w jakimś interesie do mera Darras, zauważył zaraz na wstępie jego wielkie zakłopotanie. Darras zawsze uchodził za zdecydowanego Stronnika Simona i nawet otwarcie zmanifestował tę swoją sympatię w czasie procesu, ale był urzędnikiem, jego stanowisko zmuszało go do zachowywania postawy całkowicie neutralnej. Powściągliwość tę wzmagала odrobina tchórzostwa, lęk przed narażeniem się większości wyborców, przed utratą mandatu mera, którym się chlubił. Toteż gdy Marek załatwił swą sprawę administracyjną i ośmielił się zapytać go o losy Simona, Darras wzniosł bezradnie ramiona. Cóż, on nic nie może zrobić, jest niewolnikiem swego stanowiska, rada miejska jest tak rozstrzelona, że klerykałowie

na pewno przy najbliższych wyborach zyskają w niej większość, jeżeli nadal będzie się drażnić ludność. Narzekał na tę fatalną sprawę Simona, co otworzyła Kościołowi wspaniały teren walki, umożliwiając łatwe zwycięstwa wśród żalosego tłumu ignorantów, zatrutych ciemnotą i kłamstwami. Dopóki trwać będzie ta szalona zawierucha, trzeba schylić głowę i przeczekać burzę. Darras zażądał nawet od Marka obietnicy, że nikomu jego słów nie powtórzy. Po czym odprowadził go do samych drzwi, chcąc widać zaznaczyć swą ukrytą sympatię, zaklinając go, by siedział cicho, by przywarował aż do nadejścia lepszych czasów.

W takich momentach, kiedy go dławili beznadzieja i obrzydzenie, jedynym schronieniem, gdzie Marek mógł zaznać otuchy, było mieszkanie Salvana, dyrektora École Normale w Beaumont. Często odwiedzał go, zwłaszcza zimą, kiedy to Férou zdychał z głodu w Moreux – w nieustannej walce z księdzem Cognasse. Marek mówił z przyjacielem o tej oburzającej nędzy ubogiego, tak lichy wynagradzanego nauczyciela, w porównaniu z dobrobytem spasionego księdza. Salvan podzielał jego zdanie, że nędza ta stanowi w znacznej mierze przyczynę wciąż wzrastającej niepopularności zawodu nauczycielskiego. Słaba frekwencja w École Normale tłumaczy się tym, że wynagrodzenie otrzymywane w trzydziestym roku życia przez etatowych nauczycieli – pięćdziesiąt dwa su dziennie – nikogo już nie nęci. Nazbyt są znane strapienia, gorycze, zawstydzający niedostatek, związane z tym zawodem. Stanowiący znaczną większość słuchaczy tych zakładów synowie chłopscy, pragnąc uwolnić się od pracy na roli, idą raczej na drobnych urzędników, garną się do miasta, by zdobyć majątek. Samo już zwolnienie od służby wojskowej, związane z dziesięcioletnim kontraktem nauczycielskim, skłania ich do wstępowania na tę katorżniczą drogę, gdzie czeka ich mało pieniędzy i mało zaszczytów, a za to dużo cierpień i upokorzeń. A przecie sprawa kadr nauczycielskich to sprawa zasadnicza, od której zależy oświata w kraju, jego siła i wręcz samo istnienie. Jeszcze donioślejszą sprawą – to przygotować przyszłych wychowawców, ożywić ich dobroczynnym żarem rozumu i logiki, przepoić ich serca umiłowaniem prawdy i sprawiedliwości. O napływie kandydatów rozstrzygnie przyznanie wyższego, nareszcie godziwego wynagrodzenia, które im umożliwi normalną egzystencję i przywróci pełnię godności ich zawodowi; natomiast wykształcenie i wychowanie przyszłych nauczycieli wymaga całego nowego programu. Salvan słusznie podkreślał: jaki nauczyciel szkoły powszechnej, takie wykształcenie, poziom umysłowy maluczkich – olbrzymiej większości narodu; a u celu Francja przyszłości, losy kraju. To sprawa życia i śmierci. Zadaniem, które postawił sobie Salvan, było przygotowanie nauczycieli do wyzwoleniczej pracy, jaka przypadnie im w udziale. Dotychczas nie uczyniono z nich apostołów posługujących się wyłącznie metodą doświadczalną, odrzucających dogmaty objawione, kłamliwe legendy, całe olbrzymie zbiorowisko błędów, które od wieków utrzymują maluczkich tego świata w nędzy i upośledzeniu. Byli to przeważnie porządni ludzie, nawet republikanie, dostatecznie wykształceni, aby nauczać czytania, pisania, trochę rachunków, trochę historii, ale niezdolni

wychowywać ludzi i obywateli. W tej fatalnej sprawie Simona ulegli oto prawie wszyscy kłamstwom klerykalizmu skutkiem niezdolności rozumowania, braku metody i logiki. Nie umieli kochać prawdy, wystarczyło im powiedzieć, iż Żydzi zaprzędali Francję Niemcom, a wpadali w obłąd. Ach! gdzież jest ten święty legion nauczycieli, co mają oświecić cały lud Francji jedynie jasnością naukowo ustalonych pewników, aby go wyzwolić z odwiecznych mroków i zbudzić nareszcie do prawdy, wolności i sprawiedliwości!

Pewnego ranka Marek otrzymał od Salvana list wzywający go na rozmowę możliwie najrychlej. Zaraz też najbliższego czwartku udał się do Beaumont, do tej École Normale, w której progi wstępował zawsze ze wzruszeniem, pełen wspomnień i nadziei.

Dyrektor czekał na niego w swym gabinecie wychodzącym na ogródek, który kwietniowe słońce złościło już ciepłymi promieniami.

– Mój drogi, jest taka sprawa... Wiesz, w jak żalonym położeniu znajduje się Maillebois. Méchain, nowy nauczyciel, którego nieopatrznie mianowano w tak ważnych okolicznościach, nie jest zły, myślę nawet, że to nasz sympatyk, ale to człowiek słabego charakteru, który w ciągu kilku miesięcy dał się zawojować, a w dodatku jest chory i właśnie poprosił o przeniesienie, gdyż pragnie dostać się na Południe. W Maillebois potrzebny byłby ktoś obdarzony tęgim rozumem i silną wolą, nauczyciel posiadający inteligencję i energię, jakich wymaga obecnie sytuacja. Pomyślano więc o tobie.

Padło to tak nagle, tak nieoczekiwanie, że Marek wykrzyknął zdumiony:

– Jak to, o mnie?

– Tak, ty jeden znasz doskonale te strony i zdajesz sobie sprawę z ciężkiego kryzysu, jaki miasto przeżywa. Od zakończenia procesu tego nieszczęsnego Simona szkoła powszechna jest jakby wyklęta, z każdym rokiem traci uczniów, podczas gdy szkoła braciszków dąży do zajęcia jej miejsca, tucząc się jej upadkiem. Rozszerza się ognisko klerykalizmu, prostackiego zabobonu, reakcyjnego ogłupienia i w końcu strawi wszystko, jeżeli nie będziemy walczyć. Ludność już cofnęła się do niedorzecznych wyobrażeń i nienawiści z epoki wczesnego średniowiecza, i potrzebny jest nam pracownik, twórca jutra, siewca przyszłych dobrych plonów, aby przywrócić naszej szkole jej dawne znaczenie, uczynić ją tym, czym być powinna: wychowawczynią, wyzwoliciełką, twórczynią wolnego i sprawiedliwego ludu francuskiego... Pomyślano tedy o tobie.

– Ale – przerwał mu Marek – czy pan wyraża tylko własne życzenie, czy też zlecono panu porozumieć się ze mną?

Salvan uśmiechnął się.

– Oh! ja jestem tylko bardzo skromnym urzędnikiem; to byłoby zbyt piękne, gdyby się urzeczywistniły wszystkie moje życzenia. W istocie, tak jak powiadasz, polecono mi wybadać cię. Wiadomo, że jestem twym przyjacielem... Le Barazer, nasz inspektor, wezwał mnie

w poniedziałek do prefektury. No, i z tej rozmowy narodził się pomysł zaproponowania ci stanowiska w Maillebois.

Marek mimo woli wzruszył lekko ramionami.

– Zapewne – ciągnął Salvan – Le Barazer w czasie procesu Simona nie wykazał szczególnego męstwa... Mógł być działać. Ale cóż, musimy brać ludzi takimi, jacy są. Mogę ci wszakże zaręczyć, że choć w przyszłości nie zobaczysz go u swego boku, będzie on przeciw ukrytą podporą, twardym gruntem, na którym będziesz mógł stanąć bez lęku. On sobie zawsze poradzi z prefektem Hennebise, co się tak obawia wszelkich komplikacji; a znów temu poczciwemu Forbes, rektorowi, wystarcza samo królowanie bez władzy. Całe niebezpieczeństwo grozi ze strony owego przyjaciela ojca Crabot, obłudnika Mauraisin, inspektora szkół powszechnych, którego jego przełożony, Le Barazer, oszczędza bo mu to nakazuje dyplomacja... No więc jakże? Chyba cię nie przeraża walka?

Marek milczał teraz, z wzrokiem spuszczonego. Wydawał się pogrążony w niespokojnych rozważaniach, targany wątpliwościami i wahaniem. A czytający w jego duszy Salvan, świadomy wewnętrznego dramatu młodego nauczyciela, ze wzruszeniem ujął obie jego dłonie.

– Wiem, co oznacza to, o co cię proszę, mój drogi... Byłem serdecznym przyjacielem ojca Genowefy; Berthereau miał poglądy bardzo postępowe, umysł wyzwolony, ale był to uczuciowiec i skończyło się na tym, że towarzyszył żonie do kościoła. Kiedy zostałem po śmierci ojca opiekunem córki, którą potem poślubiłeś, bywałem w charakterze bliskiego przyjaciela, nieomal krewnego, w tym domku na placu Kapucyńskim, gdzie rządziła babka, pani Duparque, despotyczna dewotka, komenderując córką, smutną i zrezygnowaną panią Berthereau, oraz wnuczką, tą śliczną Genowefą, uwielbianą przez ciebie. Być może powinienem był usilniej przestrzec cię, kiedy się miałaś żenić, gdyż to zawsze niebezpieczne dla takiego człowieka jak ty wejść do rodziny praktykującej, połączyć się z panią syconą od dzieciństwa najbardziej bałwochwalcą pobożnością. No, ale dotychczas nie muszę czynić sobie zbyt ciężkich wyrzutów, skoro jesteś szczęśliwy. Lecz, to prawda, jeżeli zgodzisz się objąć placówkę w Maillebois, czeka cię nieustanny konflikt z tymi paniami. I nad tym właśnie rozmyślasz, co?

Marek podniósł głowę.

– Tak, wyznaję, lękam się o swoje szczęście... Jak panu dobrze wiadomo, nie mam wielkich ambicji, ta nominacja byłaby dla mnie pożądanym awansem, ale czuję się zupełnie zadowolony ze swego stanowiska w Jonville. Praca idzie mi tam pomyślnie i potrafiłem przysłużyć się naszej sprawie. A pan chce, abym opuścił ten pewny grunt, po to by gdzie indziej narazić wszystek mój spokój! Po chwili milczenia Salvan zagadnął łagodnie:

– Czyżbyś nie dowierzał sercu Genowefy?

– Ach, nie! – zawołał Marek.

I znów zapanowała cisza, aż wreszcie, po kilku sekundach prawie nieświadomego

zakłopotania, Marek powiedział:

– Jakżebym mógł jej nie ufać? Jest tak czuła, tak szczęśliwa w moich objęciach... Ale nie wyobraża pan sobie, jakie było nasze życie u tych pań w czasie wakacji, kiedy zajmowałem się sprawą Simona. To było już wręcz nieznośne, stałem się w tym domu człowiekiem obcym, do którego sługa nawet nie raczyła się odzywać. Poprzez krótkie zdania, jakie się tam wymieniało, zgrzytała niechęć, gotowa każdej chwili wybuchnąć zajadłą kłótnią. Czułem się tam niejako odrzucony gdzieś o tysiące mil, jak gdybym przebywał wśród istot z innej planety, z którymi nic mnie nie łączyło. Był to rozdział brutalny, całkowity... Te panie zaczynały mi wypaczać moją Genowefę: stawała się znowu wychowanką internatu panien wizytek. Toteż sama się wystraszyła i była bardzo rada, kiedyśmy się znów znaleźli w Jonville, we dwoje w naszym ciasnym gniazdku.

Przerwał drżąc, po czym wykrzyknął:

– Nie, nie! Niechaj mię pozostawia tam, gdzie jestem! Spełniam swój obowiązek, posuwam naprzód sprawę, którą uważam za słuszną. Wystarczy, że każdy robotnik przyłoży swoją cegielkę do budowy gmachu.

Salvan, który przechadzał się powoli po gabinecie, przystanął przed Markiem.

– Mój drogi, nie wymagam od ciebie męczeństwa. Byłbym niepokieszony, gdyby to miało zagrażać twojemu szczęściu. Ale wiem przecie, że jesteś z kruszcu, z którego tworzy się bohaterów... Nie dawaj mi więc natychmia – stowej odpowiedzi. Pozostaw sobie tydzień do namysłu, przyjdź tu do mnie w następny czwartek. Wtedy znowu porozmawiamy i coś postanowimy.

Marek wrócił wieczorem do Jonville bardzo zafrasowany, osaczony skrupułami. Czy powinien odsunąć precz obawy, których sam przed sobą nie śmiał wyznać, wdać się w nieuchronną walkę z babką i matką żony, walkę, grożącą zagładą wszystkiej radości jego życia? Zrazu postanowił rozmówić się otwarcie z Genowefą; potem jednak odrzucił ten zamiar, zbyt dobrze bowiem wiedział, że mu odpowie po prostu, by postąpił wedle własnego uznania, tak jak mu nakazuje obowiązek. Trawiony rosnącym niepokojem, niezadowolony z siebie, nawet jej nie wspominał o propozycji Salvana. Tak upłynęły dwa dni wśród wahań i wątpliwości; Marek rozważał sytuację, rozliczne argumenty przemawiające za odrzuceniem lub przyjęciem posady w Maillebois.

Przede wszystkim stało mu przed oczyma miasteczko, tak mu dobrze znane od czasu sprawy Simona. Oto Darras, burmistrz, człowiek poczciwy, postępowy, który przecie nie śmie już nawet głośno wyznać, że jest sprawiedliwy, w obawie utraty mandatu, narażenia na szwank swego majątku wielkiego przedsiębiorcy. Oto rodziny Bongard, Doloir, Savin, Milhomme – co uraczyły go tak osobliwymi wypowiedziami, w których okrucieństwo walczyło o lepsze z głupotą; a za nimi masa, tłum pod w jeszcze dziwniejszych bzdur, zdolny do bardziej

bezpośrednich odruchów dzikości. Były to zabobony ludów pierwotnych, mentalność barbarzyńców czczących fetysze, szczącących się rzezią i rozbojem, pozbawionych wyrozumiałości, rozsądku, dobroci. I powstawało pytanie: czemu grzęzną, dlaczego dobrze się czują w tym gęstym bagnie błędów i kłamstw? Dlaczego z jakąś instynktowną nienawiścią opierają się logice, zwykłemu rozumowaniu, jak gdyby się lękali wszystkiego, co czyste, proste i jasne? Dla – czego zamykają oczy na blask, słońca, odżegnują się od światła dziennego, nie chcą go przyjąć? Słowem, czemu w sprawie Simona uczynili ze siebie to niezwykle a żalosne widowisko: obraz ludu ze sparaliżowanym umysłem i sercem, który nie chce widzieć ani pojmować, który przeczy oczywistości, roztacza wokół siebie, ściąga na siebie jak najwięcej ciemności, aby nie widzieć wyraźnie, wyć krwiozerczo w mrokach zabobonów i przesądów? Niewątpliwie, zatruto ten lud, pisma takie jak „La. Croix de Beaumont” i „Le Petit Beaumontais” co rano połyły go wstrętnym dekoktem, wywołującym obłęd i zarazę. Wątle umysły dziecięce, lękliwe serca, wszyscy pokorni i cierpiący, ogłupieni uciskiem i nędzą – to łatwa zdobycz fałszerzy i kłamców, wyzyskiwaczy ludzkiej łatwowierności. Zawsze było tak, iż władcy świata – kościoły, cesarstwa, królestwa – najpierw okradają rzesze podwładnych, a potem panowały nad nimi zatruwając umysły nędzarzy, utrzymując je w trwodze i niewoli fałszywych wierzeń. Ale to nie tłumaczy całkowicie owego bezwładu sumienia, owej martwoty, w której drzemały umysły ludu. Na to, by lud tak łatwo pozwolił się zatruć, musiał być zupełnie pozbawiony odporności. Jad działa przede wszystkim na ciemnych, na tych, co nie wiedzą, co niezdolni są do krytyki, do rozważań, do dyskusji. U podstaw tyłu boleści, krzywd, niegodziwości była właśnie ciemnota, pierwsza i jedyna przyczyna cierpień ludzkości, kroczącej naprzód długą krzyżową drogą, wznoszącej się tak uciążliwie i tak powoli ku światłu poprzez wszystkie zbrodnicze grzęzawiska dziejów. I niewątpliwie tu właśnie, u tych podstaw, należało podjąć dzieło wyzwolenia ludów, oświecenia szerokich mas, gdyż oto raz jeszcze fakty dowodziły, że lud ciemny jest niezdolny do sprawiedliwości, że jedynie prawda tę zdolność mu nadaje.

Lecz w tym punkcie swych rozważań Marek zdumiał się. Jakże się to dzieje, że we Francji prosty lud, szerokie masy mieszkańców wsi i miast przemysłowych wciąż jeszcze tkwią w brutalnej mentalności dzikusów, czcicieli fetyszów? Przecie już od paru dziesiątków lat żyjemy w ustroju republikańskim; czyż twórcy tego ustroju nie zdawali sobie dokładnie sprawy z nowych potrzeb, opierając wolne państwo na reformie szkolnictwa, przywracając szkole powszechnej pełnię godności i siły, postanawiając, iż odtąd będzie bezpłatna, obowiązkowa i świecka? Z tą chwilą mogli uważać, że szlachetne dzieło zostało dokonane, gleba republiki obsiana. Świadoma demokracja, nareszcie wyzwolona z odwiecznych błędów i kłamstw, wyrośnie z ziemi francuskiej. Po dziesięciu, dwudziestu latach pokolenia wychowane w tych szkołach, wykarmione prawdą, będą się coraz śmielej wymykały z prastarych więzień i stworzą lud coraz bardziej wolny, rządzący się rozumem i logiką, zdolny do jasnych poglądów i sądów

sprawiedliwych. I oto upłynęło już trzydzieści lat, a osiągnięty postęp zdawał się ginać przy najdrobniejszym wstrząsie – nagle wracały mroki i lud dzisiejszy powracał do stanu ogłupienia, do ciemnoty przodków. Cóż więc się stało? Jakież to głuchy opór, jaka moc ukryta paraliżowała w ten sposób olbrzymi wysiłek, dokonany w celu wydobycia tych maluczkich i cierpiących z ich ciemnej niewoli? Formułując to pytanie Marek od razu ujrzał przed sobą wroga, szerzyciela ciemnoty i śmierci: Kościół. To Kościół, skryty w cieniu, swą cierpliwą taktyką wytrwałego robotnika zagroził drogi, pozagarniał znów te biedne, omroczone umysły, które usiłowano wyrwać spod jego władzy. Kościół zawsze doskonale pojmował konieczność kierowania oświatą, czyli dowolnego szerzenia mroku i kłamstwa, aby utrzymać w ścisłym posłuchu dusze i ciała. Na terenie szkolnictwa wystąpił znów do walki, niezwykle obłudny i zręczny, powiewając wręcz sztandarem republikańskim, odwołując się do ustaw, aby utrzymać w ciemnicy swych dogmatów miliony dzieci, które owe ustawy miały wyzwolić. Ile młodych umysłów pozyskanych dla fałszu, tyłu przyszłych żołnierzy dla armii Boga-okrutnika i łupieżcy panującego nad spodloną dzisiejszą społecznością. Znalazł się papież, sprytny polityk, który przeprowadził kampanię – manewr okrężny, mający wygnać rewolucję z jej ojczyzny, z ziemi francuskiej, i przywłaszczyć sobie jej zdobycze w imię wolności. Wówczas twórcy rewolucji, wczorajsi republikanie – jakże naiwni – poczuli się zwycięzcami w obliczu tego rzekomego złożenia broni przez Kościół; uspokojeni, zdobyli się nawet na tolerancyjny uśmiech, witając uroczystie nową erę zgody, pojednania, zjednoczenia się wszystkich wierzeń w jedno credo patriotyczne i narodowe. Skoro republika tryumfuje, czemużby nie miała przygarnąć wszystkich swych synów, nawet tych krnąbrnych, co zawsze usiłowali ją zdusić? Ale wyzyskując tę wielkoduszność Republiki Kościół prowadził w dalszym ciągu swą podziemną robotę, usunięte kongregacje wznawiały działalność jedna po drugiej; akcja zaboru i ujarzmienia trwała nieprzerwanie, kolegia jezuitów, dominikanów i innych zakonów nauczających zapełniały stopniowo swymi uczniami i swymi klientami administrację, sądownictwo, armię, a szkoły prowadzone przez braciszków i siostrzyczki zakonne wyzuwały z ich stanu posiadania szkoły powszechne świeckie, bezpłatne i przymusowe. Tak, iż w nagłym momencie ocknienia kraj ujrzał, że jest w rękach Kościoła, którego słudzy zajmują najwybitniejsze stanowiska w aparacie rządowym, i że jego los jest już przesądzony, jego przyszły lud – chłopci, robotnicy, żołnierze – znajdują się pod władzą ignorantynów.

W niedzielę Marek był właśnie świadkiem niesamowitej sceny, która w sposób jaskrawy potwierdziła te jego rozważania. Bił się wciąż z myślami, nie mogąc się zdecydować na przyjęcie propozycji Salvana. Gdy owej niedzieli udał się do Maillebois, aby w domu Lehmannów zobaczyć się z Dawidem, trafił w mieście na wielką uroczystość religijną, której postanowił przyjrzeć się przez ciekawość. Już od dwóch tygodni „La Croix de Beaumont” i „Le Petit Beaumontais” płomiennymi artykułami zapowiadały tę uroczystość i mieszkańcy w całym okręgu gorączkowo jej oczekiwali. Chodziło o przekazanie kaplicy kapucynów wspaniałego daru

w postaci relikwiarza ze – szczątkami czaszki świętego Antoniego Padewskiego; za ten bezcenny skarb podobno zapłacono dziesięć tysięcy franków, zebranych ze składek wiernych. I w związku z tym, z okazji złożenia owego relikwiarza u stóp figury świętego, miała się odbyć uroczystość, którą biskup Bergerot raczył uświetnić swą obecnością. Taka łaskawość biskupa intrygowała ludzi i była tematem namiętnych dyskusji; każdy bowiem pamiętał, z jaką energią Jego Ekscelencja popierał miejscowego proboszcza, księdza Quandieu, w walce przeciwko zachłanności kapucynów, ściągających do siebie wszystkie dusze i wszystkie grosze. Przypominano sobie, jak podczas swego objazdu pasterskiego w surowych słowach wskazywał kupczącym w świątyni, których Pan Jezus dziś by również wygnał. Nie mówiąc już o tym, że biskup zawsze uchodził za zdecydowanego stronnika Simona. A oto zgadza się okazać publicznie swą sympatię dla kapucynów, obejmując w tak uroczystej okazji patronat nad ich kramikiem! Więc się ukorzył, uległ snadź arcypotęźnym względom, skoro samemu sobie po kilku zaledwie miesiącach zadaje kłam! A musiało go to wiele kosztować, zważywszy jego kulturę i łagodną trzeźwość umysłu.

Marek udał się do kaplicy wraz z szeroką falą tłumu i tam przez dwie godziny był świadkiem niebywałych dziwów. Handel, który prowadził mały klasztor kapucynów w Maillebois pod egidą świętego Antoniego Padewskiego, stał się poważnym interesem, obracał setkami tysięcy franków, powstałymi z drobnych kwot od jednego do dzie – sięciu franków. Przełożony, ojciec Teodozjusz, o pięknej głowie apostoła, zachwycający penitentki, okazał się genialnie pomysłowym administratorem. A że się tym chlubił, wymyślił i zorganizował cud demokratyczny, cud popularny, potoczny, dostępny dla najskromniejszej kiesy. Z początku w kaplicy stała dość niepokaźna figura świętego Antoniego i święty zajmował się jedynie odszukiwaniem zgubionych przedmiotów, co stanowi jego odwieczną specjalność. Następnie, po kilku drobnych sukcesach, kiedy pieniądze poczęły napływać, ojciec Teodozjusz wpadł na genialny pomysł rozszerzenia zakresu cudotwórczego działania świętego, zastosowania go do wszelkich potrzeb i życzeń wciąż rosnącej klienteli. Opuszczeni przez lekarzy nieuleczalnie chorzy albo nawet po prostu niedomagający, ot, pod wpływem bóleści żołądka lub migreny; drobni kupcy, którzy znaleźli się w kłopotach, nie mając pieniędzy na uregulowanie zobowiązań, nie wiedzący jak zbyć uszkodzony towar; spekulanci, wplątani w jakąś ciemną aferę, w strachu o majątek i własną skórę; matki obarczone zbyt liczną rodziną, gryzące się daremnym poszukiwaniem mężów dla szpetnych i bezposażnych córek; biedacy, nie mogący znaleźć zajęcia, oczekujący już chyba tylko cudu; spadkobiercy, niepewni dobrej woli umierającego krewnego, pragnący mieć Pana Boga po swojej stronie, aby im się nie wymknął spadek; leniwe sztubaki, tępe uczennice, przekonane, że bez pomocy niebios nie dopuszczą ich do egzaminów – wszystkie te żalosne istoty nie mające woli i niezdolne do wysiłku, oczekujące od wyższej potęgi niemożliwości, niezasłużonego powodzenia poza logicznymi granicami pracy i rozsądku, mogły

zwracać się do świętego, powierzać mu swoje sprawy używając go za wszechmocnego pośrednika wobec Boga; mieli sześćdziesiąt procent szans pomyślnego wyniku, taką bowiem cyfrę wykazywała statystyka. Z tą chwilą przedsiębiorstwo rozwinęło się szeroko, starą figurę za – stapiono nową, znacznie większą i obficiejszą, wszędzie rozmieszczono skarbonek nowego typu, z dwiema przegrodami: jedną na pieniądze, drugą na listy adresowane do świętego, zawierające wyszczególnienie prośb. Ma się rozumieć, można było nie płacić, ale zauważono, że święty wysłuchiwał jedynie tych, co składali ofiarę, chociażby najskromniejszą; i tak powstała na podstawie doświadczenia, jak. zapewniał ojciec Teodozjusz, taksa: frank lub dwa za łaski drobne oraz pięć i dziesięć franków, kiedy się miało większe ambicje. Zresztą jeżeli nie dawałeś dosyć, święty ci to wytykał, przestawał działać cuda i trzeba było datek podwoić, potroić... Klienci zwlekający z zapłatą, aż się cud spełni, narażali się na to, że nigdy ów cud nie nastąpi. Przy tym Pan Bóg zastrzegął sobie swobodę działania, wyróżniał petentów bez motywacji, tak iż wyłącznie klienci ponosili ryzyko w układach zawieranych ze świętym, który także nie potrzebował nikomu zdawać rachunków. Toteż właśnie ów czynnik hazardu, możliwość otrzymania na tej boskiej loterii szczęśliwego albo przegrywającego losu, roznamietniał tłumy napędzając je do skarbonek; ludzie dawali franka, dwa, pięć, z szaleńczą wiarą, że oto wyciągną wielki los: nielegalny a niespodziewany zarobek, wspaniały mariaż, dyplom, ogromny spadek. Rozwijało się najbezczelniejsze przedsiębiorstwo tumanienia ludzi, najbezwstydniejsza spekulacja na głupocie, na instynktach lenistwa i chciwości, popierano tu rezygnację z własnej inicjatywy, wmawiano, że o sukcesie decyduje nie zasługa, ale szczęście, po prostu kaprys przekornego i niesprawiedliwego Boga.

Obserwując gorączkowy zapał otaczających go ludzi, Marek pojął, że teraz interes jeszcze się rozszerzy zatruwając całą okolicę; posłuży ku temu ten złożony relikwiarz z cyzelowanego srebra z wprawionym we wnętrzu odłamkiem czaszki świętego Antoniego Padewskiego. Był to naj – świeższy pomysł ojca Teodozjusza, replika na konkurencyjne zakusy, podejmowane przez inne klasztory w Beaumont, roilo się tam bowiem od figur i skarbonek zapraszających wiernych do zakosztowania hazardu cudów. Teraz nie mogło już być żadnych wątpliwości: on jeden posiadał świętą kosteczkę, tylko on mógł dostarczyć cudu w warunkach gwarantujących największe szansę powodzenia. Mury kościoła były oblepione afiszami: nowy prospekt reklamował niezawodną skuteczność relikwii, zaznaczając przy tym. iż opłaty nie będą jednak podwyższone, i regulował dokładnie funkcjonowanie całego aparatu, aby uniknąć wszelkich nieporozumień pomiędzy klientelą a świętym. Marka boleśnie uderzył widok panny Rouzaire, która na tę uroczystość przyprowadziła dziewczęta ze szkoły powszechnej – całkiem spokojnie, zgoła jak gdyby to wchodziło w zakres programu zajęć szkolnych. Zdumiał się widząc, że jedna z dziewczynek, najwyższa, niosła na czele całej grupy chorągiew z białego jedwabiu z wyhaftowanym napisem: „Chwała Jezusowi i Marii.” Panna Rouzaire nie ukrywała zresztą

bynajmniej, iż uczennicę zgłaszającą się do egzaminów posyła do komunii i radzi wrzucić dwa franki do skarbonki świętego Antoniego, aby Pan Bóg zaopiekował się jej promocją, a kiedy uczennica jest zupełnym tępakiem, doradza jej wpłacić pięć franków, jako że święty z pewnością więcej się wówczas musiał namozolić. Zalecała też swym wychowankom, by prowadziły „dzienniczki grzechów”, oraz stawiała im dobre stopnie za pobożność i uczęszczanie na mszę. Doprawdy, osobliwa to szkoła świecka – ów zakład kierowany przez pannę Rouzaire!

Dziewczynki zgrupowały się po lewej stronie nawy, równolegle do chłopców stojących po prawej pod przewodem brata Fulgencjusza, jak zazwyczaj przesadnie zaaferowanego. Przybyli dla uświetnienia uroczystości ojciec Grabot i ojciec Filibin znajdowali się już w prezbi – terium. Może też chcieli się nacieszyć zwycięstwem nad Jego Ekscelencją biskupem Bergerot, powszechnie bowiem wiadano, jak czynny udział brał rektor z Valmarie w propagowaniu kultu świętego Antoniego Padewskiego; tryumfował teraz, zmusiwszy przecie biskupa do przybycia tu dla publicznego pokajania się po tak surowych wystąpieniach przeciwko ciemnym zabobonom. I kiedy ukazał się biskup, a za nim ksiądz Quandieu, proboszcz parafii, Marek doznał uczucia zmieszania, jakby zawstyżenia, tyle na ich bladych, pełnych powagi obliczach wyczytał bolesnej uległości, wymuszonej rezygnacji.

Sprawa była prosta, Marek bez trudu domyślał się, jaki był jej przebieg: proboszcz i biskup ulegli w końcu wobec rozpętanego szaleństwa, niepowstrzymanego naporu wiernych. Przez pewien czas ksiądz Quandieu opierał się, odmawiał umieszczenia w kościele parafialnym skarbonki na ofiary dla świętego Antoniego, nie chcąc przykładać ręki do czegoś, co uważał za bałwochwalstwo, za wypaczenie ducha religii. Następnie wobec skandalu, jaki w ten sposób wywołał, oraz rosnącego z każdym dniem osamotnienia, zdjął go niepokój, poczęło dręczyć pytanie, czy w końcu sama religia nie ucierpi wskutek jego nieprzejednania; musiał się zdecydować na okrycie tej nowej rany świętym płaszczem swego kapłaństwa. Pewnego dnia udał się do biskupa, aby się zwierzyć ze swych wątpliwości, z walki i klęski, a biskup, tak samo jak on pokonany i podobnie lękający się osłabienia władzy Kościoła, gdyby ten przyznał się do swych grzechów i błędów, z płaczem uściskał go i obiecał przybyć na uroczystość, mającą przypieczętować pojednanie. Ale ileż ukrytej goryczy było w sercach tych dwu kapłanów, prałata i proboszcza z prowincjonalnego miasteczka, zbratanych wspólnymi ideałami! Boleli nad własną niemocą, nad tą wymuszoną małodusznością, nad odwrotem, na który się zdecydowali z uczuciem poniżenia i wstydu; a jeszcze dotkliwiej boleli nad swym ideałem zbrukany, rzuconym na pastwę wszystkiej ludzkiej głupocie i chciwości, nad swą wiarą, którą kupczono, a która w nich krwawiła konająca. Ach! chrześcijaństwo, tak czyste w zaraniu swych dziejów, jedno z najpiękniejszych haseł braterstwa i wyzwolenia, i nawet katolicyzm o tak śmiałym locie, będący tak potężnym narzędziem cywilizacji – w jakież błoto w końcu się stoczą, jeżeli się im pozwoli spaść do poziomu ordynarnego handlu, stać się żerem dla niskich namiętności,

przedmiotem frymarku, otumanienia, kłamstwa! Legło się już w nich robactwo, jak we wszelkiej starzyźnie, bliski był ostateczny rozkład, który zostawi po sobie tylko garstkę szczątków i pleśni.

Uroczystość była tryumfalna. Dokoła poświęconego i okadzonego relikwiarza jarzyła się cała konstelacja świateł, pośród dostojnego pomruku organów rozbrzmiewały modły, kazania i psalmy. Kilku paniom zrobiło się niedobrze, duszno było tak, że jedną z uczennic panny Rouzaire wyniesiono z kościoła. Szaleństwo dosięgło szczytu w momencie, gdy na ambonę wstąpił ojciec Teodozjusz, aby zdać sprawę z cudotwórczej działalności świętego: sto dwadzieścia osiem przypadków odnalezienia zgubionych przedmiotów; pięćdziesiąt transakcji handlowych nader wątpliwych, uwieńczonych pomyślnym wynikiem; ocalenie od ruiny trzydziestu kupców, którzy nagle zdołali upłynnić zalegające na składzie stare towary; przywrócenie zdrowia dziewięćdziesięciu trzem chorym: kalekom, suchotnikom, rakowatym, podagrykom. Dwadzieścia sześć bezposażnych panien wyszło za mąż, trzydzieści kobiet urodziło bezboleśnie, wydając na świat, zgodnie ze swym życzeniem, chłopców albo dziewczynki; stu trzech urzędników znalazło pracę w solidnych biurach, uzyskując żadaną wysokość uposażenia; sześć przypadków nagłego odziedziczenia sukcesji, na którą nie było widoków; siedemdziesięciu siedmiu uczniów płci obojga dopuszczonych do egzaminów wbrew opinii nauczycieli zapowiadających nieuchronną klępkę. I mnóstwo rozmaitych innych łask: nawrócenia, ulegalizowanie wolnych związków, przykładna chrześcijańska śmierć niedowiarków, wygrane procesy, sprzedaż terenów, na które nie można było znaleźć nabywców, wypuszczenie w najem różnych obiektów po dziesięciu latach daremnych starań... Za każdym wyliczonym cudem płomień pożądliwości kołysał tłumem, dobywał z niego pomruk. Potem już krzyk, nabrzmiały zaspokojoną namiętnością, witał każdą nową łaskę świętego, ogłaszana grzmiącym głosem ojca Teodozjusza. Pod koniec rozpętało się już istne szaleństwo, wszyscy wierni powstali z miejsc i rycząc wyciągali konwulsyjnie rozwarte dłonie, aby chwycić szczęśliwe losy deszczem spadające z nieba.

Przejęty gniewem i obrzydzeniem, Marek nie mógł dłużej tam usiedzieć. Widział, jak ojciec Crabot wyczekiwał przyjaznego uśmiechu od biskupa Bergerot, a potem wiódł z nim przyjacielską pogwarękę, co wszyscy zauważyli. Ksiądz Quandieu także się uśmiechał z grymasem goryczy w kącikach warg. Stało się – zwycięstwo mnichów, bałwochwalstwa, służalczości, upodlenie było całkowite. Marek opuścił kaplicę bliski omdlenia, spragniony słońca i czystego powietrza.

Ale święty podążył za nim. Na placu Kapucyńskim gromadki dewotek rozmawiały z ożywieniem jak dawniej, gdy tłum hazardzistek gromadził się przed kantorami loterii.

– Och! – skarżyła się żałośnie tłusta baba – ja tam nie mam szczęścia, nigdy nie wygrywam w żadną grę. Może też właśnie dlatego i święty Antoni nigdy mnie nie wysłuchał. Trzy razy dawałam po dwa franki: raz na intencję chorej kozy, która jednak jak miała zdechnąć, tak zdechła; drugi raz, kiedy zgubiłam pierścionek – i nigdy go nie odnalazłam, a trzeci raz, jak

zaczęły mi się psuć jabłka – ale nie zdołałam ich sprzedać... Słowem, wyraźny pech!

– No, no, kochana pani, to już za wiele cierpliwości! – odparła na to drobna, sucha, czarniawa staruszka. – Ja, kiedy święty Antoni udaje głuchego, mam na – niego sposób.

– Jakże to, pani kochana?

– Ano, karzę go! O, proszę: miałam domek, którego nie mogłam odnająć, bo ludzie skarżą się, że tam straszna wilgoć i że dzieci od tego umierają. Dałam więc trzy franki i czekam. Nic, lokatorów wciąż nie widać! Dałam drugie trzy franki, nic nie pomogło. Wtedy złość mnie wzięła i przewróciłam figurkę świętego, która stoi w moim pokoju na komodzie. A że wciąż był na mnie niełaskaw, wykręciłam go nosem do ściany, żeby się namyślił. Tak trzymałam go cały tydzień: wszystko na nic. Widocznie za mało go to upokarzało; głowiłam się, co by tu wymyślić, żeby mu mocniej dokuczyć za tę je – go opieszałość, zamknęłam go w stoliku nocnym; przeleżał tam znowu tydzień, ale i to nie pomogło. Byłam wściekła, no i w końcu wpuściłam go do studni głową na dół, uwiązanego na sznurku... No i, pani kochana, tym razem zrozumiał, że mnie nie da rady: po niespełna dwóch godzinach zjawili się amatorzy i mój domek był odnajęty.

– I wyciągnęła go pani ze studni?

– O tak, zaraz, postawiłam go z powrotem na komodzie, wytarłam starannie i pięknie przeprosiłam... Nie gniewamy się, przeciwnie... Tylko cóż, kiedy się zapłaciło, trzeba wymagać.

– Dobrze wiedzieć, droga pani, spróbuję i ja... Mam kłopoty z sądem. Pójdę, dam dwa franki, ale jak nie wygram sprawy, już ja tego świętego wezmę w obroty.

– Tak, właśnie, paniusiu. Trzeba mu przywiązać kamień do szyi albo wpakować go między brudną bie – liznę. On tego także bardzo nie lubi, od razu się wtedy namyśli.

Marek, chociaż tak przygnębiony, ubawił się przez chwilę. Słuchał jeszcze; w pobliżu rozmawiało kilku poważnych panów, wśród których zauważył radcę magistrackiego Philisa; ten klery kał, rywal burmistrza Darras, ubolewał, że ani jedna gmina w całym powiecie nie ofiarowała się jeszcze Sercu Jezusowemu. Kult ów był to drugi genialny wynalazek, bardziej niebezpieczny od kombinacji ze świętym Antonim 'Padewskim, zmierzający do ponownego zawojowania Francji dla Boga. Prości ludzie niezbyt się jeszcze tym interesowali nie znajdując tu przynęty cudowności, emocji hazardu. Ale niebezpieczeństwo było niemniej groźne, niebezpieczeństwo wywołane tym bałwochwalczym uwielbieniem serca Jezusa, rzeczywistego serca, czerwonego i krwawiącego, wyobrażonego niczym kawał mięsa w jatce, drgający ostatnim skurczem, wyszarpany z rozplątanej piersi. Chodziło o uczynienie tego krwawego wizerunku wręcz godłem współczesnej Francji, o utrwalenie go purpurowymi rysami, wyhaftowanie jedwabiem i złotem na narodowym sztandarze, tak aby cały kraj stał się już tylko folwarkiem upadającego Kościoła, szerzącego tak wstrętny fetyszyzm. Był to zawsze ten sam manewr, próba ujęcia w garść, zawojowania z powrotem tłumu najordynarniejszymi środkami zabobonu i legendy, nadzieja, że uda się pogrążyć go na nowo w ciemnotę i niewolę przez oddziaływanie

na jego nerwy, na jego namiętności dużego dziecka, zbyt leniwego, by się wyzwolić. I tu również, jak przy głoszeniu nabożeństwa do świętego Antoniego Padewskiego, jezuita w swej akcji nieświadomie dezorganizował stary katolicyzm tak dalece, że nowy kult stopniowo wchłaniał dawny, przybierał niemal formę wiary w powtórne wcielenie Chrystusa, degradując religię do jakichś cielesnych praktyk, jak u dzikich ludów. Marek odszedł. Znowu się dusił, tęsknił do pustych ulic, do wolnej przestrzeni. Tej niedzieli towarzyszyła mu do Maillebois Genowefa, która chciała spędzić popołudnie z babką i matką. Pani Duparque, cierpiąca na podagrę, przykuta była do fotela i tym się tłumaczyła jej nieobecność w kaplicy kapucynów na uroczystości ku czci świętego Antoniego. Marek nie był już u rodziny żony, umówił się więc z Genowefą, że będzie jej oczekiwał na dworcu o godzinie czwartej. Minęła dopiero trzecia; powoli więc, krokiem machinalnym dotarł do zadrzewionego placu przed dworcem i tam usiadł na samotnej ławce. Snuł wciąż swe rozmyślenia, toczył sam z sobą rozstrzygający spór, co go całkowicie pochłaniało.

Oto raptownie wszystko się rozjaśniło. Niesamowite widowisko, którego przed chwilą był świadkiem, wszystko, co ujrzał i usłyszał, przeniknęło go niewzruszoną pewnością. Czemuż to naród cierpi, przeżywa straszliwy kryzys, dlaczego Francja dzieli się na dwie wrogie Francje, coraz bardziej sobie obce i gotowe pożreć się wzajemnie? Oto po prostu dlatego, że Rzym na jej teren przeniósł swą walkę. Francja to ostatnie z wielkich mocarstw katolickich; ona jedna posiada jeszcze potrzebne zasoby ludzkie i pieniężne, siłę mogącą narzucić światu katolicyzm; przeto całkiem logiczny był fakt, iż Rzym ją właśnie wybrał jako teren dla rozegrania ostatecznej batalii w swej zacieklej żądzy odzyskania władzy doczesnej, gdyż tylko ona umożliwiała mu ziszczenie odwiecznego marzenia o panowaniu nad światem. Cała tedy Francja to jak gdyby owe nadgraniczne równiny, owe pola orne, winnice, sady urodzajne, gdzie się spotykają i ścierają dwie armie, aby rozstrzygnąć jakiś zacięty spór – plony giną, stratowane szarżami kawaleryjskimi; pędzące w pełnym galopie baterie armat pustoszą winnice i sady, granaty niosą zagładę wsiom, kartacze koszą drzewa, równina zmienia się w pustynię śmierci. Tak właśnie dzisiejszą Francję pustoszy i niszczy prowadzona na jej terenie przez Kościół wojna przeciwko rewolucji, przeciw duchowi wolności i sprawiedliwości, wojna okrutna, bezlitosna i nieprzerwana, gdyż Kościół doskonale zdaje sobie sprawę, iż jeśli nie zabije rewolucji, zostanie przez nią zabity. To jest przyczyna zajadłej walki, rozpętanej na wszystkich odcinkach, wśród wszystkich klas, zatruwającej wszelkie sprawy, wzniesającej wojnę domową, przekształcającej kraj w plac rzezi, na którym niebawem pozostaną jedynie szczątki i rumowiska. I tutaj tkwiło śmiertelne niebezpieczeństwo, groźba nieuchronnej zagłady, jeśli zwycięski Kościół zepchnie Francję z powrotem w dawne mroki i niedole i uczyni z niej jeden z tych upadłych narodów, dogorywających w nędzy i upodleniu, jakie szerzy katolicyzm wszędzie, gdzie zdołał zapanować.

Rozważania, które Marka wtrąciły w taką rozterkę, powróciły tłumnie, jakby skąpane

w nowym potężnym świetle. Ukazała mu się wyraźnie cała półwiekowa krecia robota Kościoła: najpierw przemyślny manewr – ujęcie nauczania przez zgromadzenia zakonne, zawojowanie przyszłości za pośrednictwem dziecka; następnie polityka Leona XIII – uznanie Republiki po to, aby ją potem opanować i ujarzmić. Ale jeżeli Francja Woltera, Diderota, Francja rewolucji i trzech Republik stała się załosną Francją dzisiejszą, skłóconą, wykolejoną, wzburzoną, jeśli gotowała się cofnąć w przeszłość zamiast kroczyć ku przyszłości, działo się to dlatego, że zakon jezuitów oraz inne zakony wychowawcze położyły łapę na dziecku, potrajając w ciągu trzydziestu lat liczbę swych uczniów, rozpowszechniając na całym obszarze kraju swoje potężne zakłady. I oto nagle, pod naporem faktów Kościół, pewien już tryumfu, zmuszony zresztą do zajęcia stanowiska, demaskuje swoje dzieło w pełnym świetle dnia, stawia opór, pretenduje do suwerennego władania narodem. Wszystkie dotychczasowe zdobycze Kościoła ukazały się przerażonym oczom: wysokie stanowiska społeczne w wojsku, w sądownictwie, w administracji, w polityce – w rękach ludzi przez Kościół wychowanych, urobionych: burżuazja, niegdyś niewierząca i myśląca krytycznie, obecnie znowu posłuszna duchowi wstecznictwa, z obawy, że zostanie wyzuta z mienia, że będzie musiała ustąpić przed wzbierającą falą ludu; same owe masy ludowe, zatrute prostackimi zabobonami, utrzymywane w grubej ciemności, w kłamstwie, aby zawsze być jedynie trzódką, którą się strzyże i zarzyna. A Kościół, bezwstydnym, nie kryjący się już, dokonywał w biały dzień reszty zaborczego dzieła, umieszczał wszędzie skarbonki świętego Antoniego Padewskiego szeroko i głośno reklamując tę akcję, rozdawał otwarcie gminom chorągwie z krwawym godłem Serca Jezusowego, otwierał szkoły zakonne w najbliższym sąsiedztwie szkół świeckich, a nawet i te świeckie nieraz opanowywał, gdyż nauczyciele i nauczycielki często byli na jego usługach, dla niego pracowali – z tchórzostwa lub wyrachowania. Kościół jawnie gotował się do wojny ze społecznością świecką. Zdobywał pieniądze na prowadzenie tej wojny, klasztory wzięły się do przemysłu i do handlu; jeden z nich, pod wezwaniem „Dobrego Pasterza”, sam osiągał około dwunastu milionów rocznego dochodu, zatrudniając w dwustudziestym przyklasztornych szwalniach czterdzieści siedem tysięcy robotnic. Zakonnicy sprzedawali wszystko: trunki i trzewiki, leki i meble, wody cudotwórcze i haftowane koszule nocne dla domów schadzek. Kościół ze wszystkiego wyciskał pieniądze, pobierał najcięższy podatek od ludzkiej głupoty i łatwowierności, eksploatował nieustannie swe fałszywe cuda, swój kłamliwy raj, swego złośliwego i kapryśnego Boga. Stawał się bogaczem obracającym miliardami, panem olbrzymich dóbr; a w kasie miał dosyć gotówki, aby przekupywać stronnictwa, szcuć je wzajemnie, samemu zaś tryumfować pośród ruin i krwi wojny domowej. Marek z nieodczuwaną dotąd siłą uświadomił sobie konieczność natychmiastowej, straszliwej walki: Francja musi zabić Kościół, jeśli nie chce sama zginąć z jego ręki.

Nagle stanęły mu przed oczyma postacie Bongardów, Doloirów, Savinów, sióstr Milhomme,

usłyszał żalony bełkot tych tchórzów o zatrutych sercach i umysłach, tchórzów chroniących się w grubą ciemność niby pod pierzyną lękliwego egoizmu. I to była Francja – owa masa zahukana, ogłupiała, oddana na łup przesądom, utrzymana w klerykalnej bezmyślności. Aby przyspieszyć jej rozkład, zaszczerpiono wstrętny antysemityzm, wzbudzono nienawiści religijne, katolicyzm zakapturzony i rozjątrzony, za pomocą którego spodziewano się zapędzić z powrotem ku księżom lud, co nie wierzył i opuścił kościoły. Poszczuć go na Żydów, wyzyskać jego zastarzałe namiętności – to pierwszy krok; na końcu drogi zaś – powrót do jarzma, zapadnięcie w mrok, pradawne poddaństwo. A jutro Francja upadnie jeszcze niżej, ludzie będą jeszcze bardziej ogłupieni, ujarzmieni ciemnotą i zakłamaniem niż dzisiaj Bongard, Doloir, Savin, siostry Milhomme, jeżeli się pozostawi ich dzieci w rękach braci szkolnych i jezuitów. Nie wystarczyłoby nawet samo zamknięcie szkół zakonnych, trzeba by oczyścić, przywrócić do ich właściwej roli szkoły świeckie, te szkoły gminne, dokąd zdołała przeniknąć krecia robota Kościoła, paraliżując w nich nauczanie wolne od dogmatów, umieszczając reakcyjnych nauczycieli i nauczycielki, którzy słowem i przykładem utrwalali błędne pojęcia. Są wprawdzie tacy, jak dzielny i rozumny, ale wytracony z równowagi przez nędzę Férou lub jak panna Mazeline, świetna wychowawczyni umysłów i serc, lecz ileż dokoła niepokojących miernot, ile umysłów nieszlachetnych, zaprzędanych wrogowi, wykolejonych, oddanych najszkodliwszej robocie. Taka panna Rouzaire, żadna kariery, wysługująca się silniejszemu, wyrachowana i przesadna w swym klerykalizmie; taki Mignot, błądzący bez kierunku, uległy podszeptom otoczenia; taki Doutrequin, przyzwoity człowiek, wczorajszy republikanin, który przez opaczny patriotyzm stał się dziś antysemitą i reakcjonistą – a za tymi ciągnęli wszyscy pozostali, całe nauczycielstwo szkół powszechnych było zmaczone, skażone, wytracone z prostej drogi; zachodziła obawa, że poprowadzi ono ku przepaści powierzone sobie dzieci, pokolenia, które będą kształtowały przyszłość. Dreszcz przejął Marka, nigdy jeszcze niebezpieczeństwo grożące narodowi nie wydało mu się tak groźne i naglące; przeraził się, jakby to był wyrok przesądzony już i ostateczny.

Tak, to pewne: walka rozgorzeje właśnie na terenie szkoły powszechnej, chodzi bowiem o rozstrzygnięcie, jaką oświatę otrzyma lud, przed którym coraz wyraźniej zarysowuje się misja wyzwolenia burżuazji z uzurpowanej przez nią władzy. W roku 1789 zwycięska burżuazja zajęła miejsce dogorywającej szlachty i przez całe stulecie zachowała dla siebie wszystką zdobycz, odmawiając ludowi należnej mu części. Teraz rola burżuazji była skończona, przyznawała to sama, przechodząc do obozu wstecznictwa, przerażona naporem demokracji, która miała ją zmieść. Kiedy czuła się bezpieczna i beztraska, stać ją było. na wolterianizm, dziś ta wczorajsza wolterianka, desperacko szukając obrony za reakcyjnymi szańcami przeszłości, garnie się do klerykalizmu, jest już tylko zżartym przez nadużycie władzy trybem, który postępujące wciąż naprzód siły społeczne nieuchronnie usuną precz... Gdy siła jutra tkwi w ludzie, w nim drzemią

niezużyte zasoby, olbrzymie rezerwy ludzkie, uśpiona jeszcze inteligencja i wola. Toteż Marek pokładał nadzieję już tylko w tych dzieciach ludu, które mu powierzano, które uczęszczały do szkół powszechnych na terenie całej Francji. One to stanowią surowiec, z którego powstanie przysły naród, należy je kształcić tak, by spełniły swą rolę wolnych obywateli, świadomych i zdecydowanych, wyswobodzonych z nedorzecznych dog – matów, z religijnych omamień zabijających wszelką wolność, wszelką godność człowieczą. Poznanie – oto jedyna droga do szczęścia, zaspokojenia moralnych i materialnych potrzeb. Ewangeliczna maksyma: „Błogosławieni ubodzy duchem” – to najstraszliwszy fałsz, który w ciągu stuleci grążył ludzkość w bagnisku nędzy i niewoli. Nie, nie! ubodzy duchem to nieuchronnie trzoda skazana na niewolniczą uległość i cierpienie. Dopóki będą na świecie miliony ubogich duchem, będą miliony nędzarzy, zwierząt roboczych, wyzyskiwanych, pożeranych przez znikomą mniejszość złodziejów i bandytów. Kiedyś ludzkością szczęśliwą będzie ludzkość posiadająca świadomość i wolę. Trzeba nareszcie wyzwolić z czarnego pesymizmu Biblii – świat, straszony, gnębiony od dwóch tysiącleci, żyjący jedynie dla śmierci; nie bardziej zgrzybiałego, a zarazem groźniejszego nad tę starą semicką Ewangelię, wciąż jeszcze stosowaną jako jedyny kodeks moralny i społeczny. Błogosławieni, którzy wiedzą, błogosławieni rozumni, ludzie woli i czynu, albowiem ich będzie królestwo ziemskie! Okrzyk ten cisnął się na wargi Markowi z głębi jego istoty w potężnym porywie wiary i zapału.

I nagle zdecydował się: przyjmuje propozycję Salvana, osiadzie w Maillebois jako nauczyciel szkoły powszechnej, aby walczyć przeciw Kościołowi, walczyć z tą zarazą szerzoną wśród ludu, której opętańczym wybuchem była dzisiejsza uroczystość. Będzie pracował nad wyzwoleniem maluczkich, będzie się starał uczynić z nich przysłych wolnych obywateli. Tę ludność, którą widział tak ocieężałą od ciemnoty i kłamstwa, nie znającą, co to sprawiedliwość, należało wziąć w opiekę w osobach jej dzieci i dzieci tych dzieci, kształcąc je, stopniowo urabiając lud znowu żyjący prawdą, który dopiero wówczas umiałby być sprawiedliwy. Oto najszczytniejszy obowiązek, najpilniejsze dzieło, od którego zależy sam byt kraju, jego moc i chwała w misji wyzwalań i sprawiedliwości, w misji pełnionej poprzez wieki wśród innych narodów. I jeżeli po trzech dniach wahań i niepokoju, kiedy drżał na myśl o zmąceniu szczęścia, jakiego doznawał w objęciach swej Genowefy, jedna minuta wystarczyła Markowi do powzięcia decyzji, czyż nie stało się to dlatego, że nasunęło mu się także poważne zagadnienie kobiety, otumanionej przez Kościół niewolnicy, narzędzia zniszczonego i niszczycielskiego? Jakież matki, jakie żony wyrosną z tych dziewczątek prowadzonych do kaplicy kapucynów przez pannę Rouzaire? Kiedy Kościół nimi zawładnie, wykorzysta ich zmysły, ich słabość, ich cierpienia, i już nie wypuści – użyje tych istot jako straszliwych narzędzi niszczących mężczyzn, demoralizujących dziecko. Dopóki kobieta w swym odwiecznym sporze z mężczyzną z powodu krzywdzących praw i niegodziwych obyczajów pozostanie własnością Kościoła, niemożliwe jest

szczęście społeczne, między skłóconymi płciami musi trwać wojna. Dopiero w dniu, kiedy przestanie podlegać księdzu, swemu obecnemu władcy, mącicielowi i demoralizatorowi, kobieta dopiero wówczas stanie się nareszcie istotą wolną i wolną towarzyszką mężczyzny, rozporządzającą sobą, swoim szczęściem – dla szczęścia małżonka i dziecka. Czyż w gruncie rzeczy przyczyną niepokojów i wahań Marka przed spełnieniem obowiązku nie był utajony, samemu sobie nie wyznany lęk przed możliwym a bliskim dramatem, mającym spustoszyć jego własne ognisko rodzinne? Nagłe postanowienie mogło oznaczać gotowość podjęcia walki pod własnym dachem, choćby ta walka miała mu boleśnie serce rozkrwawić. Teraz już był tego świadom i było coś z bohaterstwa w jego decyzji, lecz dokonywał tego z prostotą, powodowany zapalem dla podjętego zacnego dzieła. Najpiękniejszą, najszczytniejszą rolę w rodzącej się demokracji spełnia nauczyciel szkoły powszechnej, ten pracownik tak biedny, tak pogardzany, którego zadaniem jest nauczanie maluczkich, wykształcenie ich na przyszłych szczęśliwych obywateli, budowniczych państwa sprawiedliwości i pokoju. Oto się nagle zarysowuje jasno jego misja, apostołstwo prawdy, ta nie opuszczająca go nigdy pasja dociekania prawdy, aby ją potem rozgłaszać i wpajać wszystkim.

Gdy Marek uniósł głowę, spojrzenie jego padło na zegar przy dworcu; stwierdził, że jest już po czwartej. Pociąg właśnie odszedł, wypadnie teraz czekać na następny o godzinie szóstej. Prawie w tej samej chwili ujrzał Genowefę, która szła zafrasowana, dla pośpiechu niosąc Ludwikę na rękę.

– Ach! mój drogi, wybacz, całkiem przegapiłam godzinę... Babcia mnie zatrzymała, a zdawała się tak rozdrażniona moją niecierpliwością, by zdążyć na spotkanie z tobą, że w końcu straciłam rachubę czasu.

Usiadła przy nim na ławce, z Ludwiką na kolanach. Marek, uśmiechnięty, pochylił się i ucałował dziecko, które wyciągnęło rączyny, aby go pochwycić za brodę.

– Zaczekamy na następny pociąg, moja droga – rzekł spokojnie. – Nikt nam nie przeszkadza, możemy tu zostać... Zwłaszcza, że mam ci coś do powiedzenia.

Ale Ludwika bynajmniej się tym nie przejmowała, chciała się bawić; zawisła u szyi ojca i deptała mu po udach.

– Mała była grzeczna?

– Och, u babci zawsze jest grzeczna, boi się bury... Toteż, jak widzisz, odbija to sobie.

Po chwili, gdy udało się jej zabrać dziecko, zapytała:

– Cóż to masz mi do powiedzenia?

– Coś, o czym jeszcze dotychczas nie wspominałem, ponieważ nie byłem zdecydowany. Otóż proponuję mi posadę nauczyciela tutaj, w Maillebois... i postanowiłem przyjąć. Co o tym myślisz?

Popatrzyła nań, zaskoczona, zrazu nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. I całkiem wyraźnie

ujrzał w jej oczach z początku jakby radosne zdziwienie, potem zaś wzrastający niepokój.

– No, więc jak uważasz?

– Cóż, mój drogi, uważam, że to awans, któregoś się tak rychło nie spodziewał... Tylko że sytuacja tutaj będzie niezbyt przyjemna, wśród rozpętanych namiętności, a przy twoich powszechnie znanych poglądach.

– Niewątpliwie... Rozważyłem to... Ale odsunięcie się od walki byłoby tchórzostwem.

– Tak, ale widzisz... mówiąc zupełnie szczerze, obawiam się mocno, że jeżeli przyjmiesz tę propozycję, ostatecznie nas to poróżni z babką.

Po chwili kłopotliwej ciszy Marek podjął:

– A więc radzisz mi odmówić, ty byś mnie także potępiła, byłabyś niezadowolona, gdybym się tu przeniósł?

Spojrzała na niego i tonem absolutnej szczerości odparła:

– Ja bym cię miała potępić? Ach, mój drogi, sprawiasz mi przykrość! Czemu tak do mnie mówisz? Musisz postępować według swego sumienia, spełniać swój obowiązek tak, jak go pojmujesz. Tylko ty możesz tu rozstrzygnąć, i wszystko, co uczynisz, będzie słuszne.

Niemniej Marek zauważył drżenie jej głosu, jak gdyby lękała się wyczuwając bliskie, choć jeszcze nie nazwane niebezpieczeństwo. I znowu zapanowało milczenie; Marek ujął obie dłonie żony, aby ją pocieszyć delikatną pieśczęcią.

– Jesteś zatem całkowicie zdecydowany?

– Tak, całkowicie. Gdybym postąpił inaczej, uważałbym, że postępuję źle.

– No, więc skoro mamy jeszcze prawie półtorej godziny do nadejścia pociągu, uważam, że powinniśmy niezwłocznie wstąpić do babci, aby zakomunikować jej twoje postanowienie. Pragnę, byś zachował się wobec niej otwarcie, niech to nie wygląda, że się kryjesz. Patrzała wciąż na niego; w tej chwili w jej spojrzeniu wyczytał jedynie wiele prawości i odrobinę smutku.

– Masz słuszność, moja droga, chodźmy tam zaraz. Ruszyli zwolna w kierunku placu Kapucyńskiego. Mała

Ludwika, prowadzona przez matkę za rączkę, zmuszała ich do zwolnienia kroku. Ale ten schyłek kwietniowego dnia był uroczy i odbyli niedaleką drogę milcząc, w jakimś skupionym rozmarzeniu. Na opustoszałym placu domek „tych pań” zdawał się pogrążony w swej zwykłej drzemce. Panią Duparque zastali w ciasnym saloniku na parterze; siedziała z nogą wyciągniętą na krześle, robiła pończochy dla ubogich w swej parafii, siedząca przy oknie pani Berthereau była zajęta haftem.

Wielce zdziwiona tym powrotem Genowefy, a zwłaszcza obecnością Marka, pani Duparque wypuściła z rąk robotę i czekała w milczeniu nie zapraszając ich nawet, by usiedli. A kiedy Marek powiadomił ją o otrzymanej propozycji oraz o nieodwołalnym swym postanowieniu objęcia placówki nauczyciela w Maillebois, dodając w końcu, że, powodowany szacunkiem,

przychodzi ją o tym uprzedzić, starszka zachnęła się zrazu, wzruszając ramionami.

– Ależ, mój drogi, to szaleństwo! Jednego miesiąca nie wytrwasz na tej posadzie.

– Dlaczegoż to?

– Dlaczego? ależ dlatego, że nie jesteś nauczycielem, jakiego nam potrzeba. Wiesz przecie dobrze, jaki duch panuje w tej okolicy, gdzie religia odnosi tak piękne tryumfy. Przy twoich rewolucyjnych poglądach sytuacja stałaby się dla ciebie nieznośna, rychło znalazłbyś się w wojnie z całą ludnością.

– No, cóż! to będę w wojnie. Trzeba, niestety, wojować, by kiedyś być zwycięzcą.

Teraz pani Duparque zaczęła się gniewać.

– Nie wygaduj głupstw! Zawsze ta twoja pycha, ten bunt przeciwko Bogu! Jesteś tylko ziarenkiem piasku, mój biedny chłopcze, wzbudzasz we mnie politowanie, kiedy sobie wyobrazasz, żeś dostatecznie silny, by zwyciężyć w walce, w której zmiażdżą cię ludzie i niebios.

– To nie ja jestem silny, ale rozum i prawda.

– Tak, tak, wiem... Zresztą, mniejsza o to... Słyszysz, ja nie chcę, abyś był tu nauczycielem, bo dbam o swój spokój, o swoje dobre imię, bo byłoby dla mnie zbyt wielką przykrością i wstydem mieć tu pod bokiem naszą Genowefę jako żonę człowieka, który się wyparł Boga i Ojczyzny, budzącego zgorszenie we wszystkich zacnych duszach. Powiadam ci, to szaleństwo. Musisz odmówić.

Zmartwiona tą gwałtowną sprzeczką, pani Berthereau pochylała się nad swym haftem, aby uniknąć udziału w dyskusji. Genowefa z twarzą mocno pobladłą stała wyprostowana trzymając za rączkę małą Ludwikę, która, wystraszona, chowała główkę w matczynej spódnicy. Zdecydowany zachować do końca spokój, Marek odpowiedział łagodnie, nie podnosząc głosu:

– Nie, nie mogę odmówić. Moje postanowienie jest nieodwołalne, przyszedłem po prostu zakomunikować o nim.

Unieruchomiona atakiem podagry, pani Duparque w jednej chwili straciła panowanie nad sobą. Nikt przecie nigdy nie stawiał jej oporu; ta spokojna wola, o którą rozbijał się jej despotyzm, drażniła ją do żywego. I – w napływie straszliwego gniewu wyrwało się jej to, czego wcale nie chciała wypowiedzieć, o czym postanowiono nigdy nie mówić w jej domu.

– Więc powiedz wszystko, przyznaj, że zjeżdżasz tutaj jedynie po to, by się zająć na miejscu tą wstrętną sprawą Simona. Tak, jesteś po stronie tych niecnych Żydów, marzysz o poruszeniu na nowo tych brudów, o wynalezieniu niewinnej ofiary, aby ją wysłać tam, na katorgę, na miejsce tego waszego ohydneho zbrodniarza, tak słusznie skazanego. A niewinną ofiarę, wszak prawda? upierasz się znaleźć pośród najgodniejszych sług bożych... Przyznaj to, przyznaj!

Marek nie zdołał powstrzymać uśmiechu, czuł bowiem doskonale, że jedynym źródłem gniewu, jaki go ścigał, była sprawa Simona, obawa, że wskutek jego starań wypłynie ona

z powrotem, że mu się uda osiągnąć rzeczywistego winowajcę. Za panią Duparque odgadywał jej spowiednika, ojca Crabot; wszystek wysiłek, by mu uniemożliwić działalność w Maillebois, stamtąd był inspirowany, podyktowany mocnym postanowieniem, by nie dopuścić nauczyciela, który nie byłby posłusznym narzędziem w rękach Kongregacji.

– Ależ naturalnie – odparł spokojnym tonem – trwam wciąż w przeświadczeniu, że mój kolega Simon jest niewinny, i uczynię wszystko możliwe, by tę jego niewinność wykazać.

Pani Duparque obróciła się gwałtownie w stronę pani Berthereau i Genowefy.

– Słyszycie i nic nie mówicie! Nasze nazwisko będzie związane z tą kampanią bezpieczeństwa. Naszą córkę ludzie ujrzą w obozie wrogów społeczeństwa i religii... No, słuchaj ty, jej matka, powiedz jej, że to niedopuszczalne, że musi się sprzeciwić tej niegodziwości w imię honoru własnego i nas wszystkich.

Zwracała się do córki, z której drżących rąk wypadła robótka. Przerazona tym starciem, pani Berthereau milczała przez chwilę, z trudem otrząsając się ze swej zwykłej smętnej drugoplanowej roli. W końcu powiedziała:

– Moje dziecko, twoja babka ma rację, obowiązkiem twoim jest nie dopuścić do poczynań, za które ponosiłabyś przed Bogiem część odpowiedzialności. Jeżeli mąż cię kocha, usłucha; tylko ty jedna możesz mu przemówić do serca. W sprawach sumienia twój ojciec nigdy mi się nie sprzeciwiał.

Bardzo wzruszona, Genowefa obróciła się w stronę Marka, tuląc do siebie dziecko, które ani na chwilę jej nie opuszczało. Była przejęta do głębi: cała przeszłość wychowanki klasztoru siostr wizek, całe jej pobożne wychowanie odzywało się w niej, przyprawiając o zawrót głowy; a jednak powtórzyła to, co już przedtem powiedziała mężowi.

– Tylko Marek sam może o tym zdecydować; uczyni to, co uzna za swój obowiązek.

Straszna w swym gniewie, pani Duparque znalazła siłę, by wstać, nie zważając na ból w chorej nodze.

– To jest twoja odpowiedź! Ty, którąśmy wychowały po chrześcijańsku, która byłaś dzieckiem miłym Panu Bogu, doszłaś do tego, że się Go wyrzekasz, gotowa żyć bez religii, jak zwierzę! I wybierasz szatana, zamiast podjąć wysiłek, aby go obalić! Otóż twój mąż tym większą ponosi winę, tak! i za to też spotka go kara, będziecie ukarani oboje, a klątwa dosięgnie nawet wasze dziecko!

Z wyciągniętymi ramionami stała wyprostowana, w postawie tak groźnej, że mała Ludwika zaczęła szlochać. Szybkim ruchem Marek uniósł córeczkę i przycisnął ją do serca, a ona, jak gdyby szukając w nim obrony, zarzuciła mu rączki na szyję. Genowefa również zbliżyła się do męża, wspierając się na ramieniu mężczyzny, któremu zawierzyła swój los.

– Idźcie precz, idźcie wszyscy troje! – zawołała pani Duparque. – Wracajcie do swego szaleństwa i pychy, to będzie waszą zgubą... Słyszysz, Genowefo, wszystko między nami

zerwane aż do dnia, w którym do nas powrócisz! Bo powrócisz, nazbyt długo należałaś do Boga... a ja będę się do Niego tak gorąco modliła, że z powrotem przyjmie cię całkowicie! Idźcie sobie, idźcie, nie chcę już was znać!

Zdruzgotana, Genowefa przez łzy spojrzała na płaczącą w milczeniu matkę. Ta bolesna scena wywołała w niej jakby nawrót wahania; wtedy Marek łagodnie ujął ją pod ramię i wyprowadził. Pani Duparque osunęła się znów na fotel; w małym domku zapanował na nowo chłodny cień i ponura cisza.

Następnego czwartku Marek udał się do Beaumont, aby oznajmić Salv.anowi, że przyjmuje jego propozycję. Już w pierwszych dniach maja otrzymał nominację i opuścił Jonville, przenosząc się do Maillebois w charakterze kierownika szkoły powszechnej. **CZEŚĆ DRUGA**

I

Był piękny, rozśłoneczniony majowy poranek, kiedy Marek odbył pierwszą lekcję w Maillebois. Obszerna sala szkolna, niedawno wykończona, miała cztery wysokie okna, których matowe szyby wpuszczały promienne potoki białego, wesołego światła. Naprzeciw umieszczonej na estradzie z trzema schodkami katedry nauczyciela stały czterema rzędami dwuosobowe ławeczki uczniów, po osiem w rzędzie. Nagle powstał wielki hałas, rozległy się śmiechy, gdyż jeden z uczniów idąc na miejsce udał, że się przewraca.

– Chłopcy – powiedział spokojnie Marek – macie być grzeczni. Nie będę was karał, ale przekonacie się, że najlepiej wyjdziecie dobrze się sprawując: będzie to dla was i korzystne, i przyjemne... Panie Mignot, proszę odczytać listę.

Zależało mu na obecności suplenta Mignot podczas pierwszej lekcji: postawa młodszego nauczyciela wyrażała wrogość i drwiące zdziwienie, że wyznaczono mu na zwierzchnika człowieka tak mocno skompromitowanego w niedawnych skandalach. Pozwolił sobie nawet zachichotać wraz z uczniami, kiedy jeden z nich udanym potknięciem spróbował rozśmieszyć kolegów.

Rozpoczęło się odczytywanie listy.

– August Doloir.

– Obecny! – zawołał wesoło chłopiec takim basem, że znowu cała klasa wybuchnęła śmiechem. Był to syn mularza; ów psotnik, co się przed chwilą potknął, jegomość dziesięcioletni, bardzo pewny siebie, inteligentny, ale niesforny, którego figle były głośne w całej szkole.

– Karol Doloir.

– Obecny!

Brat Augusta, młodszy od niego o dwa lata, zapiał dla odmiany tak cienko, że rozpętał nową

burzę śmiechu. Karol, łagodniejszy i delikatniejszy w obejściu, siedł jednak we wszystkim za przykładem starszego brata.

Marek, bardzo spokojny, i tym razem nie interweniował. Odczytywanie listy trwało; nowy nauczyciel przyglądał się obszernej sali, w której czekała go szlachetna praca nad tym hałaśliwym ludkiem. W Jonville nie było tylu tablic: jedna dla niego za katedrą, dwie po bokach dla uczniów, ani takiej obfitości pięknych kolorowych plansz: miary i wagi, minerały, rośliny, zwierzęta, owady pożyteczne i szkodliwe, grzyby jadalne i trujące, nie mówiąc już o licznych mapach. Był tam nawet w szafce całkowity zbiór minerałów oraz kilka przyrządów fizycznych i chemicznych. Ale tutaj nie odnajdywał owego nastroju porozumienia, pogodnej sympatii jak wśród uczniów, których opuścił. Niewątpliwie poprzedni nauczyciel, Méchain, chory i słaby, własną obojętnością przyczynił się do dezorganizacji szkoły, w której liczba uczniów z pięćdziesięciu kilku spadła do czterdziestu zaledwie.

Chodziło o ocalenie mocno zagrożonego porządku,
o przywrócenie zakładowi pomyślnego rozwoju i ładu.

– Achilles Savin – wywołał Mignot.

Nikt nie odpowiedział; młodszy nauczyciel musiał powtórzyć nazwisko. A przecie w jednej z ławeczek siedzieli obaj bliźniacy Savin, synowie urzędnika, pochyliwszy nosy

i patrząc spode łba. Te ośmiolatki zdawały się już pełne przezornej obłudy. – Achilles i Filip Savin – powtórzył Mignot patrząc na chłopców.

Wówczas zdecydowali się i odpowiedzieli jednocześnie bez pośpiechu:

– Obecny!

Marek, zdziwiony, zapytał, czemu się nie odzywali, skoro słyszeli. Ale nic z nich nie wydobył, obydwaj malcy przyglądali mu się nieufnie, przyjmując jak gdyby obronną postawę.

– Ferdynand Bongard – wywołał z kolei Mignot.

I tym razem nikt nie odpowiedział. Ferdynand Bongard, syn chłopca, tęgi dziesięciolatek z miną głupawą, mazgajowaty, siedział, skulony, podpierając się łokciami; wyglądał jakby spał z otwartymi oczyma. Dopiero gdy kolega go szturchnął, chłopiec, wystraszony, krzyknął:

– Obecny!

Obawiano się jego krzepkich pięści, toteż nikt z urwisów nie zareagował śmiechem. I w ciszy Mignot wywołał wreszcie ostatnie nazwisko.

– Sebastian Milhomme.

Marek poznał subtelną i rozumną twarzyczkę synka współwłaścicielki papeterii, siedzącego w pierwszej ławce na prawo. Uśmiechnął się do niego patrząc z radością na te niewinne oczy ośmioletniego dziecka, dostrzegając już w nich jak gdyby blask jednej z tych duszyczek, które sposobił się rozbudzić.

– Obecny! – odpowiedział Sebastian głosem jasnym i wesołym, który wśród nabrzmiałych

drwiną okrzyków pozostałych uczniów zadźwięczał w uszach Marka jak muzyka.

Po odczytaniu listy wszyscy chłopcy na znak dany przez Mignota wstali, by odmówić modlitwę. Po odejściu Simona Méchain dopuścił do wprowadzenia modlitwy przed rozpoczęciem i po zakończeniu lekcji, ustępując skrytemu naciskowi panny Rouzaire, która, powołując się na własną praktykę, twierdziła, że strach przed Bogiem utrzymuje w dyscyplinie jej dziewczynki. Nadto rodziny były temu rade, a inspektor Mauraisin także patrzył na to łaskawym okiem, chociaż modlitwa nie figurowała już w programie. Lecz Marek przeciął sprawę oświadczając swym spokojnym, a stanowczym tonem:

– Siadajcie, chłopcy! Nie przychodźcie tu, żeby odmawiać pacierze. Odmówicie je w domu, jeżeli wasi rodzice tego sobie życzą.

Zaskoczony Mignot popatrzał na niego z drwiącym zaciekawieniem. No nie! ten nauczyciel nie zagrzeje miejsca w Maillebois, jeśli zaczyna od zniesienia modlitwy! Marek zrozumiał to doskonale, gdyż czuł, że takie właśnie jest przekonanie powszechne, narastające wokół niego od momentu jego przybycia – pewność całkowitej i rychłej porażki nowego kierownika. Salvan go zresztą przestrzegał zalecając na początek jak największą ostrożność, taktykę ustepliwej tolerancji.

I jeśli się zdecydował na skasowanie modlitwy w klasie, uczynił to po głębokim namyśle, traktując ten krok jako pierwszą próbę. Rad by był natychmiast usunąć ze ściany wielki krucyfiks, wiszący za katedrą nad tablicą, a pozostawiony tam przez opieszałego Méchain, ale uprzytomnił sobie, iż najpierw powinien umocnić swoją pozycję, gdyż aby prowadzić walkę, należy przede wszystkim opanować teren. Drażniły go też cztery jaskrawe malowidła: święta Genowefa jako wybawicielka Paryża, Joanna d'Arc wsłuchana w nadprzyrodzone głosy, święty Ludwik uzdrawiający chorych i Napoleon objeżdżający konno pole bitwy. Zawsze to samo: cud i potęga, zakłamanie religijne i przemoc zbrojna, podawane za przykład, zapładniające mózgi dzieci, jutrzejszych obywateli. Czyż tego wszystkiego nie należy odmienić? Czy nie trzeba od podstaw zreformować nauczania, ucząc prawdy i solidarności, jeżeli się pragnie nareszcie wykształć – cię ludzi rozumnych i wolnych, zdolnych do sprawiedliwości?

Tak minęła pierwsza lekcja; Marek w sposób łagodny a stanowczy zaznaczył swój stosunek do nowych uczniów, którzy zdawali się owiani tchnieniem ciekawości i buntu. Odtąd rozpoczęła się i rozwijała cierpliwie zamierzona przez niego pokojowa kampania: zdobywanie mózgów i serc. Początkowo doznawał nieraz uczucia skrytej goryczy, często nawracał myślą ku ulubionym uczniom, których uważał za swych duchowych synów, ku tym pozostawionym w Jonville, a znajdującym się teraz w niepewnych rękach jego dawnego kolegi Jauffre'a; znając skłonność do intryg i żądę doraźnych sukcesów swego następcy, wyrzucał sobie, że powierzył mu tak szczęśliwie rozpoczęte dzieło na nieuchronne zniszczenie; pocieszało go jedynie przekonanie, iż tutaj, w Maillebois, podejmuje nowe pożyteczne dzieło, jeszcze pilniejsze.

W miarę jak upływały dni, zapalał się coraz bardziej i wszystek oddał się pracy, z entuzjastyczną wiarą w swoją misję.

Nazajutrz po odbytych w maju wyborach powszechnych w całym okręgu nagle zapanował spokój. Aż dotychczas głoszone konieczność milczenia, unikania wszelkich zadrażnień z obawy przed następstwami w postaci haniebnych wyborów, niebezpiecznych dla Republiki; natychmiast zaś po wyborach, które zrekonstruowały tę samą Izbę w identycznym składzie, wysunięto nowy motyw: należało milczeć, aby przez poruszanie niepożądanych spraw nie opóźnić przeprowadzenia obiecanych reform. W rzeczywistości, po zaciętej walce o mandaty, zwycięzcy pragnęli cieszyć się w spokoju tak ciężko zdobytymi stanowiskami. Toteż w Beaumont ani Lemarrois, ani Marcilly, wybrani ponownie, nie kwapili się wymówić nazwiska Simona, mimo obietnicę, iż będą działać, skoro tylko uzyskają przedłużenie kadencji i pozbędą się obawy przed zaślepieniem wyborców. Simon był osądzony, sprawa załatwio – na – zaryzykowanie chociażby tylko aluzji do jego procesu byłoby niegodne patrioty. I oczywiście w Maillebois obowiązywały te same instrukcje, nawet zaostrzone – tak dalece, iż mer Darras zwrócił się do Marka wręcz go błagając, aby w interesie nieszczęsnego niewinnego skazańca i jego rodziny powstrzymał się od działania: trzeba czekać na jakieś przebudzenie się opinii publicznej. Udawano zapomnienie, nie mówiono nigdy na ten temat, jak gdyby nie było już wcale zwolenników ani przeciwników Simona. Marek musiał ustąpić, ulec błaganiom tak zawsze pokornej i zalęknionej rodziny Lehmannów, a nawet Dawida, który w swym heroicznym uporze uznawał konieczność cierpliwego czekania. A przecie trafił na trop: oto dowiedział się drogą okrężną i nieszczęśliwie popartą dowodami, jakie to bezprawne oświadczenie pozwolił sobie złożyć ławie przysięgłych przez Gagnon; stanowiło ono całkowitą podstawę do kasacji wyroku, jeżeli zdołałby rzecz udowodnić. Ale Dawid zdawał sobie sprawę ze wszystkich trudności w danej chwili, toteż prowadził swe dochodzenie skrycie, nie chcąc spłoszyć przeciwników. Marek, choć bardziej niecierpliwy, w końcu przystał na tę taktykę, zgodził się udawać, że się już tą kwestią przestał interesować. Sprawa Simona zacichła, przez długi czas miała się wydawać zamknięta, zapomniana, podczas gdy w istocie trwała na kształt ukrytej choroby, zakażonej i nieuleczalnej rany, zabójczej dla społeczeństwa, któremu każdej chwili groził atak obłądnej, śmiertelnej gorączki. Dość jednej niesprawiedliwości, by cały naród obumierał zwolna, rażony obłądem.

Przez pewien czas Marek był więc oddany całkowicie swym zajęciom szkolnym, pewien, iż praca ta, szerzenie wiedzy, posiew prawdy w przyszłe pokolenia, to jedyny środek, aby wytepić niegodziwość, naprawić krzywdę i uniemożliwić jej nawrót. Ciężka to praca, której olbrzymie trudności nigdy mu się jeszcze nie dały odczuć tak dotkliwie. Ujrzał, że jest sam, że ma przeciwko sobie i uczniów, i ich rodziców, i swego pomocnika Mignot, i pannę Rouzaire, kierowniczkę szkoły żeńskiej, której klasa oddzielona była od jego klasy jedynie wspólnymi niemal mieszkaniem nauczycieli. Skądinąd moment był fatalny: szkoła braciszków w ciągu paru

ostatnich miesięcy znowu odebrała pięciu uczniów szkole świeckiej. Rzekłbyś, że powiał jakiś wiatr niepopularności: rodziny garnęły się do ignorantynów, aby ratować swe dzieci przed bezceństwami nowego nauczyciela, który poważił się znieść modlitwę pierwszego zaraz dnia po objęciu swych czynności. Brat Fulgencjusz tryumfował; miał teraz znów przy sobie braci Gorgiasza i Izydora, którzy zniknąwszy na pewien czas po sprawie Simona, zostali wezwani z powrotem – klasztor chciał zapewne w ten sposób zaznaczyć, że jest ponad wszelkie podejrzania; trzeci zaś, brat Łazarz, nie wrócił z tamtymi dla tej prostej przyczyny, że właśnie umarł. Zakonnicy paradowali tryumfalnie, na ulicach Maillebois wszędzie powiewały sutanny. Ale najprzykrzejsza dla Marka była szydercza wzgarda, z jaką wszyscy zdawali się go traktować. Nie raczono go nawet gwałtownie zwalczać, oczekiwano, że się sam wykończy jakimś szaleńczym wybrykiem. Cała okolica zachowywała się tak, jak Mignot owego pierwszego dnia w szkole: okazywano złośliwe zaciekawienie, przeświadczenie o rychłej i skandalicznej porażce. Panna Rouzaire oświadczyła: „Ręczę, że nie wytrzymają z nim dłużej niż dwa miesiące.” Te rachuby przeciwników najwyraźniej wyczuł Marek w tonie, jakiego użył względem niego podczas swych pierwszych odwiedzin inspektor szkół powszechnych Mauraisin. Ów wiedząc, że Marek cieszy się poparciem Salvana oraz inspektora szkół wyższych Le Barazera, potraktował nauczyciela w sposób ironicznie pobłażliwy, zostawił mu swobodę, czyhając na jakiś poważniejszy błąd, który by dostarczył pretekstu do natychmiastowego zwolnienia. Nie poruszył nawet sprawy usunięcia modlitwy – potrzebne mu było coś bardziej ważkiego, zespół miażdżących faktów. Wspominał o tym ze śmiechem w rozmowie z panną Rouzaire, jedną ze swych ulubienic; w następstwie utworzyła się dokoła Marka sieć szpiegów i donosicieli, śledzących jego słowa i uczynki.

– Mój drogi, bądź ostrożny – nie przestawał zalecać Salvan, ilekroć Marek wstępował do niego szukając pocieszenia. – Le Barazer znów otrzymał list anonimowy, w którym nazywają cię gorszycielem i sługą piekieł. Wiesz chyba, jak gorąco pragnę postępów naszego wzniesłego dzieła, sądzę jednak, iż chęć zdobycia wszystkiego naraz może doprowadzić właśnie do pogrzebienia całej sprawy... Przede wszystkim musisz stać się potrzebny, zdobądź powodzenie, zyskaj sympatię.

Dławiąc się goryczą, Marek przyznawał w końcu z uśmiechem:

– Masz słuszość, ja to sam czuję: zwyciężyć trzeba rozumą i sercem.

Wprowadził się wraz z żoną i córeczką do dawnego mieszkania Simona. Było ono znacznie obszerniejsze i wygodniejsze od dawnej ich siedziby w Jonville: dwie sypialnie, jadalnia, salon, nie licząc kuchni i przybudówki. Wszystko to czyściutkie, wesołe, zalane słońcem, a przed domem spory ogród, pełen warzyw i kwiatków. Ale ubożuchne meble ginęły w tym mieszkaniu, a od czasu zerwania stosunków z panią Duparque bardzo było ciężko. Pensja Marka wynosiła teraz tysiąc dwieście franków, w rezultacie więc zarabiał tyle co w Jonville, skoro odpadało

dwieście franków za prowadzenie kancelarii w merostwie. Jak się utrzymać za sto franków miesięcznie w miasteczku, gdzie życie było droższe? Jakże tu zachować godność, ubierać się schludnie, utrzymywać pozory dobrobytu? Był to poważny problem, którego rozwiązanie wymagało cudów oszczędności, skrytego bohaterstwa w drobnych szczegółach bytowania. Nieraz trzeba było jeść suchy chleb, aby mieć czystą bieliznę.

Marek znalazł w Genowefie cenną pomocnicą i godną podziwu towarzyszkę. Zastosowała i tutaj swe cudowne sposoby, wypróbowane w Jonville, potrafiła zaspokajać potrzeby gospodarskie nie ujawniając zbytnio rzeczywistego niedostatku. Musiała wszystkim się zajmować – praniem, cerowaniem, a Ludwikę widywano zawsze uśmiechniętą, w ładnych jasnych sukienkach. Gdyby, jak to było w zwyczaju, młodszy nauczyciel Mignot stołował się u przełożonego, wkład jego pomógłby nieco Genowefie. Lecz Mignot, kawaler, zajmujący osobny pokój po drugiej stronie schodów, wolał jadać w pobliskiej restauracji – być może dlatego, aby zaznaczyć swą obcość i nie kompromitować się bliższymi stosunkami z człowiekiem, któremu panna Rouzaire przepowiadała najfatalniejszy los. Sam wiódł nędzny żywot, jak wszyscy początkujący nauczyciele, pobierając marne siedemdziesiąt jeden franków, dwadzieścia centymów miesięcznie, licho odziany, licho odżywiony; jedyną jego rozrywką były czwartkowe i niedzielne wyprawy na ryby. W tych warunkach Mignot okazywał jeszcze więcej zgrzyźliwości, jak gdyby to Marek był winien, że w garkuchni dawano niedobrą zupę. A jednak Genowefa traktowała go nader życzliwie: wyraziła gotowość naprawiania jego bielizny, a kiedyś, gdy się przeziębił, zakrzętnęła się, by przygotować ziółka. Podzielała opinię męża, że Mignot nie jest złym człowiekiem, tylko znajduje się pod niewłaściwymi wpływami; i spodziewała się, iż traktując go sprawiedliwie i pocziwie zdoła z niego wykrzesać lepsze uczucia.

Ale – o czym Genowefa nie śmiała powiedzieć Markowi, aby go nie martwić – najczęściej odbijało się na gospodarstwie zerwanie stosunków z panią Duparquet. Dawniej babka troszczyła się o sukienki Ludwiki, wspomagała ich podarunkami, wspierała finansowo w cięż – szych momentach. Teraz, kiedy mieszkali w Maillebois, w najbliższym sąsiedztwie, pani Duparquet mogłaby im pomagać stale. No i jakże to przykreść codzienna, kiedy trzeba odwracać głowę przy spotkaniu! Dwukrotnie zdarzyło się, że Ludwika, której trzyletnia główka nie pojmowała, o co chodzi, przywoływała mijaną staruszkę wyciągając ku niej rączki. I w końcu doszło do nieuchronnej przygody. Pewnego dnia Genowefa wróciła do domu bardzo wzruszona: oto, ulegając okolicznościom, ucałowała spotkane na placu Kapucyńskim babkę i matkę, w których objęcia z niewinną prostotą rzuciła się Ludwika. Kiedy się zwierzyła mężowi, ten z kolei uściskał ją uśmiechając się łagodnie.

– Ależ to bardzo dobrze, moja droga, ciesz się mną ze względu na ciebie i Ludwikę to pojednanie. Musiało przecie nastąpić, a nie masz mnie chyba za takiego barbarzyńcę, abym dlatego że się gniewam z tymi paniami, wymagał tego samego od was?

– Zapewne, mój drogi. Tylko, widzisz, to kłopotliwe w małżeństwie, kiedy żona bywa tam, gdzie mąż bywać nie może.

– A czemuż kłopotliwe? Dla naszego spokoju jest, jak sądzę, pożądane raczej, abym się nie widywał z twoją babką, z którą nie potrafiłbym się porozumieć. Ale jeśli chodzi o ciebie i o dziecko, nic wam nie przeszkadza odwiedzać je od czasu do czasu.

Genowefa spoważniała, pogrążona w myślach, z wzrokiem opuszczonym ku ziemi. Wzdrygnąwszy się lekko, rzekła:

– Wolałabym nie chodzić do babci bez ciebie. Czuję się pewniej, kiedy jesteśmy razem... No, ale cóż, masz rację, rozumiem, jak przykro by ci było towarzyszyć mi; a z drugiej strony, trudno mi teraz zerwać...

I w ten sposób ułożyło się życie. Genowefa z początku odwiedzała panią Duparque i panią Berthereau zaledwie raz na tydzień; przyprowadzała tam z sobą córeczkę, spędzała godzinę w domku na placu Kapucyńskim, w czasie gdy mąż był zajęty w szkole; Marek przy spotkaniu z „tymi paniami” poprzestawał na ukłonie.

W ciągu dwóch lat, przy ogromnym nakładzie cierpliwości i pobłażliwej dobroci, przezwyciężając niezliczone przeszkody, Marek zjednał sobie uczniów w tym nieprzyjaznym środowisku. Zatrzymował tu jego swoisty dar: był urodzonym pedagogiem, umiał stawać się dzieckiem, aby być zrozumianym przez dzieci. Przede wszystkim był zawsze wesoły, chętnie się z nimi bawił, był jakby ich kolegą, ot, starszym bratem. Jego moc tkwiła w tym, że zapominał o swej wiedzy, wczuwał się w zasięg młodych, nie rozbudzonych jeszcze umysłów i znajdował słowa, co wszystko objaśniały, jak gdyby sam, jeszcze nie oświecony, dzielił z nimi radości poznawania. W tak obfitych programach, obejmujących czytanie, pisanie, gramatykę, ortografię, stylistykę, rachunki, historię, geografę, przyrodę, śpiew, gimnastykę, rolnictwo, roboty ręczne, etykę, naukę o obowiązkach i prawach obywatelskich – starał się nie pozostawiać niczego odłogiem, dopóki dzieci wszystkiego nie opanowały. Tak tedy przede wszystkim troszczył się o metodę nauczania, o to, aby nic z tej nauki nie przepadło, aby następowało przyswojenie pewne i całkowite, kiedy prawda narzuca się sama przez się, karmiąc rozkwitające umysły, stając się ciałem i duchem przysłych obywateli.

Ach! jak żarliwie oddawał się tym zasiewom, tej uprawie prawdy! I to jakiej prawdy! Czyż bowiem wszelkie fałszy nie pretendują do miana prawdy? Sam Kościół katolicki, oparty na absurdalnych dogmatach, czyż się nie mieni prawdą jedyną? Toteż Marek uczył przede wszystkim, że nie masz prawdy poza rozumem, logiką, a zwłaszcza doświadczeniem. Chłopski lub robotniczy syn, któremu się powiada, że ziemia jest okrągła i wiruje w prze – strzeni, przyjmuje to z ufnością, tak samo jak przyjmuje bajeczki katechizmu: Bóg w trzech osobach, wcielenie, zmartwychwstanie. Trzeba, aby mu doświadczenie dostarczyło pewności naukowej na to, by mógł dokonać rozróżnienia. Wszelka prawda objawiona jest kłamstwem, tylko prawda

doświadczalna jest prawdziwa, jedna i całkowita, wieczysta. Stąd wniosek zasadniczy: należy przeciwstawić katechizmowi katolickiemu katechizm naukowy, przedstawić świat i człowieka w świetle nauki, ujęte w ich żywej prawdzie, w ich pochodzie ku wciąż nowej, coraz doskonalszej przyszłości. Nie masz innej drogi do istotnej poprawy, swobody i szczęścia jak tylko przez prawdę, przez poznanie warunków życia i postępu człowieka. A tej potrzebie poznania, dla rychlejszego osiągnięcia zdrowia i pokoju, odpowiada związana z nią metoda swobodnego rozszerzania horyzontów: wiedza przestaje być martwą literą, a staje się źródłem życia, bodźcem dla temperamentów i charakterów. Przeto Marek w swej szkole możliwie najczęściej odkładał na bok książki, zmuszając w ten sposób uczniów do samodzielnego myślenia. Dopiero to, co sami namacalnie sprawdzili, stawało się dla nich zrozumiałe. Nigdy od nich nie żądał, aby wierzyli, dopóki im nie dowiódł doświadczalnie realności danego zjawiska. Całą dziedzinę faktów niedowiedzionych odsunęto na stronę, trzymając ją jakby w rezerwie, do przyszłych badań; a przecie posługując się zdobytymi już prawdami, ludzie mogą wybudować sobie wielką i piękną siedzibę, bezpieczną i braterską. Patrzeć na świat samodzielnie, przekonać się, w co należy wierzyć, rozwijać zdolność rozumowania, rozwijać indywidualność stosownie do celu istnienia i działania – oto w czym zawierała się cała jego metoda nauczania, jedyna mogąca wykształcić prawdziwych ludzi.

Lecz nie dość było wiedzy, potrzeba było więzi społecznej, ducha stałej solidarności. Marek upatrywał go w sprawiedliwości. Zauważył, z jakim błyskiem buntu skrzywdzone w swych prawach dziecko woła: „To niesprawiedliwe!” Wszelka niesprawiedliwość wywołuje w głębi tych duszyczek burzę, okrutnie dla nich bolesną. Albowiem pojęcie sprawiedliwości jest w nich niezachwiane. Apelowal tedy do tej nieskazitelnej prawości, do owej wrodzonej potrzeby prawdy i sprawiedliwości w dziecku, którego życie nie nagięło jeszcze do kłamliwych i niegodziwych kompromisów. Przez prawdę do sprawiedliwości – oto była droga, prosta droga, na którą kierował swych uczniów, dbając, aby o ile możliwości sami osądzali własne wykroczenia. Gdy który z nich skłamał, Marek zmuszał go do stwierdzenia krzywdy wyrządzonej kolegom i samemu sobie. Temu, co zamącił porządek lub spóźnił się do szkoły, wykazywał, iż on sam jest tutaj przede wszystkim poszkodowany. Nieraz winowajca sam się oskarżał, zasługując przez to na przebaczenie. W ten sposób w tej drobnej społeczności rozwinęła się jakaś ambicja sprawiedliwości, wszyscy współzawodniczyli w szczerości i dbali, by lekcje odbywały się przykładowo, wedle najrzetelniejszej miary praw i obowiązków każdego. Zapewne, nie obeszło się bez wstrząsów, a nawet wręcz klęsk, gdyż był to dopiero początek, a trzeba będzie całych pokoleń uczniów, aby szkoła stała się naprawdę ośrodkiem zdrowego i szczęśliwego życia. Niemniej Marek radował się najdrobniejszymi nawet wynikami, przeświadczony, iż jak poznanie stanowi podstawowy warunek wszelkiego postępu, tak też bez ducha sprawiedliwości nie uzyska się żadnych decydujących osiągnięć dla szczęścia ludzi. Czemuż bo klasa mieszczańska,

najbardziej wykształcona, tak szybko chyliła się ku ostatecznemu rozkładowi? Czyż przyczyną tego nie była jej niegodziwość, zbrodnia pogwał. cenia sprawiedliwości, jaką popełniła odmawiając zwrotu zagrabionego mienia, prawowitej części maluczkich i upośledzonych? Potępia się oświatę wskazując przykład roz – kładającej się burżuazji, zarzucając nauce, iż tworzy ludzi zdeklasowanych, wzmaga zło i cierpienie. Owszem, niewątpliwie, dopóki wiedza szamotać się będzie w społeczeństwie rządzonym fałszem i niesprawiedliwością, dopóty będzie raczej burzyła. Nauka winna służyć sprawiedliwości, jej cel ostateczny to ugruntowanie w samym łonie przyszłej bratniej społeczności ludzkiej etyki wolności i pokoju.

Ale nie wystarczyło być sprawiedliwym; Marek wymagał od swych uczniów dobroci i miłości. Wszystko kiełkuje, wszystko kwitnie tylko przez miłość i dla miłości. Ów powszechny płomień pożądania i zespolenia – to ognisko skupiające życie świata. Każdy odczuwa przemożną potrzebę stopienia się z innymi; a działanie jednostki, nieuniknioną indywidualność, wolność każdej istoty, można porównać z działalnością poszczególnych narządów istoty powszechnej. Jeśli pojedynczy człowiek jest wolą i źródłem czynu, to czyny te stają się rzeczywiste dopiero wtedy, gdy oddziałują na ogół. Miłować, wzbudzać miłość dla siebie, uczyć miłości dla innych – te trzy hasła, te trzy stopnie nauczania człowieka całkowicie wyznaczają rolę nauczyciela. Tak, Marek całym sercem kochał swoich uczniów, oddawał się im bez zastrzeżeń, dobrze wiedząc, że trzeba kochać, aby uczyć, albowiem tylko miłość zdolna jest wzruszać i przekonywać. Tak, zdobywał miłość dla siebie, nieustannie o to dbał, bratał się z malcami, nigdy nie starając się wzbudzać lęku, lecz. przeciwnie, jednając ich sobie jedynie perswazją, czułością, koleżeństwem starszego towarzysza, dorastającego w gronie młodszych. Stałą jego troską było szerzenie powszechnej wzajemnej miłości, ustawiczne przypominanie tej prawdy, że szczęście każdego zależy od szczęścia wszystkich, codzienne wykazywanie postępów i radości każdego ucznia, kiedy cała klasa pilnie pracowała. Oczywiście, szkoła powinna kształcić energię, przynosić wyzwolenie i rozwój osobowości, dziecko powinno myśleć i działać samodzielnie, aby kiedyś człowiek wniósł do społeczeństwa pełną sumę swej wartości osobistej. Ale wszakże plon tej intensywnej uprawy miał wzbogacić wspólną skarbnicę; czyż można sobie wyobrazić samotniczą wzniosłość obywatela, którego czyny, zyskując mu chwałę, nie przyczyniłyby się do szczęścia innych? Nauka, wychowanie muszą dążyć do tej solidarności, zgodnie z owym prawem powszechnego przyciągania, którego moc stopniowo stapia ludzkość w jedną rodzinę. Marek chciał działać tylko życzliwością, serdecznością; pragnął, aby szkoła była radosna, braterska, pełna słońca, śpiewu i śmiechów, aby uczyła żyć szczęśliwie; za jego sprawą uczniowie żyli tym życiem wiedzy, prawdy, sprawiedliwości, której ideał się ziści, kiedy go wytrwale przygotowują całe pokolenia dzieci nareszcie wykształconych.

Od samego początku Marek postanowił przeciwstawić się owemu systemowi wychowawczemu, jaki stosowano dotąd wobec dzieci, systemowi opartemu na gwałcie, terrorze

i głupocie. Książki, ryciny, codzienne lekcje uczyły dziecko cenić jedynie prawo silniejszego, rzezie, burzenie miast, zniszczenie. Z historii podsuwano mu przed oczy najkrwawsze stronic: wojny, podboje, nazwiska wodzów, co zdziesiątkowali ludzkość. Rozpalano młodzieńskie mózdzki szczękiem broni, wizjami bitew barwiących równiny krwawą posoką. Książki dawane uczniom w nagrodę za postępy w naukach, redagowane dla nich pisemka, ba! nawet okładki zeszytów szkolnych ukazywały im same tylko wojska wyrzynające się wzajemnie, podpalanie okrętów, odwieczne przekleństwo człowieka, który stał się człowiekiem-wilkiem. A jeżeli nie bitwy, to wybierano jakiś cud, jakąś nedorzeczną legendę: o tym, jak jakiś święty czy święta ocala kraj mocą swych modłów, jak zarządzenie Jezusa lub Marii zapewnia bogaczom władzę nad tym światem, jak kapłan znakiem krzyża rozplątuje powikłania społeczne i polityczne. Pod zachmurzonym niebem, z którego wyżyn ciska pioruny złośliwy i gniewny Bóg, zawsze wzywano maluczkich do posłuszeństwa, do rezygnacji. Wśród gęstych mroków zacofania i kłamstwa panowała trwoga; lęk przed Bogiem, strach przed diabłem, niska i szpetna bojaźń ogarniała człowieka od dzieciństwa i przytłaczały go aż do zgonu. Wytwarzano w ten sposób tylko niewolników, ludzką miazgę, powolną zachciankom władcy, stąd właśnie rodziła się potrzeba wychowania opartego na ślepej wierze, aby mieć zawsze pod ręką żołnierzy gotowych bronić ustalonego porządku rzeczy. Ale jakże przestarzała to koncepcja – upatrywać w wojnie jedyne wyładowanie dla ludzkiej energii! To mogło odpowiadać epoce, w której wyłącznie miecz rozstrzygał sprawy między jednym ludem a drugim, między królem a poddanymi. Dzisiaj wprawdzie narody pośród okropnego zamętu kończącego się świata bronią się jeszcze zbrojnie, i to straszliwie, lecz któż ośmieli się twierdzić, że ostateczne zwycięstwo przypadnie narodom wojowniczym? Któż natomiast nie widzi, iż tryumfator jutra zwycięży pozostałych na terenie gospodarczym, reorganizując pracę i przynosząc ludzkości więcej sprawiedliwości i szczęścia? Jedna tylko rola jest godna Francji: dopełnić dzieła rewolucji, być wyzwolicielem. Toteż ów ciasny pogląd, że trzeba mimo wszystko i jedynie produkować żołnierzy, wywoływał w Marku gniew i smutek. Nazajutrz po doznanych klęskach taki program można było jeszcze usprawiedliwić; a jednak przyczyną całego nieszczęścia, całego okropnego kryzysu było właśnie pokładanie wszelkiej nadziei w armii, wydawanie demokracji w ręce dowódców wojskowych. Jeśli nawet trzeba nadal mieć się na baczności pośród uzbrojonych sąsiadów, jeszcze ważniejszą sprawą będzie stać się ludem pracującym, wolnymi i sprawiedliwymi obywatelami, do których należy jutro. Kiedy cała Francja posiadzie świadomość i wolę, kiedy będzie ludem wyzwolonym, rozpadną się dokoła niej najgęściej najeżone żelazem państwa, objęte tchnieniem prawdy i sprawiedliwości, która dokona tego, czego nigdy nie dokonają armie i armaty. Jeden lud budzi drugi, a w dniu kiedy ludy kolejno powstaną, pouczone przykładem, nastąpi zwycięstwo pokoju, koniec wojen. W tym Marek widział najszczytniejszą rolę dla swego kraju, wielkość ojczyzny wcielała się w to wymarzone dzieło stopienia wszystkich ojczyzn w jedną ojczyznę ludzkości.

Oto dlaczego dobierał starannie książki i ryciny, dawane do rąk uczniom, usuwając kłamstwa o cudach., bitewne rzezie, o ile możliwości zastępując je prawdami naukowymi, obrazem płodnych trudów człowieka. Jedynym źródłem energii – praca dla szczęścia.

W ciągu drugiego roku dodatnie wyniki stały się już uchwytne. Rozdzieliwszy szkołę na dwie klasy, Marek zajął się pierwszą, obejmującą dzieci od lat dziewięciu do trzynastu, przekazawszy drugą, dla malców od sześciu lat, suplentowi Mignot. Zastosował system wzajemnego przesłuchiwania się, osiągając przez to oszczędność czasu i ożywienie współzawodnictwa wśród uczniów. Nie tracono ani jednej minuty, prace piśmienne, lekcje ustne, objaśnienia przy tablicy – wszystko postępowało naraz, regularnym trybem, we wzorowym porządku; a przecie pozostawiał dzieciom jak najwięcej samodzielności, rozmawiając z nimi, zachęcając do dyskusji, niczego nie narzucając własnym autorytetem nauczyciela, pragnąc, by przede wszystkim sami dochodzili do swych stwierdzeń, tak iż obydwie klasy zachowywały swobodną wesołość, ustawiczne zainteresowanie dzięki tym żywym, stale urozmaiconym dociekaniom, w których młode umysły wę – drowały od jednego odkrycia do drugiego. Wymagał jedynie ścisłego przestrzegania higieny, prowadząc dzieci pod studnię jak na zabawę, szeroko otwierając okna w czasie lekcji i po ich zakończeniu. Dotychczas, według ustalonego zwyczaju, dzieci zamiatały salę wzbijając okrutny kurz, groźny rozsadnik zarazy. Marek nauczył je posługiwania się gąbką, za jego namową dzieci szorowały wszystkie kąty, co stanowiło zabawę i rozrywkę. W słoneczne dni obszerna sala, tak jasna, tak czyściutka, pełna zdrowych, rozradowanych malców, była niezwykle urocza.

I w taki rozsloneczniony dzień majowy, w dwa lata po przybyciu Marka do Maillebois, zjawił się rankiem znienacka w szkole inspektor Mauraisin, spodziewając się przyłapać nauczyciela na jakimś wykroczeniu. Daremnie go dotychczas śledził, stropiony jego ostrożnością, zły, że nie może złożyć nań meldunku, który by motywował wniosek o przeniesienie. Ten fantasta, ten nieogłędny rewolucjonista, który miał stąd wylecieć w ciągu pół roku, zapuścił korzenie – ku powszechnemu zdumieniu i zgorszeniu.

Uczniowie właśnie kończyli szorowanie klasy; na ten widok piękny Mauraisin, drobny, wymuskany, w obcisłym surducie, wydał okrzyk zaniepokojenia.

– Cóż się to dzieje? Zalało was?

A kiedy Marek wytłumaczył mu, iż ze względu na higienę zastąpił zmiatanie myciem, inspektor wrzucił ramionami.

– Jeszcze jedna nowość! Mógłby pan choć uprzedzić o tym administrację. A zresztą, to nie jest dobre dla zdrowia: tyle wody rozlanej musi powodować reumatyzm... Pan będzie łaskaw przywrócić używanie miotły, dopóki nie otrzyma pan upoważnienia na takie stosowanie gąbki.

Następnie w czasie kilkuminutowej pauzy przystąpił do przeglądu sali, posuwając się w swej gorliwości aż do szperania w szafkach pod pozorem sprawdzania porządku. Zapewne spodziewał

się wykryć tam jakieś niewłaściwe książki, broszurki wywrotowe. I wszystko ganił, czepiał się najdrobniejszych niedociągnięć, wypowiadał głośno swe uwagi w obecności uczniów, starając się upokorzyć przed nimi nauczyciela. Wreszcie chłopcy wrócili na miejsca i rozpoczęło się egzaminowanie.

Mauraisin na początku uczeplił się Mignota, ponieważ ósmioletni Karolek Doloir nie potrafił odpowiedzieć na jakieś pytanie tłumacząc się, że tego jeszcze nie przerabiano w klasie.

– Spóźnia się więc pan z programem? Przecie już od dwóch miesięcy uczniowie powinni byli przejść tę lekcję!

Mignot, wyprężony słuźbiście, ale wyraźnie rozdraźniony tym agresywnym tonem, obrócił się tylko w stronę Marka. Istotnie, w niego to godził zarzut Mauraisina. Toteż Marek w końcu odpowiedział:

– Przepraszam, panie inspektorze, to ja uznałem za właściwe przestawić niektóre punkty programu, gwoli jasności. A poza tym, czyż nie lepiej trzymać się mniej książki, a bardziej ducha wykładanych wiadomości, tak aby uczniowie w ciągu roku szkolnego mogli zżyć się z całokształtem programu?

Mauraisin udał głębokie oburzenie.

– Jakże to, pozwala pan sobie naruszać program, sam pan rozstrzyga, co w nim zachować, a co odrzucić? I własną fantazją zastępuje pan mądrość swoich zwierzchników? Doskonale, przekonamy się, jak dalece spóźniona jest w nauce pańska klasa.

Po czym zwracając się do drugiego z braci Doloir, dziesięcioletniego Augusta, począł go egzaminować z historii; pytał o okres Terroru, kazał wymienić przywódców: Robespierre’a, Dantona, Marata.

– Powiedz no, mój chłopcze, czy Marat był piękny? August, chociaż nieco utemperowany przez Marka,

wciąż przecie pozostawał niesfornym wesołkiem całej kła – sy. Nie wiedzieć, czy szczerze czy też przez przekorę odpowiedział:

– Och! bardzo piękny, panie inspektorze! Rozbawieni koledzy skręcali się w ławkach ze śmiechu.

– Ależ nie, nic podobnego, moje dziecko, Marat był potwornie brzydki, na jego twarzy malowały się wszelkie występki i zbrodnie! – Po czym zwracając się do Marka, Mauraisin dodał nieopatrznie: – Spodziewam się, że to nie pan pouczał ich o piękności Marata?

– Nie, panie inspektorze – odpowiedział z uśmiechem nauczyciel.

Wywołało to nową falę śmiechów, tak iż w końcu Mignot musiał przemaszerować między ławkami, aby przywrócić porządek. Tymczasem zirytowany Mauraisin, upierając się przy swym Maracie, przeszedł do historii Charlotte Corday. Trafił znów bardzo niefortunnie, upatrzawszy sobie Ferdynanda Bongard, dużego jedenastoletniego chłopca, po którym snadź spodziewał się

lepszego przygotowania.

– No, ty tam, grubasku, powiedz, jak umarł Marat? Trafił fatalnie: Ferdynandowi nauka szła niezwykle

ciężko, nie czuł zresztą do niej najmniejszej chęci, a głowę miał tępą, zwłaszcza gdy chodziło o historyczne nazwiska i daty. Wstał, osłupiały, z wytrzeszczonymi oczyma.

– No, opanuj się, synku! A więc: czy Marat nie zmarł w okolicznościach szczególnych?

Ferdynand rozdziawiwszy usta trwał w milczeniu. Z tyłu jeden z litościwych kolegów podpowiedział mu: „W kąpielu!” Wtedy Ferdynand zdecydował się i mocnym głosem wypalił:

– Marat utonął w czasie kąpielu.

Tym razem zerwał się wręcz huragan śmiechu; Mauraisin wpadł w gniew.

– Dalibóg, te dzieci są arcygłupie!... Marat został zabity w wannie przez Charlotte Corday, egzaltowaną dziewczynę – czynę, która się poświęciła, aby uwolnić Francję od krwiożerczego potwora;.. Widać niczego was tu nie ucą, skoro nie potraficie odpowiedzieć na tak proste pytanie!

Następnie przeegzaminował bliźniaków Achillesa i Filipa Savin, wypytując ich o wojny religijne; tu odpowiedzi wypadły dosyć zadowolająco. Bracia Savin, małowówni a kłamlivi, nie byli lubiani w szkole; donosili

o wykroczeniach kolegów, w domu opowiadali ojcu wszystko, co się działo w klasie. Ujęty ich obłudnymi minkami, inspektor ich właśnie postawił innym za wzór.

– Oto dzieci, które przynajmniej coś umieją. -

i zwracając się znów do Filipa, zapytał: – Powiedz no mi, co należy czynić, aby należycie praktykować religię?

– Trzeba chodzić na mszę, panie inspektorze.

– Ma się rozumieć, ale to nie wystarcza, trzeba spełniać wszystko to, co nakazuje religia. Słyszysz, chłopcze: wszystko, co nakazuje religia.

Marek spojrział nań, zdumiony. Jednakże wstrzymał się od interwencji, odgadując przyczynę tak osobliwego zapytania: była nią chęć sprowokowania go do jakiejś nieopatrznej wypowiedzi. I niewątpliwie to było zamiarem inspektora, który ciągnął tonem zaczepnym, zwracając się z kolei do Sebastiana Milhomme:

– A ty, blondynku, powiedz no, czego nas uczy religia?

Sebastian stał, zmieszany, nie odpowiadając. Był prymusem w klasie, obdarzony żywą inteligencją oraz łagodnym i czułym charakterem. Niemożność zadowolenia pana inspektora zmartwiła go do łez. Tego go nie nauczono, dziewięcioletni malec nie pojmował nawet w ogóle, o co go pytają.

– I cóż! czemu się na mnie gapisz, głuptasku? przecież pytanie jest całkiem jasne!

Marek nie mógł już wytrzymać. Zakłopotanie ulubionego ucznia, do którego zaczynał się

przywiązywać serdecznie, było mu nieznośne. Pośpieszył więc na pomoc. – Za pozwoleniem, panie inspektorze, to, o czym uczy religia, znajduje się w katechizmie, a katechizm nie jest objęty programem. Jakże więc to dziecko może panu odpowiedzieć?

Tego widocznie Mauraisin oczekiwał. Udał rozgniewanego.

– Ja nie potrzebuję od pana pouczeń, panie profesorze. Wiem, co robię, a nie ma ani jednej jako tako prowadzonej szkoły, w której dziecko nie potrafi odpowiedzieć z grubsza na pytania dotyczące religii panującej w jego kraju.

– Powtarzam, panie inspektorze – oświadczył Marek dobitnie, głosem, w którym zaczynał przebijać gniew – że nie mam obowiązku uczyć katechizmu. Pan się myli, nie jest pan tutaj u braci szkolnych, u których podstawę nauczania stanowi katechizm. Tu jest republikańska i świecka szkoła, zdecydowanie odgraniczona od wszelakich wyznań, opierająca poznanie wyłącznie na rozumie i wiedzy. A jeżeli zajdzie potrzeba, odwołam się do swych władz.

Mauraisin zrozumiał, że się zapędził nieco za daleko. Ilekroć próbował obalić Marka, wyczuwał, iż jego zwierzchnik, inspektor szkół wyższych Le Barazer, raczej sympatyzuje z młodym nauczycielem: za każdym razem żądał poważnych i konkretnych faktów, zanim by zgodził się wystąpić przeciwko Markowi. Inspektor nie miał też wątpliwości co do poglądu Le Barazera w sprawie całkowitej neutralności religijnej w szkole państwowej. Toteż nie nalegał już więcej i pośpiesznie zakończył inspekcję, nie szczędząc dalszych krytyk, zdecydowany nie dostrzec żadnych osiągnięć. Nawet uczniom wydał się śmieszny; śmiali się w kułak z gniewnej miny małego, próżnego człowieczka o przylizanej fryzurze i brodzie. Po jego odejściu Mignot wzruszył ramionami i po cichu rzekł do Marka: – Da nam złą opinię w raporcie... Ale miał pan słusność, ten typek staje się już zbyt głupi.

Od niejakiego czasu Mignot skłaniał się na stronę Marka, ujęty jego stanowczą a tak łagodną działalnością; wprawdzie nie zgadzał się jeszcze z nim we wszystkim, niespokojny o własną karierę, ale jako człowiek w gruncie prawego charakteru zaczynał się garnać ku temu dobremu przewodnikowi dusz.

– Och! zła opinia! – powtórzył z humorem Marek. – W swoim sprawozdaniu Mauraisin pozwoli sobie najwyżej na jadowne, obłudne wycieczki... O, proszę spojrzeć, wchodzi właśnie do szkoły panny Rouzaire, tam jest nareszcie u Pana Boga. A najparadniejsze, że jego postawa jest właściwie tylko manewrem politycznym, sprytnym zabiegiem karierowicza, aby się przepychać coraz wyżej.

Istotnie Mauraisin po każdej inspekcji zasypywał pannę Rouzaire pochwałami. Ta prowadziła uczennice do kościoła, przesłuchiwała je z katechizmu, inspektor mógł tam do woli zadawać pytania dotyczące religii. Wyróżniała się zwłaszcza jedna uczennica, mała Hortensja Savin, przygotowująca się do pierwszej komunii: zdumiewała ona inspektora znajomością historii świętej. Aniela Bongard, równie tępa jak jej brat, nie tak już gruntownie pojmowała

wzniosłe zasady, chociaż się uczyła z bolesną zajadłością. Natomiast tylko co przyjęta sześćoletnia smarkula Łucja Doloir zapowiadała się na bardzo rozumną osobkę, z której się później urobi śliczne dziecko Marii.

Po lekcjach Marek ujrzał raz jeszcze inspektora, którego panna Rouzaire odprowadzała aż do progu. Tam dokończyli zaczętej rozmowy, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, którym towarzyszyły szerokie gesty ubolewania. Niewątpliwie przedmiotem tego ubolewania było fatalne sąsiedztwo szkoły męskiej, gdzie panoszył się ten okropny nauczyciel, którego od dwóch lat spodziewali się wysadzić z kozła – wciąż na próżno. W Maillebois, po daremnym oczekiwaniu na jakąś awanturę i burzliwe usunięcie Marka, również zaczynano się do niego przyzwyczajać. Mer Darras zdołał mu publicznie wyrazić uznanie na posiedzeniu rady miejskiej; pozycja jego wzmocniła się jeszcze po jednym doniosłym wydarzeniu: oto dwaj uczniowie, którzy przeszli byli do braciszków, powrócili do jego szkoły. Było to oczywistą oznaką, że rodziny uspokajają się, że tolerują Marka, a nadto stanowiło porażkę dla szkoły kongregacyjnej, tak dotychczas kwitnącej i zwycięskiej. Czyż istotnie ten nauczyciel, działając sercem i rozsądkiem, jak to określał, przywróci do chwały szkołę świecką? Czy za jego sprawą odzyska ona swe przodujące miejsce i rolę?

Niewątpliwie powiew niepokoju poruszył ignorantynów i mnichów, obiegł cały obóz klerykalny. I nadszedł atak tak osobliwy, że Marek zdumiał się. Przezornie pozostawiwszy na boku sprawę katechizmu, Mauraisin u mera – i po trosze wszędzie – jął rozwodzić się tylko na temat owego sławnego zmywania klasy gąbką, z oburzeniem wnosząc ramiona, udając obawę o zdrowie dziatwy. Wtedy wyłoniło się ważne zagadnienie: zmywać czy zamiatać? Rychło w Maillebois powstały dwa obozy, ludzie się roznamiętniali, bombardowali wzajemnie argumentami. Zasięgnięto przede wszystkim opinii rodziców. Urzędnik Savin okazał się zajadłym przeciwnikiem mycia podłogi, tak dalece, iż w pewnym momencie zdawało się, że odbierze ze szkoły swych chłopców. Ale Marek przesunął sprawę na wyższą platformę, zwrócił się do swych przełożonych domagając się zwołania komisji złożonej z lekarzy i higienistów. Po przeprowadzeniu gruntownych badań i po długiej dyskusji zwyciężyła gąbka. Zgotowało to nauczycielowi prawdziwy tryumf, jednając mu jeszcze bardziej uznanie rodziców; nawet zgryźliwy Savin musiał publicznie skapitulować. A niebawem jeszcze jeden uczeń wrócił od braciszków, gdzie jak przebąkiwano, panował okrutny brud.

Lecz Marek nie łudził się zbyt co do tej rodzącej się sympatii, czuł, jak bardzo jest jeszcze nietrwała. Potrzeba będzie całych lat na uwolnienie kraju od kierykalnej trucizny. I trwał przy swej ostrożnej taktyce, zyskując powoli teren, zadowolony z codziennych drobnych osiągnięć. W swych dążeniach pokojowych posunął się aż do wznowienia stosunków z „tymi paniami” – uczynił to na prośbę Genowefy, a sposobnością do tego pojednania stała się sławetna sprawa mycia podłogi gąbką, co do której wyjątkowo podzielały jego poglądy. Bywał więc co pewien

czas w domku na placu Kapucyńskim wraz z żoną i córeczką, w odwiedzinach u pani Duparque. Obie stare damy zachowywały postawę ceremonialną, starannie unikając drażliwych tematów, co pozbawiało rozmowę wszelkiej miłej swobody. Niemniej Genowefa wydawała się uszczęśliwiona tym pojednaniem, odczuwając ulgę po dotychczasowym skrępowaniu, jakiego doznawała, ilekroć wymykała się jakby ukradkiem w odwiedziny do babki i matki. Odtąd widywała się z nimi prawie codziennie, niekiedy zostawiała u nich Ludwikę, kursowała między jednym mieszkaniem a drugim, a Marek bynajmniej się tym nie przejmował, owszem, cieszyła go nawet radość żony, której „te panie” znowu nie szczędziły czułości i prezencików.

Pewnej niedzieli Marek, zaproszony na śniadanie przez jednego z przyjaciół, udał się do Jonville, które opuścił przed dwoma laty. I wtedy nagle, przez porównanie, ocenił, jak już daleko posunęło się jego szlachetne dzieło w Maillebois. Teraz najlepiej mógł sobie uprzytomnić, jak przemożny jest wpływ nauczyciela: dobroczynny, kiedy ten nauczyciel jest wyrazicielem prawdy i postępu, zgubny, gdy grzęźnie w błędach i rutynie. Oto Maillebois zwolna nabierało prawości i pogodnego zdrowia, nato – miast Jonville powracało w gęsty mrok, nieruchomiało, ubożało. Z wielką przykrością wypadło Markowi stwierdzić, że jego poprzednia radosna praca została przekreślona, nie było już po niej śladu. A jedyną tego przyczyną był zły wpływ nowego nauczyciela, owego Jauffre’a, który troszczył się wyłącznie o własne interesy. Był to drobny brunecik, ruchliwy i sprytny, z wąskimi wścibskimi oczyma. Syn kowala, Jauffre karierę swą zawdzięczał proboszczowi rodzinnej wioski, który niegdyś wydobył chłopaka z ojcowej kuźni, aby mu udzielić pierwszych nauk. Później znowu ksiądz przyczynił się do jego wzbogacenia, wyswatawszy go z córką rzeźnika, drobną jak i Jauffre brunetką, która mu wniosła dwa tysiące franków renty. Nabrał tedy przeświadczenia, iż musi trzymać z księżmi, jeśli chce zająć wysoko, i że księża z pewnością kiedyś wyrobią mu dobre stanowisko. Już dzięki owej rencie stał się osobą szacowną, zwłaszcza zwierzchnicy mieli dla niego względy, bo przecie nie był popychadłem, jak na przykład taki głodomór Férou, skoro nie potrzebował dorabiać na życie pracą biurową. W szkolnictwie, tak jak wszędzie, względy okazuje się zawsze bogatym, nigdy biedakom. Przeniesiono jego zamożność, wszyscy chłopci kłaniali mu się nisko. Zyskiwał ich uznanie i przez to, że był ogromnie łasy na zarobki, gotów wszystko poświęcić dla pieniędzy, wykazując niepospolity spryt w wydobywaniu z ludzi i przedmiotów jak największych zysków. Nie miał szczyrych przekonań, które by go krępowały, był republikaninem, dobrym patriotą, przykładnym katolikiem, ale, ma się rozumieć, o tyle, o ile tego wymagał jego własny interes. Toteż choć natychmiast po przybyciu nie omieszkał złożyć wizyty księdzu Cognasse, nie kwapił się z podporządkowaniem szkoły jego wpływom, nadto bowiem był bystry, aby się nie zorientować co do antyklerykalnych nastrojów w okolicy; dopiero stopniowo pozwolił proboszczowi zagarnąć z powrotem władzę, stosując wobec niego taktykę wyrachowanej ustępliwości, a skrytego oporu wobec zamierzeń rady gminnej i wójta. Wójt Martineau, tak

prostoliniijny i stanowczy, kiedy go wspierała wola Marka, był teraz zbity z tropu, odkąd musiał samotnie walczyć z nauczycielem, faktycznym panem w urzędzie gminnym. Nieufny, skrepowany własną ignorancją, nie śmiać wypowiedzieć się w ustawicznej obawie przed kompromitacją, w końcu zawsze przystawał na to, czego domagał się nauczyciel, a w ślad za nim i gmina. I tak po upływie pół roku Jonville drogą dobrowolnej abdykacji przeszło z rąk nauczyciela w ręce proboszcza.

Jednak taktyka Jauffre'a zainteresowała Marka nade wszystko jako majstersztyk obłudy. Otrzymał w tym względzie bardzo dokładne wiadomości od panny Mazeline, nauczycielki, którą odwiedził. Ta osoba światła i rozumna ubolewała, iż nie może już działać skutecznie, z chwilą gdy musi walczyć samotnie o dobrą sprawę w gminie, gdzie wszystko zmierza ku rozkładowi. I opisała mu, jaką komedię odgrywał Jauffre w początkach, kiedy wójt Martineau buntował się przeciw proboszczowi z powodu jakichś zakusów, właśnie przez nauczyciela potajemnie inspirowanych. Udawał on wówczas, że podziela to oburzenie, i zwał wszystko na żonę: to pani Jauffre, pilnie praktykująca, przesadnie pobożna, potulnie słucha pouczeń księdza Cognasse. Zgrana para zgodnie przyjęła taką taktykę, by zabezpieczyć się na oba fronty.

Toteż Martineau niebawem został pokonany, zwłaszcza że piękna pani Martineau, tak łasa na uroczystości kościelne, na których miała sposobność paradować w nowych sukniach, zaprzyjaźniła się z panią Jauffre, która – z racji swych dwóch tysięcy renty – przybierała pozę wielkiej damy. Nie krępując się już teraz, Jauffre dzwonił na mszę; była to tradycyjna funkcja nauczyciela, której spełniania Marek stanowczo odmówił. Przynosiła ona zaledwie trzydzieści franków rocznie, ale i trzydziestu fran – kami nie należy gardzić. A ponieważ na propozycję Marka owe trzydzieści franków przydzielono byłemu zegarmistrzowi, zobowiązując go wzamian do naprawy i konserwacji starego, wciąż psującego się zegara na wieży kościelnej, więc teraz wkrótce ten sędziwy grat na dobre się zepsuł i to raptownie przyśpieszał, to spóźniał się, tak że wieśniacy nigdy już nie mogli zorientować się w czasie. Ten zegar, jak z rozpaczliwym uśmiechem stwierdzała panna Mazeline, był wiernym odbiciem całej miejscowości, pozbawionej już obecnie wszelkiej logiki i zdrowego sensu.

Najgorsze było, że echa tryumfu księdza Cognasse dotarły do Moreux; tutejszy wójt Saleur, były handlarz bydła, przejęty tym, co się działo w Jonville, w trosce o zachowanie swej wygodnej egzystencji dorobkiewicza, począł znowu bywać w kościele, chociaż bynajmniej nie żywił sympatii do księży. I ostatecznie w wyniku tego pojednania kozłem ofiarnym stał się nauczyciel Férou, wieczny biedak i buntownik. Teraz, przyjeżdżając na nabożeństwo do Moreux, ksiądz Cognasse wyzywająco obnosił swój tryumf, nie szczędząc nauczycielowi upokorzeń, które ten, opuszczony przez wójta i radę gminną, musiał znosić w milczeniu. Nie podobna opisać głuchej pasji, jaka nurtowała tego tak rozumnego i światłego nieszczęśliwca, rzuconego w środowisko ciemnoty i złości, pod wpływem wzrastającej biedy snującego desperackie

pomysły. Jego żona, wyczerpana ciężką pracą, oraz trzy blade, wątłe córeczki wprost ślaniały się z głodu. Ale choć zadłużony po szyję, Férou nie kapitulował, z zaciętą dumą prostując swą długą postać w starym wyszarzanym surducie, i nie tylko odmawiał prowadzenia uczniów do kościoła na mszę, lecz nawet obelżywym pomrukiem witał spotykanego w niedzielę księdza. Katastrofa była bliska, odwołanie z posady nieuchronne – z tą fatalną komplikacją, że nieszczęśnika czekało powołanie do służby woj – skowej, gdyż termin jego dziesięcioletniego kontraktu nauczycielskiego upływał dopiero za dwa lata.

A cóż się stanie z jego żalonną rodziną, kiedy on będzie w koszarach?

Opuszczając Jonville, Marek, odprowadzany na dworzec przez pannę Mazeline, mijał kościół właśnie w momencie zakończenia nieszporów. Stała tam na progu w postawie surowej strażniczki, kontrolującej przykładnych chrześcijan, groźna gospodyni księdza Cognasse, Palmira. Wychodzącego Jauffre'a dwaj uczniowie powitali ukłonem wojskowym, przykładając do czapki odwróconą dłoń: nauczyciel wymagał tego ceremoniału schlebającego jego patriotycznej dumie. Następnie ukazały się panie Jauffre i Martineau, a za nimi sam Martineau na czele tłumu wieśniaków i wieśniaczek. Marek przyśpieszył kroku; nie chciał, by go poznano, i wołał nie dzielić się z nikim swoim przygnębieniem. Z przykrością stwierdzał, że miasteczko nie jest już tak starannie utrzymane, notował wyraźne oznaki zaniedbania i mniejszego dobrobytu. I czyż nie było to zgodne z regułą, czyż następstwem ubóstwa umysłowego nie jest ubóstwo materialne? Brud i robactwo opanowały wszystkie kraje, w których zatryumfował katolicyzm, wszędzie tam, gdzie przeciągnął niczym technienie śmierci, wyjaławiając glebę, wtrącając ludzi w beczynność i ponure ogłupienie; jest on bowiem wręcz negacją życia, zabija narody współczesne jak powolna a pewna trucizna.

Kiedy nazajutrz w Maillebois Marek znowu znalazł się w swej szkole, pośród dzieci, których umysły i serca starał się rozbudzić, doznał ulgi. Dzieło jego posuwało się wprawdzie bardzo powoli, ale z tych skromnych wyników czerpał podniecie do dalszego działania. Stałość zapału i wysiłku to jedyna droga do zwycięstwa. Rodziny uczniów, niestety, nie pomagały mu; postępy byłyby szybsze, gdyby dzieci wracając do domu znajdowały w ognisku rodzinnym niejako dalszy ciąg jego wykładów. A nieraz właśnie bywało przeciwnie: tak na przykład w postawie braci Savin, Achillesa i Filipa, wyczuwał Marek chmurną i zawistną oschłość ich ojca. Musiał poprzestać na lekkim karceniu tych chłopców, na zwalczaniu w nich skłonności do kłamstwa, obłudy i donosicielstwa. Również i bracia Doloir, August roztrzepany i kłótlivy, Karol bardziej ospały, we wszystkim naśladowujący starszego, nie wykazywali bynajmniej poprawy, bo nie chcieli się uczyć, chociaż nie zbywało im na inteligencji. A znów z Ferdynandem Bongard zupełnie inny kłopot: temu wyjątkowemu tępakowi było niesłychanie trudno cośkolwiek wytłumaczyć i wrazić w pamięć. Z całą klasą, liczącą pół setki uczniów, rzecz się miała mniej więcej tak samo; zastanowiwszy się nad każdym z nich z osobna, wypadało stwierdzić, iż postępek był mizerny. Ale

na ogół ten mały ludek przyszłości był już więcej wart, odkąd Marek karmił go prawdą i rozumem. A zresztą nie spodziewał się odmienić świata dzięki jednemu pokoleniu dobrych uczniów. Dopiero ich dzieci oraz dzieci tamtych dzieci kiedyś wreszcie osiągną wiedzę, wyzwolą się z odwiecznych błędów i staną się zdolne wymierzać sprawiedliwość.

Skromne, budowane cierpliwością i wyrzeczeniem jest dzieło nauczyciela szkół powszechnych. Marek pragnął po prostu dać przykład życia całkowicie poświęconego cichej pracy nad przygotowaniem przyszłości. Jeżeli inni będą tak jak on spełniać swoje zadanie, można ufać, iż w ciągu trzech lub czterech pokoleń odrodzi się Francja – przodownica, wyzwolicielka świata. Nie pretendował do jakiegokolwiek doraźnej nagrody, do jakiegokolwiek osobistego sukcesu, lecz przecie radosną zapłatą za jego wysiłki było miłe zadowolenie, jakie mu dawał jeden z uczniów: Sebastianek Milhomme. Ten łagodny, wybitnie inteligentny chłopczyk rozmiłował się w prawdzie. Nie tylko był prymusem w klasie, lecz przejawiał płomienną szczerość i pełną dziecięcą urok bezkompromisową prawość. Koledzy często zwracali się do niego jako do rozjemcy; a kiedy coś osądził, nie dopuszczał, by się uchylano od wyroku. Marek rad patrzył na tego chłopca o pociągłej, zawsze trochę zamyślonej twarzy, okolonej jasnymi kędziorami, o pięknych oczach chłonących jego wykład, wpatrzonych w nauczyciela, gorejących pragnieniem poznania. I kochał go nie tylko za szybkie postępy w nauce, lecz jeszcze bardziej za dobroć i szlachetność, którą w nim wyczuwał. Była to urocza duszyczka, nad której rozbudzeniem z radością pracował, jedna z owych dziecięcych dusz rozkwitających pełnią pięknych myśli i pięknych czynów.

Któregoś dnia podczas lekcji popołudniowej rozegrała się przykra scena. Ferdynand Bongard, któremu koledzy dokuczali z powodu jego głupoty, znalazł swą czapkę z oddartym daszkiem; biedaczysko rozplakał się mówiąc, że matka na pewno go zbije. Zmuszony do interwencji Marek zażądał wyjawienia sprawcy tego brzydkiego figla. Wszyscy śmiali się, August Doloir najbezczelniej, choć wyglądało to na jego pomysł. Była już mowa o zatrzymaniu całej klasy w kozie, dopóki winowajca się nie przyzna, gdy wreszcie Achilles Savin wydał swego sąsiada, Augusta, wyciągnąwszy mu z kieszeni ów oderwany daszek. Dało to Markowi sposobność do wystąpienia przeciwko kłamstwu; a uczynił to z taką mocą, iż sam winowajca wybuchnął płaczem i prosił o przebaczenie. Ale szczególnie wzruszony okazał się Sebastian Milhomme; chłopiec pozostał w opustoszałej już sali i wciąż nie odchodził, wpatrując się rozpaczliwie w nauczyciela.

– Czy masz mi coś do powiedzenia, moje dziecko? – zapytał Marek.

– Tak, proszę pana.

Milczał jednak; wargi mu drżały, śliczna twarz płonęła rumieńcem.

– Czy to aż tak trudno powiedzieć? – Tak, proszę pana: chodzi o kłamstwo, którego się dopuściłem wobec pana, i to mnie gnębi.

Marek uśmiechnął się, przekonany, że to jakiś drobiazg, ot, dziecinne skrupuły.

– Powiedz mi zatem prawdę, zrzucisz kamień z serca.

Dosyć długo jeszcze trwało milczenie, w jasnym wejrzeniu błękitnych oczu i nawet na niewinnych wargach można było wyczytać wewnętrzną walkę. Wreszcie Sebastian zdecydował się:

– Więc, proszę pana, skłamałem dawno już temu, kiedy byłem jeszcze malutki, nic nie rozumiałem; skłamałem mówiąc, że to nieprawda, że wcale nie widziałem w rękach Wiktora wzorka do kaligrafii, pamięta pan, tego wzorka, o którym tyle się mówiło. Otóż on mi go podarował, bo był wystraszony, ponieważ zabrał go od braciszków i bał się trzymać u siebie. A tego dnia, kiedy panu powiedziałem, że nawet nie wiem, o co chodzi, właśnie schowałem ten wzorek do swego zeszytu.

Marek słuchał z przejęciem. A więc sprawa Simona wracała na wokandę, cała sprawa, pozornie uspiona, budziła się na nowo. Usiłując zataić wzruszenie, głęboki wstrząs, jakiego doznał, powiedział:

– Ale teraz nie mylisz się? Na tym wzorku były rzeczywiście wypisane słowa: „Miłujcie się wzajemnie”?

– Tak, proszę pana.

– A czy u dołu była sygnatura? Rozumiesz o czym mówię?

– Tak, proszę pana, była.

Marek zamilkł na chwilę. Serce gwałtownie łomotało mu w piersi; powstrzymywał okrzyk cisnący mu się na usta. Wreszcie postanowił jeszcze się upewnić.

– Ale dlaczegoż to, mój chłopcze, aż do dziś dnia zachowywałaś milczenie i cóż cię skłoniło do wyjawienia mi prawdy teraz?

Uspokojony już Sebastian patrzył mu szczerze w oczy z uroczym wyrazem niewinności. Odzyskując swój subtelny uśmiezek, z prostotą opowiedział, jak to się w nim zbudziło sumienie.

– Ach, proszę pana, nie mówiłem panu prawdy dlatego, że wcale nie wydawało mi się to potrzebne; nawet nie pamiętałem o tym kłamstwie, było to przecież tak dawno. Ale któregoś dnia pan nam wytłumaczył, jakim złem jest kłamstwo; wtedy się to we mnie odezwało i zaczęło mnie dręczyć. A potem ilekroć pan nam powtarzał, jak szczęśliwy jest ten, kto zawsze mówi prawdę, coraz bardziej mnie bolało, że wtedy nie powiedziałem panu wszystkiego... No i dziś było mi już za ciężko na sercu, musiałem powiedzieć.

Markowi wielkie rozrzewnienie zamgliło oczy. Tak więc jego nauki zakwitły już w tej duszyczce, zbierał oto pierwszy plon z posiewu prawdy. I jakże cennej! To wyznanie może mu dopomóc w dokonaniu dzieła sprawiedliwości. Nie spodziewał się tak rychłej i miłej nagrody. Był to uroczy, wzruszający moment. W przystępie czułości nauczyciel ucałował chłopczyka.

– Dziękuję ci, Sebastianku, sprawiłeś mi wielką przyjemność i kocham się całym sercem.

Wzruszenie udzieliło się i malcowi.

– O, ja także bardzo pana kocham. Inaczej nie śmiałybym panu wszystkiego powiedzieć.

Marek opanował chęć dalszego wypytywania chłopca, obiecując sobie później odwiedzić jego matkę, panią Aleksandrową. Obawiał się zarzutu, że nadużył swego autorytetu nauczyciela dla wydobycia tego wyznania. Dowiedział się tylko, iż pani Aleksandrowa zabrała synowi ów wzorek kaligraficzny, ale Sebastian nie wiedział, co z nim zrobiła, nigdy bowiem o tym nie wspominała. Ona więc jedna może go oddać, jeżeli go jeszcze posiada; a jakże cenny to dokument – nowy dowód, tak uporczywie poszukiwany, który niewątpliwie pozwoli rodzinie Simona zażądać rewizji niecnego procesu! Zostawszy sam, Marek poddał się fali radości. Chętnie pobiegłby do Lehmannów oznajmić dobrą nowinę, wnieść odrobinę szczęścia w dom niedoli, w ten dom niedoli przytłoczony powszechną wzdargą. Oto nareszcie promyk słońca w gęstej pomroce niesprawiedliwości! I wracając do mieszkania, zaraz w progu krzyknął z zapalem, aby co rychlej dać upust sercu:

– Wiesz, Genowefo, zdobyłem dowód niewinności Simona! Ha, sprawiedliwość się budzi, ruszmy teraz naprzód!

W półmroku nie zauważył jednak pani Duparque, która od czasu pojednania raczyła niekiedy odwiedzać wnuczkę. Staruszka drgnęła i rzekła swym oschłym tonem:

– Jak to? Niewinność Simona! Więc trwasz wciąż jeszcze w swoich urojeniach... Dowód? Mój ty Boże, jaki to może być dowód?

A gdy Marek opowiedział o swojej rozmowie z małym Milhomme, znów poczęła się złościć.

– Świadectwo dziecka, wielka mi rzecz! Mały utrzymuje, że niegdyś skłamał, któż zaręczy, że nie kłamie właśnie dzisiaj? A zatem winowajcą byłby któryś z braciszków? Powiedźże wszystko, co masz na myśli, wszak zmierzasz tylko do jednego: by rzucić oskarżenie na zakonnika? Zawsze ta twoja bezbożna pasja!

Nieco zmieszany tym nieoczekiwanym starciem, Marek, pragnąc oszczędzić żonie przykrości ponownego zerwania, poprzestał na grzecznym oświadczeniu:

– Babciu, nie chcę z tobą dyskutować... Spieszyłem po prostu do Genowefy z wiadomością, która powinna ją ucieszyć.

– Ależ bynajmniej jej nie cieszy ta twoja nowina! – zawołała pani Duparque. – Proszę: popatrz na nią.

Zdumiony Marek obrócił się ku żonie, stojącej w pobliżu okna w świetle zmierzchu. I rzeczywiście ujrzał ją za – sępią; jej piękne oczy pociemniały, jak gdyby nabiegłe mrokiem zwolna zapadającej nocy.

– Czy to prawda, Genowefo? Akt sprawiedliwości już cię nie raduje?

Zwlekała z odpowiedzią, pobladła i zakłopotana, najwidoczniej osaczona bolesnym wahaniem. A gdy Marek, sam również zmieszany, powtarzał pytanie, wybawiło ją od męki

odpowiedzi raptowne wtargnięcie pani Aleksandrowej.

Sebastianek bardzo odważnie opowiedział matce, że zwierzył się nauczycielowi i wyznał prawdę o istnieniu wzorka. Nie mogła się zdobyć na skarcenie chłopca za jego piękny postępek, lecz przeleżała się na myśl, że nauczyciel przyjdzie, aby się z nią rozmówić, wypytać, zażądać wydania dokumentu i zrobi to w obecności jej bratowej, groźnej pani Edwardowej, czujnej, gdy chodziło o pomyślność sklepu. Woląла więc sama udać się do szkoły i z miejsca sprawę pogrzebać.

Ale znalazłszy się tu, pani Aleksandrowa stropiła się do reszty. Wybiegła z domu, nie bardzo wiedząc, co powie; a teraz stała jękając się, zmieszana zwłaszcza obecnością Genowefy i pani Duparque, miała bowiem nadzieję, że porozmawia z Markiem w cztery oczy, poufnie.

– Panie Froment, Sebastianek właśnie mnie poinformował... Tak, chodzi o to wyznanie, które uważał za konieczne uczynić... Więc postanowiłam przedstawić panu motywy mojego postępowania. Pojmuje pan, nieprawdaż, jaki to kłopot z podobnej historii dla nas, którym tak niełatwo jest prowadzić interes... Jednym słowem, owszem, to prawda, miałam ten papier, ale już nie istnieje, zniszczyłam go.

Odetchnęła jak gdyby z ulgą, wypowiedziawszy to, co należało, aby za jednym zamachem pozbyć się niepokoju.

– Zniszczyła go pani! – wykrzyknął Marek z boleścią. – Och, proszę pani! Zakłopotana pani Aleksandrowa odparła, znowu z trudem dobierając słowa:

– Może źle zrobiłam... Ale proszę wejść w nasze położenie. Jesteśmy dwie samotne kobieciny, bez żadnego oparcia. No i wmieszanie naszych dzieci w tę okropną sprawę to było zbyt przykre... Nie chciałam przechowywać papierka, który mi sen spędzał z oczu: spaliłam go.

Drżała ze wzruszenia. Marek przyjrzał się jej. Wysoka, jasnowłosa, z łagodną twarzą kobiety czulego serca, wydawała mu się trawiona jakąś utajoną męką. Przemknęło mu przez myśl podejrzenie: „Czy ta kobieta nie kłamie?” Postanowił poddać ją próbie.

– Niszcząc ten papier, skazała pani po raz drugi niewinnie skazanego... Proszę pomyśleć o wszystkim, co on przeżywa tam, na katordze. Gdyby pani czytała jego listy, płakałaby pani nad nim. Nie masz gorszej niedoli: morderczy klimat, brutalność dozorców, a nade wszystko poczucie własnej niewinności i okrutny mrok, w którym się człowiek tłucze... A jaką zmorą dla pani byłaby myśl, że to pani dzieło!

Pani Aleksandrowa pobladła; dłonią uczyniła mimowolny gest, jakby odsuwając jakąś straszliwą wizję. Marek nie mógł się zorientować: czy dreszcz, który wstrząsnął tą dobrą, ale słabą istotą, oznacza wyrzut sumienia, czy też straszną wewnętrzną walkę. W pewnej chwili wybąkała, jak gdyby wzywając pomocy:

– Moje biedne dziecko, moje biedne dziecko...

I postać tego dziecka, tego ukochanego Sebastianka, dla którego gotowa była wszystko

poświęcić, snadź stanęła jej przed oczyma, przywracając nieco sił.

– Och, panie Froment, to okrutne, sprawia mi pan wielką przykrość... Ale cóż począć, skoro już się stało... Nie wygrzebię tego papierka z popiołu...

– A więc ten papier został spalony, jest pani tego pewna? – Ma się rozumieć, skoro mówię... Spaliłam go w trosce o spokój mego chłopczyka, w obawie, by nie cierpiał potem z tego powodu przez całe życie.

Ostatnie zdanie wymówiła płomiennie, z jakąś rozpaczliwą stanowczością. Marek nie miał już wątpliwości; machnął ręką z rezygnacją: oto tryumf prawdy znowu się odsuwał, zapadał się raz jeszcze. Bez słowa odprowadził aż do drzwi panią Aleksandrową, która w zakłopotaniu nie wiedziała, jak pożegnać obydwie obecne kobiety. Wybelkotała coś na swoje usprawiedliwienie i odeszła wśród ukłonów. Po jej zniknięciu w pokoju zaległa głucha cisza.

Podczas całej rozmowy ani Genowefa, ani pani Dupar-que nie odezwały się ani słowem; obydwie stały nieruchomo, jakby zmrożone. I trwały wciąż w milczeniu, gdy Marek, pochłonięty swym smutkiem, ze spuszczoną głową, przemierzał pokój wolnymi krokami. Wreszcie pani Dupar-que wstała gotując się do wyjścia. W progu rzuciła:

– To jakaś wariatka... Wiesz, ta jej historyjka o zniszczonym papierku wygląda mi na bzdurną bajeczkę, w którą nikt nie uwierzy. I dobrze uczynisz, nie rozgłaszając jej, to ci nie pomoże... No, dobranoc, bądź rozsądny!

Marek nie odpowiedział ani słówkiem. Długo jeszcze chodził po pokoju ciężkim krokiem. Noc już zapadła zupełna. Genowefa zapaliła lampę; a gdy w bladym kręgu światła milcząc nakryła do stołu, mąż zrezygnował z wypytywania jej, żeby uniknąć nowego bólu, gdyby miał przekonać się, że może już w wielu sprawach nie są zgodni.

Ale w następnych dniach prześladowały go ostatnie słowa pani Dupar-que. Istotnie, jeżeli spróbuje zrobić użytek z tej nowej wiadomości, tak nieoczekiwanie uzyskanej, czyż ludzie mu uwierzą? Ma się rozumieć, miałby za sobą zeznanie Sebastianka; chłopczyk powtórzyłby, iż widział wzorek kaligraficzny przyniesiony z zakładu braciszków przez kuzyna. Ale cóż, byłoby to tylko zeznanie dziesięcioletniego malca, a jego matka usiłowałaby osłabić znaczenie tego świadectwa. Należałoby przedstawić sam dokument, oświadczenie zaś, że został on spalony, czyż nie równałoby się powtórnemu pogrzebaniu sprawy? Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w pewności, że trzeba jeszcze cierpliwie czekać, gdyż nowy dowód wobec tych okoliczności nie nadawał się do użytku. Jakże jednak cenny był dla Marka, niezbity, rozstrzygający! Umacniał ostatecznie niezachwianie jego wiarę, potwierdzał wszystkie jego dowody, stanowił materialny dowód prawdy, do której doszedł był drogą rozumowania. Winowajcą był zakonnik, uczciwe śledztwo natychmiast ujawniłoby jego osobę. A tu trzeba znów. czekać cierpliwie, licząc na potęgę prawdy – prawdy, która jest już w drodze, której nic już nie zatrzyma, dopóki nie rozbłyśnie pełnią światła. Lecz od tej chwili jego rozterka wzrosła,

walka wewnętrzna stawała się z każdym dniem tragiczniejsza. Wiedzieć, że człowiek niewinny przeżywa na katordze okrutną mękę a istotny winowajca jest tu, na swobodzie, bezczelny, tryumfujący, prowadzi dalej swą robotę truciciela dziatwy – i nie móc głośno zaprotestować, nie móc tego dowieść wobec nikczemnej zmywy wszystkich sił społecznych, które w imię własnych samolubnych interesów przysięgły się, by utrzymać potworną niegodziwość! To mu odbierało sen, nosił w sobie swą tajemnicę niczym żelazny kolec, nieustannie przypominający obowiązek czynienia sprawiedliwości. Nie miał już ani godziny spokoju, wciąż myślał o swojej misji szamocząc się w krwawej rozpacz, gdyż nie wiedział, jak przyspieszyć jej pomyślne wypełnienie.

Nawet w domu Lehmannów Marek przemilczał tę sprawę nie ujawniając nic z tego. co mu był zwierzył Sebastianek. Po cóż tych nieszczęsnych ludzi niepewną nadzieją? Życie, ich było wciąż tak ciężkiej zatrute hańbą i boleścią galernika, który słał do nich wstrząsające listy i którego nazwisko ciskano im w twarz jak zniewagę! Klientela starego Lehmana stopniała. Rachela. wiecznie w czerni niczym wdowa, nie ważyła się już nawet wychodzić z domu i ze smutkiem patrzyła na rosnące dzieci, które kiedyś przecie zrozumieją... Marek podzielił się swą wiadomością jedynie z Dawidem, który pałał niezłomną wolą rehabilitacji brata. W swej heroicznej solidarności stał na uboczu, nieznany nikomu, starannie unikając występowania publicznie; ani na chwilę jednak nie ustawał w pracy nad tą rehabilitacją, która stała mu się jedynym celem istnienia. Rozwazał, badał, puszczał się tropami, które jakże często musiał porzucać już po pierwszych krokach. W ciągu dwóch lat nieustannych. poszukiwań nie zdobył jeszcze nic rozstrzygającego. Jego podejrzenie, iż prezes Gagnon wbrew prawu wywarł nacisk na przysięgłych w sali narad, zmieniło się w pewność; ale wszelkie wysiłki, by uzyskać dowód, okazały się daremne: nie mógł nawet przewidzieć, jakim sposobem zdołałby ustalić realność tego faktu.. Lecz to go nie. zniechęcało; gotów był, jeżeli zajdzie potrzeba, poświęcić dziesięć, dwadzieścia lat życia, aby wreszcie osiągnąć rzeczywistego winowajcę. Toteż usłyszana z ust Marka wiadomość dodała mu jeszcze energii i cierpliwości. Zgodził się z nim, że zwierzenie Sebastianka należy trzymać w tajemnicy jako praktycznie nieprzydatne, dopóki go nie wesprze jakiś namacalny dowód. Była to jedna więcej zapowiedź przyszłego, tryumfu. I Dawid podjął na nowo starania, z mocą i spokojem prowadząc akcję ostrożną i wytrwałą. Pewnego ranka przed rozpoczęciem lekcji Marek zdecydował się nareszcie na usunięcie krucyfiks pozostawionego na ścianie tuż za jego katedrą. Od dwóch lat wyglądał chwili, kiedy będzie dostatecznie panem sytuacji, by tym aktem zmanifestować niezależność wyznaniową szkoły świeckiej, takiej jak ją pojmował i jakiej pragnął. Ale aż dotychczas chętnie stosował się do rozsądnych rad Salvana, zdając sobie sprawę z konieczności utrzymania się przede wszystkim na stanowisku, jeśli zamierza następnie uczynić z niego stanowisko bojowe. Obecnie czuł się mocny, mógł wystąpić do walki: czyż nie przywrócił świetności szkole powszechnej, czyż nie przyciągnął do niej wielu

uczniów ze szkoły braciszków? czyż nie pozyskał sobie stopniowo szacunku, uwielbienia, dziatwy i wreszcie poparcia w rodzinach? Nadto parło go do działania wspomnienie niedawnej bytności w Jonville, tego gwałtownego się ku światłu społeczeństwa, które ksiądz Cognasse na powrót spychał w pomrokę, oraz wyznaczenie Sebastianka i ten niepokój, ten gniew wzbierający w nim w obliczu niegodziwości, jaką wyczuwał wokół w nieszczęsnym Maillebois, ujarzmionym, zatrutym przez klerykalizm.

Owego tedy ranka stał na przystawionym do ściany stołku, gdy Genowefa trzymając za rączkę Ludwikę weszła do klasy, aby oznajmić mężowi, że odprowadza dziecko na cały dzień do babki. Zdziwiona, zapytała:

– Co ty robisz?

– Jak widzisz, zdejmuję krucyfiks, aby go osobiście odnieść do księdza Quandieu; niech go umieści z powrotem w kościele, gdzie zawsze było jego jedyne miejsce... O właśnie, zechciej mi pomóc, weź to!

Lecz Genowefa nie wyciągnęła rąk, nie poruszyła się. Mocno pobałdła, patrzyła na męża, jak gdyby była świadkiem niedozwolonego i niebezpiecznego czynu, który przejmował ją lękiem. I Marek musiał bez jej pomocy zejść ze stołka dźwigając wielki krucyfiks, który natychmiast wsunął na spód szafy.

– Nie chcesz mi pomóc?... Co ci jest? Czy ganisz moje postępowanie?

Mimo wzruszenie, odpowiedziała dobitnie:

– Tak. To go zaskoczyło; począł drzeć tak samo jak ona. Oto po raz pierwszy przemówiła do niego tym tonem gniewnym i napastliwym... Poczul lekki wstrząs, drobną rysę zapowiadającą pęknięcie. Spojrzał na nią nie poznając jej głosu, zdziwiony i zaniepokojony, jak gdyby to ktoś obcy się do niego odezwał.

– Jak to, ganisz mnie? I to ty mówisz?

– Tak, ja. Źle robisz.

To była Genowefa. Stała obok niego wysoka i smukła, ze swą śliczną, jasną twarzą, w której wesołym wejrzeniu połyskiwała odrobina odziedziczonej po ojcu zmysłowości. Tak, to rzeczywiście była Genowefa, a przecie jakby już ktoś inny, gdyż było coś odmienionego w jej twarzy, w dużych niebieskich oczach, w których ukazało się jakieś zmętnienie, coś z mistycznych mroków zaświata. Marek zdumiewał się, czuł, że mu serce lodowacieje wobec tej nagłej zmiany. Cóż zaszło, co tę zmianę wywołało? Zrezygnował z przeprowadzenia w tej chwili zasadniczej rozmowy porzestając na oświadczeniu:

– Dotychczas, nawet kiedy nie myślałaś tak samo jak ja, zawsze mówiłaś, abym postępował według swego sumienia, i tak właśnie teraz uczyniłem. Toteż twoja dezaprobata boleśnie mnie zdumiewa... Porozmawiamy o tym później.

To jej nie rozbroiło; zachowując gniewny chłód odparła:

– Porozmawiamy, jeżeli sobie życzysz. Na razie, idę odprowadzić Ludwikę do babci, która ją zatrzyma u siebie aż do wieczora.

Nagły błysk świadomości: to pani Duparque zabiera mu Genowefę, a zapewne odbierze mu i Ludwikę. Popęłnił błąd lekceważąc tę sprawę, pozwalając żonie i dziecku przebywać w tym nabożnym domu, pełnym kaplicznych cieniów i woni. Trwało to już dwa lata, a on nie spostrzegł powolnej, skrytej przemiany, dokonywającej się w żonie, tego obudzenia się w niej pobożności młodych lat, wszystkiego, co napływało z powrotem z dawnego surowego wychowania, wciągając ją ponownie w niewolę dogmatów, które jak sądził, zdołał być obalić wysiłkiem swego rozumu, uściskiem swej miłości. Genowefa nie wznowiła jeszcze praktyk religijnych, ale Marek czuł, że już się od niego odsuwa, że już podejmuje tę drogę powrotną ku przeszłości, drogę powolną, na której każdy krok coraz bardziej będzie ich oddalał od siebie.

– Kochanie – zapytał ze smutkiem – więc już się nie zgadzamy?

Bardzo szczerze odpowiedziała:

– Nie. I widzisz, Marku, babcia miała słuszość: wszystko zło płynie z tej wstrętnej sprawy. Odkąd bronisz tego człowieka, skazanego na katorgę, bo na nią zasłużył, weszło do naszego domu nieszczęście; w końcu przestaniemy się rozumieć.

Z akcentem rozpaczy powtórzył:

– I to mówisz ty! Jesteś teraz przeciwko prawdzie, przeciw sprawiedliwości!

– Jestem przeciwko ludziom zbłąkanym i złym, których zdrożne namiętności godzą w religię. Chcą zniszczyć Boga. Nawet odsuwając się od Kościoła należy szanować jego przedstawicieli, którzy czynią tyle dobrego.

Teraz Marek zamilkł; zdał sobie sprawę z bezcelowości podobnego sporu o tej godzinie, tuż przed przybyciem uczniów. A więc tak głęboko już sięgał rozdźwięk między nimi? Z bólem stwierdzał, że przyczyną tego nieporozumienia jest owa podjęta przez niego misja sprawiedliwości, sprawa Simona; nie mogło bowiem być mowy o jakichkolwiek ustępstwach z jego strony, nie mogło już dojść do zgody. I tak od dwóch lat ta tragiczna sprawa dawała początek każdemu wydarzeniu, niby zakażone źródło zatrzuwające ludzi i rzeczy, dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość. A ta zaraża przeniknęła aż do jego domu. Widząc, że Marek trwa w milczeniu, Genowefa zwróciła się ku wyjściu powtórzywszy spokojnie:

– Odprowadzam Ludwikę do babci. Wtedy porywczym ruchem Marek przygarnął córeczkę do siebie. Czyż i ją także pozwoli sobie odebrać – to dziecko, krew z jego krwi? Czy nie powinien zatrzymać jej w objęciach, uchronić przed niedorzecznym a śmiertelnym zarażeniem? Popatrzał na nią przez chwilę. Podobnie jak matka, babka i prababka była już jako pięcioletnia dziewczyneczka wysoka, i smukła, ale nie miała ich bladych blond włosów; miała wysokie czoło Fromentów, niezdobytą twierdzę rozumu i rozsądku. Ludwika z głośnym śmiechem uroczym, gestem objęła oburącz szyję ojca.

– Tatusiu, po powrocie powiem ci wierszyk, umiem go już doskonale.

I znów, nie chcąc wywołać sprzeczki, ulegając odruchowi tolerancji, Marek ustąpił. Oddał córeczkę żonie, która zaraz z nią wyszła. Zresztą schodzili się już uczniowie, klasa rychło się wypełniła. Ale w sercu nauczyciela pozostał niepokój w obliczu walki, jaką zdecydował się podjąć usuwając z sali szkolnej krucyfiks. Ta walką obecnie się rozszerzy, sięgnie jego domowego ogniska. Poleją się łzy – jego własne i jego bliskich...

Lecz bohaterskim wysiłkiem zapanował nad cierpieniem i wezwał prymusa Sebastianka polecając mu czuwanie nad lekturą, podczas gdy on sam, uśmiechnięty, stanął przed tablicą i prowadził lekcję poglądową – w pogodnym blasku promieni słonecznych zalewających salę.

II

W trzy dni później, wieczorem w sypialni, kiedy Genowef już się położyła, Marek rozbierając się i śpiesząc do łóżka oznajmił, że otrzymał nagłą list od Salvana, który oczekuje go nazajutrz, w niedzielę. Po czym dorzucił:

– Pewno chodzi o ten krzyż, który zdjąłem ze ściany w klasie. Podobno rodzice skarżyli się, a to grozi nową awanturą. Zresztą spodziewałem się tego.

Genowefa, wtuliwszy głowę w poduszkę, nie odpowiedziała. Ale gdy po zgaszeniu światła położył się obok niej, z radosnym zdziwieniem uczuł, jak go delikatnie tuli w ramionach szepcząc cichutko w samo ucho:

– Byłam dla ciebie surowa wtedy w naszej rozmowie i rzeczywiście różnię się od ciebie w zapatrywaniach na religię i na ten proces, ale ja cię zawsze bardzo kochałam i kocham z całego serca.

Wzruszyło go to tym bardziej, iż od trzech nocy odwracała się od niego, jak gdyby doszło między nimi do zerwania małżeńskich więzów.

– A ponieważ będziesz miał przykrości – ciągnęła pieszczotliwie – nie chcę, abyś myślał, że się zawzięłam. Można się różnić w poglądach, a mimo to kochać się, prawda? I jeżeli ty jesteś mój, ja jestem twoja, mój ukochany.

Objął ją w uniesieniu, zagarnął w płomiennej pieszczocie.

– Ach, najdroższa, dopóki mnie kochasz, dopókiś moja, nie straszne mi są okropne groźby wążące się dokoła nas.

Oddała mu się drżąca, porwana radosnym uczuciem miłości, której tak łaknęła. Przeżyli moment całkowitego zespolenia, było to pojednanie przemożne, nieodparte. Zgoda w młodym kochającym się małżeństwie bywa poważnie zagrożona dopiero w dniu sypialnianej sprzeczki. Dopóki kochankowie ciągną ku sobie, między małżonkami, mimo najgorsze przeciwieństwa, panuje harmonia. A kto by chciał ich rozdzielić, musiałby najpierw odebrać im to wzajemne

pożądanie. Całując żonę po raz ostatni nim zasnęła, Marek pośpieszył ją zapewnić:

– Obiecuję ci, że będę bardzo ostrożny w całej tej historii. Właściwie, wiesz przecie, jestem człowiekiem powściągliwym i rozważnym.

– Ah! rób jak chcesz – powiedziała łagodnie. – Bylebyś tylko był przy mnie i byleśmy się kochali, nie pragnę nic ponadto.

Pokrzepiony gorącą czułością żony, Marek wybrał się nazajutrz do Beaumont. Zacerpnąwszy w domu nowej otuchy, wszedł do budynku École Normale uśmiechnięty, w bojowym nastroju.

Jednakże po przyjacielskim powitalnym uścisku dłoni zaraz pierwsze zapytanie dyrektora zaskoczyło go i zakłopotало.

– Cóż to, mój ty zuchu, podobno nareszcie odkryłeś nowe dane, ów tak poszukiwany dowód niewinności naszego biednego Simona, dowód, co pozwoli wznowić jego proces?

Marek przygotowany był na doraźną rozmowę w sprawie krucyfiksu. Milczał więc przez chwilę, nie wiedząc, czy nawet Salvanowi ma powiedzieć całą zatajoną przed wszystkimi prawdę. Następnie powoli, dobierając słów, zaczął:

– Nowy dowód... Nie, nic pewnego jeszcze nie mam. Salvan nie zauważył jego niezdecydowania.

– Właśnie i ja tak sobie pomyślałem, no bo przecież byłbyś mię uprzedził, prawda? Niemniej rozeszła się pogłoska o dokumencie zasadniczej wagi, który pono dzięki przypadkowi dostał się do twych rąk i który teraz niczym piorun trzymasz nad głowami winowajcy i jego współników, całego tutejszego zbiorowiska klerykałów.

Marek słuchał, zdumiony. Któż to mógł rozgłosić? W jaki sposób echa zwierzeń Sebastianka oraz zabiegów jego matki rozeszły się, i to tak wyolbrzymione? I nagle powziął przekonanie, że powinien zapoznać z całą sprawą swego przyjaciela, doradcę, człowieka dzielnego i mądrego, któremu ufał bez zastrzeżeń. Opowiedział tedy wszystko: i o tym, w jaki sposób dowiedział się o istnieniu wzorka kaligraficznego, pochodzącego z zakładu braci szkolnych a podobnego do owego obciążającego dowodu rzeczowego, i o tym, jak ten nowy dowód został zniszczony.

Salvan, do głębi wstrząśnięty, wstał.

– To był dowód! – zawołał. – Ale masz słuszość, że siedzisz cicho, skoro nie mamy już nie w rękę. Trzeba czekać... Ach, teraz rozumiem ten niepokój, ten głuchy lęk, jaki od kilku dni wyczuwam, u naszych przeciwników. Wiesz, jak to czasem bywa! jedno słowo wymknie się komuś z ust, a wiatr wypowiedzianą przypadkiem myśl porwie i poniesie w świat. Może nawet nie padły żadne słowa... ale jest jakaś niepojęta moc, która puszcza w obieg ludzkie tajemnice zniekształcając je... Bądź jak bądź dokoła zawrzało, a przestępca i jego współnicy z pewnością poczuli, że im się ziemia spod nóg usuwa... I całkiem zrozumiałe jest ich przerażenie, bo będą musieli bronić swojej zbrodni.

Po tych uwagach Salvan przeszedł do właściwego tematu.

– Pragnę porozmawiać z tobą o wydarzeniu, które poruszyło wszystkich. Chodzi o ten krzyż, zdjęty przez ciebie ze ściany w klasie. Znasz moje poglądy: szkoła powinna mieć charakter zdecydowanie świecki, słusznie też uczyniłeś usuwając z niej wszelkie symbole religijne. Ale nie wyobrażasz sobie, jaką rozpętałeś burzę... Najgorsze to, że braciszki oraz ich poplecznicy, jezuita są bezpośrednio zainteresowani w twoim upadku, w utraceniu cię, ponieważ obłąkanymi z trwogi oczyma widzą już w twym ręku śmiertelną broń. Skoro więc sam dajesz im po temu sposobność, hurmem rzucają się do ataku. Marek zrozumiał. Poderwał się z takim gestem, jakby przyjmował wyzwanie do walki.

– Czyż nie byłem ostrożny, stosownie do pańskich dobrych rad? Czy nie czekałem przez całe dwa lata, zanim się zdecydowałem zdjąć ten krzyż zawieszony w klasie po skazaniu i zniknięciu Simona, niby widomy symbol opanowania naszej szkoły powszechnej przez tryumfujący klerykalizm? Ja przecież tę naszą biedną szkołę; otoczoną niechęcią i nieufnością, wydzwignąłem i postawiłem na nogi; i czyż nie jest słuszne, że moim pierwszym czynem, kiedy poczułem pewny grunt pod nogami, było uwolnienie tej szkoły od wszelakich emblematów, przywrócenia jej neutralności religijnej, której nigdy nie należało jej pozbawiać?

– Ależ doprawdy – przerwał mu Salvan – ja nie krytykuję twego postępowania. Byłeś zawsze bardzo cierpliwy i wyrozumiały. Niemniej to twoje wystąpienie wypadło w groźnym momencie. Dlatego boję się o ciebie i pragnąłem się z tobą porozumieć, aby jeśli to możliwe, stawić czoło niebezpieczeństwu.

Usiedli i pograżyli się w długiej rozmowie. Sytuacja polityczna w departamencie wciąż była okropna. Niedawne wybory okazały się dalszym krokiem naprzód na drodze reakcji klerykalnej. Zaszedł wtedy nadzwyczajny wypadek: mer Lemarrois, dawny przyjaciel Gambetty, bezkonkurencyjny poseł z Beaumont, natrafił na kontrkandydata z obozu socjalistów, adwokata Delbosa, któremu mowa obrończa, wygłoszona na procesie Simona, zyskała poparcie rewolucyjnych żywiołów ludności przedmieść, i w ściślejszych wyborach zwyciężył go większością zaledwie tysiąca głosów. A tymczasem opozycja monarchistyczno-katolicka zdobyła mandat: piękny Hektor de Sangleboeuf, dzięki przyjęciom w Désirade i hojnie rozdawanemu żydowskiemu złotu swego teścia, barona Nathan, zdołał przeforsować kandydaturę pewnego generała z grona swych przyjaciół. A gładki Marcilly, niegdyś nadzieja wykształconej młodzieży, aby zostać ponownie wybranym, zrezygnował zwrócić się do gościnnego Kościoła, jak najbardziej skorego do zawarcia nowego przymierza z burżuazją, przerażoną postępami socjalizmu. Burżuazją, zgodziwszy się na równość polityczną, bynajmniej nie życzyła sobie gospodarczej; była bowiem zdecydowana zachować uzurpowaną przez siebie władzę, nie odstąpić nic z tego co posiadała, i gotowa zawrzeć sojusz bodaj z dawnym przeciwnikiem, byle tylko oprzeć się naciskowi dołów. Od wolterianizmu przechylała się ku mistycyzmowi,

dochodząc znowu do przekonania, iż religia ma swoje dobre strony, że jest to niezbędny czynnik policyjny, użyteczna i jedyna zaporą, zdolną powstrzymać wzrastające apetyty ludu. I tak burżuazją zwolna nasiąkała militarystką, nacjonalizmem, antysemityzmem, wszystkimi tymi obłudnymi hasłami, którymi w swym zaborczym pochodzie posługiwał się klerykalizm. Armia była po prostu afirmacją brutalnej siły, uświęceniem odwiecznych rabunków, niewzruszonym murem bagnatów, za którym tuczyci się spokojnie posiadacze i kapitaliści. Naród i ojczyzna przedstawiały nietykalne zbiorowisko gwałtów i krzywd, potworną budowlę, w której nie pozwalano wymienić ani jednej igielki, w trwodze, by nie runęła wszystka.

Jak w średniowieczu, Żydami posługiwano się jako pretekstem do rozgrzewania stygnącej wiary; haniebnie wykorzystywano odziedziczoną po przodkach nienawiść, okropny posiew wojny domowej. A motorem całego tego szerokiego ruchu reakcyjnego były wyłącznie knowania Kościoła, usiłującego wykorzystać właściwą godzinę na zegarze historii, aby odzyskać teren utracony niegdyś w klęsce starego świata pod wyzwoleniczym tchnieniem rewolucji. Chodziło o uśmierzenie ducha rewolucji przez odzyskanie dla Kościoła burżuazji; burżuazja zaś, którą do władzy wyniosła rewolucja, gotowa była teraz tę rewolucję zdradzić, byle zachować bezprawnie zagarniętą władzę i nie zdawać z niej rachunku ludowi. Z pomocą burżuazji, powracającej na łono Kościoła, zostałyby ujarzmiony i sam lud, bowiem całe to rozległe przedsięwzięcie polega na pozyskaniu mężczyzny poprzez kobietę, a zwłaszcza dziecka przez szkołę, i wtrąceniu go na nowo w ciemnicę dogmatu. Jeżeli Francja Woltera przeistacza się we Francję Watykanu, to dzieje się to za sprawą szkół zakonnych, które z powrotem zawładnęły dzieckiem. A natężenie kampanii wzrasta, Kościół głosi już swoje zwycięstwo nad demokracją, nad nauką, zachłystując się nadzieją udaremnienia tego, co nieuchronne: uzupełnienia, dokończenia rewolucji, gdy lud podzieli władzę z burżuazją i cały naród nareszcie stanie się wolny.

– Położenie tedy pogarsza się z każdym dniem – zakończył Salvan. – Wiesz, jak zażartą kampanię prowadzą przeciwko naszemu powszechnemu nauczaniu. Ot, zeszłej niedzieli w Beaumont ksiądz ośmielił się powiedzieć z ambony, że nauczyciel szkoły świeckiej to szatan pod maską pedagoga; po czym zawołał: „Ojcowie i matki, powinniście pragnąć raczej śmierci waszych dzieci, niż widzieć je w takiej otchłani zatrąty...” Szkolnictwo średnie jest również łupem najsroźszej klerykalnej reakcji. Nie mówię już o stałym rozkwicie zakładów prowadzonych przez zakony, takich jak kolegium w Valmarie, gdzie jezuici zatrują do reszty mieszczańskich synów, naszych przyszłych oficerów, urzędników i sędziów. Ale nawet w naszych liceach wpływ księdza pozostaje wszechpotężny. Tutaj na przykład dyrektor, ten bigot Depinwilliers, przyjmuje u siebie otwarcie ojca Crabot, który jest, zdaje się, spowiednikiem jego żony i obydwu córek. Ostatnio wystarał się o bojowego kapelana na miejsce księdza Leriche, pocziwego staruszka drzemiącego w swym konfesjonale. Oczywiście praktyki religijne nie obowiązują, ale by z nich ucznia zwolnić, potrzebne jest formalne podanie rodziców, no i ma się

rozumieć, taki uczeń jest już źle notowany, odsunięty na bok i narażony na mnóstwo drobnych szykan. Po trzydziestu więc latach istnienia Republiki, wbrew całowiekowemu wysiłkowi wolnej myśli, Kościół wciąż jest u nas nauczycielem i wychowawcą dziatwy, wszechmocnym władcą, co zamierza zachować panowanie nad światem, urabiając według starych wzorów ciemnych i bezwolnych ludzi, których potrzebuje do sprawowania rządów. I stąd płynie wszystko naszą dzisiejsza niedola..

Marek dobrze o tym wiedział. W końcu zapytał:

– Ostatecznie, przyjacielu, co mi pan radzi? Czy mam się cofnąć przystąpiwszy już do działania?

– Och! bynajmniej! Gdybyś mię był uprzedził, może bym cię poprosił o jeszcze trochę cierpliwości. Skoro jednak usunąłeś ten krucyfiks, należy bronić twego czynu, uczynić z niego zwycięstwo rozumu. Już po napisaniu do ciebie widziałem się z moim przyjacielem Le Barazer, inspektorem szkół wyższych, i teraz jestem nieco spokojniejszy. Znasz go, nie łatwo poznać jego myśli lubi grać na zwłokę, zużywa cudzą wolę, aby narzucić własną. Sądzę, że właściwie trzymając z nami, zdziwiłbym się, gdyby szedł na rękę twoim wrogom. Wszystko będzie zależało od twojej odporności, od tego, czy sytuacja, jaką już sobie zdołałeś wyrobić w Maillebois, jest dość pewna. Przewiduję zacieklą kampanię ze strony braci szkolnych, kapucynów, jezuitów; jesteś bowiem nie tylko szatanem nauczycielem świeckim, lecz przede wszystkim obrońcą. Simona, chorążym, głosiцеlem prawdy i sprawiedliwości, któremu trzeba zapieczętować usta.. No, bądź zawsze rozważny i dobry! I... odwagi, bracie!

Salvan wstał i ujął obydwie dłonie Marka. Przez chwilę trwali tak w uścisku, patrząc na się z uśmiechem, wzrokiem roziskrzonym zapalem i wiarą.

– Ale chyba pan nie zwątpił o zwycięstwie? Zwątpić, chłopcze? Och; nigdy! Zwycięstwo jest pewne; nie wiem, kiedy najdejdzie, to prawda, ale na pewno nadejdzie... No, i więcej jest tchórzów i samolubów niż ludzi złych. Weźmy taki uniwersytet: ileż tam typów ani dodatnich, ani ujemnych, ot, średniaków, raczej nawet nienajgorszych. To urzędnicy, w tym cały defekt; no i urzędują, co na to poradzić? Urzędują szablonowo, a także dla awansu, cóż, to całkiem naturalne... Nasz rektor Forbes, człek łagodny, bardzo wykształcony, dba nade wszystko o to, by triu nie przeszkadzano w jego studiach nad historią starożytną. Posądzam go nawet o skrytą wzgardę filozofa dla okropnych czasów dzisiejszych skutkiem czego zamyka się ściśle w swej roli zwykłego trybiku administracyjnego, łącznika między ministrem a personelem uniwersyteckim. Sam Depinvilliers staje po stronie Kościoła jedynie, dlatego, że ma dwie szpetne córki, na wydaniu i liczy, iż mu ojciec Crabot wynajdzie bogatych epuzerów... A ten groźny Mauraisin – o, to nikczemny charakter, jego powinie się strzec, rad by zająć moje miejsce i jutro okazałby się twoim stronnikiem, gdyby się spodziewał, że możesz mu to udostępnić... A reszta to wszystko biedaczyny, głodomory albo jednostki słabe, co przejdą do naszego obozu,

kiedy zwyciężymy.

Śmiał się wyrozumiale.. Następnie spoważniał i wzruszony dorzucił: – A zresztą ja tu prowadzę zbyt pożyteczną robotę, abym miał zwątpić. Jak wiesz, mój chłopcze, staram się pozostawać w cieniu, tak by o mnie zapomniano ale ani na dzień nie przerywam swej cichej, powolnej pracy, nad przygotowaniem przyszłości. Powtarzaliśmy to wspólnie wiele razy: jutrzejsza szkoła będzie warta tyle, ile wart będzie nauczyciel. Tylko nauczyciel świecki – narzędzie prawdy i sprawiedliwości – może ocalić nasz naród, przywrócić mu jego stanowisko i wpływ na świecie. A sprawa posuwa się, posuwa się naprzód, zapewniam cię. Jestem bardzo zadowolony z moich uczniów. Niewątpliwie, rekrutacja idzie jaszczc dość kulawo, bo zawód nauczycielski wydaje się tak niewdzięczny, źle wynagradzany, otoczony wzgardą, wróżący nieuchronną nędzę. Bądź co bądź jednak tego roku było więcej kandydatów. Jest nadzieja, że Izby uchwalą godziwe normy uposażeń, tak by najskromniejszy nawet nauczyciel mógł żyć po ludzku. I zobaczysz, zobaczysz: stopniowo z tego zakładu wychodzić będą nauczyciele wykształceni na apostołów rozumu i sprawiedliwości; zobaczysz, jak się rozejdą po wsiach i miastach, głosząc słowo wyzwolenia, wykorzeniając wszędzie błędy i fałsze, niby misjonarze nowej ludzkości! Wtedy Kościół będzie pokonany, albowiem może on żyć i tryumfować jedynie na gruncie ciemnoty, a cały naród wyruszy już bez przeszkód w drogę ku przyszłej społeczności, opartej na solidarności i pokoju.

– Ach! drogi przyjacielu! – zawołał Marek – oto wielka nadzieja, oto co nam daje siłę i radość do wypełnienia naszego dzieła. Dzięki za wiarę, jaką mię ożywasz, postaram się być rozsądny i dzielny.

Wymienili mocny uścisk dłoni, po czym Marek wrócił do Mailiebois, gdzie czekała go najsrozsza walka, prawdziwa rozprawa na śmierć i życie.

Najgorsze było, że i tam, podobnie jak w Beaumont, sytuacja polityczna stawała się coraz bardziej napięta. Ostatnie wybory do rad miejskich, odbyte po wyborach do ciał ustawodawczych, dały opłakane wyniki.

W nowej radzie miejskiej Darras znalazł się wśród mniejszości i merem wybrany został Philis, podpora reakcji. Marek pragnął więc przede wszystkim zetknąć się z Darrasem, aby się zorientować, jak dalece może jeszcze liczyć na jego poparcie.

Odwiedził go pewnego wieczora w jego wytwornym salonie w pięknym domu, który sobie wystawił wzboga – cony przedsiębiorca. Ledwie Marek wszedł, Darras na jego widok wznosił ramiona ku niebu.

– Ha! kochany profesorze, oto sfora już cię ściga! Ale ja będę przy panu, proszę na mnie polegać, teraz kiedy jestem pobity, zepchnięty do roli opozycjonisty. Dopóki sprawowałem mój urząd, było mi bardzo trudno zawsze przyznawać panu słuszność; bo, wie pan przecie, miałem za sobą większość zaledwie dwóch głosów, nieraz nie mogłem działać. Często przeciwstawiałem się

panu, chociaż w duchu stokrotnie się z panem zgadzałem. Ale teraz ruszymy do ataku, skoro jedyne, co mi pozostaje, to walka, aby utracić Philisa i odebrać mu merostwo. Dobrze pan zrobił zdejmując ze ściany ten krzyż, którego tam nie było za czasów Simona i który nigdy nie powinien był tam wisieć.

Marek pozwolił sobie na uśmiech.

– Ilekroć wspominałem, że należy go usunąć, podnosił pan gwałt mówiąc o nakazach ostrożności, o obawie wywołania paniki wśród rodziców, dania wrogom broni do ręki.

– No, przecież powiadam panu, w jakim znajdowałem się kłopotcie! Zapewniam pana, niełatwa to sprawa rządzić takim miastem jak Maillebois, gdzie aż do tej pory siły stronnictw równoważyły się i nie wiadomo było, kto weźmie górę: wolnomyśliciele czy klechy. W tej chwili nie mamy czym się chwalić, to prawda. Ale trudno, nie trzeba tracić animuszu, w końcu sprawimy im rzetelne lanie i raz na zawsze odzyskamy władzę.

Marek był zachwycony tą dzielną postawą ambitnego przedsiębiorcy, zacnego w gruncie człeka.

– Na pewno – potwierdził.

– Zwłaszcza – podjął Darras – że skoro mnie onieśmielała ta mizerna większość dwóch głosów, Philis tak samo nie będzie mógł ryzykować poważniejszych wystąpień przy swoich dwóch głosach większości. Jest skazany na dreptanie w miejscu, będzie żył pod grozą najbliższego przesunięcia, które by go zepchnęło do mniejszości. Ja to dobrze znam I wybuchnął huczną wesołością. W stosunku do Philisa żywił antypatię tęgiego ćwika o solidnym żołądku i mózgowicy, którego drażniła drobna, chuda postać nowego mera i jego czarniawe, suche oblicze o ostrym nosie i cienkich wargach. Philis, były fabrykant brezentu, Owdowniawszy wycofał się z handlu i posiadając około dziesięciu tysięcy franków renty, których istotne źródło było dosyć mętne, żył w odosobnieniu, obsługiwany przez jedyną służbę, rozłożystą blondynę przezywaną „grzałką”, gdyż osoby złośliwe opowiadały o niej, iż co wieczór swymi bujnymi kształtami ogrzewa łoże chlebobawcy i pozostaje tani do świtu. Philis miał dwunastoletnią córkę, Oktawie, wychowankę klasztoru wizytek w Beaumont, i dziewięcioletniego syna, Rajmunda, którego umieścił w internacie jezuitów w Valmarie, a w przyszłości zamierzał skierować do Saint-Cyr. W ten sposób pozbywszy się dzieci, Philis prowadził żywot zamknięty, uregulowany, pedantycznie pobożny; odbywał ustawiczne konferencje z przedstawicielami duchowieństwa i był faktycznym wykonawcą życzeń Kongregacji. Wybór tego człowieka na mera świadczył, w jak ostrą fazę wszedł kryzys religijny w Maillebois, szarpane walką między świecką Republiką a Kościołem.

– A zatem mogę walić śmiało, pan mnie podtrzyma wraz z mniejszością w Radzie?

– Ależ oczywiście!– zawołał Darras. – Jednakże należy być rozsądnym, niech się pan nie pakuje w zbyt grubą awanturę.

Już nazajutrz w Maillebois rozgorzała walka. Wyglą – dało na to, że pierwszy cios ma zadać urzędnik Savin, ojciec Achillesa i Filipa. Wciśnięty w swój ciasny surdut, chudy i wąły, przybył do szkoły wieczorem, po zakończeniu pracy w biurze, z zamiarem sprowokowania nauczyciela.

– Wiadomo panu, kim jestem, panie Froment, prawda? Jestem radykałem republikańskim, mnie z pewnością nikt nie posądziło kłótni z klerem. Niemniej przeto przychodzę w imieniu całego grona rodzicielskiego prosić pana o zawieszenie z powrotem tego krzyża, który pan zerwał, ponieważ religia potrzebna jest dzieciom podobnie jak kobietom Szkoła bez księdza – owszem, zgoda; ale Chrystus, Chrystus, proszę pomyśleć! To był najpierwszy republikański i rewolucjonista.

Marek zainteresował się, jakich to rodziców reprezentuje Savin?

– Skoro nie, przybywa pan wyłącznie w.e własnym imieniu, proszę mi wymienić rodziny, które pana wydelegowały.

– Och, wydelegowały! to niezupełnie ściśle. Widziałem się murarzem Doloir oraz z gospodarzem Bongard i miałem możność stwierdzić, że tak jak ja potępiają pańskie wystąpienie. Tylko, wiadomo, protestowanie, składanie podpisu to zawsze rzecz ryzykowna. Ot i ja, wysuwając się naprzód, mocno się narażam wobec moich zwierzchników... Lecz zbyt silnie przemawia we mnie sumienie ojca rodziny. Cóżbo pocznę ze swymi dwoma skrytymi i krnąbrnymi chłopakami; Achillesem i Filipem, jeżeli ich pan trochę postraszy Panem Bogiem i jego piekłem? A znów moja córka, Hortensja, to taka miła dziewczuszka, zachwycała całe Maillebois przystępując w tym roku do pierwszej komunii. Panna Rouzaire, ucząc ją chodzenia do kościoła, potrafiła uczynić niej prawdziwą perłę... Niechże pan porówna własne dzieło z dziełem panny Rouzaire: moich synów z moją córką. To przesądza sprawę na pańską niekorzyść, panie Froment.

Marek słuchał ze swym zwykłym spokojnym uśmiechem. Ta ładniutka trzynastolatka, Hortensja, już rozwinięta fizycznie, przedwcześnie dojrzała, jedna z ulubienic panny Rouzaire, nieraz przesadzała murek oddzielający dziedzińce szkolne, aby gzić się po kątach z chłopcami w jej wieku. Owszem, często mu się zdarzało porównywać swoich uczniów, tych człowieczków, w których powoli rozbudzał coraz więcej rozumu i prawdy, z uczennicami sąsiedniej szkoły, dziewczynkami karmionymi klerykalną papką kłamstwa i obłudy przy pozorach słodczy, pełnymi skrytych niepokojów i zepsucia – skutków mistycznej perswazji. Ach! jakżeby pragnął mieć tu razem z chłopcami owe dziewczynki, które wychowywano i kształcono oddzielnie, zatajając przed nimi wszystko, podniecając je wszelkimi mistycznymi płomieniami! Ustałyby wówczas wycieczki przez mur w poszukiwaniu tego, co im przedstawiano jako grzech, jako zakazany owoc potępiony a rozkoszny! Tylko szkoła mieszana daje rękojmię zdrowia i mocy dla wolnej, szczęśliwej społeczności jutra!

W końcu odrzekł po prostu:

– Panna Rouzaire spełnia swój obowiązek wedle swego rozumienia, ja postępuję tak samo. Gdyby mi pomagały rodziny, szlachetne dzieło kształcenia i wychowania rozwijałoby się prędzej.

Savin zaperzył się. Wyprostowany na swych kusych nóżkach, zapytał:

– Twierdzi pan, że ja daję dzieciom zły przykład?

– Och, bynajmniej! Tylko wszystko, co ja im tutaj wpajam, jest następnie niweczone przez to, co widzą w swym otoczeniu. Prawdę ukazuje się jako niebezpieczne zuchwalstwo, rozum się potępia, jako niewystarczający do ukształcenia porządnego człowieka.

Ciężką zgryzotą był dla Marka fakt, że mu w robocie brużdzą rodziny, gdy on marzył, że znajdzie w nich potrzebne oparcie, aby przyspieszyć wyzwolenie maluczkich. Gdyby dziecko po wyjściu ze szkoły zastawało w domu żywe potwierdzenie wysłuchanych nauk, praktyczne zastosowanie obowiązków i praw społecznych, które nauczyciel usiłował wyłożyć, jakżeby to ułatwiło i przyspieszyło drogę ku lepszemu! Zachodzi tu nawet konieczność współdziałania; nauczyciel wielu rzeczy – najsubtelniejszych, najbardziej użytecznych – nie może wpoić, jeżeli rodziny nie uzupełniają jego pracy, nie prowadzą jej dalej w tym samym duchu wyzwolenia. Nauczyciel i rodzice powinni kroczyć ręką w rękę ku wspólnemu celowi: ku prawdzie i sprawiedliwości. Z jakim tedy smutkiem widział Marek, że rodzice zamiast mu pomagać, niszczą tę odrobinę jego osiągnięć, prawie zawsze nieświadomie, ulegając własnemu umysłowemu i życiowemu bezwładowi!

– A zatem, krótko mówiąc, panie Froment – podjął Savin – zawiesi pan z powrotem ten krzyż w swojej szkole, jeśli chce pan nas wszystkich ucieszyć i żyć z nami w przykładowej zgodzie, czego szczerze pragniemy, bo nie jest pan złym nauczycielem.

Marek znów się uśmiechnął.

– Dziękuję... Ale niechże mi pan powie, czemu to nie przysła z panem małżonka? Ona przynajmniej byłaby tu we właściwej roli, gdyż jak mi wiadomo, praktykuje.

– Jest religijna, jak powinna być każda przyzwoita kobieta – odparł sucho urzędnik. – Wolę, żeby chodziła do kościoła, niż gdyby miała sobie wziąć kochanka.

I przyglądał się Markowi podejrzliwie, ustawicznie trawiony chorobliwą zazdrością, upatrując w każdym mężczyźnie ewentualnego rywala. Czemu to nauczyciel ubolewa, że nie przysła z nim żona? Czyż nie była tu już dwukrotnie, niby dla usprawiedliwienia nieobecności Achillesa i Filipa? Savin od niejakiego czasu zmuszał żonę, by się spowiadała co tydzień u ojca Teodozjusza, przeora kapucynów, w przekonaniu, że na krawędzi grzechu powstrzyma ją wstyd przed spowiednikiem.

A pani Savin, która początkowo spełniała obowiązki religijne bez wiary, jedynie dla zyskania świętego spokoju w domu – obecnie z wielką gorliwością spieszyła do trybunału pokuty, gdyż ojciec Teodozjusz był wspaniałym i przemiłym mężczyzną, przedmiotem westchnień wszystkich

młodych dewotek.

Marek przekornie dorzucił:

– Właśnie ostatniego czwartku miałem przyjemność spotkać panią Savin wychodzącą z kaplicy na placu Kapucyńskim i rozmawialiśmy przez chwilę. A że usłyszałem od niej same tylko życzliwe słowa, żałuję więc, iż jej tu nie ujrzałem w pańskim towarzystwie.

Małżonek wzdrygnął się z bólu. Pod wpływem swych nieustannych a poniżających podejrzeń doszedł do tego, że sam odnosił wykonane przez żonę w ukryciu robótki z perełek, dzięki którym do jego mizernej pensyjki przybywało kilka niezbędnych groszy. Była to maskowana nędza, piekło ubogich urzędniczych rodzin obarczonych dziećmi: mężczyzna wiecznie zgorzkniały, nieznośny despota, kobietą ładna i łagodna, pełna rezygnacji aż do dnia, w którym znajdzie dyskretne pocieszenie.

– Moja żona nie ma i mieć nie powinna innego zdania niż moje – oświadczył wreszcie Savin.

– Występuję zarówno w jej, jak i we własnym imieniu; tak samo, powtarzam, i w imieniu licznych innych rodzin... Teraz pańską rzeczą jest zdecydować, jak potraktować tę opinię. Zastanowi się pan.

Przybrawszy znowu ton poważny, Marek odparł: – Jużem się zastanowił, panie Savin. Przed usunięciem tego krzyża doskonale wiedziałem, co chcę uczynić, i skoro go już nie ma, ja go na pewno nie zawieszę z powrotem. Nazajutrz rozeszła się po Maillebois pogłoska, że do nauczyciela udała się delegacja rodzicielska – grono ojców i matek – oraz że się wywiązała burzliwa wymiana zdań i doszło do okropnego skandalu. Ale kiedy przypadek odkrył mu istotną przyczynę wystąpienia Savina, Marek zrozumiał, kto jest faktycznym inspiratorem tego manewru. Przystojna pani Savin, tak obojętna wobec całej sprawy, wszystka pochłonięta pragnieniem zdobycia odrobiny osobistego szczęścia, posłużyła jednak za narzędzie w rękach ojca Teodozjusza, albowiem za jej pośrednictwem mąż udał się na tajne spotkanie z kapucynem, który go nakłonił do odwiedzenia nauczyciela, aby położyć kres sytuacji tak szkodliwej dla dobrych obyczajów i porządku w życiu rodzinnym. Brak krzyża w szkole – czyż to nie oznacza niesubordynacji chłopców, swawoli dziewcząt tudzież matek? I drobny, chudy Savin, republikanin i antyklerykał, udręczony swym marnym nieudanym żywotem i niedorzeczną zazdrością, opowiedział się za cnotą – jako czciciel autorytetu, jako katolik na opak, wyobrażający sobie raj na ziemi w postaci więzienia, w którym każdy będzie ujarzmiony, zmiażdżony. W tym posunięciu ojca Teodozjusza Marek z łatwością wyczuł wpływ brata Fulgencjusza i jego asystentów: Gorgiasza i Izydora, wściekających się na szkołę świecką, odkąd ta odbierała im uczniów. A za tymi stali jeszcze: ojciec Filibin i ojciec Crabot, naczelnny wykładowca i rektor kolegium w Valmarie, potężne osobistości, których zręczne dłonie niewidocznie kierowały kampanią od czasu potwornej sprawy Simona. Tam to w mroku tkwiła cała zbrodnia, którą wspólnicy – ciemna, głucha masa, nieznana, podejrzana – gotowi byli

osłaniać nie cofając się przed nowymi zbrodniami. Zaraz pierwszego dnia Marek doskonale odgadł, gdzie się ukrywa cała szajka – od najpodrzedniejszego do najwyższego. Ale jak ich schwytać i dowieść winy, gdy uprzejmy światowiec, ojciec Crabot nadal obracał się w wytwornym towarzystwie Beaumont, pochłonięty sprawami penitentek i torowaniem rychłej kariery dawnym wychowankom, a ojciec Filibin, rzekłbyś, zniknął zupełnie, jakby zasklepiony w swych absorbujących funkcjach faktycznego kierownika zakładu w Valmarie. Nic nie zdradzało tajnej roboty prowadzonej w cieniu, tak aby ani jednej godziny nie stracić dla zapewnienia zwycięstwa złoźnej sprawy. Marek stwierdził jedynie, iż jest stale szpiegowany – śledzono go z księżowską dyskrecją, czarne postacie ustawicznie snuły się dokoła niego. Na pewno wiedziano o każdej jego bytności u Lehmannów, o każdej rozmowie z Dawidem. I – jak to określił Salvan – w jego osobie tropiono istotnie fanatyka prawdy, przyszłego rzecznika sprawiedliwości, świadka, który jak się domyślano, trzyma w ręku początkowe dowody, i którego chciano zgładzić, aby mu krzyk odwetu wtłoczyć z powrotem do gardła. Gromada habitów i sutann mozoliła się nad tym z rosnącą zuchwałością, aż wreszcie nawet biedny ksiądz Quandieu, choć ubolewał, iż religię zaprzęga się w służbę tak niecnego dzieła, z rezygnacją podporządkowywał się swemu przełożonemu, smutnemu biskupowi Bergerot, którego odwiedzał co tydzień w pałacu biskupim w Beaumont, aby wysłuchać jego poleceń oraz pocieszyć po odniesionej porażce. Obydwaj, biskup i proboszcz, jako pokorni synowie, osłaniali płaszczem swego kapłaństwa ropiejącą ranę Kościoła, skrywając boleść i obawy, nie mogąc wyznać, iż widzą, jak straszne grozi mu niebezpieczeństwo.

Pewnego wieczora Mignot, wróciwszy z dziedzińca szkolnego, z pasją powiedział Markowi:

– Wie pan, to doprawdy wstrętne: znowu przyłapałem pannę Rouzaire, jak szpiegowwała nas wlaższy na drabinę.

Istotnie nauczycielka, gdy sądziła, że jej nie widzą, nieraz przystawiała drabinę do muru granicznego, aby spenetrować, co się dzieje w szkole męskiej; Mignot twierdził, że następnie co tydzień składała tajne meldunki inspektorowi Mauraisin. – A to ci szpicel! – zaśmiał się Marek. – Ale niepotrzebnie się męczy wlażąc na drabinę. Jeżeli zechce, jestem gotów otworzyć jej bramę.

– O, co to, to nie! – zaprotestował Mignot. – Każdy u siebie! Jeśli się to powtórzy, ściągnę ją za nogi.

Z biegiem czasu Marek pozyskał go sobie całkowicie; było to, ku jego wielkiej radości, jak gdyby ocalenie ludzkiego sumienia. Chłopski syn, powodowany wyłącznie pragnieniem uniknięcia ciężkiej pracy na roli, człek przeciętnego umysłu i charakteru, troszczący się, jak tyłu jemu podobnych, jedynie o własną bezpośrednią korzyść. Mignot dawniej wobec Simona zawsze zachowywał się nieufnie. Po tym Żydzie nie spodziewał się niczego dobrego, uważał, że przezorniej jest trzymać się na uboczu. Toteż w czasie procesu, chociaż wewnętrzny głos uczciwości wzbraniał mu pograżać niewinnego, Mignot nie złożył rzetelnego a pozytywnego

zeznania, które by mogło Simona ocalić. Później, w stosunku do Marka również zachował postawę defensywną. To był przecież człowiek, z którym także nie należało się bratać, jeśli się dbało o awans! Tedy w ciągu całego roku dawał wyraz swej nieprzychylności, stołując się na mieście, niechętnie pomagając zwierzchnikowi i całym zachowaniem okazując mu dezaprobatę. Często podówczas widywał się z panną Rouzairé i zdawał się gotów do usług dla Kongregacji. Marek zaś, rzekłbyś, nie przejmował się tym, zachowując wobec swego zastępcy życzliwy stosunek i jak gdyby dając mu czas na zastanowienie się i zrozumienie, że istotna korzyść czeka go po stronie prawdy i sprawiedliwości. Ostatecznie, czyż ten spokojny młodzieniec, którego jedyną namiętnością było rybołówstwo, nie stanowił ciekawego obiektu doświadczalnego? Małoduszny w obliczu trudów przyszłości, nieco wypaczony przez brutalny egoizm środowiska, nie miał natury z gruntu złej, mógł stać się człowiekiem dobrym, gdyby się dostał w dobre ręce. Należał do ogromnego stada przeciętnych, ludzi, ani lepszych ani gorszych, którzy stają się takimi, jakimi ich uczynią okoliczności. Dostatecznie wykształcony, był materiałem na doskonałego nauczyciela, a nawet na szlachetną jednostkę, pod warunkiem, że będzie go podtrzymywać i wspierać jakaś mocna, rozumna indywidualność. Taki właśnie eksperyment, taka akcja ratownicza skusiła Marka; z radością widział, że krok za krokiem zdobywa sobie zaufanie, następnie przywiązanie tego zbłąkanego człowieka i cieszył się znajdując potwierdzenie owej prawdy, krzepiącej jego nadzieję na przyszłe wyzwolenie, iż nie ma człowieka nawet wśród obalamuconych, z którego nie można by uczynić bojownika postępu. Mignota podbiła w końcu tą wielką, żywą pogodą, ten dobroczynny zar sprawiedliwości i prawdy, którym Marek jakby promieniował i roztaczał wokół swej osoby. Obecnie suplent stołował się u kierownika i jak gdyby należał do jego rodziny.

– Jednakże z panną Rouzairé powinien pan mieć się na baczności – podjął Mignot. – Nie ma pan pojęcia, do czego ona jest zdolna... Sprzedałaby pana dziesięć razy, byle otrzymać dobrą notę od tego swojego Mauraisin.

I wpadłszy w nastrój zwierzeń opowiedział, jak kilkakrotnie nauczycielka namawiała go do podsłuchiwania pode drzwiami.

Zna on ją dobrze: to straszna baba – z tą swoją przesadną uprzejmością, w gruncie twardego serca i skąpa. A choć nieładna – wielka i koścista, płaskolica, piegowata – w końcu zjednywa sobie wszystkich. Jak to sama z przechwałką stwierdza, umie się do tego zabrać. Antyklerykałom wyrzucającym jej, że zbyt gorliwie prowadzi dziewczynki do kościoła, odpowiada, iż musi być posłuszna życzeniom rodziców pod groźbą utraty uczennic. Klerykałom nie szczędzi najbardziej wiarogodnych zapewnień i najwidoczniej skłania się na ich stronę, przeświadczona, że trzyma z mocniejszymi, z tymi, od których zależne są dobre stanowiska; nawet w szkolnictwie świeckim. Właściwie jednak ma na widoku jedynie własny profit i po prostu chce przypodobać się Bogu z tym wyrachowaniem, że on nawzajem poprze jej interesy. Córka owocarki

w Beaumont, wyniosła stamtąd umysłowość drobnokupiecką, układność, żądzę zysku. Nie wyszła za mąż, chcąc żyć według swych zachcianek, a jeżeli nie dokazywała z księżulkami, jak o tym paplały złośliwe języki, zdawało się rzeczą pewną, że obdarza względami pięknego Mauraisin, który, sam malutki, gustował, jak to nieraz bywa, w niewiastach o wymiarach grenadierskich. Nie upijała się, chociaż bardzo lubiła napoje wysokokowe, a jeśli czasem zjawiała się w klasie na popołudniowej lekcji bardzo czerwona na twarzy, pochodziło to stąd, że miała potężny apetyt, a była skłonna do niestrawności.

Marek odparł z gestem pobłażania:

– Ona nienajgorzej prowadzi swoją szkołę. Martwi mnie jedynie ciasny religijny kierunek, jaki cechuje jej nauczanie. To nie tylko zwykły mur oddziela tutaj chłopców od dziewcząt, to wręcz przepaść. A kiedy się znowu spotkają po skończeniu szkoły, aby się kojarzyć w pary małżeńskie, będą należeć do dwu różnych światów... Czyż to zresztą nie tradycja? I stąd w znacznej mierze walka płci.

Nie wspomniał o ciężkiej urazie, jaką żywił do panny Rouzaire, o przyczynie, którą go od niej odstręczyła bezpowrotnie; była nią jej niegodziwa postawa w sprawie Simona. Pamiętał wciąż, jak w czasie procesu w Beaumont oczerniała niewinnego bezczelnymi kłamstwami, jak zarzucała mu, że jego wykłady są niemoralne i antypatriotyczne, z cynicznym spokojem wysługując się zakonom. Toteż kiedy otrzymał nominację do Maillebois, stosunki jego z panną Rouzaire nie przekraczały granic oficjalnej uprzejmości, koniecznej ze względu na sąsiedztwo. Jednakże odkąd Marek utwierdził się na swym stanowisku i panna Rouzaire nie mogła już liczyć, iż się lada dzień wywróci, próbowała nawiązać bliższe stosunki, nie była bowiem z tych, co krytykują zwycięzców – w myśl zasady, że trzeba zawsze stać po stronie silnych. I przede wszystkim jęła zabiegać o względy Genowefy, która wszakże, dzielając opinię męża, trzymała się od niej z daleka.

– W każdym razie – zakończył Mignot – powtarzam, niech się pan ma na baczności. Gdybym był jej posłuchał, zdradziłbym pana nie wiem ile razy. Ustawicznie mnie o pana wypytywała powtarzając, że jestem fujara i że nigdy do niczego nie dojdę... Pan był dla mnie tak dobry... Nie domyśla się pan, od jakich świństw mnie uratowałeś, bo człek chętnie daje posłuch tym szelmom, co mu obiecują wszelakie sukcesy. A skoro się ośmieliłem powiedzieć panu o tym, proszę wybaczyć, że pozwolę sobie udzielić mu pewnej rady: powinien pan przestrzec panią Froment.

– Jak to, przestrzec?

– Tak, tak, ja mam oczy nie od parady... Od pewnego czasu widzę, jak się panna Rouzaire kręci koło pańskiej żony. Co chwila „droga pani”, uśmiechy, przymilania się, różne awanse, przed którymi, będąc na pana miejscu, drżałbym z obawy.

Marek, zdziwiony, próbował zbyć to śmiechem.

– Och! moja żona nie ma czego się lękać, jest uprzedzona. Cóż, trudno jej okazywać nieuprzejmość sąsiadce, z którą zbliżają nas wspólne zajęcia.

Mignot przestał nalegać, ale potrząsał głową; zdawało się, że nie chce wszystkiego powiedzieć. Dzięki zażyłym stosunkom z domem nauczyciela zdawał sobie sprawę z cichego dramatu, jaki tam powoli narasta. Marek również zamilkł, zdjęty ową głuchą trwogą, ową tajoną przed samym sobą słabością, która go paraliżowała, ilekroć pomyślał o możliwości walki z Genowefą. Nagle Kongregacja zdecydowała się na atak, którego Marek spodziewał się od czasu swej wizyty u Salvana. Pierwszym uderzeniem był zredagowany z pasją przez inspektora Mauraisin raport w sprawie zdjętego ze ściany krucyfiksu; była tam mowa o wzburzeniu, jakie wywołał wśród rodziców ten akt nietolerancji w stosunku do religii. Wzmiankowany był tam protest zgłoszony przez urzędnika Savin, wspomniano też o rodzinach Doloir i Bongard, które również wyraziły swą dezaprobatę. Takie wydarzenie nabiera wyjątkowej doniosłości w mieścinie przenikniętej duchem klerykalizmu, będącej znany mi miejscem licznych pielgrzymek, gdzie szkoła świecka musi wywalczyć sobie możność egzystencji za cenę wielu ustępstw, jeśli nie ma być zwalczona przez szkołę kongregacyjną; w konkluzji Mauraisin domagał się przeniesienia nauczyciela – fanatyka najgorszego gatunku, który przez swoją nieogłędność kompromituje uniwersytet. Aktu oskarżenia dopełniało mnóstwo drobnych faktów, plon codziennych przespiewów panny Rouzaire, której pupilkom, tak układnym, stale uczęszczającym na mszę, na naukę katechizmu, na procesje, noszącym chorągwie, przeciwstawiano wychowanków nauczyciela-anarchisty: leniuchów, buntowników, niedowiarków.

W trzy dni potem Marek dowiedział się, że hrabia Hektor de Sangleboeuf, poseł katolicki, podjął z dwoma kolegami stanowczą interwencję u prefekta Hennebise. Oczywiście wiedział o raporcie złożonym przez inspektora Mauraisin, a może wręcz brał udział w jego redagowaniu wraz z często goszczącym w Désirade ojcem Crabot, i z pewnością na tym właśnie meldunku zamierzano się oprzeć, aby zażądać usunięcia nauczyciela. Prefekta Hennebise, którego cała polityka sprowadzała się do tego, by ze wszystkimi żyć w zgodzie i który ustawicznie powtarzał swemu personelowi: „Och! tylko bez awantur!” – musiał mocno zakłopotać ten incydent brzemienny, jak to prze – czuwał; w opłakane komplikacje. Sercem skłaniał się na stronę hrabiego, ale otwarte związanie się z reakcją było ryzykowne. Toteż, nie tając sympatii ku płomiennemu antysemicie, zięciowi barona; Nathan, wytłumaczył mu, iż nie ma w tej sprawie wyłącznego głosu, albowiem ustawa jest wyraźna: nie może zarządzić przeniesienia żadnego nauczyciela bez uprzedniego wniosku inspektora szkół wyższych Le Barazera. Była to gwarancja niezależności, przyznana ciału pedagogicznemu. Na razie więc z westchnieniem ulgi odesłał deputowanych do urzędującego w tym samym gmachu prefektury inspektora, do którego też panowie ci niezwłocznie się udali. Le Barazer, mężczyzna o szerokim, rumianym obliczu, ledwo

siwiejący mimo przekroczoną pięćdziesiątkę, były docent przedzierzgnięty w ostrożnego dyplomata, przyjął ich i wysłuchał z pełną szacunku uwagą. Wyrosły w atmosferze – nienawiści ku Cesarstwu, był jednym z republikanów najwcześniejszej doby, uważających nauczanie świeckie za kamień węgielny Republiki. Wszelkimi sposobami dążył do zniesienia szkół kongregacyjnych, śmiertelnie zagrażających wolnej Francji. Atoli doświadczenie nauczyło go, że gwałtowną akcją jest niebezpieczna, trzymał się więc długo obmyślanego i rozważnie realizowanego planu, w związku z czym w oczach zapaleńców uchodził za „letniego”. Niewątpliwie na taką postawę wpłynęło w znacznym stopniu zrównoważone usposobienie, łagodna, wytrwała wola. Znane były jego zwycięstwa, powolne a niezwykle, które zawdzięczał wieloletnim, skrytym, niezawodnym zabiegom.

Zaraz na wstępie Le Barazer pozornie zganił postępek Marka, będący, jak mówił, zbyt dużą demonstracją. Zauważył wszakże przy tym, że ustawy nie żądają, od nauczyciela, by tolerował emblematy religijne na szkolnych ścianach. Chodziło po prostu o zwyczaj, jego zdaniem wcale niewłaściwy, co pozwolił sobie dyskretnie wyrazić. Na – stepnie, widząc, że się Sangleboeuf zaperza, występując gromko jako obrońca Kościoła i nazywając nauczyciela gorszycielem i bezwstydnikiem, wzburzającym przeciw sobie całe Maillebois, inspektor beznamiętnie obiecał, iż sprawę zbada z całą starannością, na jaką zasługuje. Jak to? Czyż nie otrzymał raportu swego podwładnego Mauraisin? Czyżby ten meldunek nie dość wyraźnie wskazywał mu powagę niebezpieczeństwa, groźbę zarazy, demoralizację, której straszliwe postępy należy zahamować przez natychmiastowe przeniesienie nauczyciela? Słyszając to pytanie z ust posła, Le Barazer udał najgłębsze zdziwienie: co za raport? Aha, prawda! sprawozdanie kwartalne inspektora szkół powszechnych! Więc znano jego treść?... Ale te sprawozdania czysto administracyjne to jedynie materiał do oceny dla inspektora szkół wyższych, który ma ścisły obowiązek osobiście sprawdzać stan rzeczy. Po tym oświadczeniu pożegnał przybyłych nie omieszkawszy zapewnić, że interwencję ich potraktuje jak najpoważniej.

Upłynął miesiąc. Marek co dzień oczekiwał wezwania do prefektury, ale wezwanie to nie nadchodziło. Widocznie Le Barazer, wierny swej zwykłej taktyce, zasypiał sprawę, aby zyskać na czasie, znużyć wolę przeciwników. Jego tajne poparcie dla nauczyciela nie ulegało wątpliwości, jak to Markowi dyskretnie doniósł Salvan, współpracownik i druh inspektora. Lecz nie podobna było dopuścić, aby się sprawa zaostrzyła; rosnący skandal mógł zmusić inspektora do interwencji; kto go bowiem znał, wiedział, że nie będzie bronić Marka do upadłego, że go niezawodnie poświęci, jeśli taką ofiarę uzna za użyteczną dla ocalenia reszty swej akcji, powolniejszej, lecz i bardziej celowej, prowadzonej przeciwko szkołom zakonnym. Wszelki rewolucyjny heroizm jest mu obcy, nawet niemiły. A najgorsze było, że w Maillebois sprawy psuły się z każdym dniem. Z nietrudnej do rozpoznania inspiracji „Le Petit Beaumontais” prowadził teraz okrutną kampanię przeciw Markowi. Rozpoczął ją, swoim zwyczajem, krótkimi

mglistymi notatkami: „W sąsiednim miasteczku dzieją się różne bezeceństwa... redakcja poda bliższe szczegóły, jeśli to okaże się konieczne...” Następnie dziennik wręcz już wymienił nazwisko nauczyciela Froment, otwierając codzienną niemal rubrykę: Skandal w Maillebois. Drukowano tam niebywałe plotki oraz publikowano wyniki jakiejś rzekomej ankiety, przeprowadzonej wśród uczniów, w której nauczyciela pomawiano o najcięższe zbrodnie. Poruszona do głębi ludność wrzała namiętnościami, braciszkwowie i kapucyni jeszcze rozdmuchiwali zgrozę, wszystkie dewotki żegnały się trwożnie, mijając budynek szkoły powszechnej, w której dzieją się takie okropności. Odtąd Marek świadom był niebezpieczeństwa. Mignot ze stoickim spokojem pakował manatki, pewny, że sam zostanie zmieciony w porażce swojego kierownika, przy którym stał wiernie. Panna Rouzair przybierała już zwycięską pozę, kiedy w niedzielę z wielką pompą i paradą prowadziła dziewczęta na nabożeństwo. Ojciec Teodozjusz w swej kaplicy, ba! nawet proboszcz Quandieu z ambony parafialnej w kościele Św. Marcina zapowiadali rychły powrót wygnanego przez niewiernych Boga, co oznaczało, że na ścianie szkoły świeckiej zostanie na nowo uroczystie zawieszony ukrzyżowany Jezus. Ostatnim zaś ciosem stało się dla Marka spotkanie z byłym merem Darras, który zachował się wobec niego nader oziębłe; był wyraźnie zdecydowany opuścić nauczyciela, bojąc się, że straci i tę mniejszość głosów republikańskich w radzie miejskiej.

– Trudno... Zanadto się pan rozpędził, nie możemy w tej chwili iść za panem... Ten lizus Philis ma na mnie oko... Wywróciłbym się razem z panem, co jest bynajmniej niepożądane...

Marek, zgnębiony, pośpieszył do Salvana. Był to jedyny wierny przyjaciel, jedyna mocna podpora. Zastał go zafrasowanego, spochmurniałego, nieomal zażenowanego.

– Jest całkiem kiepsko, mój chłopcze. Le Barazer milczy z miną zatroskaną i obawiam się, że cię w końcu zostawi na lodzie, tak zajadła toczy się wokół niego kampania... Może działałeś trochę zbyt pochopnie...

Dotknięty boleśnie, wnosząc z tych słów, że i tu go opuszczają, Marek wykrzyknął:

– Pan, pan także! mój mistrz!

Ale bardzo wzruszony Salvan już uchwycił jego dłonie:

– Nie, nie, chłopcze, nie wążp o mnie, ja trwam przy tobie całym sercem i z całą energią. Ale nie masz pojęcia o trudnościach, jakie u nas wszędzie powstały po twoim czynie, tak prostym i logicznym. Tutaj moja École Normale jest podejrzewana, denuncjowana jako ognisko bezbożnictwa. Korzysta z tego dyrektor Depinwilliers chwając usługi, jakie prefekt jego liceum wyświadczył sprawie uspokojenia, pojednania stronnictw na łonie Kościoła. Ba! nawet nasz rektor, ten spokojniutki Forbes, trzęsie się

o swój zamałony spokój. Le Barazer jest bardzo zręczny, ale czy mu starczy odporności?

– Cóż więc robić?

– Nic, czekać. Powtarzam: bądź po prostu rozważny

i dzielny. Uściskajmy się i zdajmy się na potęgę prawdy i sprawiedliwości.

Podczas dwóch następnych miesięcy Marek zachował wspaniałą postawę spokojnej odwagi w obliczu obelg, jakimi go codziennie obrzucano. Zdawał się nie dostrzegać obrzydłego potoku błota, opryskującego jego próg. Prowadził w dalszym ciągu lekcje z niepospolitą pogodą i rzetelnością. Nigdy nie pracował intensywniej i pożyteczniej – oddawał się całkowicie swym wychowankom, słowem i przykładem pouczając ich o konieczności pracy, wpajając w nich umiłowanie prawdy i sprawiedliwości w obliczu najcięższych nawet doznań. Za wszystką gorycz i plu – gastwo, jakimi go obrzucali współobywatele, odpłacał łagodnością, dobrocią, poświęceniem. Czułe jego starania zmierzały ku temu, aby dzieci były lepsze od ojców, na szkaradnym „dzisiaj” zaszczeniał szczęśliwe „jutro”, okupując zbrodnię bliźnich ceną osobistego szczęścia. W kręgu powierzonych jego opiece dziecięcych umysłów upodabniał się do nich, przejmując ich niewinność, czystość, chęć odkrywania świata; i odkrywał go w jego krasie, z nadzieją, że człowiek żyć w nim będzie w braterstwie i radości, kiedy się oświeci dostatecznie wiedzą, mądrością i miłością, kiedy opanuje siły przyrody. Świadomość, iż ma ten drobny ludek stopniowo, dzień po dniu, ratować z błędów i kłamstwa, była źródłem jego spokoju i szlachetnej mocy. I z niezmaconym uśmiechem czekał na cios, jaki miał weń ugodzić, pewny słuszności swej sprawy, co wieczór z zadowoleniem sumując wyniki dokonanej pracy.

Pewnego ranka „Le Petit Beaumontais” oznajmił, że dymisja „ohydneho gorszyciela z Maillebois” – jak nazywał nauczyciela – jest już podpisana. W przeddzień Marek dowiedział się o nowej interwencji hrabiego de Sangleboeuf w prefekturze; nie miał już żadnej nadziei, katastrofa była nieunikniona. Przeżył męczący wieczór. Po lekcjach, kiedy wokół siebie nie widział już wesołych, jasnych i ciemnych główek dziecięcych, będących dla niego obrazem lepszej przyszłości, zapadał na nowo w smętne medytacje zmagając się z sobą, aby nazajutrz odzyskać pełnię „energii”. Toteż spędził ów wieczór w szczególnie gorzkim nastroju. Rozpamiętywał swoje dzieło brutalnie przerwane, myślał o tej drogiej mu dziatwie, która po raz może ostatni wysłuchała jego nauk, której wyzwolenia już mu nie będzie dane dokończyć. Zabiorą mu te dzieci, powierzą je jakiemuś deprawatorowi umysłów i charakterów; całe jego zniweczone apostołstwo przesywało go dojmującym bólem.

Gdy Marek położył się spać, był tak smutny, że Geno – wefa łagodnie, w milczeniu przygarnęła go czułym ruchem małżonki, jak się to jeszcze niekiedy zdarzało.

– Masz jakieś przykrości, mój biedaczku?

Nie od razu odpowiedział. Wiedział, że coraz bardziej różni się w zapatrywaniach, i stale unikał drażliwych rozmów, chociaż sobie w skrytości wyrzucał, że w ten sposób pozwala żonie coraz bardziej się odsuwać i nic nie podejmuje w celu odzyskania jej. Mimo że znowu przestał odwiedzać „te panie”, nie mógł się zdobyć na wzbronienie Genowefie wstępu do tego wyziębłego domku, w którym – widział to dobrze – tkwiło tak wielkie niebezpieczeństwo dla ich

wspólnego szczęścia.

Ilekcio Genowefa stamtąd wracała, czuł, że znów trochę mniej należy do niego. A ostatnimi czasy, gdy sfera klerykałów deptała mu po piętach, dowiedział się, że „te panie” wszędzie go potępiają, że się go wyrzekają i wstydzają, że rumienia się z powodu niezasłużonej hańby brukającej ich rodzinę.

– Czemu nie odpowiadasz, mój drogi? Czyżbyś sądził, że twoje zmartwienie nie jest i moim?

Marek, wzruszony, odwzajemnił jej uścisk i powiedział:

– Owszem, mam przykrości. Ale to są sprawy, których nie odczuwasz tak jak ja, czego ci zresztą nawet nie chcę wyrzucać. Na cóż tu zwierzenia?... Obawiam się, że bardzo rychło opuścimy te strony.

– Jak to?

– Będę z pewnością przeniesiony, jeżeli nie całkiem zdymisjonowany. Wszystko skończone... I trzeba nam będzie wynieść się, nie wiem dokąd.

Genowefa wydała okrzyk zadowolenia.

– Ach, mój drogi, tym lepiej! To najlepsze, co nas może spotkać.

Marek, zdziwiony, zrazu nie rozumiejąc począł ją wypytywać. Wydała się nieco stropiona, spróbowała się wycofać. – Mój ty Boże! powiadam tak, ponieważ chętnie wyniosłabym się stąd, oczywiście razem z tobą i Ludwiczka. Wszędzie można być szczęśliwym.

A gdy wciąż nalegał, dorzuciła:

– No i zresztą mielibyśmy już poza sobą te wszystkie paskudne historie, które w końcu mogłyby nas poróżnić. Tak bym pragnęła, byśmy znaleźli się znowu razem w jakimś zapadłym kącie, gdzieby się nikt między nas nie wtrącał, gdzieby nic z zewnątrz nas nie rozdzielało... Ach, mój drogi, jedźmy, jedźmy jutro!

Niejednokrotnie już w momentach czulego oddania zauważał w niej ten lęk przed rozłamem, to pragnienie i potrzebę pozostania przy nim. Zdawała się mówić: „Przytul mnie do serca, zachowaj przy sobie, zabierz, niechaj mnie nie wyrwą z twoich objęć. Ja doskonale czuję, że mnie z nich z każdym dniem odciągają, przejmują mnie dreszczem ten srogi chłód, jaki mnie ogarnia, gdy tylko nie jestem wszystka twoja.” I był wstrząśnięty do głębi obawą przed tym, co nadchodziło nieuchronnie.

– Wyjechać, moja najdroższa, och! to nie wystarcza... Ale sprawiasz mi wielką radość i bardzo ci dziękuję za to ogromne pokrzepienie.

Mijały dni, a straszne pismo z prefektury wciąż nie nadchodziło. Przyczyną tego było zapewne nowe wydarzenie, które poruszyło wszystkich, odwracając uwagę od spraw szkoły świeckiej w Maillebois. Oto od niejakiego czasu proboszcz w Jonville, ksiądz Cognasse, który tryumfował na całej linii, obmyślał wielki manewr: chodziło o wyjednanie u wójta Martineau zgody na poświęcenie gminy Sercu Jezusowemu. Nie był to chyba jego własny pomysł,

wiedziano, że przez cały miesiąc co czwartek udawał się do Valmarie, gdzie odbywał długie konferencje z ojcem Crabot. W związku z tym powtarzano sobie – jedni z oburzeniem, inni z humorem – powiedzenie nauczyciela Férou, kierownika szkoły w Moreux: „Jeżeli ci dranie jezuiti sprowadzą tu to swoje serce rozplatanego wołu, plunę im w twarz.”

Sprawa kultu Serca Jezusowego pochłaniała odtąd całą religię Chrystusową, ogłaszana jak gdyby drugie wcielenie Jezusa, nowy katolicyzm. Ta osobliwa wizja żalostnej histeryczki, płomiennej i smutnej Marii Alacoque – to serce rzeczywiste, krwawiące, na poły wyszarpane z rozplatanego piersi, stawało się symbolem, wiary prostackiej, niższej do potrzeb cielesnych. Zdawało się, że dawny czysty kult Jezusa niematerialnego, przebywającego w obłokach przy Ojcu, jest zbyt subtelny dla współczesnych dusz, spragnionych doznań ziemskich; i oto postanowiono wystawić w boskiej jatce płat ciała Jezusowego tłumom dewotów na pokaz, na codzienny żer ich zabobonom i ogłupieniu. Rzekłbyś, że nastąpił tu premedytowany zamach na rozum ludzki, rozmyślnie upodlenie dawnej religii, już i tak przecie mętnej, po to, by szerokie masy wiernych stały się skutkiem tego jeszcze cięższej przytłoczone zakłamaniami, jeszcze głębsze i bardziej służalcze. Kult Serca Jezusowego skupiał zastępy samych bałwochwalców, fetyszystów czczących ochłap rzeźny, paradujących z nim, zatkniętym na ostrzu włóczni, jak ze sztandarem. I tu występował w całej pełni genialny spryt jezuitów: chodziło o uczłowieczenie religii, o sprowadzenie Boga ku człowiekowi, skoro wielowiekowe zabiegi nie zdołały doprowadzić człowieka do Boga. Trzebaż było temu ciemnemu ludowi dać jedyne Boga, takiego jakiego pojmował, uczynionego na jego podobieństwo, tak jak on sam krwawiącego i bolejącego, bożka mocno ubarwionego czerwienią, którego brutalna cielesność tym snadniej wpływała na ostateczną przemianę jego wyznawców w stado tucznego bydła, zdatnego na ubój. Wszelkie zwycięstwo nad rozumem jest zwycięstwem nad wolnością; trzeba było koniecznie, by się Francja niżyla do owego dzikiego kultu Serca Jezusowego, jeżeli Kościół pragnie ją utrzymać w posłuchu pod jarzmem niedorzecznych dogmatów. I oto zaraz nazajutrz po klęsce, wśród żałoby narodowej po dwóch utraconych prowincjach, Kościół, korzystając z powszechnego zamętu, podjął próbę poświęcenia Sercu Jezusowemu Francji pokutującej za swoje winy, pokaranej tak dotkliwie bożą prawicą. W najwyższym punkcie wielkiego rewolucyjnego Paryża wznosił to Serce Jezusowe, drgające i czerwone, podobne tym, jakie się widuje zawieszane na hakach u rzeźników. Stamtąd krwawiło na cały kraj, sięgając w głąb zapadłych wioścyn; i jeżeli tam, na górze, na Montmartre, wywoływało wybuchy uwielbienia wśród pań i panów ze sfer administracji, sądownictwa, wojska, jakże wzruszyć i wstrząsnąć musiało ciemnych wiejskich prostaczków? Stawało się narodowym godłem skruchy i zupełnego oddania się w ręce Kościoła. Haftowano je pośrodku trójbarwnego sztandaru, którego trzy barwy symbolizowały już tylko: lazur niebios, lilię Matki Boskiej i krew męczenników. Tak widniało, ogromne, napęczniałe i ociekające krwią, zawieszane jako nowy Bóg zwyrodniałego

katolicyzmu, wydany grubej ciemnocie ujarzmionej Francji. Ojciec Crabot początkowo zamysłał otrąbić swój tryumf w samym Maillebois, stolicy powiatu, dokonując tam poświęcenia gminy Sercu Jezusowemu. Lecz opanowały go wątpliwości: było tu całe fabryczne przedmieście, kilkuset robotników, których przedstawiciele, socjaliści, zasiadali w radzie miejskiej; wbrew opinii braciszków i kapucynów jezuita przeląkł się możliwości głośnej kompromitacji. Postanowił tedy przeprowadzić swój wyczyn w Jonville, gdzie teren zdawał mu się znakomicie przygotowany, odkładając na inną sposobność – jeśli próba się powiedzie – ponowienie tego kroku gdzie indziej, na szerokiej arenie. Obecnie w Jonville rządził ksiądz Cognasse, któremu nauczyciel Jauffre ostatecznie przekazał rząd nad ludźmi i biegiem spraw, całą władzę, tak dzielnie niegdyś zdobytą przez Marka. Teoria Jauffre'a była prosta: należało dobrze żyć z rodzicami, z wójtem, a zwłaszcza z proboszczem. Skoro okolica jest objęta klerykalizmem, czemu nie dać się ponieść temu prądowi? Czyż to nie najkrótsza droga do otrzymania w Beaumont stanowiska kierownika jakiejś poważnej szkoły? I syty, zasobny w grosiwo dzięki posagowi żony, Jauffre najpierw ją skłonił do nawiązania stosunków z parafią, a później również sam podporządkował się jej całkowicie: dzwonił na mszę, śpiewał na chórze, co niedziela prowadził swych uczniów do kościoła. Wójt Martineau, za czasów Marka antyklerykał, zrazu był poruszony poczynaniami nowego nauczyciela. Ale cóż tu powiedzieć człowiekowi, który nie jest golcem, który potrafił znaleźć najmocniejsze w świecie argumenty, aby wytłumaczyć, że zawsze traci ten, kto staje przeciwko księżom? Martineau, zachwiany, początkowo zachowywał się biernie; później, kiedy się w to wdała piękna pani Martineau, począł głosić otwarcie na posiedzeniach rady, że bądź co bądź, dobre stosunki z proboszczem byłyby rzeczą korzystną. No i wystarczył rok, by ksiądz Cognasse stał się absolutnym władcą w gminie; jego wpływu nie równoważył już wpływ nauczyciela, który rozmyślnie szedł w ślad za nim, pewny, iż z tej uległości wyciągnie nie lada profit.

Niemniej projekt poświęcenia Jonville Sercu Jezusowemu wywołał pewne zdumienie oraz sprzeciwy. Nie wiadomo gdzie się zrodził ów pomysł, nikt nie potrafiłby wskazać, kto pierwszy sprawę tę poruszył, ale zaborczy i zapalczywy ksiądz Cognasse z miejsca ją sobie przywłaszczył, poczytując za tytuł do niemałej chwały fakt, iż jest pierwszym w okolicy proboszczem, który oto zdoby – wa dla Boga całą gminę. Roztrąbił to tak hałaśliwie, że biskup Bergerot wezwał go do Beaumont, niezadowolony, zaniepokojony tą groźbą nowej zabobonnej imprezy, której prostacki i bałwochwalczy charakter martwił go skrycie; nastąpiła podobno żałosna i straszliwa scena i biskup raz jeszcze musiał ustąpić. W Jonville odbyły się w radzie gminnej dwa burzliwe posiedzenia; ten i ów z członków chciał wiedzieć, co też to im przyniesie. Była chwila, że sprawa zdawała się przepaść, pogrzebana. Wtedy Jauffre, który także pewnego dnia udał się do Beaumont – przy czym nie wiadomo było dokładnie, z jaką osobistością się tam spotkał – przystąpił do wznowienia pertraktacji między proboszczem a radą. Chodziło o ustalenie, jaką

korzyść odniesie gmina z tego poświęcenia się Sercu Jezusowemu. Jauffre przede wszystkim wyliczył dary przyobiecane przez damy z Beaumont: srebrny kielich, obrus na ołtarz i wazony z kwiatami oraz figurę Pana Jezusa z wymalowanym na piersi ogromnym sercem, płomiennym i krwawym. Była też mowa o wyposażeniu w dniu ślubu kwotą pięciuset franków najgłodniejszego dziecięcia Marii. Co wreszcie, bodaj ostatecznie, przesądziło o decyzji rady, to obietnica założenia w tych stronach filii „Dobrego Pasterza”, gdzie dwieście robotnic miało pracować przy wyrobie wykwinnej bielizny – koszul, halek i majtek – dla wielkich magazynów paryskich. Wieśniacy już widzieli w wyobraźni swoje córki solidnie zatrudnione u sióstr zakonnych, nie mówiąc już o gotówce, jaką tego rodzaju zakład zasili gminę.

W końcu ustalono datę uroczystości na niedzielę dziesiątego czerwca, a jak zauważył ksiądz Cognasse, niebo powitało to święto wyjątkowo piękną pogodą. Od trzech dni jego gospodyni, groźna Palmira, wspomagana przez panią Jauffre oraz panią Martineau, krzątała się zdobiąc kościół zielenią i użyczonymi przez wszystkich mieszkańców makatami. Damy z Beaumont, prezesowa Gragnon, genera – łowa Jarousse, prefektowa Hennebise i podobno nawet pani Lemarrois, małżonka mera, przedstawiciela radykałów, ofiarowały wspaniałą trójbarwną chorągiew, na której widniało wyhaftowane serce Jezusa z dewizą: „Bóg i Ojczyzna”. A sam Jauffre miał nieść tę chorągiew krocząc po prawej stronie obok wójta gminy Jonville. Od samego rana napływały ważne osobistości: dygnitarze z Beaumont wraz z paniami, które złożyły dary; mer miasta Maillebois, Philis, w otoczeniu klerykalnej większości rady miejskiej; następnie cała chmara sutann i habitów, dostojny prałat delegowany przez biskupa, ojciec Teodozjusz z grupą kapucynów, brat Fulgencjusz w towarzystwie swych zastępców, ojciec Filibin, wreszcie sam ojciec Crabot – wszyscy witani z wielką atencją. Zauważono nieobecność księdza Quandieu, który w ostatniej chwili uległ gwałtownemu atakowi podagry.

O godzinie trzeciej na placu Kościelnym sprowadzona ze stolicy powiatu orkiestra odegrała bojowego marsza, nadchodziła rada miejska, wszyscy w galowych strojach, z wójtem Martineau na czele, a za nimi nauczyciel Jauffre dzierżący chorągiew. Zatrzymano się, by wysłuchać marsza do końca. Olbrzymi tłum, całe rodziny chłopskie odświętnie przybrane, wystrojone damy, wszystko tłoczyło się w pełnym napięciu oczekiwaniu. Wreszcie brama kościelna nagle rozwarła się na oścież i ujrano proboszcza Cognasse w sutych szatach kapłańskich, a za nim liczny orszak duchownych przybyłych z okolicy. Rozbrzmiały śpiewy, zebrani skłonili się nabożnie podczas uroczystego poświęcenia chorągwi. Potem nastąpił moment patetyczny: wójt Martineau ukląkł wraz ze wszystkimi członkami rady pod fałdami symbolicznego sztandaru, którego drzewce Jauffre pochylał, aby przedstawić w całej okazałości jego trzy barwy i wizerunek krwawiącego serca. I głosem donośnym wójt wyskandował oficjalną formułę konsekracji Sercu Jezusowemu gminy Jonville: „Uznaję suwerenne prawa Jezusa Chrystusa w stosunku do wszystkich obywateli, których jestem mandatariuszem, nad ich osobami, rodzinami oraz mieniem. Jezus

Chrystus będzie ich najwyższym, jedynym władcą i odtąd On będzie kierował poczynaniami naszej administracji gminnej – dla naszego zbawienia i swojej chwały.”

Niewiasty płakały, mężczyźni bili oklaski. Powiew radosnego szaleństwa zakołysał tłumem w potoku słonecznych promieni, wśród huku trąb i bębnow, w rytm ponownie rozbrzmiewającego marsza tryumfalnego. Potem orszak podążył do kościoła, gdzie nastąpiło pobłogosławienie Najświętszym Sakramentem, błyszczącym jak gwiazda na otoczonym świecami ołtarzu, przed którym członkowie sejmiku znowu przyklęknęli z wielkim nabożeństwem. Wtedy z płomiennym patosem przemówił ksiądz Cognasse, wyrażając radość na widok władzy świeckiej chroniącej się pod sztandar narodowy Serca Jezusowego, składającej pokłon Najświętszemu Sakramentowi, wyrzekającej się na rzecz Boga wszelakiej pychy i wszelakiego sprzeciwu, zdającej się odtąd na Niego, przekazującej w Jego ręce rządy i zbawienie Francji. Czyliż to nie oznacza kresu bezbożnictwa, uznania Kościoła za jedynego władcę dusz i ciał, jedynego przedstawiciela siły i władzy na ziemi? Kościół nie omieszka rychło przywrócić do szczęśliwości swą umiłowaną córkę pierworodną, nareszcie żałującą swych błędów, uległą i spragnioną wyłącznie zbawienia. Wszystkie gminy pójdą za przykładem Jonville, cała ojczyzna niebawem odda się Sercu Jezusowemu, Francja odzyska swój autorytet na świecie przez cześć dla sztandaru narodowego, który stał się sztandarem Jezusa.

Rozległy się okrzyki zbożnego szału i wspaniała uroczystość zakończyła się w zakrystii, gdzie znowu przedefilowała rada gminna z wójtem na czele, aby podpisać oryginalny urzędowy akt na pergaminie, głoszący, iż gmina Jonville poświęciła się całkowicie i na zawsze Bożemu Sercu, rezygnując z władzy cywilnej na rzecz władzy duchownej.

Lecz u wyjścia wybuchnął skandal. Oto w tłumie znajdował się Férou, nauczyciel z Moreux, w żalonym surducie, bardziej niż kiedykolwiek wynędzniały i podniecony. Spadł on na dno udreki wskutek zadłużenia, szarpany o frankówki i półfrankówki, nie znajdując już nawet kredytu na sześć funtów chleba dziennie, których potrzebował, aby wyżywić żonę, wyczerpaną ciężką pracą domową, i trzy wychudłe, wciąż niedomagające córki. Jego mizerna pensja, sto franków miesięcznie, wpadała w tę stale pogłębiającą się czeluść, a drobne wynagrodzenie w sekretariacie gminy było ustawicznie okładane aresztem. Toteż ta wzrastająca nieuleczalna nędza do reszty poniżyła go w oczach chłopów; każdy z nich, żyjąc dostatnio, z wzdurliwą nieufnością traktował wiedzę, nie mogącą nawet wyżywić człowieka wyznaczonego do jej szerzenia. I Férou, jedyna istota inteligentna i wykształcona w tym środowisku grubej ciemnoty, rozjątrzał się coraz silniej w poczuciu, iż on, posiadający wiedzę, jest biedakiem, gdy natomiast ignoranci są bogaci; wzburzała go ta niesprawiedliwość społeczna, a cierpienia najbliższych podsuwały mu szaleńcze pomysły; roił o gwałtownym zniszczeniu tego niegodziwego świata, aby na jego gruzach odbudować stolicę prawdy i sprawiedliwości.

Férou zobaczył wójta Saleur w pięknym nowiutkim surducie, przybyłego z myślą

przypodobania się tryumfującemu obecnie księdzu Cognasse. W Moreux panował teraz pokój między gminą a kapłanem, mimo nieznośny humor tego ostatniego; zmuszony bowiem przebywać do Moreux cztery kilometry drogi, zrzędził ustawicznie na parafian, którzy mogliby chyba zafundować sobie własnego proboszcza. Wszystek szacunek, odjęty chudemu, blademu, lichu opłacanemu nauczycielowi, bez grosza przy duszy i beznadziejnie obdłużonemu, przeniesiono na za – żywnego, kwitnącego księdza, usytuowanego znacznie lepiej, zarabiającego na chrztach, ślubach, pogrzebach. Nieuchronnie przegrywający w tym nierównym pojedynku, nauczyciel wściekał się:

– Ho, ho, panie Saleur, to ci karnawał! Czy panu nie wstyd przykładać ręki do podobnych szkarad?

Saleur, acz w głębi duszy bynajmniej nie garnący się ku księżom, zirytował się. Apostrofę nauczyciela odczuł jako zamach na swoją burżujską pozycję zbogaconego handlarza bydła, żyjącego z renty w pięknie urządzonej, odświeżonej i olejno pomalowanym domu. Odparł tedy z godnością:

– Lepiej byś pan milczał, panie Férou. Wstydzić się powinni ci, co nie potrafią wy kierować się w życiu na ludzi solidnych.

Rozdrażniony zetknięciem z tą poziomą moralnością, której był ofiarą, Férou miał odpowiedzieć, kiedy z kolei ukazał się Jauffre ściągając ku sobie jego gniew.

– A to pan, kolego, obnosi sztandar kłamstwa i głupoty! Piękna rola dla wychowawcy maluczkich naszej demokracji! A przecie pan dobrze wie, że co zyskuje ksiądz, to traci nauczyciel.

Ale Jauffre, jak przystało na rentiera, bardzo zresztą zadowolony ze swego czynu, zmiażdżył mizeraka wzgardliwym politowaniem:

– Mój biedny kolego, zamiast sądzić innych, powinien by się pan raczej zatroszczyć o koszule na grzbiet dla swoich córek.

Wtedy Férou stracił resztkę panowania nad sobą. Zjeżony, dziki, wymachując długimi ramionami, zawołał:

– Bando klechów! Zgrajcie jezuitów! Paradujcie z nim, adorujcie to wasze serce rozplatanego wołu i zjedzcie je sobie na surowo, aby stać się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej nieludscy i głupi!

Dokoła bluźniercy powstało zbiegowisko, posypały się złorzeczenia, groźby i sprawa byłaby się zakończyła dla niego fatalnie, gdyby nie interwencja Saleura, który jako przezorny wójt, dbały o dobrą reputację swej gminy, wyciągnął go z wrogiego tłumu i uprowadził ujawszy pod ramię.

Nazajutrz incydent nabrał przesadnego rozgłosu: wszędzie mówiono o wstrętnym świętokradztwie. „Le Petit Beaumontais” opowiedział, że nauczyciel z Moreux opłuł sztandar

narodowy Serca Jezusowego w momencie, gdy czcigodny ksiądz Cognasse błogosławił to boskie godło Francji pokutującej i zbawionej. W następnym zaś numerze dziennik oznajmił, jako fakt pewny, dymisję nauczyciela Férou.

Gdyby wiadomość okazała się prawdziwa, oznaczałoby to dla Férou poważne następstwa: konieczność niezwłocznego odbycia trzyletniej służby wojskowej, gdyż jego dziesięcioletnie zobowiązanie nie było spełnione; brakowało mu jeszcze trzech lat pracy w szkolnictwie państwowym, aby uzyskać całkowite zwolnienie. A kiedy znajdzie się w koszarach, co stanie się z jego żoną i trzema córkami, tymi nieszczęsnymi istotami, którym już teraz nie mógł zapewnić utrzymania?

Na wieść o tym fakcie Marek czym prędzej udał się do Salvana. Tym razem „Le Petit Beaumontais” nie zełgał: dymisja miała być podpisana. Le Barazer okazał się nieustępliwy. A gdy Marek błagał starego przyjaciela o podjęcie jeszcze jednej próby, ten ze smutkiem odmówił.

– Nie, nie, to bezcelowe, zderzyłbym się ze stanowczą decyzją. Le Barazer musi wystąpić czynnie, tak w każdym razie uważa; jego oportunistyczna taktyka znajduje tu sposób pozbycia się obecnych trudności... I nie powinienes zanadto lamentować: jeżeli Le Barazer uderza w Férou, czyni to, aby oszczędzić ciębie.

Marek zachnął się i powiedział, jak bardzo go takie rozwiązanie krępuje i boli. – Nie jesteś za to odpowiedzialny, drogi chłopcze. Le Barazer rzuca klerykałom ten żer, skoro im potrzeba żeru, i spodziewa się w ten sposób ocalić pożytecznego pracownika, jakim ty jesteś. To bardzo misterne rozwiązanie, jak mi ktoś wczoraj tłumaczył... Och! tak, ileż łez, ile krwi trzeba na to, by uzyskać odrobinę postępu! i iluż nieszczęśników musi paść i swymi ciałami wypełnić fosę, aby przeszli bohaterowie!

Zapowiedź Salvana spełniła się co do joty. W dwa dni później Férou otrzymał dymisję. A doprowadzony do rozpaczyny niesprawiedliwością, której padł ofiarą, nie chciał pójść do wojska i zdezerterował – schronił się do Belgii. Miał nadzieję znaleźć tam posadzinę, która by mu umożliwiła sprowadzenie żony i córek, tak by na obczyźnie odbudować zburzone gniazdo. Twierdził nawet, że odczuwa ulgę uwolniwszy się w ten sposób z nauczycielskiej kaźni, że oddycha pełną piersią jako człowiek nareszcie mający swobodę myślenia i działania. Jego żona na razie przeniosła się z córeczkami do Maillebois, gdzie zamieszkała w dwóch ponurych izdebkach i natychmiast dzielnie zabrała się do krawieczyzny, nie mogąc jednak zarobić na chleb powszedni. Marek odwiedził ją i starał się dodać jej otuchy, sam wstrząśnięty obrazem tej niedoli. Czuł wyrzut sumienia, albowiem sprawa usuniętego przezeń krucyfiksu jakby uległa zapomnieniu na skutek wzburzenia, wywołanego świętokradztwem w Jonville i zarządzanej w następstwie dymisji nauczyciela. „Le Petit Beaumontais” głośno tryumfował, hrabia de Sangleboeuf paradował po Beaumont z miną zwycięzcy, tak jak gdyby bracia szkolni, kapucyni,

jezuici i brat Fulgencjusz, i ojciec Filibin, i ojciec Crabot nagle stali się absolutnymi władcami departamentu.

Pewnej niedzieli Marek ze zdumieniem zobaczył żonę wracającą do domu z książką do nabożeństwa w ręce.

– Cóż to? Chodzisz do kościoła? – zapytał. – Tak – odrzekła po prostu. – Właśnie byłam u komunii.

Popatrzał na nią, zdjęty nagłym dreszczem, który usiłował skryć.

– Zatem teraz praktykujesz... I nie powiadomiłaś mnie o tym?

Z kolei Genowefa udała zdziwienie – bardzo zresztą, jak zwykle, spokojna i łagodna.

– Powiadomić cię? Po co? To sprawa sumienia... Ja ci pozostawiam swobodę postępowania według twoich przekonań; sądzę tedy, że mogę czynić tak samo.

– Niewątpliwie! Bądź co bądź jednak, ze względu na harmonię naszego współżycia, wołałbym wiedzieć...

– No, więc teraz wiesz! Jak widzisz, ja się nie kryję... Mam nadzieję, że mimo wszystko pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Nie dodała nic więcej. On zaś nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie wszystkiego, co w nim nurtowało, na wywołanie szczerej rozmowy, której odczuwał nagłą potrzebę.

Lecz cały dzień upłynął w ponurym milczeniu; tym razem coś się między nimi zerwało.

III

Upływały miesiące. Marek czuł, że z każdym dniem olbrzymieje nasuwające się groźne pytanie: czemu poślubił kobietę innych przekonań? Czy ten rozdźwięk, ta przepaść oddzielająca dwa wrogie światy, nie będzie powodem cierpień ich obojga? Nabierał przeświadczenia, że skoro projektuje się wprowadzenie badań fizjologicznych i świadectw, stwierdzających brak wszelkich wad organicznych, dla dobra stadła małżeńskiego przydałoby się także skonstatowanie sprawności władz umysłowych oraz faktu, że ani te, ani duchowe władze nie są obarczone żadną głupotą dziedziczną lub nabytą. Dwie istoty, nie znające się zupełnie, pochodzące z różnych środowisk, o poglądach sprzecznych i wrogich – jedna krocząca ku prawdzie, druga znieruchomiła w błędzie – muszą się nieuchronnie zetrzeć z sobą, dręczyć się wzajemnie aż do zupełnego wycieńczenia. Lecz ileż usprawiedliwień na początku, w przemożnym zaślepieniu miłości, i jakże trudno zdobyć się na stanowcze odpowiedzi, gdy chodzi o konkretne przypadki, nieraz delikatne i przesłonięte urokiem.

Zresztą Marek musiał wziąć pod uwagę wyjątkowość swego położenia. Genowefy jeszcze nie oskarżał, lękał się tylko ujrzeć, że się ona staje zgubną bronią w rękach kapłanów i mnichów, przeciw którym walczył. Ponieważ Kościół nie zdołał go zniszczyć i pognać przez wpływanie

na jego przełożonych, snadź zamierza teraz dosięgnąć go w jego szczęśliwym ognisku domowym, aby ugodzić w samo serce. Była to typowo jezuicka robota, odwieczny manewr mnicha spowiednika, w ukryciu realizującego dzieło władzy katolickiej, panowanie katolicyzmu; jako bystry psycholog, doświadczony w sprawach światowych, zna się on na namiętnościach, przyznaje im doniosłą rolę, zużytkowując je tak, by Chrystus zatryumfował w człowieku nad zwierzęciem, które się głaszcze, karmi – i dusi, kiedy jest już syte. Wśliznąć się do małżeńskiego gniazda, stanąć pomiędzy dwojgiem ludzi i odciągnąć kobietę odwołując się do jej wychowania i pobożnych tradycji, aby w ten sposób doprowadzić do rozpacy i zniszczyć mężczyznę, którego chcemy się pozbyć – oto w czarnym, pełnym szeptów świecie konfesjonałów taktyka najbardziej celowa, najwygodniejsza i najpowszechniej stosowana. Za sutanną księdza Quandieu, za habitami ojca Teodozjusza i brata Fulgencjusza zamajaczył Markowi gładki profil ojca Crabot.

Od zarania Kościół zagarnął kobietę, aby mu była naj – większą pomocnicą w dziele propagandy i ujarzmiania. Ale zaraz na wstępie wyłoniła się przeszkoda: czyż kobieta nie jest siedliskiem wstydu i potępienia, czyż nie jest stworzeniem plugawym, grzesznym i groźnym, przed którym drżą święci? W niej to nieczysta natura zastawiła swoje sidła, ona jest cielesnym źródłem życia, życiem samym, którym gardzić nakazuje katolicyzm. Toteż przez pewien czas Kościół odmawiał duszy wszetecznej istocie, przed którą cnotliwi chronili się na pustynię w przeświadczeniu, iż ulegną, jeżeli wieczorny wiatr przywieje im chociażby tylko zapach jej włosów... Ponieważ wszelka piękność i rozkosz były wyłączone z tego świata, kobieta była właśnie uosobieniem owej potępionej urody i rozkoszy, stanowiła jedynie narzędzia podstępów szatana, przeciw którym zalecano modlitwy i umartwienia, a nade wszystko całkowitą wstrzeźliwość. Szło o to, by w kobiecie zniweczyć płęć – niewiasta idealna była jej pozbawiona, dziewica królowała w niebiosach, bo stał się cud niedorzeczny: porodziła nie utraciwszy dziewictwa. Ale oto Kościół zrozumiał wkrótce, jak nieprzeparta jest wszechmoc płci kobiecej nad mężczyznę, i wbrew tej swojej odrazie i lękowi posłużył się nią, aby oddziaływać na mężczyznę, zdobyć go i ujarzmić. To stado kobiet, osłabionych przytłaczającym je wychowaniem, sterroryzowanych obawą piekła, zniewolonych nienawiścią i surowością kapłana, stanowiło całą armię; a że mężczyzna był już niedowiarkiem i coraz dalej odsuwał się od ołtarza, można było spróbować przyprowadzić go do niego na powrót, posługując się szatańskim, a zawsze zwycięskim czarem kobiety: broniąc mu przystępu do siebie, przywiódłaby go do stóp krzyża. Ten niemoralny brak konsekwencji był niewątpliwie poważną przeszkodą, ale czyż katolicyzm nie stracił swojej pierwotnej surowości, czyż jezuici nie zjawili się po to, by walczyć na nowym polu bronią kazuistyki i kompromisu z wymaganiami świata? Od tego momentu Kościół pokierował kobietę łagodniej i zręcznie. Z jednej strony odtręcał ją jako żonę – pełen lęklivego wstętu do potępionej rozkoszy; z drugiej, rozkosz ta była mu przydatna, gdyż dopomagała do zwycięstwa. Polityka jego polegała początkowo na zachowaniu kobiety

wyłącznie dla siebie, na ustawicznym jej ogłupianiu i utrzymywaniu w stanie wiecznego dzieciństwa. Następnie uczynił z niej oręż do walki, pewny, iż pobożna kobieta pokona niewierzącego mężczyznę. Kościół miał w niej rzecznika przy ognisku domowym, a kiedy trzeba było nękać mężczyznę najstraszniejszym niepokojem, wdzierał się aż do sypialni. Tak więc kobieta była zawsze lubieżnym zwierzątkiem, którym kapłan posługiwał się dziś po prostu po to, aby zapewnić królestwo boże.

Marek z łatwością odtwarzał sobie w pamięci warunki, w jakich wzrastała Genowefa. We wczesnym dzieciństwie był to miły klasztor siostr wizytek i słodycz wszelkiego rodzaju praktyk religijnych: wieczorna modlitwa na klęczkach w białym łóżeczka; dobry Pan Bóg roztaczający ojcowską opiekę nad grzecznymi dziećmi; kaplica jarząca się światłem i cudowne opowieści księdza proboszcza o chrześcijanach ocalonych od lwów, o aniołach stróżach czuwających nad kołyskami, unoszących do nieba niewinne duszyczki umiłowane przez Pana. Potem pierwsza komunia, do której trzeba było długoletnich uczonych przygotowań; przedziwne tajemnice katechizmu, ich wykład zastraszająco ciemny, na zawsze zmały umysł i rozpały go niezdrową gorączką mistycznych zainteresowań. Gdy nadeszła pełna niepokojów godzina dojrzewania, budząca się w niej młoda dziewczyna, oczarowana swą białą sukienką, pierwszą suknią ślubną, stawała się oblubienicą Jezusową, jednoczyła się z boskim kochankiem i godziła się dźwigać na zawsze to słodkie jarzmo. Zjawiający się na jej drodze mężczyzna zastawał ją już we władzy kochanka, któremu oddała dziewictwo, który będzie wciąż odżywał i walczył o nią całą natrętną mocą wspomnień. Przez całe życie kobieta będzie wciąż widziała blask świec, woń kadzidła będzie ją przenikała tęsknotą, zmysły będą się w niej odzywały na nowo wśród szeptów konfesjonału i ekstatycznych omdleń u Stołu Pańskiego. Genowefa wreszcie dorastała otoczona najciemniejszymi przesadami, wykarmiona stuletnimi błędami i kłamstwami, ściśle odgradzona od świata rzeczywistego, tak aby nic z niego do niej nie dotarło. Kiedy więc szesnastoletnia paniątka opuszczała klasztor, była okazem przewrotności i ogłupienia; była to kobieta ciemna, wytracona ze swej roli, nie znająca ludzi, ani siebie samej, jako kochanka i żona – wsączająca wraz ze swym urokiem jad religijny, zły zaczyn wszelkiej niezgody i wszystkich cierpień.

Następnie Marek wspominał Genowefę żyjącą w pobożnej atmosferze małego domku przy placu Kapucyńskim. Tam właśnie ją poznał; mieszkała z babką i z matką, których czujna tkliwość zmierzała nade wszystko w kierunku uzupełnienia dzieła dokonanego przez klasztor: odsuwała od dziewczyny wszystko, co mogłoby z niej uczynić prawdziwą, rozumną kobietę. Żądano od niej obojętności dla całego świata, miała być tylko praktykującą parafianką; przygotowywano ją do życia w zupełnej niewiedzy o życiu. Z pewnym już wysiłkiem przypominał ją sobie Marek taką, jaką pokochał od pierwszych ich spotkań: rozkoszne jasne włosy, twarz delikatna i słodka... Tak bardzo była ponętna w blasku młodości, urzekająca wonią pięknej kochanki! O reszcie nie pamiętał: o inteligencji i zdrowym rozsądku, jaki wtedy

wykazywała. Przeżyli wspólny wybuch namiętności; Marek czuł w kochance ów płomień pożądania, którym sam gorzał – płomień panujący nad światem. Po ojcu odziedziczyła Genowefa pragnienie miłości, żywe pod chłodną powłoką wychowania. Na pewno nie była głupiotka; musiał jednak osądzić ją jako podobną tylu innym nieznanym dziewczętom. I zapewne obiecał sobie sprawdzić to później, nazajutrz po ślubie, kiedy już będzie należała do niego całkowicie. Ale teraz, przywołując na pamięć ich pierwsze lata spędzone w Jonville, spostrzegał, że niewiele podjął wysiłków, aby ją lepiej poznać i uczynić jeszcze bardziej swoją. Lata te upłynęły im we wzajemnym zachwyceniu, w takiej ekstazie cowieczornych pocałunków, że nie uświadamiali sobie nawet różnic moralnych, mogących ich rozdzielić. Genowefa była prawdziwie inteligentna, i jeśli niekiedy odkrywał w niej osobliwe niedociągnięcia pojęciowe, nie czynił jej przykrości z tego powodu. Z chwilą gdy przestała praktykować, wierzył, iż nie trując się nawet wpajaniem jej swoich wolnomyślnych poglądów, pozyskał ją dla nich. W gruncie rzeczy podejrzewał samego siebie o odrobinę małoduszności: bał się kłopotów związanych z odrabianiem dawnego wychowania, obawiał się też natknąć na przeszkodę i zmącić czarowny spokój ich miłości. Po co było ryzykować kłótnie, skoro przy tym wszystkim życie ich układało się szczęśliwie, skoro miało się pewność, że ogrom wzajemnej czułości pozwoli im zawsze zachować harmonię w pożyciu?

Aż oto nadszedł kryzys zagrażając tej harmonii. Swego czasu Salvan, kiedy się zajął skojarzeniem ich związku, nie ukrywał przed Markiem niepokoju o przyszłość dwojga małżonków, tak niedobrych. Ale ponieważ chcieli pozbyć się tych wątpliwości, doszli obydwaj do wniosku, że w kochającym się stadle mąż urabia żonę. Przecież każdy mąż jest mistrzem, co kształtuje wedle swej woli i na swoje podobieństwo powierzone mu młode, nieuświadomione a kochające go dziewczę. Jest bogiem, może je przetworzyć dzięki wszechmocy miłości. Ale Marek uległ jakiemś miłosnemu omdleniu, które go zaślepiło, i dopiero później stwierdził wręcz, że nie zna w ogóle umysłowości swej Genowefy, umysłowości kobiety obcej, wrogiej, rozbudzającej się powoli w zetknięciu z okolicznościami. Oto odżywało w niej dzieciństwo i młodość; odradzała się dziewczynka klęcząca w swym białym łóżeczku pod opiekuńczym skrzydłem anioła stróża, przyjmująca pierwszą komunię, zaślubiona Jezusowi, w pięknej białej sukni; odradzała się młoda dziewczyna, omdlewająca we wnęce kaplicy, w cieniu konfesjonału, kiedy w głowie buczy jeszcze od dopiero co wyznanych grzechów. Letnia kąpiel dewocji, w której się przez tyle lat pławiła, pozostawiła niezatarte ślady. Dziecko na zawsze zostało nasycone atmosferą kościoła, a w latach późniejszych ożywało w nim wszystko: rozkołysana gęźdba organów, oszołamiający przepych ceremonii, poezja dzwonów. Kobieta postarzała wracała do dzieciństwa, zapadała na nowo w drzemkę w pogodnych, dziecinnie bezsensownych wierzeniach katechizmowych. Marek wierzył, że ta ubóstwiana przezeń Genowefa jest mu oddana bez reszty, ale okazywało się, że posiada ją ktoś inny, że żyje w niej niezniszczalna

przeszłość, w której on nie miał, nie będzie mógł mieć udziału. Zaczynał ze zdumieniem spostrzegać, że nie mają z sobą nic wspólnego, że posiadłszy ją nie przekazał jej nic, co by zmieniło jej wewnętrzną istotę, od kołyski urabianą przemyślnymi dłońmi. Jakże teraz żałował, że od pierwszych dni, w momentach zupełnego oddania, nie próbował dotrzeć do jej intelektu, że, pochłonięty całowaniem czarującej twarzyczki, nie wyruszył na podbój umysłu. Nie należało gnuśnieć w swym szczęściu, lecz rozpocząć od nowa wychowanie tego dużego dziecka, tak czule uwieszonego u jego szyi. Chciał uczynić ją swoją, dlaczego więc nie postępował jak roztropny i stateczny mężczyzna, któremu uniesienie miłosne nie zakłóca równowagi umysłowej? Jeśli teraz cierpi, to sam zawinił ulegając złudzeniom próżności, lenistwu i egoizmowi: w gruncie rzeczy bowiem paraliżował mu kroki ów małoduszny lęk, aby nie przyszło szczęście kochanka.

Ale teraz niebezpieczeństwo stawało się tak poważne, że Marek zdecydował się na walkę. Od gwałtownej interwencji wstrzymywało go jedynie poszanowanie, jakie miał dla cudzej wolności, tolerancja wobec szczerzej wiary istoty, z której uczynił swą towarzyszkę. Jak niegdyś zgodził się na ślub kościelny i nie sprzeciwił się ochrzczeniu córki, tak potem słabość człowieka zakochanego nie pozwalała mu zdobyć się na nietolerancję; nie był dość silny, by zabronić żonie praktykować, spowiadać się i komunikować, skoro tego wymagała od niej wiara. Ale przecie czasy się zmieniły: w chwili zawierania małżeństwa i później, gdy urodziło się dziecko, mógł usprawiedliwić swą ówczesną postawę względną obojętnością ideologiczną; lecz stopniowo wyzwolił się, okrzepł podejmując misję głoszenia prawdy maluczkim tego świata. To nakładało nań obowiązek świecenia przykładem: we własnym domu nie mógł dopuścić do tego, co potępiał u innych. Bo czyż by mu później nie wytykano, jemu, nauczycielowi świeckiemu, który był tak przeciwny wtrącaniu się władzy duchownej w sprawy wychowania dziecka, iż oto własnej żonie pozwala regularnie słuchać mszy w każdą niedzielę i prowadzić do kościoła małą Ludwiczkę, która zbyt wcześnie, jak na swoje siedem lat, klepała długie modlitwy? A jednak w dalszym ciągu nie czuł się w prawie zabronić im tego, tak głęboko tkwiło w nim wrodzone poszanowanie wolności sumienia – wszak dla siebie domagał się jej w pełni. Konieczność nakazywała mu bronić swego szczęścia; jedyną tedy bronią, jaką mógł walczyć, zwłaszcza we własnej rodzinie, była dyskusja, przekonywanie, codzienne pouczanie o życiu, o tym, co w nim zdrowe i logiczne. Teraz próbował dokonać tego, do czego winien był się zabrać od pierwszego dnia, aby zdobyć swoją Genowefę, aby przywieść ją do zdrowej ludzkiej prawdy. Nade wszystko zaś trzeba było ich ukochaną Ludwikę zawrócić z drogi, którą kroczyła za matką, a która zawiodłaby ją do tego śmiertelnego błędu, jakim jest katolicyzm. Z Ludwiką, bądź co bądź, sprawa przedstawiała się mniej groźnie. Marek musiał uzbroić się w cierpliwość, chociaż był przekonany, iż u dziecka pierwsze wrażenia są najżywsze i najtrwalsze. Musiał zgodzić się na oddanie córeczki do sąsiedniej szkoły, prowadzonej przez pannę Rouzairę, która z miejsca poczęła ją karmić historią świętą. A do tego dochodziły: modlitwa przed i po lekcjach, nabożeństwa niedzielne,

błogosławieństwa i procesje. Co prawda, nauczycielka z kwaśnym uśmiechem złożyła żadaną przez Marka obietnicę, iż jego córka nie będzie przymuszana do żadnych praktyk religijnych; ale dziecko było jeszcze tak małe, że ta przezorność wydawała się śmieszna, a Marek przecie nie zawsze był na miejscu, aby sprawdzać, czy dziewczynka modli się, czy też nie modli wraz z innymi. Panna Rouzair odstręczała Marka nie tyle nawet klerykalną gorliwością, jaką zdawała się płonąć, ile swą niewątpliwą obłudą, zajadłą interesownością, która kierowała każdym jej krokiem. A ów brak prawdziwej wiary, owo ordynarne wyzyskiwanie pobożnego sentymentalizmu występowało tak jawnie, iż nawet Genowefa w swej nienaruszonej jeszcze prawości była tym zgorszona. Toteż nie sprawdziły się obawy kolegi Mignota: Genowefa odrzuciła przyjacielskie zabiegi panny Rouzair, przejętej nagłą sympatią dla swej sąsiadki i usiłującej wśliznąć się do tego domu, gdzie wietrzyła możliwość dramatu. Jakaż to byłaby złośliwa uciecha i jaka chluba, gdyby i tu mogła popracować dla Kościoła, wyświadczyć Kongregacji przysługę przez rozdzielenie małżonków, przez ukazanie, jak oto palec boży trafia w świeckiego nauczyciela, zwyciężając go w jego własnym domu! Panna Rouzair była więc pełna uprzejmości, skora do przyjmowania zwierzeń, ustawicznie czatowała za murkiem granicznym na sposobność do interwencji, gotowa pocieszać nieszczęśliwą maltretowaną kobietę... Niekiedy ryzykowała jakieś aluzje, słówka sympatii, przyjacielskie rady: ach, to takie smutne, kiedy małżonkowie różnią się w wierzeniach... ale cóż, nie podobna gubić własnej duszy... najlepiej w takich przypadkach stosować taktykę łagodnego oporu. Ku swej radości dwukrotnie zobaczyła sąsiadkę we łzach. Potem wszakże Genowefa odsunęła się od niej, przejęta niesmakiem, unikając wszelkich zwierzeń. Ta kobieta, tak słodziutka ze swą postacią grenadiera, pociąganiem do anyżówki oraz sposobem, w jaki odzywała się o księżach („Ostatecznie, to tacy sami ludzie jak inni, niesłusznie się ich potępia...” – budziła w Genowefie nieodparty wstręt. I urażona panna Rouzair znieawidziła swych sąsiadów jeszcze bardziej; w braku innych sposobów mogła im dokuczyć jedynie przez swą władzę nauczycielską nad Ludwiczką, trudząc się zapamiętałe nad wykształceniem religijnym tej pojętnej uczennicy – wbrew wyraźnemu zakazowi ojca. Chociaż sprawa córeczki nie martwiła jeszcze Marka poważnie, niemniej uznawał pilną potrzebę działania, aby mu rychło i całkowicie nie odebrano ukochanej żony. Od dawna już to podejrzewał, teraz zaś rzecz była oczywista: to u babki, u pani Duparque, w pobożnym domku na placu Kapucyńskim Genowefa uczuła, jak w niej odżywa długoletnie dziedzictwo katolicyzmu, zbożny zacyzyn z lat dzieciństwa i młodości. Tam znajdowało się jakby ognisko mistycznej zarazy, w którym miała na nowo zapłonąć wiara niedogaszona, ledwo przytłumiona pierwszymi radościami ziemskiej miłości. Marek pojmował, że gdyby byli pozostali w Jonville, potrafiliby w czułym wspólnym odosobnieniu nasycić niespokojną namiętność Genowefy. Tutaj, w Maillebois, wtargnęły obce czynniki, przede wszystkim ta okropna sprawa Simona, która jak gdyby wywołała pierwszą ryse: a potem przyszły coraz poważniejsze następstwa: jego walka

z Kongregacją i misja wyzwolenicza, którą podjął. Nie byli już sami, wdzierła się między nich coraz szersza fala ludzi i spraw, i czuli, że zbliża się dzień, w którym okażą się wzajem obcy sobie. U pani Duparque spotykała Genowefa najzjadlejszych przeciwników Marka, Dowiedział się też, że straszliwa babka, tak surowa i uparta, po całych latach pokornych zabiegów doczekała się wielkiej łaski: oto ojciec Crabot zgodził się zostać jej spowiednikiem. Na ogół rektor kolegium w Valmarie udzielał się jedynie damom z wytwornego towarzystwa Beaumont, niewątpliwie przeto musiały się znaleźć ważkie motywy, aby go skłonić do spowiadania tej starej, tak niewiele znaczącej mieszczki. I nie tylko przyjmował ją w kaplicy w Valmarie w dni wyznaczone na spowiedź, lecz zaszczycał odwiedzinami w domu na placu Kapucyńskim, kiedy atak podagry unieruchamiał staruszkę w fotelu. Spotykał tam dyskretne osobistości, dobrane grono księży i zakonników – księdza Quandieu, ojca Teodozjusza, brata Fulgencjusza, zadowolonych, że znaleźli nabożne, ciemne zacisze w tym głuchym domku, gdzie ich tajne narady toczą się niepostrzeżone. Prawda, kursowały jakieś pogłoski, powiadano, że stronnictwo klerykalne posiada tam ukrytą siedzibę, lożę, skąd się rozchodzą ważne postanowienia wspólnie podejmowane. Lecz jakże podejrzewać to tak skromne mieszkanie dwóch starszych pań? Mają chyba prawo przyjmować u siebie znajomych, którzy zresztą przemykają się tak, że ledwo można dostrzec sunące cienie. Służąca Pelagia cichutko zamykała drzwi, niczyje oblicze nie ukazywało się w oknach, żaden szmer nie przedostawał się poza wąską fasadę. Była w tym wielka godność, i całe to domostwo darzono czcią i poważaniem.

Marek żałował tedy, że nie był częściej u „tych pań”. Czyż to nie wielki błąd, że oddał im w ręce Genowefę na długie dni, jakie wraz z Ludwiczką u nich spędzała? Sama jego obecność byłaby wystarczyla, by zwalczyć wpływ środowiska; przy nim hamowano by się w skrytych atakach, jakie – czuł to dobrze – zwracano przeciwko jego osobie i poglądom. Genowefa, jak gdyby jeszcze świadoma niebezpieczeństwa zagrażającego spokojowi jej życia małżeńskiego, niekiedy opierała się, walczyła, aby uniknąć wejścia w konflikt z wciąż jeszcze kochanym mężem. W jednym z takich odruchów, kiedy się zdecydowała powrócić do praktyk religijnych, wybrała sobie na spowiednika księdza Quandieu zamiast ojca Teodozjusza, którego próbowała jej narzucić pani Duparque. Genowefa wyczuwała wojowniczą bezwzględność kapucyna pod wypiełgnowaną wspaniałością rozłożystej czarnej brody i pięknego oblicza o płomiennym wejrzeniu, rozmarzającym dewotki; proboszcz natomiast, człek łagodny i rozsądny, był duszpasterzem po ojcowsku wyrozumiałym, wysłuchującym zwierzeń w głębokim, smętnym milczeniu; Genowefa instynktownie odgadywała w nim przyjaciela ubolewającego nad bratobójczymi walkami, pragnącego pokoju dla wszystkich ludzi dobrej woli. Przeżywała jeszcze ten okres czułości, gdy umysł jej szarpał się niespokojnie, zasnuwany gęstniejącym mrokiem przed zapadnięciem w odmet mistycyzmu. Wystawiona na ataki z każdym dniem groźniejsze, ulegała dając się z powrotem i coraz głębiej wciągać w zatrutą orbitę „tych pań”, poddawała się

obezwładniającej magii namaszczonych gestów i pieściwych słów, które miały ją wreszcie uspić całkowicie. Daremne okazały się częstsze teraz wizyty Marka w domku na placu Kapucyńskim – nie zdołał powstrzymać działania trucizny.

Nic zresztą jeszcze nie zaszło decydującego, brutalnego. Po prostu przywabiano Genowefę, schlebiano jej, głaskano aksamitną dłonią. I nigdy pod adresem jej męża nie padło ostrzejsze słowo; przeciwnie, litowano się serdecznie nad tym grzesznikiem, pragnąc jego zbawienia. Nieszczęśnik nie zdaje sobie sprawy z nieobliczalnej szkody, jaką wyrządza ojczyźnie, z tego, że w swej okropnej zatwardziałości buntu i pychy tyle dziecięcych duszyczek gubi i wysyła do piekła... Z czasem zaczęto przed nią wyrażać życzenie, zrazu ledwo sformułowane, potem coraz dobitniej, aby podjęła wzniosłe zadanie nawrócenia grzesznika, zbożnego odkupienia zbłąkanego człowieka, którego, niestety, wciąż jeszcze kocha. Jakaż by to dla niej była radość i jaka chluba, gdyby go przywiodła z powrotem do stóp Pana, gdyby go powstrzymała w niszczycielskiej pasji, ocaliła od wiecznego potępienia – jego, a tym samym i jego niewinne ofiary. W ten sposób w ciągu miesięcy z nieporównaną zręcznością urabiano ją, przygotowywano do spełnienia zadania, jakiego się od niej spodziewano, najwidoczniej licząc na wywołanie rozłamu w małżeństwie przez zderzenie tych dwu przeciwieństw: kobiety dawnej epoki, pełnej wielowiekowej ciemnoty, i mężczyzny wolnomyślnego, kroczącego ku przyszłości. Aż nastąpiły owe wydarzenia nieuchronne, oczekiwane. Obecnie z każdym dniem smutniało współzycie między Markiem a Genowefą – ta zażyłość, dawniej tak czuła i wesoła, znaczone ustawicznymi pocałunkami i głośnymi wybuchami śmiechu. Nie dochodziło jeszcze do kłótni, ale gdy tylko byli sami, bez zajęcia, zdała od ludzi i przedmiotów zaprzatających uwagę, czuli jakieś skrepowanie, jak gdyby obawiając się, że z byle powodu zaczną sobie mówić przykre słowa. Zdawali sobie sprawę, że urasta między nimi jakaś nowa, nienazwana uraza, i co dzień bardziej zmrozeni, stawali się sobie wrogami. On doznawał coraz intensywniejszego wrażenia, że oto ma przed sobą – wmieszaną w swoje życie o każdej tego życia godzinie, przy własnym sercu, we wspólnym łożu – istotę obcą, której poglądy i uczucia potępia; a ona doznawała podobnego wrażenia: drażniącej pewności, iż mąż patrzy na nią jak na nieświadome i nierozsądne dziecko, że, owszem, jest jeszcze kochana, lecz miłość ta jest zaprawiona znaczną dozą bolesnego politowania. Pierwsze ciosy były już bliskie. Pewnego wieczora w ciepłym mroku sypialni, kiedy Marek w milczeniu trzymał ją w uścisku jak nadąsane dziecko, Genowefa w końcu wybuchnęła łkaniem.

– Och! już mnie nie kochasz!

– Co? Już cię nie Kocham? Czemu tak mówisz?

– Gdybyś mnie kochał, czyżbyś mi pozwalał martwić się tak okrutnie?... Z każdym dniem po trochu się ode mnie oddalasz. Traktujesz mnie jak jakąś głuptaskę, jak gdybym była chora i niespełna rozumu. Nic z tego, co powiem, nie ma znaczenia, wrzeszczasz już tylko ramionami.

Och! czuję to doskonale, niecierpliwisz się, staje ci się kłopotem i zawadą.

Nie przerywał jej, słuchał ze ściśniętym sercem, chcąc się dowiedzieć wszystkiego.

– Tak, widzę to, niestety. Ostatni z twoich uczniów więcej cię interesuje niż ja. Dopóki jesteś tam z nimi na dole, w klasie, oho! zapalasz się, oddajesz im całą duszę, nie załujesz sił objaśniając im najdrobniejsze sprawy, śmiejesz się i bawisz z nimi jak starszy brat. jak sztubak. A potem, zaledwie wejdiesz tutaj, chmurniejesz, nie masz już nic do powiedzenia, wyglądasz skrepowany, jak człowiek, którego żona drażni i nuży... Boże! jaka jestem nieszczęśliwa!

Znowu wybuchnęła płaczem. Wtedy Marek zdecydował się i powiedział łagodnie:

– Biedactwo moje, nie śmiałem wyznać ci przyczyny mego smutku; otóż cierpię właśnie przez to, że w tobie znajduję to wszystko, co ty mi wyrzucasz. Nigdy już nie jesteś ze mną. Całe dni spędzasz poza domem, a kiedy wracasz, wprowadzasz tu tchnienie niedorzeczności i śmierci, niwecząc nasze nieszczęsne domostwo. To ty nigdy się do mnie nie odzywasz, zawsześ myślą nieobecna, pogrążona w jakichś mętnych rojeniach, chociaż tkwisz tu ciałem i ręce masz zajęte szyciem, podawaniem zupy czy nawet pielęgnowaniem naszej Ludwiczki. To ty trak – tujesz mnie z pogardliwą litością, jako człowieka występnego, być może nieświadomego własnej winy... I to ty rychło przestaniesz mnie kochać, jeśli ci stopniowo oczu nie otworzy prosta, rozumna prawda.

Genowefa oponowała, przerywając każde zdanie namiętnym okrzykiem zdumienia i protestu.

– Ja! ja! Ty mnie to wszystko zarzucasz! Nie kochasz mnie, a powiadasz, że to ja przestanę cię kochać!

Wreszcie, ujawniając istotę swego strapienia, zawołała:

– Ach! jakże są szczęśliwe kobiety, których wiarę dzielają ich mężowie! Widuję w kościele takie, co przychodzą z mężami. Jakież to wspaniałe: wspólnie oddawać się Bogu w opiekę. Takie błogosławione małżeństwo ma doprawdy jedną duszę, niebo obsypuje je wszelkimi łaskami.

Marek mimo woli zaśmiał się cichutko, bardzo łagodnie i smutnie.

– Moja biedna żoneczko, czy próbujesz mnie nawrócić?

– A cóż byłoby w tym złego? – odparła żywo. – Czy sądzisz, że cię nie dosyć kocham, abym nie cierpiała okrutnie z powodu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim trwasz? Och, wiem, ty nie wierzysz w karę na tamtym świecie, wyzywasz gniew boży. Ale ja... ja nie przestaję błagać Stwórcy, żeby cię oświecił, i oddałabym dziesięć lat życia – och! bez wahania! – aby ci otworzyć oczy i uchronić od straszliwych katastrof, jakie ci grożą... Ach! gdybyś mnie kochał, gdybyś mnie słuchał i towarzyszył mi do krainy wieczystej szczęśliwości!

Drżała wszystka w jego objęciach, ogarnięta taką gorączką nadludzkiego pragnienia, że Marek zdumiał się: dotychczas nie przypuszczał, aby trucizna przeniknęła już tak głęboko. Więc Genowefa jego teraz poucza... Przejmowało go to zawstydzeniem, czyż bowiem ona nie czyni,

właśnie tego, co on powinien był czynić od pierwszego dnia: próbować nakłonić ją do swojej wiary? Rozumując na głos, powiedział nieopatrnie:

– Nie, to nie ty przemawiasz, powierzono ci misję bardzo niebezpieczną dla naszego wspólnego szczęścia.

Tu Genowefa poczęła się burzyć.

– Dlaczego mnie obrażasz uważając, że jestem niezdolna działać z własnej inicjatywy, z przekonania i z czułości? Czyż jestem istotą bezmyślną, niemądrą i aż tak uległą, że staję się tylko narzędziem cudzej woli? A jeżeli osoby bezspornie szacowne, których świątobliwość tak sobie lekceważysz, interesują się tobą, mówią mi o tobie braterskim tonem, który by ciebie samego zdziwił – czyż tyle świętej dobroci nie powinno cię wzruszyć i zjednać? Bóg, który mógłby cię zdruzgotać, wyciąga do ciebie rękę, a gdy posługuje się mną, moją miłością, abym cię do niego przyprowadziła, ty drwisz sobie, traktujesz mnie jak małą, głupiutką dziewczynkę, powtarzając wyuczoną lekcję!... Nie możemy się już porozumieć, i to mnie tak martwi.

W miarę jak mówiła, Marek czuł w sobie wzbierającą rozpaczliwą trwożę.

– To prawda – powtórzył z wolna. – Nie możemy się już porozumieć. Słowa nie mają już dla nas jednakowego znaczenia, a ty zarzucasz mi zupełnie to samo, co ja tobie. Kto z nas dwojga zerwie? Kto kocha i pracuje dla dobra drugiego?... Och! to ja sam jestem winien i obawiam się, że już za późno, by naprawić błąd. Powinienem był wskazać ci, gdzie jest prawda i sprawiedliwość.

Wobec tego profesorskiego oświadczenia Genowefa zbuntowała się ostatecznie.

– Tak, wciąż to samo: tępa uczennica, która nic nie wie i której trzeba otworzyć oczy... A to ja właśnie wiem, gdzie prawda i sprawiedliwość. Nie masz prawa wymawiać tych słów!

– Nie mam prawa? – Nie. Ugrzązłeś w tym potwornym błędzie, w tej nieczej sprawie Simona, nienawiść do Kościoła zaślepiła cię i pcha w coraz cięższe nieprawości. Kiedy taki człowiek jak ty dochodzi do tego, iż gardzi wszelką prawdą i sprawiedliwością, byle ugodzić i zohydzić kapłanów, lepiej już myśleć, że stracił rozum.

Tym razem Marek dotknął sedna zwady, do której zmierzała Genowefa. Sprawa Simona tkwiła na dnie owej misternej, dyskretnej roboty, której widział rezultaty. Jeśli u „tych pań” odbierano mu żonę, posługując się nią jak bronią, by go śmiertelnie zranić, działo się tak przede wszystkim po to, aby ugodzić w nim orędownika prawdy, który mógłby wymierzyć sprawiedliwość. Trzeba go było zniszczyć, gdyż tylko jego zagłada zapewniłaby bezkarność rzeczywistym winowajcom. Głos jego zadrgał wielkim bólem:

– Oh, Genowefo, to już groźniejsze, to byłby koniec naszego małżeństwa, gdybyśmy się nie mogli porozumieć nawet w tak jasnej i prostej kwestii... A więc nie jesteś już po mojej stronie w tej bolesnej sprawie?

– Pewnie, że nie.

– I wierzysz, że ten nieszczęsny Simon jest winien?

– Ależ to. nie ulega wątpliwości. Wszystkie wasze wywody, aby go uniewinnić, nie są na niczym oparte. Chciałabym, żebyś usłyszał, co mówią osoby, o których zacności ośmielasz się powątpiewać. A skoro się tak grubo mylisz w przypadku oczywistym i przesądzonym, jakże możesz żądać, bym choć trochę wierzyła w twoje inne idee, w twe utopijne społeczeństwo, w którym zaczynacie od zabicia Boga.

Wziął ją znów w ramiona i mocno przytulił. To była istota sprawy: powolny rozłam ich związku wynikał z niezgodności poglądów na zagadnienie prawdy i sprawiedliwości, gdyż zdołano zamącić umysł Genowefy, aby wywołać ich wzajemne starcie. – Posłuchaj, Genowefo: istnieje tylko jedna prawda, jedna sprawiedliwość. Musisz mnie zrozumieć i niechaj wzajemne zrozumienie przyniesie nam zgodę.

– Nie! Nie!

– To niemożliwe, Genowefo, abyś pozostała w takich ciemnościach, podczas gdy mnie oświeca pewność. To byłoby rozstanie się na zawsze.

– Nie, nie, zostaw! Męczysz mnie, nie chcę cię nawet słuchać.

Wyrwała się z jego uścisku, odsunęła się i obróciła plecami. Na próżno usiłował ją przyciągnąć znowu, nie szczędząc serdecznych słów i pocałunków. Opierała się, już nawet nie odpowiadała. Rzekłbyś, że łożę ich miłości nagle wyziębło. Pograżony w gęstym mroku pokój ział bolesną martwością w obliczu nadciągającego nieszczęścia.

Od tego czasu Genowefa była bardziej nerwowa i gniewna. U „tych pań” mniej teraz oszczędzano jej męża, ośmielano się atakować go w jej obecności, przy czym zręcznie stopniowano te zabiegi, obserwując ochłodzenie jej miłości do męża. Marek stawał się po kolei szkodnikiem społecznym, potępińcem, mordercą uwielbianego przez nią Boga. Wstrząs zaś po każdym buncie, do jakiego tym sposobem podjudzano, dawał się odczuć w jej pożyciu małżeńskim przez coraz bardziej cierpkie słowa, rosnące skrepowanie i oziębłość. Ten ich spór co pewien czas się odnawiał, prawie zawsze wieczorem, w sypialni, we dnie bowiem nie widywali się wcale. On był pochłonięty pracą w szkole, ona stale poza domem: u babki albo w kościele. Niweczyło to ostatecznie ich miłość; Genowefa bywała bardzo napastliwa, a Marek, tak przecie tolerancyjny, także ulegał zniecierpliwieniu.

– Moja droga, będziesz mi potrzebna jutro po południu, podczas lekcji.

– Jutro nie mogę, czeka na mnie ksiądz Quandieu. A poza tym nie licz w przyszłości na mnie przy żadnej pracy.

– Nie chcesz mi już pomagać?

– Nie, potępiam wszystko, co robisz. Możesz się gubić, skoro cię to bawi. Ja dbam o swoje zbawienie.

– A więc drogi nasze się rozchodzą?

– Jak ci się spodoba.

– Och, kochanie, kochanie, czy to ty mówisz? Zamroczyli ci umysł a teraz odmienia twoje serce!... Jesteś całkowicie po stronie deprawatorów, trucieleli...

– Milcz, milcz, nieszczęsny! To twoje dzieło właśnie jest tylko kłamstwem i trucizną. Bluźnisz tą swoją wstrętną prawdą i sprawiedliwością, a to szatan, tak! szatan prowadzi lekcje na dole z tymi nieszczęsnymi dziećmi, nad którymi się już nawet nie lituję, tak są głupie siedząc tam.

– Moje drogie biedactwo... Byłaś tak inteligentna! Jak możesz wygłaszać podobne głupstwa?

– Ano! Kiedy kobieta jest głupia, porzuca się ją.

Z kolei on, ogarnięty gniewem, porzucał ją istotnie, nie usiłując, jak dawniej, zjednać pieszczotami. Czysto nie mogli już zasnąć i leżeli oboje wpatrzeni w ciemność sypialni szeroko otwartymi oczami. Wiedzieli o sobie nawzajem, że nie śpią, i trwali tak w mroku, niemi i nieruchomi, jak gdyby wąska przestrzeń dzieląca ich pościele stała się nieprzebytą otchłanią.

Marka szczególnie trapiła owa jakby wzrastająca nienawiść, okazywana przez Genowefę jego szkole – tym droгим dzieciom, których nauczaniu poświęcał się z takim zapalem. W każdej rozmowie z nim wypowiadała swą gorycz, zdawało się, że staje się zazdrosna o te istotki, widząc, jak on jest dla nich czuły, jak gorliwie pracuje, by uczynić z nich ludzi światłych i miłujących pokój. Konflikt ich właściwie nie miał innej przyczyny, gdyż Genowefa była sama takim dzieckiem, jednym z tych umysłów, co miały być kształcone i wyzwalone; ale buntowała się i trwała w odwiecznym błędzie. Czyż oddając uczniom tyle serca, Marek nie obrabował przez to właśnie jej, swej żony? Dopóki będzie się nimi tak po ojcowsku zajmował, nie uda się jej zdobyć go z powrotem i wciągnąć w. owo boskie odurzenie pełne słodczy, którym chciałyby ukołysać go w swoich ramionach. Walka sprowadzała się ostatecznie do tej sprawy i Genowefa miała ochotę przezegnać się, ilekroć przechodziła obok klasy, wstrząśnięta wypełniającym się tam dziełem szatana i gniewna, że nie potrafi oderwać od bezbożnej pracy mężczyzny, z którym dzieli łożo.

Upływały miesiące, lata. Walka między Markiem a Genowefą zaostrzała się. U „tych pań” postępowano ostrożnie, tak by nic nie popsuć przez zbędny pośpiech; Kościół, aby zwyciężyć, zawsze miał do rozporządzenia wieczność. Pomijając chępliwego i postrzelonego brata Fulgencjusza, ojciec Teodozjusz, a zwłaszcza ojciec Crabot, byli nazbyt wytrawnymi kierownikami dusz, by nie pojmować konieczności powolnego oddziaływania na kobietę o żywym temperamentem i umyśle jasnym, w momentach, kiedy go nie zaciemniała perwersja mistycznych uniesień.

Dopóki będzie kochała męża, dopóki nie nastąpi między nimi zerwanie więzów fizycznych, dopóty nie dokona się ostateczny rozdział, kobieta nie przejdzie całkowicie do drugiego obozu, a mężczyzna nie stanie się nędzarzem i bankrutem, jakim go chcieli uczynić. A wyniszczenie

wielkiego uczucia w sercu i ciele kobiety, wytracenie go aż do najgłębszych korzeni, tak by nie odrosło nigdy, wymaga wiele czasu. Pozostawiali tedy Genowefę wpływowi proboszcza Quandieu, by uspić ją łagodnością, zanim poczną działać energiczniej; tymczasem ograniczali się do czuwania nad nią. Była to wytrwała, mistrzowska sztuka omotywania, subtelna i niezawodna.

Jeszcze jedno wydarzenie zmąciło życie pary małżeń – skiej. Marek bardzo się interesował losem pani Férou, żony byłego nauczyciela w Moreux, odwołanego wskutek skandalicznego wystąpienia w czasie uroczystości poświęcenia gminy Jonville Sercu Jezusowemu. Férou schronił się do Belgii, aby uniknąć grożącej mu dwuletniej służby wojskowej, a jego nieszczęśliwa żona, przymierająca głodem wraz z trzema córkami, musiała zamieszkać w Maillebois w jakiejś ruderze i usiłowała utrzymać się z szycia, oczekując, aż ją mąż ściągnie do Brukseli, gdy tylko znajdzie zajęcie. Tymczasem dni mijały, a on sam nie mógł tam wyżyć i szarpał się w daremnych poszukiwaniach. Wreszcie pewnego wieczora, zgębiony rozłąką, rozgoryczony wygnaniem, u kresu sił, stracił głowę i jawnie wrócił do Maillebois z desperacką brawurą człowieka; którego prześladuje bieda i który poznał już wszystkie nieszczęścia. Zadenuncjowano go nazajutrz; wpadł w ręce władz wojskowych jako dezertor i tylko dzięki energicznemu wstawiennictwu Salvana nie odesłano go natychmiast do kompanii karnej. Obecnie znajdował się w garnizonie na drugim końcu Francji, w małym alpejskim miasteczku, żona zaś i córki, niemal bez dachu i odzieży, nadal przymierały głodem.

Marek również interweniował w sprawie kolegi niezwłocznie po jego aresztowaniu. Widział go przez chwilę i nie mógł już zapomnieć tej niesamowitej, tragicznej postaci. Férou wraził się w jego pamięć jako symboliczna ofiara wszelkich niesprawiedliwości społecznych. Zapewne, stał się „niemożliwy” – jak mówił Mauraisin – lecz ileż było okoliczności usprawiedliwiających: syn pastucha, który zostaje nauczycielem, następnie głoduje, cierpi poniżenie z powodu swego ubóstwa, ima się idei wywrotowych, on, inteligent, uczony – wyzuty z dóbr i radości, gdy dokoła niego ciemne prostaki opływają w dostatki. Wreszcie po wielu latach krzywd – brutalne zamknięcie w koszarach, z dala od rodziny nękaną biedą. – Czy nie należałoby rozwalić tego wszystkiego? – wołał do Marka wymachując długimi, chudymi ramionami i błyskając oczyma. – Podpisałem, co prawda, zobowiązanie na dziesięć lat, co zwalniało mnie od wojska, jeżeli poświęcę dziesięć lat życia na służbę w szkolnictwie. I to także prawda, że wysłużyłem tylko osiem lat, skoro mnie odprawiono za to, że wypowiedziałem głośno, co myślę o ich wstrętnym bałwochwalstwie. Ale czy to ja chciałem złamać zobowiązanie? A po – brutalnym wyrzuceniu mnie na bruk bez środków do życia, czyż to nie potworne: zabierać mnie znowu, żądać spłaty dawnego długu, pozbawiać podpory moją żonę i dzieci, odbierać im mężczyźnę, co na nie pracuje? Mało im moich ośmiu lat nauczycielskiej katongi, gdzie ludzie prawi nie mogą mówić ani działać, chcą zrabować mi jeszcze dwa lata, wtrącić mnie do swojej ciemnicy z żelaza i krwi, skrepować tym całym biernym posłuszeństwem, potrzebnym do sprawnego prowadzenia dzieła

zniszczenia i mordy, o którym nie potrafię nawet myśleć bez wstrętu. Ach! nie. tego za wiele! Dałem z siebie dosyć i jeśli będą żądać więcej, doprowadzą mnie do szału!

Widząc go w takim podnieceniu, bardzo zaniepokojony Marek próbował go ułagodzić, obiecując, że zajmie się jego żoną i córkami: za dwa lata powróci, znajdzie się posada, będzie mógł rozpocząć życie od nowa. Férou pozostał chmurny. Warczał gniewnymi słowami:

– Nie, nie! Jestem człowiekiem straconym, nigdy tych dwóch lat spokojnie nie odsłużę. Oni o tym dobrze wiedzą i posyłają mnie tam po to, żeby mnie zabić jak wściekłego psa.

Następnie zapragnął dowiedzieć się, kto go zastąpił w Moreux. Usłyszawszy nazwisko Chagnat, dawnego młodszego nauczyciela w Brévannes, dużej sąsiedniej gminie, roześmiał się gorzko. Chagnat, drobny czarny człowieczek z niskim czołem, zaciętymi ustami i cofniętym podbródkiem, był to istny zakrystian, i to nawet nie taki jak ten obłudnik Jauffre, który posługuje się Bogiem dla – własnej kariery, lecz nabożniś-dureń, otumaniony do tego stopnia, że przejmuje od swego proboszcza najgorsze bzdury. Jego żona, wielka, ruda baba, jest jeszcze głupsza od niego. Gorzka uciecha byłego nauczyciela wzmogła się, kiedy się dowiedział o całkowitej abdykacji wójta Saleur na rzecz tego Chagnat, którym proboszcz wysługuje się niby wiernym zakrystianem, powierzając mu rządy w parafii.

– Kiedy wam niegdyś mówiłem, że cała ta plugawa zgraja księży, braciszków i siostrzyczek połknie nas jak nic i będzie się tu rządzić, nie chcieliście wierzyć i mówiliście, że jestem niespełna rozumu... No i proszę! sprawdziło się! Oto są waszymi panami i zobaczycie, w jakie błotko was zapędzą. Doprawdy, wstręt bierze na myśl, że się jest człowiekiem; bezdomny pies mniej zasługuje na litość... Nie, nie, mam dosyć! skończę z tym wszystkim, jeżeli mnie będą męczyć.

Férou pojechał do wojska. Upłynęły trzy miesiące; smutnej pani Férou bieda doskwierała coraz bardziej. Ta miła blondynką z okrągłą, świeżą, pogodną twarzą teraz zdawała się mieć dwa razy więcej lat: postarzała wskutek nadmiernej pracy, oczy miała zaczerwienione od ślęczenia nad szyciem. Nie zawsze dostawała robotę, przez cały jeden zimowy miesiąc była pozbawiona opału i prawie wcale nie miała chleba. Na domiar nieszczęścia najstarsza córka zapadła na tyfus i dogorywała w zimnej mansardzie, gdzie wiatr dmuchał przez szpary w oknach i drzwiach. Wtedy to Marek, nie poprzestając na dyskretnych wsparciach, jakie tam zanośli, zwrócił się do żony z prośbą, aby nieszczęsnej kobiecie dała jakąś robotę. Genowefę wzruszyło to, co usłyszała o tej nędzy, chociaż o Férou u „tych pań” mówiło się z mściwą pasją. Znieważył Serce Jezusowe – to świętokradca, i koniec! – Dobrze – obiecała Markowi. – Ludwiczce potrzebna jest sukienka; mam materiał, zaniosę go do tej kobiety.

– Dziękuję w jej imieniu, pójdę z tobą – odpowiedział.

Nazajutrz udali się razem do pani Férou, do ponurego mieszkania, z którego gospodarz chciał ją wyrzucić, ponieważ zalegała z komornym. Najstarsza córka była umierająca. Zastali matkę we łzach, wśród okropnego nieładu. Obie młodsze dziewczynki, odziane w łachmany, płakały także,

aż się serce ścisnęło.

Marek i Genowefa stali przez chwilę zdumieni.

– Nie wiecie państwo, nie wiecie? – zawołała wreszcie pani Férou. – Otóż stało się, zabijają mi go! On to czuł, powiadał, że ci zbóje go wykończą!

Rzucała urywane słowa, nie przestając lamentować. Wreszcie Marek wydobył z niej rozzwierającą opowieść. Oto Férou, jak było do przewidzenia, okazał się bardzo kiepskim żołnierzem. Był źle notowany przez zwierzchników, traktowany jak wywrotowiec; i raz doszło do tego, że pokłóciwszy się ze swym kapralem rzucił się nań, bijąc go i kopiąc. Oddano go pod sąd i ma być teraz wysłany do Algeru, do karni wojskowej, do jednej z owych kompanii karnych, gdzie przetrwały dawne najstraszniejsze tortury.

– On stamtąd nie wróci, zamordują go – podjęła desperacko. – Pisał do mnie z pożegnaniem, dobrze wie, że zginie... I co ja pocznę? Co się stanie z moimi biednymi dziećmi? Och! bandyci, bandyci!

Gdy Marek słuchał, głęboko wstrząśnięty, nie znajdując słów pocieszenia, Genowefa poczęła się niecierpliwic.

– Ależ, droga pani, czemużby miano zabić pani męża? W wojsku oficerowie nie mają zwyczaju zabijania swych podkomendnych... Pani pogłębia swoje zmartwienie, sądząc tak niesprawiedliwie. – To są zbóje! – powtórzyła nieszczęsna kobieta ze zdwojoną gwałtownością. – Jak to! Biedaczysko przez osiem lat zdychał z głodu wykonując najniewdzięczniejsze obowiązki, a tu znów zabierają go na dwa lata, traktują jak zwierzę za to, że przemówił jak rozsądny człowiek. A teraz, kiedy stało się, co się stać musiało, pakują go do więzienia, dobijają go po tych wszystkich mękach!... Nie, nie, ja nie chcę! Pójdę i powiem im wszystkim, że są zbójami!

Marek próbował ją uspokoić. Jego dobroć i sprawiedliwość buntowały się w obliczu tej jaskrawej krzywdy społecznej. Ale cóż mogły owe ostatnie jej ofiary – kobieta i dzieci – wobec miażdżących je żaren tragicznego losu?

– Proszę być rozsądną, postaramy się coś zdziałać, nie opuścimy pani.

Genowefa wydawała się zmrożona; nie odczuwała już ani żdźbła litości na widok nędznego mieszkania, w którym matka załamywała ręce, a wążle dzieci nie przestawały zawodzić. Nie dostrzegła już nawet pod poszarpaną kołdrą najstarszej, tak ciężko chorej dziewczynki, o wielkich, nieruchomych oczach, wpatrzonej w tę scenę, ale zbyt słabej, by uronić łzę. Stała tak, sztywna, trzymając w ręce zawiniątko, sukienkę, którą miała dać do uszycia.

– Trzeba się oddać w ręce Boga – wyrzekła powoli. – Niech pani przestanie go obrażać, bo ukarze panią jeszcze surowiej.

Pani Férou wybuchnęła niesamowitym śmiechem.

– Och! Bóg ma dosyć do roboty z bogatymi, biedakami się nie zajmuje... To w jego imieniu

wpędzono nas w nieszczęście i zabijają mojego biednego męża.

Genowefa raptownie uniosła się gniewem.

– To bluźnierstwo! Pani nie zasługuje na pomoc! Gdyby pani była chociaż trochę religijna... Znam osoby, co by już dawno pani dopomogły. – Ależ ja pani o nic nie proszę... Tak, wiem, odmówiono mi pomocy, dlatego że nie chodzę do spowiedzi. Nawet sam proboszcz Quandieu, tak przecie miłosierny, nie śmie zaliczyć mnie do swych podopiecznych. Ja nie jestem obłudnicą, staram się po prostu pracą zarobić na chleb dla nas.

– Niech się więc pani zwróci o pracę do tych żalosnych szaleńców, co kapłanów i oficerów uważają za zbójów.

I Genowefa odeszła, srodze rozgniewana, zabierając przyniesiony materiał. Marek musiał za nią podążyć, lecz drżał z oburzenia. I zaraz na schodach powiedział:

– Popelniłaś zły uczynek.

– Dlaczego?

– Gdyby istniał Bóg dobroci, byłby miłosierny dla wszystkich. Twój Bóg gniewu i kary to tylko pokraczny wymysł... Aby zasługiwać na pomoc, nie trzeba się upokarzać, wystarczy, że się cierpi.

– Nie, nie! Ci, co zgrzeszyli, zasługują na swoje cierpienia. Niechże cierpią, jeśli się zacinają w bezbożności! Moim obowiązkiem jest nic dla nich nie robić.

Wieczorem w zaciszu sypialni znów doszło do kłótni, przy czym po raz pierwszy Marek z kolei uniósł się, nie mogąc wybaczyć tak oburzającego braku miłosierdzia. Dotychczas jedynie umysł Genowefy wydawał mu się zagrożony... czyżby i serce miało ulec zarazie? Owego wieczora padły słowa nie dające się cofnąć i małżonkowie ujrzeni przepaść, którą niewidzialne ręce nieustannie kopały między nimi. Oboje zapadli w głębokie milczenie w mrokach smutnego pokoju i nie odzywali się do siebie przez cały następny dzień.

Lecz już się zrodziła stała przyczyna rozdźwięku, mającego w następstwie spowodować zerwanie. Lata szły, Ludwika liczyła dziesiąty rok życia i wyłoniła się sprawa posyłania jej na naukę katechizmu do proboszcza Quan – dieu, aby ją przygotował do pierwszej komunii. Marek zastrzegł był sobie u panny Rouzaire zwolnienie, córki z wszelkich praktyk religijnych; dobrze jednak wiedział, że nauczycielka najspokojniej przeszła nad tym do porządku, obarczając dziecko modlitwami i kantyczkami, tak samo jak pozostałe uczennice. Musiał zamykać na ta oczy, gdyż wiedział, że nauczycielka gotowa była każdej chwili odwołać się do Genowefy, uszczęśliwiona, iż może wywołać niesnaski w domu, gdyby się Marek upierał przy swoim. Jednakże kiedy się nasunęło zagadnienie lekcji katechizmu, postanowił wreszcie wystąpić energicznie. Czekał na sposobność, aby się stanowczo rozmówić z żoną. Sposobność ta nastęrczyła się w sposób naturalny w dniu, kiedy Ludwika wróciwszy ze szkoły rzekła w jego obecności:

– Mamo, panna Rouzaire zapowiedziała mi, że musisz pójść do księdza Quandieu zapisać

mnie na katechizm.

– Dobrze, moje dziecko, pójdę jutro. Zajęty czytaniem Marek uniósł głowę.

– Wybacz, moja droga, nie pójdziesz do księdza Quandieu.

– Jak to?

– To zupełnie proste: nie chcę, żeby Ludwiczka chodziła na naukę katechizmu, bo nie chcę, żeby przystąpiła do pierwszej komunii.

Powstrzymując jeszcze wybuch gniewu, Genowefa zaśmiała się z ironicznym politowaniem.

– Zwariowałeś; mój kochany? Żeby dziewczyna nie przystępowała do komunii?! Jakże ją wydasz za mąż? Stworzyłbyś jej sytuację jednostki zdeklasowanej, wykolejonej... A poza tym pozwoliłeś ją ochrzcić, uczyć historii świętej oraz modlitw, nieprawdaż? Jest zatem wręcz nielogiczne, że zabraniasz jej uczyć się katechizmu i przystąpić do pierwszej komunii.

Marek jeszcze panował nad sobą. – Masz rację, byłem słaby i dlatego właśnie jestem teraz zdecydowany zerwać z tą słabością. Mogłem okazywać tolerancję wobec twoich wierzeń, dopóki dziecko, jeszcze małe, trzymało się twojej spódnicy. Pono dziecko, zwłaszcza dziewczynka, należy przede wszystkim do matki; zgadzam się z tym, ale uważam, że tylko do czasu, nim wystąpi sprawa życia duchowego, całej przyszłości dziecka... Wtedy, myślę, ojciec ma prawo interweniować.

Genowefa zrobiła ruch zniecierpliwienia i głos jej począł drżeć.

– Ja chcę, żeby Ludwiczka chodziła na katechizm, ty nie chcesz. A skoro oboje mamy równe prawa, moglibyśmy długo spierać się daremnie. Jakże myślisz to rozstrzygnąć? To, czego ja chcę, wydaje ci się idiotyczne, a to, czego ty – mnie się wydaje wstrętne.

– Oh! czego chcę, czego chcę! Chcę po prostu, żeby mojej córce pozwolono kiedyś mieć własną wolę... Korzystając z jej młodego wieku usiłuje się zniekształcić jej umysł i serce, zatruć najgorszymi kłamstwami, odebrać na zawsze rozsądek i uczucia ludzkie. A ja sobie tego nie życzę... Ale nie zamierzam narzucać jej mojej woli, tylko zachować na później jej własną.

– Więc powtarzam: jak to urządzisz? Co robić z taką dużą dziewczynką?

– Po prostu pozwolić jej rosnąć. Uczyć ją, otwierać jej oczy na wszelkie prawdy. A kiedy dobiegnie dwudziestu lat, zadecyduje sama, kto z nas ma słusność, i jeżeli uzna to za mądre i logiczne, powróci do katechizmu i przystąpi do pierwszej komunii.

Teraz Genowefa wybuchnęła.

– Stanowczo zbzikowałeś! Mówisz w obecności dziecka rzeczy tak absurdalne, że mi wstyd za ciebie.

Marek także tracił cierpliwość.

– Absurdalne, biedulko, są raczej twoje wierzenia. A ja się właśnie przeciwstawiam temu, by umysł mego dziecka zatruwano podobnymi bredniami.

– Zamilcz! zamilcz! – krzyknęła. – Nie wiesz, co mi wydierasz, mówiąc do mnie w ten

sposób! Tak, całą miłość do ciebie, całe nasze szczęście, które chciałabym jednak ocalić... Jakże mamy dojść do porozumienia, jeżeli nadajemy słowom różne znaczenia, jeśli to, co nazywasz absurdem, jest dla mnie boskie i wieczyste?... A czy się nie mylisz w tej swojej wspaniałej logice? Jak Ludwiczka będzie mogła wybierać między naszymi poglądami, jeżeli nie pozwalasz mi dzisiaj uczyć ją tak, jak ja to pojmuję?... Ja ci nie przeszkadzam oświecać ją po swojemu, ale zastrzegam sobie swobodę posyłania jej na lekcje katechizmu.

Marek już zaczynał słabnąć.

– Znam tę twoją teorię: dziecko wzrasta pod równym wpływem ojca i matki, tak aby później samo dokonało wyboru. Tylko... czy mu się pozostawia to prawo nienaruszone, z chwilą gdy całe wychowanie religijne, wzmacniające wielowiekową tradycję katolicyzmu, wręcz odbiera dziecku możliwość swobodnego rozumowania i działania? To podstęp w stosunku do ojca, tak słabo uzbrojonego, wskazującego prawdę i rozum kruchej istocie, której się zamagają zmysły i serce; a kiedy dorośnie wśród pompy kościelnej, w atmosferze niesamowitych tajemnic i uniesień mistycznych, będzie za późno, aby na zawsze spaczonemu umysłowi przywrócić cokolwiek rozsądku.

– Ty masz prawa ojca, a ja prawa matki, prawda? – powtórzyła porywczo. – Nie możesz zabrać mi córki w dziesiątym roku życia, kiedy mnie jeszcze potrzebuje. To byłoby wręcz potworne. Jestem uczciwą kobietą i z Ludwiki chcę zrobić kobietę uczciwą... Będzie chodziła na lekcje katechizmu. W razie potrzeby sama ją zaprowadzę.

Marek zerwał się z gestem namiętnego protestu; znalazł jednak dość siły, by powstrzymać bardzo gwałtowne słowa, które spowodowałyby natychmiastowe zerwanie. Co zrobić? Co powiedzieć? Jak zwykle, cofał się przed wizją zniszczonego ogniska domowego, szczęścia zamienionego w nieustanną mękę. Kochał wciąż tę kobietę, która okazała się ograniczona, a nade wszystko uparta; miał dotychczas na wargach smak jej warg i nie mógł wymazać pogodnych dni pierwszego okresu ich pożycia, tego wszystkiego, co wówczas łączyło ich mocno i nierozzerwalnie, dziecka, w którym się jak gdyby stopili – przyczyny ich dzisiejszych sporów. Czuł się zagnany w ślepią uliczkę, obezwładniony, jak wielu już było przed nim. Nie widział żadnego możliwego w praktyce sposobu działania, chyba żeby postępował jak brutal, odbierając córkę matce i co dzień na nowo burząc ognisko domowe. A w swej dobroci i łagodności nie umiał się zdobyć na chłód i energię, niezbędne do walki, co raniłaby serca – jego własne i jego bliskich. Dlatego na tym terenie z góry czuł się zwyciężony.

Ludwika, dotychczas nieruchoma i niema, przysłuchiwała się sprzeczce rodziców, nie wążąc się wtrącić. I dopiero po chwili, kiedy spór rodziców przeciągał się, jęła wodzić od jednego do drugiego wielkimi piwnymi oczami z wyrazem smutku i wzrastającego zdziwienia.

– Ale, tatusiu – odezwała się wreszcie, przerywając zapadłe teraz przykre milczenie – dlaczego nie chcesz, żebym chodziła na katechizm?

Była na swój wiek bardzo duża; w jej łagodnych, spokojnych rysach zespoliło się podobieństwo do dwóch rodzin: Duparque i Froment. Miała nieco pociągłą twarz pierwszych, ich uparte, mocne szczęki, a po drugich odziedziczyła wysokie czoło – bastion rozsądku i silnej woli. Była jeszcze całkiem dziecinna, lecz wykazywała żywą inteligencję i umiłowanie prawdy, pobudzające ją do nieustannego zadawania pytań ojcu. Uwielbiała Marka, bardzo też kochając matkę; która zajmowała się nią z poświęceniem.

– Więc, tatusiu – ciągnęła – myślisz, że kiedy na lekcji katechizmu usłyszę coś niemądrego, to się z tym zgodzę?

Przy całym swym wzruszeniu Marek nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Czy to będzie rozumne, czy nie, będziesz musiała to przyjąć.

– Ale mi wytłumaczysz te rzeczy...

– Nie, moje dziecko, są i muszą pozostać niewytłumaczalne.

– Przecież kiedy wracam od panny Rouzairé, objaśniasz mi wszystko, o co pytam, czego nie rozumiałam... I dzięki tobie właśnie jestem pierwszą w klasie.

– Gdybyś wracała ód księdza Quandieu, nie miałbym ci nic do objaśniania, bo rzekome prawdy katechizmu są w samym założeniu niedostępne dla ludzkiego rozumu.

– Ach, to zabawne!

Ludwika milczała przez chwilę, zapatrzona, pogrążona w rozmyślaniach. Potem zwolna, z miną wciąż jeszcze zaabsorbowaną, dokończyła na głos swych refleksji:

– To szczególne! Jeżeli mi czegoś nie wytłumaczają i nie rozumiem, nic nie zapamiętuję, jakby to wcale nie istniało. Zamykam oczy i nic nie widzę, jest całkiem ciemno... I wtedy, żebym się nie wiem jak starała, jestem ostatnia.

Była urocza ze swą poważną miną statecznej już dziewczynki, dążącej instynktownie ku wszystkiemu, co dobre, jasne i mądre. Kiedy chciano przemocą wtłoczyć jej do głowy rzeczy, których sensu nie chwyciła, a które się jej wydawały złe, uśmiechała się spokojnie, ale tylko przez grzeczność, w duchu zdecydowana przejść nad tym do porządku.

Genowefa, stropiona, zauważyła z niejakim rozdrażnieniem: – Jeżeli ojciec nie może ci objaśnić katechizmu, ja ci go będę objaśniała.

Ludwika natychmiast podeszła i bardzo czule uściśnęła matkę, jak gdyby w obawie, że jej zrobiła przykrość.

– Doskonale, mamó, będziesz mnie przepytować. Wiesz, ja się wcale nie upieram, zawsze chcę zrozumieć.

Po czym zwracając się do ojca powiedziała wesoło:

– No, tatusiu, możesz mi pozwolić chodzić na lekcje katechizmu; zobaczysz, że potrafię skorzystać z tego, bo przecie sam mówisz, że trzeba wszystko poznać, żeby lepiej wiedzieć i móc wybierać.

I Marek znowu dał za wygraną, nie mając siły ani możliwości postąpić inaczej. Wyrzucał sobie w duchu słabość, ale nie przestawał kochać i ulegać w swym zburzonym ognisku domowym, gdzie, czuł to, walka z każdym dniem stawała się boleśnieszka. Miał jeszcze trochę nadziei, liczył na Ludwiczkę, tak rozsądną, tak czułą, tak pragnącą oszczędzić rodzicom nieporozumień. Czyż można jednak liczyć na słowa dziewczynki zbyt młodej, aby ściśle ważyła to, co wypowiada? Czy mu jej w końcu nie zabiorą, jak zabierają tyle innych? Niepokoił się i męczył, zły przede wszystkim na siebie, zatrwożony o przyszłość.

Jeszcze jedno zdarzenie miało niebawem sprowadzić ostateczne zerwanie. Lata upływały, zmieniali się uczniowie Marka. Jego ulubieniec Sebastian Milhomme, chłopiec już piętnastoletni, za radą wychowawcy przygotowywał się do École Normale w Beaumont, po otrzymaniu końcowego świadectwa już w dwunastym roku życia. Czterej inni wychowankowie również opuścili szkołę z tym świadectwem: bracia Doloir, August i Karol, oraz bliźniaki, Achilles i Filip Savin, August został murarzem, jak jego ojciec, Karol zaś wstąpił do terminu u ślusarza. Stary Savin natomiast nie chciał usłuchać Marka, gdy ten radził mu wykierować synów na nauczycieli; wołał, że nie chce patrzeć, jak umierają z głodu w zawodzie niewdzięcznym, sponiewieranym, wystawionym na powszechną wzgardę. Był bardzo dumny, umieściwszy Achillesa w kancelarii komornika, i rozglądał się za jakąś inną posadką dla Filipa. Ferdynand Bongard, nie zdoławszy uzyskać świadectwa, powrócił spokojnie na ojcowską gospodarę; bądź co bądź, nieco mu się w zakutej głowie rozjaśniło, poglądy miał szersze niż rodzice. Tak samo rzecz się miała z dziewczynkami opuszczającymi szkołę panny Rouzair. Aniela Bongard, zdolniejsza od brata, wróciła na folwark ze świadectwem jako ambitna i sprytna osóbka, wcale zdatna do prowadzenia rachunków i marząca o polepszeniu swego losu. Hortensja Savin nie miała jeszcze świadectwa, choć ukończyła szesnaście lat; przystojna brunetka, bardzo pobożna i bardzo skryta, została dziecięciami Marii. Ojciec roił dla niej o dobrej partii, lecz krążyła tajemnicza pogłoska o jej uwiedzeniu, a nawet ciąży, z każdym dniem trudniejszej do ukrycia.

I znów przybyli do Marka uczniowie, by zająć miejsce starszych, w nieustannym narastaniu pokoleń: mały Savin, Leon – Marek pamiętał, jak w czasie procesu Simona urocza pani Savin nosiła tego syna pod sercem – oraz mały Doloir, Juliusz, urodzony już po procesie, dziś siedmioletni. Potem przybędą z kolei dzieci tych dzieci, kształconych przez niego i może, jeżeli go zostawią na stanowisku, będzie je sam jeszcze uczył i popchnie dalej o krok ku wiedzy, ku maszerującej naprzód ludzkości.

Ale najwięcej trosk przysparzał Markowi nowy uczeń, na którego przyjęciu do szkoły bardzo mu zależało. Był to syn Simona, jedenastoletni Józef. Marek długo bał się narażać go na dokuczliwe słowa i szturchańce kolegów. Wreszcie, w nadziei, że namiętności w końcu się uśmierzą, zaryzykował wymógłszy zgodę pani Simon i Lehmannów, przyrzekając im czuwać nad malcem. Opiekował się więc Józefem prawie od trzech lat i zdołał stworzyć koleżeńskie stosunki

po między nim a pozostałymi uczniami, chociaż początkowo musiał bronić chłopca przed wszelkimi przykrościami. Użył go nawet jako żywego przykładu, pouczając chłopców o tolerancji, godności i dobroci. Józef był bardzo ładnym dzieckiem, wybitna uroda matki łączyła się w nim z tęgim umysłem ojca; nad wiek dojrzały wskutek straszliwej historii, w którą musiano go wtajemniczyć, miał wygląd poważny i opanowany. Uczył się z ponurym zapałem. Zdawało się, że pragnie być zawsze pierwszym w klasie, aby przynajmniej przez ten tryumf wznieść się ponad zniewagi. Marzeniem jego i wyraźnym życzeniem, popieranym przez Marka, było zostać nauczycielem: wkładał w ten dziecięcy zamiar jakby myśl odwetu i rehabilitacji. Niewątpliwie właśnie ów skryty zapal, owa żarliwa powaga tak inteligentnego, pięknego chłopca wzruszały Ludwiczkę. Józef był od niej starszy dokładnie o trzy lata. Bardzo się z nim zaprzyjaźniła; oboje śmiali się z radości, gdy byli razem. Niekiedy Marek zatrzymywał go po lekcjach, czasem też przychodziła po niego siostra Sara, gdy Sebastian Milhomme, który także zostawał, chciał się z nimi bawić. Wtedy bywało ślicznie: czworo dzieci bawiło się, nigdy się nie kłócąc, tak były. we wszystkim zgodne. Obie parki godzinami czytały sobie powiastki, wycinały malowanki i biegały jak żrebaki. Dziesięcioletnia Sara, którą matka zatrzymała w domu, nie chcąc córki tak narażać jak syna, była przemiłą dziewczynką, bardzo dobrą i łagodną. Starszy od niej o całe pięć lat Sebastian traktował ją jak dorosły, pełen czułości brat i wybuchał śmiechem, gdy wskakiwała mu nagle na plecy wołając, aby był „koniem”. W dni, kiedy czwórka dzieci spotykała się w domu Marka, jedynie Genowefa okazywała w końcu niezadowolenie. Czerpała stąd nowy powód do gniewu na męża. Czemu sprowadza do domu całe to żydostwo? Po cóż jej córka ma się afiszować dziećmi ohydny zbrodniarza, który siedzi w więzieniu? Stano – wilo to jeszcze jedną przyczynę sporów między małżonkami. Wreszcie nastąpiła katastrofa. Pewnego wieczora, gdy czwórka dzieci bawiła się właśnie po lekcjach, Sebastian nagle zachorował. Marek musiał go odprowadzić do matki – chłopiec ślaniał się jak pijany. Nazajutrz musiał pozostać w łóżku, a lekarz stwierdził tyfus. Choroba miała ciężki przebieg i w ciągu trzech tygodni życiu chłopca zagrażało niebezpieczeństwo. Jego matka przeżywała okropne chwile, przykuta do łoża swego drogiego chorego, nie schodząc wcale do sklepu. Zresztą od procesu Simona wycofywała się stopniowo, pozostawiając troskę o wspólne sprawy bratowej, z korzyścią dla interesu. Pani Edwardowa, pełniąc w spółce rolę mężczyzny, była tam teraz, odkąd zatryumfowali klerykałowie, najodpowiedniejszą kierowniczką. Ponieważ ze względu na panią Aleksandrową i jej syna Sebastiana, przygotowującego się do École Normale, sklep miał dostatecznie zapewnioną klientelę ze szkoły świeckiej, zamierzała dzięki stosunkom własnym i swego syna Wiktora, który ukończył właśnie szkołę braciszków, znacznie rozszerzyć handel, pozyskując drugi obóz: większości klerykalnej. Tak tedy sklep stał otworem dla ludzi wszelkich przekonań, dostarczając im podręczniki, pomoce szkolne, książki do nabożeństwa, ryciny i gazety. Siedemnastoletni Wiktor był roslym, barczystym chłopcem o dużej głowie, zaciętej twarzy

i złych oczach. Uczył się zawsze bardzo kiepsko; marzył, że zaciągnie się do wojska i zostanie generałem, roił o tym tak samo jak w dzieciństwie, kiedy to bawiąc się w żołnierzy wpadał z nienacka na swego kuzyna Sebastiana i tłukł go zapamiętale. Czekał do odpowiedniego wieku próżnował, wymykał się spod dozoru matki i, pełen niechęci do sprzedawania piór i papieru, włóczył się po Maillebois w towarzystwie drugiego wychowanka braciszków, Polidora, syna robotnika drogowego Souqueta a siostrzeńca Pelagii, starej służącej pani Duparque. Ów Polidor, bladej i ponury, nieprawdopodobnie leniwy, zamierzał wstąpić do zakonu, aby przypodobać się ciotce, od której wycygał smakółki. W gruncie rzeczy spodziewał się w ten sposób uniknąć tłuczenia kamieni na szosie, jak jego ojciec, a nade wszystko wykręcić się od przerażającej go służby wojskowej. Wiktor i Polidor, mimo tak odmienne upodobania, znajdowali przecie wspólną uciechę w wałęsaniu się od rana do nocy z rękami w kieszeniach, nie mówiąc już o tarzaniu się w bujnej trawie nad brzegami Verpille z dziewczętami z pobliskiej fabryki. Odkąd zaś Sebastian tak ciężko chorował, pani Aleksandrowa nie schodziła już nawet do sklepu; krzątała się tam pani Edwardowa, zawsze sama, nie wiedząc, gdzie się podziewa Wiktor, zaprzęgnięta handlem i uradowana dużymi obrotami.

Przychodząc co wieczór dowiedzieć się o zdrowie swego najmilszego ucznia, Marek był dzień po dniu świadkiem okrutnego dramatu matki, patrzącej, jak śmierć odbiera jej dziecko. Łagodna, o bladej, jasnej twarzy, pani Aleksandrowa, która gorąco kochała męża, po jego stracie wiodła żywot klasztorny, przeniósłszy wszystką swą miłość na dziecko, jasne i łagodne jak ona. A Sebastian, pieszczony przez nią i psuty, odwzajemniał się jej synowskim ubóstwieniem niby jakiejś matce nieziemskiej, której nigdy się nie będzie mógł odwdziżyć za doznane od niej cudowne dobrodziejstwa. Były to mocne więzy czarownej czułości, jedno z tych bezgranicznych uczuć, kiedy dwie istoty zespalają się do tego stopnia, że gdyby jedna opuściła drugą, rozdarłaby jej serce. Gdy Marek przybywał do ciasnego mieszkania na półpiętrze nad sklepem, do tej ciemnej i cieplej izdebki, zastawał panią Aleksandrową rozpaczliwie powstrzymującą łzy i usiłującą uśmiechnąć się do syna, bardzo już wychudłego i trawionego gorączką. – Jakże tam, mój miły Sebastianku, lepiej ci dziś?

– O, nie, proszę pana, wcale niedobrze.

Ledwie mógł mówić – głosem cichym i urywanym. Ale matka, drżąca, z opuchłymi od łez oczyma, wołała wesoło:

– Proszę go nie słuchać, panie Froment, jest mu znacznie lepiej. Wyciągniemy go z tego!

Odprowadzając nauczyciela aż do schodów, kiedy już drzwi za sobą zamknęła, załamywała się:

– O Boże! on jest stracony, mój biedny chłopaczek jest stracony! Czy to nie okropne? Taki ładny, silny chło-

piec! I widzieć go tak zmienionym, jego biedną buzię tak ściągniętą, że już tylko oczy w niej zostały. Mój Boże, mój Boże, czuję, że umieram razem z nim!

Tłumiąc krzyk, ocierała energicznym ruchem łzy, po czym wracała do pokoju chorego, gdzie trwała bez snu, bez pomocy, w walce ze śmiercią.

Pewnego wieczora Marek zastał ją jak zwykle samą, klęczącą przy łóżku; szlochała ukrywszy twarz w kołdrze. Syn już jej nie słyszał: od przedednia majaczył, zmożony cierpieniem, nieprzytomny. Więc już się nie powstrzymywała, by wykrzyknąć swą straszną boleść.

– Moje dziecko! moje dziecko! Cóżem uczyniła, że mi chcą skraść dziecko?... Takie dobre dziecko, co było moim sercem, tak jak ja byłam jego sercem! Cóż ja zawiniłam?

Podniosła się, schwyciła Marka za obie ręce, ściskając je rozpaczliwie.

– Niech mi pan powie, pan, człowiek sprawiedliwy... Prawda, to niemożliwe, żeby tyle cierpieć, znosić taką mękę, kiedy się jest zupełnie bez winy... To byłoby potworne: taka kara, kiedy się nie zrobiło nic złego... Prawda? Czyż nie tak? To może być tylko pokuta... A jeśli tak jest rzeczywiście, mój Boże! Gdybym wiedziała! Gdybym wiedziała!

Zdawała się toczyć jakąś okropną walkę. Od kilku dni trawił ją nieustanny niepokój. Mimo to owego dnia nic jeszcze nie powiedziała. Dopiero nazajutrz wybiegła na spotkanie Marka, jak gdyby gnana pragnieniem, by skończyć z tym jak najprędzej. W łóżku leżał Sebastian już prawie bez tchu.

– Proszę posłuchać, panie Froment, muszę się wypowiadać. Lekarz przed chwilą stąd wyszedł, dziecko umrze, tylko cud może je uratować... Już nie mogę dłużej milczeć... Zawiniłam. Zaczynam wierzyć, że sama zabijam syna, że jego śmierć to kara za to, że kiedyś kazałam mu skłamać, a później trwałam przy tym kłamstwie, podczas gdy ktoś niewinny cierpiał najgorsze męki... Ach, jaka walka, jaka rozterka szarpie mnie od tyłu dni!

Marek słuchał, zaskoczony, nie śmiejąc jeszcze zrozumieć.

– Wie pan, ten nieszczęsny Simon, nauczyciel, którego skazano za zgwałcenie i zamordowanie małego Zefiryńka... jest już od przeszło ośmiu lat w więzieniu i pan mi często opowiadał, co on tam znosi... Straszne rzeczy, których nie mogłam słuchać... Chciałam powiedzieć, tak! przysięgam panu! Nieraz już miałam rzucić to z serca, tak mnie dręczyły wyrzuty sumienia. A potem tchórzyłam, myślałam o spokoju mego dziecka, o wszystkich przykrościach, jakich, mu przysporzę... Och! jakaż byłam głupia! Milczałam dla jego dobra, a oto teraz śmierć mi go zabiera. Tak, z pewnością dlatego, że zgrzeszyłam tym milczeniem.

Szarpnęła się szaleńczym ruchem, jak gdyby rażona gromem wieczystej sprawiedliwości.

– Więc, panie Froment, muszę ulżyć sumieniu. Może jeszcze czas, może sprawiedliwość zlituje się nade mną, jeśli naprawię błęd... Pamięta pan ten wzorek kaligraficzny, którego egzemplarzy tak szukano? Nazajutrz po zbrodni Sebastian powiedział panu, że widział jeden taki

wzorek w rękę swego kuzyna Wiktora, który przyniósł go właśnie mimo zakazu ze szkoły braciszków; tak było rzeczywiście. Ale tegoż dnia tak nas nastraszo, że bratowa zmusiła mego syna, by skłamał oświadczając, iż się omylił... W długi czas potem odnalazłam ten sam wzorek, zapomniany w starym zeszycie; wtedy właśnie Sebastian wyznał panu swe. kłamstwo, które go męczyło. Kiedy wrócił i opowiedział mi o tym, strach mnie ogarnął, i ja z kolei skłamałam; skłamałam zapewniając, by uspokoić jego skrupuły, że ów papierek już nie istnieje, że go zniszczyłam. To ha pewno za ten grzech zostałam ukarana. Arkusik ów istnieje, gdyż nigdy się nie odważyłam spalić go... Powstrzymała mnie od tego resztką uczciwości. Proszę! Proszę, panie Froment oto jest. Niech mnie pan uwolni od tego okropnego przedmiotu, to on ściąga na ten dom nieszczęście i śmierć!

Pośpieszyła ku szafie, wyjęła spod stosu bielizny stary Wiktora zeszyt do kaligrafii, gdzie od ośmiu lat spoczywał ów wzorek. Marek patrzył nań, wstrząśnięty. Nareszcie oto dokument, który uważał za zniszczony, oto ten tak poszukiwany dowód! Trzymał egzemplarz bliźniaczo podobny do tego, który figurował w procesie – ze słowami: „Miłujcie się wzajemnie”, oraz z nieczytelnym podpisem, w którym biegli dopatrywali się inicjałów Simona. Trudno było utrzymywać, że ten wzorek nie pochodzi ze

szkoły braciszków, przepisany był bowiem własnoręcznie przez Wiktora na całej stronie jego zeszytu. Nagle Marek doznał jak gdyby olśnienia: u góry, w lewym rogu, tym, którego brakowało na kartce włączonej do akt sądowych, znajdowała się całkiem wyraźna i niezatarta pieczętka, jaką bracia szkolni znaczyli przedmioty stanowiące własność ich zakładu. Na sprawę nagle padł snop światła: oto ktoś oderwał rozek arkusika odnalezionego u Zefiryńka, aby zniszczyć pieczętkę i zmylić śledztwo.

Marek, drżąc ze wzruszenia, ujął panią Aleksandrową za obie ręce w porywie wdzięczności i sympatii. – Ach! spełnia pani piękny i doniosły uczynek! Niechże śmierć się ulituje i zwróci pani syna!

W tej samej chwili spostrzegli, że Sebastian, który od wczoraj nie odzyskiwał przytomności, otworzył oczy i patrzy na nich. Doznali wstrząsu. Chory poznał Marka, ale mając jeszcze, wymamrotał cichutko:

– Jak pięknie świeci słońce, panie Froment! Wstanę, a pan mnie zabierze z sobą do pomocy w szkole.

Matka uściskała go z uniesieniem.

– Ach! wyzdrowiej, wyzdrowiej, moje dziecko! I nigdy już nie trzeba kłamać, trzeba być zawsze dobrym i prawym.

Opuszczając pokój Marek zauważył, że pani Edwardowa weszła, zwabiona hałasem, i była świadkiem całej tej sceny. Widziała, jak włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki zeszyt jej syna oraz wzorek kaligraficzny. Zeszła razem z nim w milczeniu, a następnie zatrzymała go

w sklepie.

– Jestem w rozpacz. Niech pan nas źle nie sądzi, jesteśmy tylko dwie samotne kobiety i z wielkim trudem zdobywamy jakie takie zabezpieczenie na stare lata... Nie proszę o zwrot tego papierka. Zrobi pan z niego użytek i nie mogę się temu przeciwstawić, doskonale rozumiem. Ale to wręcz katastrofa spada nam na głowę... Jeszcze raz proszę: niech mnie pan nie uważa za złą kobietę dlatego, że się troszczę o zachowanie klienteli.

Istotnie nie była zła; jedyną jej wiarą i namiętnością był los tej skromnej papeterii. Postanowiła już, że jeśli w rozgrywce przeważą szkoła świecka, ona odsunie się na dalszy plan, a pani Aleksandrowa będzie prowadziła sklep i załatwiała klientów. Buntował się jednak przeciwko temu jej zmysł handlowy i pasja rządzenia. Próbowwała tedy o ile możliwości zażegnać katastrofę.

– Mógłby pan poprzestać na użytkowaniu wzoru, nie pokazując zeszytu mego syna... Myślę też, że gdyby pan zechciał jakoś to ułożyć, na przykład powiedzieć, że to ja odnalazłam ten wzorek i dałam go panu, to by nam pozwoliło odegrać piękną rolę... Jakbyśmy już były pewne pana zwycięstwa, przeszłybyśmy otwarcie na pańską stronę.

Mimo wzruszenie Marek nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Myślę, proszę pani, że najłatwiej chyba i najprzyzwoiciej będzie powiedzieć prawdę. Pani i tak przypadnie rola nader chwalebna.

Zdawała się nieco uspokojona.

– Doprawdy tak pan sądzi?... Ja, cóż, chcę jedynie prawdy, skoro nie ucierpimy na tym...

Marek uprzejmie sięgnął do kieszeni, aby jej pokazać dokładnie, co zabiera. Powiedziała, że doskonale poznaje.

W tej samej chwili ukazał się jej syn, Wiktor, powracający z jakiejś eskapady w towarzystwie swego przyjaciela, Polidora Souquet. Młodzieńcy podrygiwali chichocąc, uradowani z powodu jakiejś im tylko znanej psoty; zerknęli na wzorek kaligraficzny. Polidor natychmiast okazał żywe zdziwienie.

– Patrzcie! – wykrzyknął – to ten papierek.

Ale kiedy Marek spojrział na niego, zaskoczony tym okrzykiem, z nagłym wycuciem, że oto jeszcze odrobina prawdy wyziera na jaw, chłopak, chcąc cofnąć mimowolne wyznanie, przybrał z powrotem swój zwykły senny i obłudny wyraz.

– Jaki papierek? Więc już go widział?

– Ja? nie... Powiedziałem tak sobie: papierek, bo to papierek.

Marek nie zdołał nic więcej z niego wydobyć. Wiktor tymczasem nie przestawał się uśmiechać, widocznie ubawiony, że ta dawna sprawa powraca na światło dzienne. Ach! tak, ten wzorek, który on kiedyś przyniósł ze szkoły, a z powodu którego głuptas Sebastianek zrobił taką historię.

Gdy Marek wychodził, pani Edwardowa odprowadziła go aż na ulicę błagając raz jeszcze, by im oszczędził wszelkich przykrości. Pomyślała właśnie o kuzynie, generale Jarousse – ten z pewnością nie będzie zadowolony... Wielce je niegdyś zaszczycił swymi odwiedzinami; przybył, aby im wytłumaczyć, iż jeżeli ojczyzna może ucierpieć od prawdy, kłamstwo staje się pożądane i chwalebne. A niech się generał Jarousse pogniewa, cóż stanie się z Wiktorem, który liczy na protekcję wuja, aby zostać także kiedyś generałem?

Tego wieczora Marek miał być na obiedzie u pani Du-parque, gdzie bywał nadal, nie chcąc, by żona chodziła tam zawsze sama.

Prześladowały go słowa Polidora, gdyż tu wyczuwał nareszcie prawdę. Kiedy zaś przyszedł wraz z Genowefą i Ludwiczka do „tych pań”, dostrzegł w głębi kuchni właśnie Polidora: młodzieniec z ożywieniem rozmawiał szeptem z ciotką Pelagią. Nadto „te panie” przyjęły Marka tak ozięble, iż zaraz wyczuł wiszącą w powietrzu groźbę.

Pani Berthereau, matka Genowefy, mocno się posunęła od czasu wydarzeń ostatnich lat, stale niedomagająca, pełna rezygnacji, ogarnięta jakimś beznadziejnym smutkiem. Ale babka, pani Duparque, choć przekroczyła siedemdziesiątkę, pozostawała wojownicza i straszna w swej nieubłaganej wierze. Kiedy Marek był u niej na obiedzie; nigdy nikogo poza nim nie zapraszała, aby mu w ten sposób dać lepiej odczuć, że tylko wyjątkowe względy zmuszają ją do przyjmowania go w swym domu. To odosobnienie miało przypominać również o jego sytuacji pariasa, o tym, że nie nadaje się do towarzystwa przyzwoitych ludzi. I tym razem, jak zazwyczaj, obiad odbył się w najściślejszym gronie, w milczeniu i skrepowaniu. Ma – rek wyraźnie przeczuwał – zapowiadała to nieprzyjazna postawa pani Duparque, a zwłaszcza opryskliwość usługującej Pelagii – że musi wybuchnąć jakaś burza. Pani Duparque powściągała się jednak aż do końca obiadu, pragnąc z mieszczańską poprawnością odegrać swą rolę pani domu. Wreszcie, kiedy Pelagia wniosła jabłka i gruszki, powiedziała do niej:

– Możesz zatrzymać na obiedzie swego siostrzeńca. Na co stara sługa gderliwym i zaczepnym tonem odpowiedziała:

– Ach! biedne dziecko, dobrze mu zrobi pokrzepić się po tym, co niedawno przeżył, kiedy chcieli go sterroryzować.

Marek nagle zrozumiał, że „te panie” wiedzą o fakcie odnalezienia wzorka kaligraficznego z relacji młodzieńca, który przybiegł do ciotki, by jej nie wiadomo po co wszystko opowiedzieć; nie mógł się więc powstrzymać od śmiechu.

– Oho! Któż to chciał sterroryzować Polidora?... Może to ja dziś po południu u pań Milhomme, gdzie ten milutki chłopaczek pozwolił sobie zakpić ze mnie udając głupiego?

Ale pani Duparque nie mogła dopuścić, aby tak poważną sprawę zbywać ironicznym żartem. Przemówiła bez widocznej złości, zimno i surowo, ze swą szorstką miną nie dopuszczającą nawet usprawiedliwień. Czyż to możliwe, że mąż Genowefy wciąż się jeszcze upiera, by odgrzebać tę

ohydną, sprawę Simona? To straszny morderca, sprawiedliwie skazany i nie zasługujący na najmniejszą litość; szkoda, że nie ucięto mu głowy, by z tym raz wreszcie skończyć! Szkodliwa jest ta legenda o jego niewinności, legenda, którą najgorsze elementy chcą wyzyskać w celu obalenia religii i wydania Francji w żydowskie ręce. I oto Marek, babrząc się z uporem w tym stosie nieczystości, twierdzi, że znalazł dowód, ów sławetny no – wy fakt, tylekroć zapowiadany. Śliczny dowód prawdy: świstek papieru, nie wiadomo skąd pochodzący, wszystko zmyślone przez dzieci, co kłamią albo się mylą!

– Babciu – odparł spokojnie Marek – umówiliśmy się, że nie będziemy już mówili o tych rzeczach, a ty sama zaczynasz, chociaż ja nie pozwoliłem sobie na najdrobniejszą aluzję. Po cóż jeszcze ta dyskusja? Moje przekonanie jest niezłomne.

– I znasz rzeczywistego winowajcę, oddasz go w ręce sprawiedliwości? – pytała gniewnie starsza pani.

– Naturalnie!

W tym momencie Pelagia, która zaczęła sprzątać ze stołu, nie wytrzymała:

– W każdym razie nie jest to brat Gorgiasz; ręczę za to głową.

Olśniony nagle, Marek zwrócił się do niej:

– Dlaczego Pelagia mi to mówi?

– No, bo przecież w wieczór zbrodni brat Gorgiasz poszedł odprowadzić mojego siostrzeńca, Polidora, aż do domu jego ojca przy drodze z Jonville i wrócił do szkoły przed jedenastą. Polidor i inni świadkowie zeznawali o tym w sądzie.

Marek wpatrywał się w nią uważnie; w umyśle jego dokonywało się podsumowanie długiej pracy. Dawne podejrzenia konkretyzowały się i zmieniały w pewność. Widzi, jak braciszek odprowadza Polidora, wraca ciepłą nocą, zatrzymuje się przed otwartym oknem Zefiryńka... Słyszy, jak mnich rozmawia z dzieckiem na wpuł już rozebrany, potem przeskakuje niski parapet, niewątpliwie po to, aby obejrzeć obrazki, i ogarnięty nagle szałem na widok tego bladego ciała ułomnego aniołka, rzuca się nań, przewraca na podłogę, tłumiąc jego krzyki. A po zgwałceniu i uduszeniu dziecka ucieka oknem, pozostawiając je szeroko rozwarte. Wyjął był z kieszeni numer „Petit Beaumontais”, by zrobić z niego knebel, w zdener – wowaniu nie zauważywszy, że razem z gazetą zmiął wzorek kaligraficzny. Nazajutrz zaś, po wykryciu zbrodni nie mogąc zniszczyć tego wzorka, który widział już suplent Mignot, ojciec Filibin musiał poprzestać na oddarciu różka, by usunąć przynajmniej pieczętkę i w ten sposób zniszczyć niezbity dowód pochodzenia. Marek powoli z powagą oświadczył:

– Winowajcą jest brat Gorgiasz, wszystko o tym świadczy, mógłbym na to przysiąc!

Dokoła stołu zabrzmiały pełne oburzenia protesty. Pani Duparque dyszała ciężko. Pani Berthereau, smutnymi oczyma wodząc od córki do zięcia w obawie rozdźwięku między nimi, uczyniła gest beznadziejnej rozpacz. Ludwiczka, przysłuchując się uważnie słowom ojca,

siedziała nieruchomo. Genowefa natomiast zerwała się i odeszła od stołu mówiąc:

– Wiesz, lepiej byś milczał... Wkrótce nie będę już mogła wytrzymać przy tobie, bo zmusisz mnie, żebym cię znienawdziła.

Wieczorem, kiedy dziecko już spało i małżonkowie położyli się także, w ciemnym pokoju nastąpiła chwila zupełnej ciszy. Od obiadu, a nawet w drodze powrotnej ani ona, ani on nie wyrzekli słowa. Dotychczas zawsze Marek pierwszy wyciągał rękę do zgody, rozczulony, nazbyt cierpiąc z powodu tych ich nieporozumień. Ale teraz, gdy chciał ją objąć czule, odepchnęła go nerwowo, wzdrygnąwszy się z odrazy.

– Nie, zostaw mnie!

Urażony, nie nalegał. Znow zapadło ciężkie milczenie. Po dłuższej chwili Genowefa podjęła:

– Nie powiedziałam ci jeszcze jednej rzeczy... Zdaje mi się, że jestem w ciąży.

W porywie radosnego wzruszenia przysunął się żywo, usiłując przygarnąć ją do piersi. – Ach! moja droga, jaka dobra nowina! Więc znow należymy do siebie!

Ale ona uwolniła się ruchem jeszcze niecierpliwszym, jakby dotknięcie tego człowieka, męża leżącego przy niej, było jej nie do zniesienia przykre.

– Nie! nie! zostaw mnie... Bardzo źle się czuję i nie będę mogła spać, tak mnie drażni najłżejsze poruszenie. Jeżeli tak dalej będzie, myślę, że wypadnie nam przenieść się do oddzielnych łóżek.

Nie zamienili już ani słowa, nie mówili o sprawie Simona ani o ciąży Genowefy, wyjawionej tak niespodzianie. W mrocznej martwocie sypialni słychać było jedynie ich utrudzone oddechy. Żadne z nich nie spało, lecz nie mogli przeniknąć wzajem swoich niespokojnych, bolesnych myśli, jak gdyby zamieszkiwali odrębne światy, odległe od siebie o tysiące mil. I wydawało się, że z bardzo daleka, z czarnej, nabrzmiałej bólem nocy dolatują niewyraźne łkania, jakby ktoś opłakiwał ich ginącą miłość.

IV

Posiadłszy wzorek kaligraficzny, Marek zastanawiał się przez kilka dni, aż wreszcie dał znać Dawidowi, aby przyszedł któregoś wieczora do Lehmannów, na ulicę du Trou.

Od dziesięciu lat bez mała Lehmannowie, przytłoczeni powszechną wzdumą, żyli w odosobnieniu, w małym domku, wilgotnym i jakby martwym. Kiedy zgraje antysemitów i klerykałów zagrażały ich sklepikowi, zamykali okiennice i musieli pracować przy nikłym świetle dwóch kopających lamp. Opuszczeni przez wszystkich klientów w Maillebois, nie wyłączając współwyznawców, utrzymywali się jedynie z szycia gotowych ubrań dla maga – zynów paryskich; ta ciężka, bardzo lichy płatna praca zmuszała starego Lehmana i jego smutną żonę do ślęczenia nad warsztatem czternaście godzin dziennie, dając im w zamian ledwie kęs

chleba dla nich dwojga oraz dla córki Racheli i dzieci Simona, – na wyżywienie owych pięciu osób, zagrzebanych w ponurej nędzy i beznadziei. Jeszcze teraz, po tylu latach, przechodnie spluwali przed ich drzwiami, wyrażając w ten sposób pogardę i zgrozę na widok tej wstrętnej jaskini, dokąd, wedle legendy, przyniesiono jeszcze ciepłą krew Zefiryńka dla dokonania jakiegoś tajemniczego obrządku... Do tego siedliska nędzy i cierpienia przybywały listy Simona, nieszczęsnego skazańca; nadchodziły coraz rzadziej i coraz krótsze, świadcząc o powolnej agonii niewinnie osądzonego człowieka.

Jedynie te wzruszające listy zdolne były wyrwać Rachelę z pełnego rezygnacji odrętwienia, w jakim żyła. Nic nie zostało z jej niezwykłej urody. Zniszczyły ją łzy. Przy życiu trzymały Rachelę dzieci: Sara, dziewczątka jeszcze, którą chowała przy sobie, nie śmiejąc jej narażać na zniewagi złych ludzi, i Józef, duży już chłopiec, rozumiejący wszystko, ten Józef, którego w szkole Marek brał w obronę. Przez długi czas udawało się ukrywać przed dziećmi okropną historię ich ojca. Ale w końcu trzeba było wyjawić prawdę, uświadomić je, aby małym główkom oszczędzić bolesnej pracy. Teraz, kiedy przychodził list z katorgi, odczytywano go przy nich: pod wpływem tych gorzkich doświadczeń mężnieli, dojrzewały ich młode umysły. Za każdym razem, gdy słuchano bohaterskich słów Simona, matka tuliła dzieci do siebie, powtarzając, że nie ma na świecie człowieka uczciwszego i szlachetniejszego od ich ojca. Przysięgała im, że jest niewinny, mówiła o strasznych męczarniach, jakie cierpi, i zapowiadała, że pewnego dnia wyjdzie na wolność, zrehabilitowany i witany ze czcią; prosiła, by go kochali z myślą o tym dniu, aby go czcili i otaczali szacunkiem, którego słodycz wymaże z jego pamięci długie lata katuszy. Tylko – czy aby dożyje on dnia prawdy i sprawiedliwości? To już był cud, że nie zmożyły go krzyżowe męki, jakie cierpiał od tych zbirów. Zawdzięczał to swej niepospolitej sile moralnej, niezłomnej odporności i równowadze, logice umysłu. Jednakże ostatnie listy budziły coraz większy niepokój: Simon był u kresu sił, złamany, trawiony gorączką. Toteż pod wpływem rosnącej obawy Rachelę, tak zwykle bierna, nie radząc się nikogo, odważyła się pewnego ranka pójść do barona Nathan, bawiącego na lotnisku u hrabiego de Sangleboeuf w Désirade. Zamierzała pokazać ostatni list męża baronowi i błagać, by zechciał użyć swego możnego wpływu: niechaj on, Żyd zwycięski, król pieniądza, wyjedna trochę litości dla nieszczęsnego nędzarza, Żyda ukrzyżowanego, który kona tam, na katordze. Powróciła we łzach, dygocąca, jak gdyby odwiedziła jakieś miejsce wspaniałe, a groźne. Nie pamiętała nawet dokładnie, co tam zaszło. Baron przyjął ją z miną surową, rozdrażniony jej zuchwalstwem. Może zastała go w towarzystwie córki, hrabiny de Sangleboeuf, damy o bladym, lodowatym obliczu. Nie potrafiłaby powiedzieć szczegółowo, w jaki sposób ją odprawiono niby żebraczkę, odrzuciwszy jej prośbę. Znalazła się znowu na drodze, olśniona ogromem bogactwa, tą czarownicą Désirade z jej przepysznyimi salonami, szemrzącymi zdrojami, jasnymi posągami. Od czasu tego nieudanego przedsięwzięcia pograżyła się na nowo w posepnym oczekiwaniu; zawsze w żalobie,

prześladowana przez ludzi i rzeczy, była już tylko niema skargą bóleści.

W tym domu niedoli i cierpienia Marek liczył jedynie na Dawida, na jego jasny umysł i prawe, mężne serce. Widział, jak przeprowadza swe dzieło od chwili skazania brata, to jest od lat bez mała dziesięciu, nie tracąc cierpliwości, nie upadając na duchu i nie wyrzekając się nadziei mimo trudności zadania. Wytrwał w niezachwianej wierze i przekonaniu o niewinności brata, był pewien, że kiedyś wydobędzie ją na jaw, i nie przestawał działać, zachowując maksimum ostrożności, godną podziwu trzeźwość i jasność rozumowania; tygodnie, miesiące poświęcał w ukryciu na to, aby się posunąć o jeden krok, i nic go od tego nie mogło oderwać. Od razu pojął, że wykonanie tak ogromnej pracy wymagać będzie pieniędzy. Dlatego też rozdzielił swe życie na dwie części, pozornie podjąwszy na nowo kierownictwo kopalni żwiru i piasku, oddanej mu w dzierżawę przez barona Nathan. Wszyscy byli przeświadczeni, że Dawid przedsiębiorstwo prowadzi osobiście, w rzeczywistości zaś lwią część pracy odrabiał główny majster, człowiek szczerze mu życzliwy. Dochody, którymi Dawid skrzętnie gospodarował, wystarczały na owo drugie dzieło, będące jego prawdziwą misją: na nieustannie prowadzone śledztwo. Uchodził nawet za sknerę, zarzucano mu, iż mając tak znaczne środki materialne, nie pomaga bratowej, przygarniętej przez Lehmannów, w których ubogim mieszkanku ciężka praca nie mogła usunąć niedostatku. Był czas, gdy omal nie utracił swego kamieniołomu: Sangleboeuf groził mu procesem, poduszczony oczywiście przez ojca Crabot; zakonnik pragnął pozbyć się Dawida z okolicy lub przynajmniej pozbawić go dochodów: wyczuwał, że ten milkliwy, lecz niezmordowany przeciwnik przebija się wytrwale krok za krokiem poprzez ciemności do celu. Na szczęście umowa dzierżawna zawarta była na okres trzydziestoletni, Dawid mógł więc nadal wydobywać żwir i piasek, co zapewniało mu potrzebne pieniądze.

Dawid od dawna skupiał swą uwagę na owym nielegalnym postępku prezesa Gragnon, którego podejrzewał o to, iż po zamknięciu rozprawy podał do wiadomości sędziom przysięgłym, zgromadzonym w sali obrad, jakieś nowe fakty. W wyniku żmudnych dociekań zdołał sobie odtworzyć tę scenę: przysięgli wzywają prezesa, gdyż ode – zwały się w nich skrupuły i pragnęliby poinformować się co do ewentualnej kary; i oto w tej chwili znalazł się w jego rękach dawny list Simona, list, który – jak sądził – mógł im pokazać, by uśmierzyć wszystkie skrupuły; ów list do przyjaciela, o nic nie mówiącej treści, lecz w postscriptum opatrzony podpisem pono całkiem podobnym do podpisu na wzorku kaligraficznym. Ten osobliwy dokument, przedłożony w ostatniej chwili, pod nieobecność oskarżonego i obrony, niewątpliwie zdecydował o wydaniu wyroku skazującego. Ale w jaki sposób ustalić prawdę? Jak nakłonić jednego z przysięgłych, aby poświadczył fakt mogący spowodować niezwłoczną rewizję procesu, zwłaszcza że Dawid był przekonany, iż owo postscriptum oraz podpis zostały sfałszowane. Przez długi czas próbował wpłynąć na przewodniczącego ławy przysięgłych, architekta. Jacquin, człowieka uczciwego, praktykującego katolika; i oto w końcu zdołał, jak sądził, potężnie

wstrząsnąć jego sumieniem, wykazując mu bezprawność postępków prezesa w danych okolicznościach. Z chwilą gdy mu się uda przekonać architekta o fałszerstwie, człowiek ten na pewno przemówi.

Przybywszy na ulicę du Trou na umówione z Dawidem spotkanie, Marek zastał sklepik zamknięty, dom niby wymarły; dla większej ostrożności rodzina schroniła się w izdebce za sklepikiem, gdzie Lehmann z żoną pracowali przy lampie; tam rozegrała się wzruszająca scena w obecności dygocącej Racheli i dwojga dzieci o roziskrzonych oczach.

Zaraz na wstępie Marek zapytał Dawida, co osiągnął w swoich poszukiwaniach.

– Ano, sprawa się posuwa, ale tak wolno! Jacquin należy do tych przykładnych chrześcijan, co miłują Jezusa litościwego i sprawiedliwego; i jeśli przez chwilę miałem obawy, dowiedziawszy się, jaki nacisk wywiera na niego ojciec Crabot używając wszelkich możliwych po – średników, teraz jestem spokojny: Jacquin posłucha tylko własnego sumienia... Trudność leży w tym, jak zbadać przedstawiony sędziom dokument.

– Ależ Gragnon go chyba nie zniszczył? – zapytał Marek.

– Podobno nie. Pokazawszy przysięgłym, nie poważył się usunąć go i zapewne dołączył do akt, gdzie musi jeszcze tkwić. Delbos jest tego pewien, są na to jakieś dowody. Trzeba by więc wydostać ów dokument z kancelarii sądowej, a to mi się nie wydaje łatwe... Bądź co bądź – posuwa się.

Po chwili ciężkiego milczenia dodał:

– A ty, przyjacielu, czy przynosisz nam coś dobrego?

– Tak, mam dobrą i ważną nowinę.

Powoli Marek opowiedział im o wszystkim: o chorobie Sebastiana, rozpaczach pani Aleksandrowej i jej wstrząsających wyrzutach sumienia, o tym, jak wręczyła mu wzór kaligraficzny, na którym widnieje pieczętka szkoły braciszków i podpis – bezsprzecznie podpis brata Gorgiasza.

– Proszę! oto ten papier... Stempelek jest tu, w tym rogu, który na egzemplarzu znalezionym przy Zefiryńku był oderwany. Myśleliśmy, że może odgryzł go zamordowany. Ale nie, to ojciec Filibin zdążył go odedrzeć; Mignot, mój pomocnik, doskonale to sobie przypomina... A teraz spójrz na podpis. Na tym egzemplarzu jest dużo czytelniejszy i przecie identyczny. Można więc dotrze rozpoznać splecione z sobą inicjały F i G, inicjały brata Gorgiasza, które ci osobliwi eksperci, panowie Badoche i Trabut, przez jakąś niepojętą pomyłkę brali uparcie za F i S, inicjały twego brata... Dziś jestem absolutnie przekonany, że winowajcą jest brat Gorgiasz. Przy bladym świetle lampy wszyscy wpatrywali się z napięciem w wąski arkusik pożółkłego papieru. Lehmannowie porzucili szycie i jak gdyby nieco przywróceniu do życia, zbliżyli sterane twarze. Najbardziej jednak wzruszyła się Rachel; wyrwana z odrętwienia, stała drżąca, podczas gdy dzieci, Józef i Sara, z rozognionymi oczyma cisnęły się, żeby lepiej widzieć. Wśród głębokiej

ciszy tego domu okrytego żałobą Dawid wziął w ręce papier, obrócił go, obejrzał.

– Tak, tak – powtórzył – i ja tak samo myślę. To, cośmy podejrzewali, staje się dzisiaj pewne. Winowajcą jest brat Gorgiasz.

Nastąpiła długa debata: przypomniano wszystkie fakty, zestawiono je i zebrano w jedną więź. Miały nieodpartą siłę oczywistości. Wyjaśniały się wzajemnie i wszystkie prowadziły do tego samego wniosku. Oto posiadano niezbité dowody rzeczowe, a ponadto zjawiała się pewność, jak gdyby to było zadanie matematyczne, dla którego rozwiązania wystarczy proste rozumowanie. Jednakże dwa lub trzy momenty sprawy pozostawały niejasne: w jaki sposób wzorek kaligraficzny trafił do kieszeni zakonnika i jak zniknął rozek opatrzony pieczęcią, który niewątpliwie zniszczono? Za to przejrzyste malował się dalszy ciąg: powrót Gorgiasza, przypadek, który go sprowadził przed oświetlone okno, moment pokusy, następnie morderstwo... Nazajutrz znowu przypadek przywodzi tam przechodzących w pobliżu ojca Filibina i brata Fulgencjusza. Fakt, iż są wmieszani w tragedię, zmusza ich do działania: trzeba ratować jednego ze swoich! A jakiej wymowy nabiera dziś ów oddarty rozek, jak niezaprzeczalnie wskazuje winowajcę! Zresztą jego imię wyjawiała wręcz ta ostra kampania prowadzona przez Kościół, nie szczędzący wysiłków, aby go uchronić, a na jego miejsce skazać niewinnego! Każdy dzień przynosił nowe odkrycia, ogromny gmach kłamstwa miał już niebawem runąć. – A zatem koniec naszej niedoli! – powiedział uradowany stary Lehmann. – Trzeba tylko pokazać ten papierek, a natychmiast oddadzą nam Simona.

Dzieci tańczyły z uciechy i śpiewały wesoło.

– Ach! Tata wróci! Tata wróci!

Ale Dawid i Marek trwali w zadumie. Znali sprawę i wiedzieli, że sytuacja jest wciąż jeszcze trudna i niebezpieczna. Nasuwały się im najgroźniejsze pytania: jaki użytek zrobić z nowego dokumentu, jaką drogą wnieść podanie o rewizję procesu? Wreszcie Marek rzekł cicho:

– Trzeba się zastanowić, poczekać jeszcze.

Wtedy Rachelę znów się rozpląkała i wyjąkała wśród łkań:

– Na co mamy czekać? Aż biedak umrze tam, w tych męczarniach, o których pisze?

I czarny domek pogrążył się znowu w dawnej rozpacz. Wszyscy poczuli, że nieszczęście nie jest zażegnane. Ogromna chwilowa radość ustąpiła miejsca niepokojowi o dzień jutrzejszy.

– Tylko Delbos może nam wskazać drogę – zawyrokował Dawid. – Jeśli się godzisz, Marku, pójdziemy do niego w czwartek.

– Dobrze, przyjdź do mnie w czwartek.

Wzięcie Delbosa, jako adwokata, znacznie wzrosło w Beaumont w ciągu dziesięciu lat. Sprawa Simona rozstrzygnęła o jego karierze – owa drażliwa sprawa, którą przez ostrożność odrzucali wszyscy jego koledzy, a którą on podjął i tak dzielnie poprowadził. Był podówczas jedynie chłopskim synem, demokratą z instynktu i posiadał dar wymowy. Ale w miarę jak się

zagłębiał w powierzoną sobie sprawę, stał się zagorzałym obrońcą prawdy; w zetknięciu oko w oko z potęgą burżuazji, sprzymierzonej w obronie kłamstwa i niesprawiedliwości społecznej, stał się bojowym socjalistą, przekonanym, że ocalenie kraju spoczywa wyłącznie w rękach ludu. Po trochu zgrupowały się wokół niego wszystkie rewolucyjne żywioły miasta; podczas ostatnich wyborów okazał się groźnym kontrkandydatem radykała Lemarrois, posła od lat dwudziestu. Co prawda, doraźnie jego interesy ucierpiały na tym, że bronił Żyda pomawianego o wszelkie możliwe zbrodnie, ale za to zyskiwał sobie piękną pozycję dzięki niezłomności przekonań, spokojnemu męstwu, pogodzie i sile opartej na pewności zwycięstwa.

Gdy Marek pokazał mu otrzymany od pani Aleksandrowej wzorek kaligraficzny, adwokat wykrzyknął radośnie:

– Mamy ich nareszcie!

A zwracając się do Dawida, ciągnął:

– Oto więc drugi dowód... Pierwszym był list, bezprawnie podany do wiadomości sędziom przysięgłym, list z pewnością sfałszowany. Przekonamy się o tym, kiedy odnajdziemy go w aktach... Drugi to ten arkusik z pieczętką szkoły braciszków i podpisem brata Gorgiasza. Myślę, że ten dokument będziemy mogli wyzyskać łatwiej i w sposób prostszy.

– Cóż więc pan radzi? – zapytał Dawid. – Ja bym wystosował w imieniu bratowej odpowiednie pismo do ministra, wskazujące jako winnego brata Gorgiasza: oskarżyłbym go o zgwałcenie i zamordowanie małego Zefiryńka, domagając się jednocześnie rewizji procesu mego brata.

Lecz Delbos znowu się zafrasował.

– Niewątpliwie należałoby tak postąpić. Ale sprawa jest nader delikatna, nie wolno się śpieszyć... Powróćmy do owego listu odczytanego ławie przysięgłych: bardzo trudno będzie tego dowieść, dopóki nie skłonimy pana Jacquin, aby uczynił zadość swemu sumieniu. Przypomina pan sobie zeznanie ojca Filibina, jak niejasno mówił o kartce z podpisem pańskiego brata, podobnym do podpisu na tym oto papierku? Tajemnica spowiedzi rzekomo nie pozwalała mu na dokładniejsze wyjaśnienia. Jestem przekonany, że czynił wówczas aluzję do listu wręzonego w ostatniej chwili prezesowi Gragnon. i dlatego podejrzewam tu fałszerstwo. Wszelako są to tylko przypuszczenia, dociekania, a nam potrzeba dowodu... Jeżeli nawet na razie zadowolimy się materiałem, jakiego nam dostarczy ten egzemplarz opatrzony stempelkiem i podpisem bardziej czytelnym, wciąż przecie stoimy wobec sprawy niepokojąco ciemnej. Nie bardzo można sobie wytłumaczyć, w jaki sposób taki arkusik znalazł się w kieszeni zakonnika w momencie zbrodni, ale to już pomijam; bardziej niepokoi mnie sprawa zniknięcia owego różka, gdzie musiała znajdować się pieczętka; chciałbym spróbować go odszukać, zanim zaczniemy działać. Przewiduję bowiem wszystkie argumenty, jakie wytoczą przeciwnicy usiłując pogmatwać sprawę.

Marek popatrzył nań ze zdziwieniem. – Jak to odnaleźć ten rożek? Byłby to jakiś niezwykle przypadek. Wszak przypuszczaliśmy nawet, że to ten nieszczęsny chłopaczek wyrwał go zębami.

– Nie, to nie jest prawdopodobne – odparł Delbos. – Zresztą znaleziono by strzępek na podłodze. Skoro nic nie znaleziono, to znaczy, że rożek został oddarty umyślnie. I tu znów występuje ojciec Filibin, gdyż Mignot przypomina sobie, że arkusik początkowo był cały, a po chwili ku swemu zdumieniu ujrzał go w rękach zakonnika już uszkodzony. Nie ulega wątpliwości: oddał go, gdy chór dziło o ratowanie winnego... Oto dlaczego chciałbym mieć pełny dowód, ten strzępek papieru przez niego zabrany.

Z kolei Dawid zawołał ze zdziwieniem:

– Myśli pan, że go zachował? – Oczywiście. W każdym razie uważam to za możliwe. Ten Filibin to milczek, człek ogromnie zręczny mimo pozory ociężałości. Powinien był zachować ten oddarty rożek dla własnej obrony i po to, żeby trzymać w szachu współników. Zaczynam podejrzewać; że był główną sprę – żywą tej niegodziwej machinacji; nie mogę tylko dociec, z jakich pobudek. Może przez wierność swemu zwierzchnikowi, ojcu Crabot, łączy ich przeciw przestępstwo: ta mętna sprawa dotacji Valmarie; a może po prostu jako bojownik wiary pracuje w ten sposób ku zbawieniu Kościoła. To straszny człowiek, człowiek woli i czynu, a obok niego brat Fulgencjusz, pusty i hałaśliwy, wcielenie głupiej próżności.

Marek zadumał się.

– Ojciec Filibin, ojciec Filibin... Tak, oceniałem go z gruntu fałszywie. Nawet po procesie miałem go jeszcze za człowieka zacnego, naturę szorstką wprawdzie, ale prawą, spaczoną przez środowisko... Tak, tak, to on ponosi najcięższą winę, on, ten straszny fabrykant fałszerstw i kłamstw!

Dawid zaczął znów wypytywać adwokata:

– Załóżmy, że zachował ten rożek. Ale chyba się pan nie spodziewa, że go odda na pańskie żądanie?

– O, nie – zaśmiał się adwokat. – Ale zanim podejmiemy krok stanowczy, chciałbym się zastanowić, rozważyć, czy nie możemy zdobyć jakiegoś niezbitego dowodu. Przy tym wniesienie prośby o rewizję procesu to rzecz bardzo poważna, nie można tutaj nic pozostawić przypadkowi. Trzeba zgromadzić wszystkie dane. Proszę o kilka dni zwłoki, może nawet o dwa lub trzy tygodnie; potem zaczniemy działać.

Zaraz nazajutrz Marek z zachowania się żony wywnioskował, że „te panie” musiały już zrobić swoje i że cała Kongregacja, od ojca Crabot począwszy, a na ostatnim braciszku skończywszy, została przestrzeżona. W mgnieniu oka sprawa odżyła. Do Marka dobiegały głuchoe odgłosy wzrastającej paniki. Kiedy uprzedzono winnych – brata Fulgencjusza, ojca Filibina oraz samego ojca Crabot – że znalazł się egzemplarz wzorka kaligraficznego, ci natychmiast wznowili swą kampanię. Widzieli bowiem., że rodzina skazanego docierała do

prawdy i z godziny na godzinę oczekiwali doniesienia na brata Gorgiasza. Usiłowali tedy dawną zbrodnię osłonić nowymi. Wyczuwali, że ta misterna budowla niegodziwości, tak pracowicie wznoszona i dotychczas tak zaciekle przez nich broniona, znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie; gotowi byli do najgorszych czynów, byle ją ocalić, gdyż przeznaczeniem kłamstwa jest rodzić dalsze, coraz to nowe, bez końca. I nie chodziło im tylko o własną skórę; od ich zwycięstwa miało zależeć wręcz ocalenie Kościoła. Gdyby runął ów stos nikczemności, czyż nie pogrzebałby Kongregacji? Oznaczałoby to upadek i zamknięcie szkoły zakonnej, rehabilitację i tryumf szkoły świeckiej; śmiertelny cios otrzymałby handel prowadzony przez kapucynów, którzy musieliby poprzestać na śmiesznie małych dochodach z ofiar czcicieli świętego Antoniego Padewskiego; kolegium w Valmanie byłoby zagrożone, a jezuici zmuszeni do opuszczenia kraju, w którym nadal potajemnie nauczali; wpływ katolicyzmu osłabłby jeszcze bardziej, rozszerzyłaby się wyrwa w boku Kościoła, wolna myśl ruszyłaby naprzód, oczyszczając drogę ku przyszłości. Toteż cała armia klerykalna skupiła się, aby stawić rozpaczliwy opór, aby nie ustąpić ani pędzi tych terenów błędu i cierpienia, gdzie od wieków szerzyła ciemnotę.

Przełożeni uznali za konieczne podjąć obronę brata Gorgiasza, zanim jeszcze wykryto jego winę. Trzeba go było za wszelką ceną osłonić, uprzędzić atak, ukuć mu pancerz niewinności. Niemniej w pierwszym momencie powstał wielki popłoch, widziano braciszka, jak nieprzytomnie uganiał na długich, chudych nogach po ulicach Maillebois i po okolicznych drogach. Ze swym orlim nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i czarnymi oczami, głęboko osadzonymi pod czarną brwią, spłoszony i pełen szyderstwa, przypominał drapieżnego ptaka. Tegoż dnia widziano go, jak szedł gościńcem do Valmarie, potem jak wycho – dził od burmistrza Philisa, wreszcie jak wysiadał z pociągu, który go przywiózł z Beaumont. Nadto spotykano w mieście i po wsiach wielu księży i zakonników, których nerwowa bieganina świadczyła o prawdziwej panice. Dopiero nazajutrz wyjaśniła się przyczyna tego poruszenia: „Le Petit Beaumontais” ogłosił artykuł, w którym przypomniał sprawę Simona i oznajmiał z oburzeniem, że stronnicy podłego Żyda znowu zamierzają wzniecić zamęt w okolicy, denuncjując czcigodnego mnicha, najświętobliwszego z ludzi. Nie wymieniano jego imienia, choć od tej chwili artykuły na ten temat pojawiały się już codziennie. W ten sposób rozpowszechniono wersję ułożoną przez przełożonych brata Gorgiasza, wersję zupełnie sprzeczną z tą, którą podawał Dawid, a którą przewidziano, zanim ją jeszcze ujawnił. Chodziło o to, by ją zawczasu obalić. Zakonnicy z miejsca przeczyli wszystkiemu: brat Gorgiasz nie mógł się zatrzymać przed oknem Zefiryńka, ponieważ świadkowie stwierdzili, iż był w domu z powrotem już o godzinie pół do jedenastej; podpis na wzorku nie należał do niego, gdyż eksperci ustalili kategorycznie, że to pismo Simona. Sprawa tedy była jasna: Simon, zaopatrzwszy się we wzorek kaligraficzny, podrobił podpis brata Gorgiasza figurujący w zeszycie Zefiryńka. Następnie, wiedząc, że wzory były stemplowane, z iście szatańską przebiegłością oddarł różek, aby później położono to na karb

przebiegłości mordercy.

A miał w tym wszystkim piekielny cel: zwalić zbrodnię na sługę bożego, nasycić w ten sposób swą potępiącą nienawiść ku Kościołowi. Ta nieprawdopodobna historia, powtarzana co rano w gazecie, zdobyła wkrótce wiarę oglupionych, zatrutych kłamstwem czytelników.

Jednakowoż widać było z początku pewne niezdecydowanie, próbowano sprawę wyjaśniać na różne sposoby. Sam brat Gorgiasz jakoby poczynił jakieś niepokojące zwierzenia. Niezwykła to była osobistość ten brat Gor – giasz, dotychczas ukryty w cieniu i nagle wyprowadzony na światło. Ojciec jego, Jan Plumet, był kłusownikiem, który dzięki kaprysowi dawnej właścicielki Valmarie, hrabiny de Quédeville, został łowczym. Matki brat Gorgiasz nie znał: była nią jakaś włócząca się po ulicach dziewczyna, przygodnie zatrzymana pewnego wieczora, która zniknęła zaraz po połogu. Jerzy miał dwunasty rok, kiedy stracił ojca – zastrzelił go jakiś kłusownik, dawny kompan. Chłopiec pozostał w Valmarie. Hrabina była dla niego wielce łaskawa, wybrała go na towarzysza zabaw swego wnuka, Gastona. Niewątpliwie znał dobrze okoliczności przypadkowej śmierci młodego panicza, który utonął w czasie przechadzki odbywanej pod opieką wychowawcy, ojca Filibina; musiał też być dobrze poinformowany o wszystkim, co wydarzyło się później, w chwili śmierci ostatniej dziedziczki z rodu Quedeville. i o przejściu posiadłości w ręce jej spowiednika, ojca Crabot. W każdym razie od tego czasu obydwaj zakonnicy nie przestali zajmować się chłopcem; powiadano, że ułatwili mu wstąpienie do zakonu mimo poważne przeszkody. W związku z tym złośliwi zaczęli podejrzewać istnienie jakiegoś ponurego sekretu, wiążącego dwóch zwierzchników z tym kompromitującym podwładnym. Wszelako brat Gorgiasz uchodził za wzorowego zakonnika rozumiejącego ducha Bożego prawa. Miał wiarę, tę wiarę ponurą i zajadłą, która człowieka słabego, skłonnego do grzechu oddaje w ręce absolutnego władcy, szafarza gniewu i kary. Bóg tylko jeden króluje, Kościół to tylko narzędzie jego pomsty, wszystko poza tym winno się korzyć w bezgranicznej uległości aż do dnia zmartwychwstania, w czekaniu na rozkosze królestwa niebieskiego. Brat Gorgiasz sam często grzeszył, ale za każdym razem kajał się żarliwie, bijąc się w piersi, tarzając w prochu; wstawał potem rozgrzeszony, spokojny, pełen wyzywającej pogody człowieka o czystym sumieniu. Spłacił wszystko, był bez dłu – gu – aż do następnego grzechu, do którego pchały go niebawem skłonności grzesznego dala.. Dzieckiem ganiał po lesie, kradzież była mu chlebem powszednim, wtedy też gził się z dziewczynami. Później, w zakonie, ujawniły się jego niezmiernie apetyty: objadał się, upijał, trawiła go lubieżność, łatwo się unosił. Ale kiedy ojciec Filibin i ojciec Crabot wyrzucali mu, że za daleko się posuwa w swych wybrykach, odpowiadał z miną uniozoną, lecz zarazem drwiącą i jakby z pogrózką: czyż nie grzeszą wszyscy? czy tylko on jeden potrzebuje przebaczenia? Śmieszył ich, a jednocześnie terroryzował, zawsze znajdował u nich łaskę – tak wielką i szczerą zdawała się jego skrucha, gdy sam skazywał się na całotygodniowe posty i dobrowolnie nosił na podbrzuszu włosienicę nabijaną gwoździami.

Z tych właśnie względów zawsze miał dobrą markę u przełożonych, uznawali bowiem prawdziwie religijnego ducha w tym zakonniku, który wysoki rozpiętych nałogów okupywał mściwym biczem pokuty. W pierwszych rozmowach z redaktorami „Le Petit Beaumontais” brat Gorgiasz miał nieostrożność zanadto się rozgadać. Najwidoczniej przełożeni nie narzucili mu jeszcze zmyślonej przez siebie wersji morderstwa, sam zaś był zbyt rozumny, aby nie wyczuć jej zupełnego bezsensu. Od chwili wykrycia nowego wzorka z podpisem wydawało mu się niedorzecznością zaprzeczać, że to jego pismo. Co do tego punktu żaden ekspert na świecie nie zdołałby przyćmić oślepiającej oczywistości. Puścił tedy w obieg własną, rozsądniejszą wersję, w której wyznał część prawdy: że przystanął na chwilę przed oknem Zefiryńka, gawędził przyjacielsko z małym kaleką i zburczał go nawet, zauważywszy na stole wzorek kaligraficzny, bez pozwolenia zabrany ze szkoły. Dalszy ciąg już był skłamany: po jego odejściu dziecko zamknęło okno; wtedy przyszedł Simon i popełnił ohydny zbrodnie, przy czym szatan podszeptał mu nagle, aby użył wzorka kaligraficznego jako knebla: potem Simon otworzył okno, aby stworzyć pozory, iż morderca tamtędy uciekł. Ale ta wersja, którą gazeta podała początkowo jako pochodzącą z całkiem pewnego źródła, zaraz nazajutrz została stanowczo zdementowana, i to przez samego brata Gorgiasza, który w tym celu osobiście udał się do redakcji. Mnich przysiągł na Ewangelię, że w wieczór, kiedy popełniono zbrodnie, powrócił do domu nie zatrzymując się nigdzie po drodze oraz że podpis jest sfałszowany, jak tego dowiedli eksperci. Aby sobie zapewnić poparcie i ratunek ze strony przełożonych, musiał zgodzić się na ukutą przez nich wersję. Uczynił to klnąc i wruszając ramionami – tak była niedorzeczna. Niemniej wypadło mu pokornie przyjąć ją, chociaż wiedział, że się ona długo nie osto. Brat Gorgiasz był w tej chwili naprawdę piękny w owej szyderczej bezczelności, w tym bohaterskim kłamstwie. Czyż nie miał za sobą Boga? Czyż nie dla zbawienia Kościoła świętego kłamał, pewny, że rozgrzeszenie zmyje jego winy? Rojły mu się nawet palmy męczeństwa, każda zbożna nikczemność miała mu zapewnić radość w niebiesiech. Odtąd był już tylko uległym narzędziem w rękach brata Fulgencjusza, za którym w ukryciu działał ojciec Filibin, dyskretnie kierowany przez ojca Crabot. Taktyka ich polegała na zaprzeczaniu wszystkiemu, nawet samej oczywistości – w obawie, by najmniejsza szczyba w świetnym murze klasztornym nie pociągnęła za sobą niechybnej ruiny. Ich bezsensowna wersja mogła się wydać głupią umysłem logicznie rozumującym, co nie przeszkadzało, że długo jeszcze była jedyną prawdą dla ogłupionego tłumu wiernych, w stosunku do którego pozwalali sobie na wszystko, znając jego bezgraniczną, bezdenną łatwowierność.

W ten sposób Kongregacja przystąpiła do ofensywy, nie czekając na grożącą bratu Gorgiaszowi denuncjację. Brat Fulgencjusz, kierownik szkoły, wykazał przy tym gwałtowną gorliwość. Zdawało się, że w momentach wielkiego wzruszenia odradza się w nim ojciec, lekarz psychiatra zmarły w domu wariatów. Ze swym porywczym charakterem i mętnym umysłem,

dawał się ponosić pierwszemu impulsowi za podszeptem dziwacznej ambicji i próżności, marząc o oddaniu Kościołowi jakiejś wspaniałej przysługi, co by go wysunęła na czoło w zakonie. Toteż od czasu gdy wybuchła sprawa zbrodni, postradał resztki zdrowego rozsądku: zgubiła go nadzieja znalezienia tu oczekiwanej sławy; a kiedy sprawa wypłynęła z powrotem, szalał znowu. Było go ciągle pełno na ulicach Maillebois. mały, czarny, o wyglądzie niepozornym a przebiegłym, pędził z rozwianymi połami sutanny, jakby gnany wichurą. Namiętnie bronił swej szkoły, Boga wzywał na świadka anielskiej czystości braciszków, swoich pomocników. Krążące niegdyś okropne pogłoski, jakoby dwaj zakonnicy zostali haniebnie skompromitowani, tak iż musiano ich co rychlej usunąć ludziom sprzed oczu, określał jako diabelskie wymysły. I nawet w końcu może sam począł wierzyć w te zapalczywie głoszone kłamstwa, tak całkowicie żył w innym świecie, poza granicami zdrowego rozsądku. Jednakże wciągnęły go owe żarna kłamstwa, musiał nadal kłamać, teraz już czyniąc to świadomie, z jakimś zbożnym zapamiętaniem, kłamiąc przesadnie z miłości do Boga. Czyż on sam nie jest czysty? Czy nie walczył zawsze przeciw niezdrowym pokusom? Uznał tedy sobie za obowiązek przysięgać, że w zakonie panuje nieskalana czystość, ręczył za słabszych braci; świeckim nie przyznawał prawa sądenia ich: ci są tylko stadem, któremu nic do świątyni. Jeśli brat Gorgiasz zgrzeszył, rachunek z tego zda jedynie Bogu, nie ludziom. Jako duchowny nie podlega sprawiedliwości ziemskiej. I brat Fulgencjusz, pożerany pragnieniem przodowania, nieznacznie kierowany wprawną ręką, głosił to wszystko, ściągając odpowiedzialność na siebie. Nie trudno było się domyślić, że stoi za nim ojciec Filibin, będący z kolei narzędziem ojca Crabot. A jakież to było narzędzie! gibkie i mocne zarazem, nawet w posłuszeństwie zachowujące swoje właściwości! Świadome, z afektacją podkreślał swe chłopskie pochodzenie, udawał prostacką dobroduszość wieśniaka ledwo oderwanego od gleby; był przy tym niezwykle przebiegły i cierpliwy w realizowaniu dalekosiężnych planów, które przeprowadzał z niebywałą pewnością ręki. Zawsze dążył do jakiegoś ciemnego celu, ale bez hałasu, bez ambicji osobistej, doznając w tym jedynie cierpkiej radości samotnika na widok sukcesu swego dzieła. Może miał szczerą wiarę i gotów był wtedy bić się jak bezimienny szeregowiec, bez skrpułów, wyłącznie z potrzeby służenia swym zwierzchnikom i Kościołowi. Jako kierownik kolegium w Valmarie ten ruchliwy mimo krępą kompleksję, wesoły rudy tłuścioch o potężnych barach i szerokiej twarzy nad wszystkim miał pieczę, wszystkim się zajmował, wszystko widział. Nieustannie przebywał wśród uczniów, uczestnicząc w ich zabawach, siedząc ich i nicując do głębi, wglądając nawet w stosunki rodzinne i koleżeńskie; był okiem, co wszystko widzi, umysłem przenikającym mózgi i serca. Mówiono, że zamykał się z ojcem Crabot, rektorem, którego stylem było kierowanie zakładem z wyżyny, bez zajmowania się wychowawcami bezpośrednio; ojciec Filibin pokazywał mu notowane przez siebie oceny, sprawozdania, akta każdego z uczniów z najdrobniejszymi, najbardziej osobistymi szczegółami. Powiadano nawet, że ojciec Crabot, trzymający się przezornej zasady niszczenia wszelkich

papierków, nie pochwałił tej metody gromadzenia i katalogowania dokumentów. Jednakże tolerował to z uwagi na wielkie przysługi, jakie mu wyświadczał ojciec Filibin; siebie uważał za dłoń kierującą, za wyższy umysł, a tamtego za swoje narzędzie. Czyż, zamknięty w swej surowej celi, nie królował nad wy – tworną sosjetą w całej okolicy dzięki wielkoświatowym sukcesom? Czy spowiadane przezeń damy, rodziny, których dzieci kształcił, nie należały do niego dzięki wszechmocy jego świętego stanu? Chętnie się, iż to on snuje wielką sieć, w którą spodziewa się zagarnąć cały okręg, gdy w rzeczywistości pracował nad tym ojciec Filibin, potajemnie przygotowując natarcia i torując drogi do zwycięstwa. Ten był niejako główną ukrytą sprężyną, zwłaszcza w sprawie Simona; nie zrażała go żadna robota, chociażby najbardziej nikczemna i podstępna; był politykiem; mógł bez wstępu przyjaźnić się nadal z dawnym zdeprawowanym wyrostkiem, co za dużo wiedział, z dzisiejszym strasznym bratem Gorgiaszem. Obserwował jego życie, wspierał go jako osobnika równie niebezpiecznego, jak użytecznego, i mozolił się nad wydobyciem go z okropnej awantury, aby nie runąć razem z nim i ze swym zwierzchnikiem, potężnym ojcem Crabot, chlubą Kościoła. W Maillebois znowu rozgorzały namiętności. Zrazu obiegały miasto niewyraźne wieści: to Kongregacja siała postrach rozgłaszając, iż Żydzi podejmują zbrodnicze kroki, zmierzające do wybielenia nikczemnika Simona, a oczernienia szlachetnego brata Gorgiasza, człeka świątobliwego, poważanego w całej okolicy. Rozwinięto ożywioną agitację wśród rodziców uczniów, skłaniając do wyrażenia protestu nawet tych, których dzieci chodziły do szkoły świeckiej. Wszyscy tak się zachowywali, jak gdyby jakaś tajemnicza szajka zbrodniarzy, wrogów Boga i Francji, podminowała ulice i pewnego dnia, na dany z zagranicy znak, miała wysadzić w powietrze wszystkie domy. Mer Philis, na posiedzeniu rady miejskiej pozwolił sobie na aluzję do nieokreślonego niebezpieczeństwa, jakoby zagrażającego miastu; wyjawiał nawet, iż temu diabelskiemu dziełu służy żydowskie złoto: jakaś tajemnicza szkatuła, w której gromadzą się miliony. Wypowiadając się wyraźniej, począł piętnować bezbożne poczynania nau – czyciela, tego Marka Froment, od którego jeszcze nie zdołał uwolnić swych współobywateli. Ciągłe miał go na oku; teraz spodziewał się nareszcie zmusić inspektora szkół wyższych do wymierzenia mu przykładowej kary. Wersje kolejno po sobie następujące na łamach „Le Petit Beaumontais” wywołały zamęt w umysłach. Była tam mowa o jakimś dokumencie znalezionym u pań Milhomme, właścicielek papeterii; ale jedni uważali to za jeszcze jedno okropne fałszerstwo dokonane przez Simona, inni natomiast – za druzgocący dowód współwiny ojca Crabot. Jedno było pewne: to, że generał Jarousse ponownie odwiedził swą kuzynkę panią Edwardową, ową ubogą krewną, o której istnieniu chętnie zapominał... Pewnego poranka ujrzano go, jak przyjechał, wpadł do sklepu, a po pół godzinie wyszedł z rozognionym obliczem. Rezultatem tej burzliwej wizyty był – nazajutrz – wyjazd na Południe pani Aleksandrowej z synem Sebastianem, rekonwalescentem po dopiero co przeżytym tyfusie. Pani Edwardową zaś pozostała wraz z synem Wiktoorem, w dalszym ciągu zarządzając papeterią

ku zadowoleniu klerykalnej klienteli. Wyjazd bratowej tłumaczyła macierzyńską troskliwością. Zresztą, dla dobra interesu gotowa była w każdej chwili ściągnąć ją z powrotem, w razie gdyby szkoła świecka wyszła zwycięsko z wielkiej batalii.

Wśród pomruków, co zapowiadały mającą się rozpętać gwałtowną burzę, Marek dokładał starań, aby wypełniać nienagannie swe obowiązki nauczyciela. Sprawa była teraz w rękach Dawida; czekał tedy, gotów wspomóc go swoim zeznaniem. Nigdy jeszcze nie był tak całkowicie oddany swym uczniom, dziatwie, którą pragnął wychować na ludzi rozumnych i dobrych, jak gdyby czynny udział w naprawieniu jednej z najohydniej szych niegodziwości tego stulecia rozpałił go jeszcze bardziej do cudownej idei zbratania wszystkich ludzi. Z Genowefą Marek nie wszczynał sporów o to, co rozluźniło ich związek; był dla niej bardzo czuły, zdawał się pochłonięty wyłącznie drobnymi, a tak zawsze ważnymi sprawami życia codziennego. Ilekroć żona powracała od „tych pań”, wyczuwał jej zdenerwowanie, zniecierpliwienie, wzrastającą agresywność w stosunku do niego; widać było, iż głowę ma nabitą opowieściami, których się nasłuchiwała u jego wrogów. Marek nie zawsze zdołał unikać kłótni, które, stopniowo nasycane jadem, stawały się zabójcze.

Wreszcie pewnego wieczora wojna wybuchła: powodem jej stał się nieszczęsny Férou. W ciągu dnia doszła Marka tragiczna wiadomość o dokonanym na nim morderstwie: Férou zginął, zastrzelony z rewolweru przez policjanta, któremu stawiał opór. Marek udał się do pani Férou. Zastał ją we łzach; wzywała śmierci, aby zabrała ją wraz z dwiema młodszymi córkami, jak to już litościwie uczyniła ze starszą. To, co się stało, było strasliwym a logicznym epilogiem: biedny, poniewierany nauczyciel, którego rozgoryczenie doprowadziło aż do buntu, usunięty ze swego stanowiska dezertuje, aby dłużej, częściowo spleaconego służbą w szkole, nie splecać w koszarach, a potem, zwyciężony głodem, siłą wcielony do wojska, kiedy powrócił na rozpaczliwe wezwanie swych bliskich, kończy jak wściekły pies, w mękach, tam, pod rozpalonym niebem, zaznawszy udręczeń kompanii karnej. Stojąc przed zalaną łzami kobietą i dwoma ogłupiałymi dziewczátkami, w obliczu tych rozbitków zepchniętych na dno nędzy przez niesprawiedliwość społeczną, Marek poczuł, jak wzbiera w nim uczucie ludzkiego braterstwa, jak rodzi się gwałtowny protest.

Jeszcze wieczorem nie mógł się uspokoić i wszczął o tym rozmowę z żoną, która krzątała się po ich wspólnym pokoju przed odejściem do sąsiedniej izdebki, gdzie obecnie sypiała.

– Wiesz, co się stało? W czasie rozruchów w Algierze jakiś sierżant rozwalił czaszkę nieszczęsnemu Férou. – Ach!

– Po południu widziałem się z panią Férou; szaleje z rozpacz... Jest to z pewnością świadome, rozmyślnie morderstwo. Wątpię, czy generał Jarousse, co się okazał tak nieubłagany w jego sprawie, będzie dzisiejszej nocy spał spokojnie. Ma on na rękach trochę krwi tego biednego szaleńca, którego zaszczuto jak dzikie zwierzę.

Genowefa, jak gdyby dotknięta w swych przekonaniach, odpowiedziała z miejsca:

– Generał okazałby zbyt wrażliwe serce, gdyby miał nie spać z tego powodu. Férou nie mógł skończyć inaczej.

Markiem wstrząsnął bolesny odruch oburzenia. Ale zapanował nad sobą, żałując, iż w ogóle wspomniał generała, jednego z najukochańszych penitentów ojca Crabot. Chciano mu nawet kiedyś powierzyć przygotowanie wojskowego zamachu stanu. Generał, pono bonapartysta, człek okazałej tuszy, był nader surowy względem podkomendnych; w gruncie usposobienie miał wesołe, był amatorem smacznego jadła oraz kobietek, co sprawie nic nie szkodziło, lecz rozmowy z nim wykazały stanowczo, że jest zbyt głupi. Kościół trzymał go jeszcze w odwodzie, nie mając pod ręką lepszego poplecznika.

Marek podjął łagodnie:

– Poznaliśmy w Moreux rodzinę Férou tak biedną, tak przytłoczoną pracą i troską w ich nędznej szkole. Kiedy teraz myślę o tym człowieku, ściganym i ubitym jak wilk, serce mi się ściska jakimś bezgranicznym niepokojem i litością.

Na te słowa Genowefa, wzburzona, zdenerwowana do ostateczności, zalała się łzami.

– Tak, tak, doskonale rozumiem, co masz na myśli: ja jestem bez serca, prawda? Kiedyś uważałeś, że jestem głupia, teraz już uważasz, iż jestem niedobra. Jakże możemy się jeszcze kochać, jeśli mnie traktujesz jak kobietę głupią i złą? Próbowałem ją uspokoić, zdumiony i zgnębiony, że doprowadził do tego wybuchu. Ałeona mówiła z rosnącą pasją:

– O, nie, nie, między nami już skończone! Skoro z każdym dniem jestem ci coraz bardziej nienawistna, lepiej będzie, gdy się rozstaniemy natychmiast, nie czekając, aż dojdzie do scen niegodnych nas.

Po czym gwałtownie przeszła do swojej sypialni i zamknęła się tam, stanowczym gestem przekręciwszy klucz. Marek stał, zrozpaczony, ze łzami w oczach, przed tymi zamkniętymi drzwiami. Dotychczas co noc pozostawały one szeroko rozwarte, a oni rozmawiali; byli wciąż jeszcze razem, chociaż sypiali osobno. Z tą chwilą nastąpił zupełny rozdział, mąż i żona mieli się stać dla siebie obcy.

Następnych nocy Genowefa uparcie zamykała się w swym pokoju. Z biegiem czasu tak to weszło w zwyczaj, iż Markowi ukazywała się już ubrana i uczesana, jak gdyby ją krępowała najdrobniejsza poufałość, chociażby tylko w ubiorze. Już od siedmiu miesięcy była w ciąży; skorzystała więc ze swego stanu, aby przerwać wszelkie więzy małżeńskie; w miarę jak się zbliżał moment rozwiązania, wzrastał w niej wstęt do pieśczoć, wzdrygała się przed najlżejszym kontaktem, niespokojna i ponura, ona, tak niegdyś czuła i namiętna. Marek, zdziwiony, początkowo kładł to na karb swoistych dziwactw związanych niekiedy z ciążą. Podporządkowywał się zresztą życzeniom żony i traktował ją z braterską wprost serdecznością, czekając, by się w niej na nowo zbudziło pożądanie. Z rosnącym zdumieniem stwierdzał, iż

uczucia żony urastają do wstrętu, niemal do nienawiści, spodziewał się bowiem, że przeciwnie, narodziny jeszcze jednego dziecka powinny by przybliżyć ją do męża, zespolić ich jeszcze ściślej. Skądinąd wzmagał się jego niepokój, bo wiedział, jakim niebezpieczeństwem grożą kłótnie, nieporozumienia towarzyszące separacji od łoża; dopóki bowiem kobieta i mężczyzna spleceni są wzajemnym uściskiem, stanowią jedno ciało – zerwanie jest niemożliwe; najbardziej sporne sprawy topnieją co noc w żarze pocałunków; lecz z chwilą gdy się uścisk rozluźnia, kiedy małżonkowie godzą się z myślą o rozwodzie, najdrobniejszy konflikt staje się śmiertelny, pojednanie jest niemożliwe. Nieraz rozbicie i klęska jakiegoś małżeństwa, niespodziane i niezrozumiałe, ma właśnie za przyczynę zerwanie stosunków fizycznych, bezpowrotnie potargany związek cielesny. Dopóki Genowefa z miłością i pożądaniem obejmowała go za szyję, Marek nie lękał się kampanii, którą prowadzono, by mu ją odebrać. Wiedział, że żona należy do niego i że żadna w świecie siła nie pokona wszechmocnej miłości. Ale teraz, jeśli go już nie kocha, jeżeli go nie pragnie, czyż mu jej nie wyrwą wściekłe wysiłki, podejmowane przez jego przeciwników? W miarę jak chłodziła w stosunku do niego, wyczuwał możliwość katastrofy i nieszczęsne jego serce ścisnęło się rosnącym nieznośnym niepokojem.

Pewien fakt na chwilę rozświetlił Markowi zawiły problem tej ubóstwianej przez niego kobiety, która miała ponownie zostać matką, a jak mu się zdawało, przestała już być kochanką. Oto dowiedział się, że Genowefa zmieniła spowiednika: opuściła łagodnego kapłana, księdza Quandieu, i przeniosła się do ojca Teodozjusza, przeora kapucynów, apostoła świętego Antoniego Padewskiego, i umiającego doskonale reżyserować cuda. Przyczyną tej zmiany był rzekomo stan niepokoju, nienasyconego głodu, w jakim penitentkę utrzymywał proboszcz z Św. Marcina, zbyt „letni” teraz, jak” na jej płomienną wiarę. Urodziwy, pełen zapалу ojciec Teodozjusz miał ją karmić życiodajnym chlebem mistycznym, którym pragnęła się pokrzepić. W rzeczywistości zadecydował o tej zmianie ojciec Crabot, wyrocznia „tych pań”, a uczynił to niewątpliwie w celu przyspieszenia pewnego już zwycięstwa – po tak długim a przemyślnym przygotowaniu. Markowi nie przyszło nawet na myśl podejrzewać Genowefę o ja – kąś brudną intrygę z dostojnym kapucynem, tym ciemnowłosym Chrystusem, którego wielkie, płonące oczy i kędzierzawa broda wywoływały dreszcze zachwyty u dewotek. Wiedział, że nie pozwoli na to jej prawy charakter, jej godność, ta godność cielesna, którą w niej wyczuwał nawet w upojnych momentach całkowitego poddania się. Ale nie posuwając się aż tak daleko, czyż nie można było, stwierdzając potężniejszy wpływ ojca Teodozjusza na tę młodą kobietę, przypuścić, że w pewnym stopniu uległa ona urokowi pięknego mężczyzny, człowieka, co stał się Bogiem, co przemawiał z boskim autorytetem?

Po nabożnych rozmowach, a szczególnie po długich zwierzeniach w konfesjonale wracała do męża rozdygotana, na pół przytomna; nigdy nie zauważył, aby w takim stanie przychodziła od księdza Quandieu. Z pewnością budziła się w niej jakaś mistyczna namiętność, tam mogła

zaspokoić swój głód miłości, tam znalazła coś, co jej zastępowało małżeńskie pieczyoty w tym okresie rozdrażnienia spowodowanego ciążą. Być może mnich potępił w tej klęczącej obok niego kobiecie jej macierzyństwo, terroryzował ją myślą o dziecku potępieńca, które nosiła w łonie. Kilkakrotnie, opanowana jakimś przerażeniem, wspomniała z rozpaczą o biednej małej istotce, co się miała narodzić – jak to się nieraz zdarza matkom, nękanym trwogą, że wydadzą na świat potwora. A jeżeli się urodzi dziecko normalne, jakże je ustrzec od otaczającego grzechu, dokąd zabrać, aby wyrwać ze skalanego świętokradztwem domu ojca? Rzuciło to trochę światła na sprawę żądanej przez Genowefę separacji fizycznej: były tu niewątpliwie wyrzuty sumienia, że poczęła dziecko bezbożnika, przysięga, że już nigdy nie będzie rodzić, miłość wypaczona, rozpaczliwa, szukająca teraz zaspokojenia poza pożądaniem cielesnym. A przecie, ileż jeszcze niejasności! Marek srodze cierpiał nie mogąc ich rozwikłać i czując zarazem, że ukochana kobieta wymyka mu się z każdą godziną, że Kościół mu ją odbiera, żeby, zadając ten cios, unicestwić go, a wraz z nim jego dzieło wyzwolenia ludzkości.

Pewnego razu, odbywszy jedną z długich rozmów z ojcem Teodozjuszem, Genowefa, z wyrazem uniesienia, a jednocześnie złamana, zwróciła się do Ludwiki, która właśnie przyszła ze szkoły:

– Jutro o piątej pójdziesz do spowiedzi do kapucynów. Jeżeli się nie wypowiadasz, nie będziesz mogła dłużej chodzić na naukę katechizmu.

Marek stanowczo się temu sprzeciwił. Godził się na katechizację, ale dotychczas nie pozwalał, by Ludwiczka się spowiadała.

– Ludwiczka nie pójdzie do kapucynów – oświadczył dobitnie. – Jak wiesz, moja droga, ustępowałem we wszystkim, ale na spowiedź się nie zgodzę.

Panując jeszcze nad sobą Genowefa spytała:

– A czemuż to nie chcesz się zgodzić?

– Nie mogę tego powiedzieć przy dziecku. Ale wiesz, co mnie do tego skłania: nie życzę sobie, aby brukano umysł mojej córki pod pretekstem odpuszczania jej dziecinnych przewinień; wystarczy, że rodzice będą je znali i skarcą dziecko.

Marek wyjaśnił żonie swoje stanowisko: uważał, że wstrętne jest owo wtajemniczenie małej dziewczynki w sprawy podniet cielesnych za pośrednictwem mężczyzny, który wskutek swego ślubu wstrzeźliwości może ulegać wszelkim odruchom niezdrowej ciekawości, wszelkim zboczeniom seksualnym. Wystarczy, aby na dziesięciu kapłanów roztropanych znalazł się jeden wykolejeniec, a spowiedź staje się czymś wręcz plugawym, i od tego niebezpieczeństwa pragnie swoją Ludwiczkę ustrzec. No i całe to drażniące zbliżenie, ten tajemniczy dialog szeptyany w półmroku, w mistycznej, drażniącej atmosferze kaplicy; stanowiło to nawet coś więcej niż zniewagę i możliwość demoralizacji dla małej dwunastoletniej kobietki przeżywającej niespokojny okres budzenia się zmysłów. Był to akt zawładnięcia młodziutkim dziewczątkiem,

przyszłą kochanką i matką, którą sługa boży na zawsze wtajemniczał i pozbawiał dziewictwa myśli. Pytaniami swymi gwałcił jej wstydlivość zaślubiając ją w ten sposób swemu zawistnemu Bogu. Odtąd, dzięki powierzonym mu tajemnicom, była własnością spowiednika, drżąca przed nim i posłuszna, zawsze gotowa być w jego rękach narzędziem wywiadu i poddaństwa.

– Jeśli nasza córka zgrzeszyła – powtórzył Marek – wypowiada się przed tobą lub przede mną, kiedy odczuje tego potrzebę. Będzie to i logiczniejsze, i przyzwoitsze.

Genowefa wzruszyła ramionami na znak, iż takie rozstrzygnięcie uważa za bluźniercze i śmieszne.

– Biedny Marku, nie chcę już dyskutować z tobą. Powiedz mi tylko, jak Ludwiczka może przystąpić do pierwszej komunii, jeżeli zabraniasz jej iść do spowiedzi?

– Do pierwszej komunii? Czyż nie było postanowione, że zaczeka aż będzie miała dwadzieścia lat, aby samodzielnie o tym zdecydować? Pozwoliłem jej uczęszczać na lekcje katechizmu tak samo jak na historię czy inne przedmioty, po prostu po to, aby poznała te sprawy i mogła sobie później wyrobić pogląd i dokonać wyboru.

Wówczas Genowefa uniosła się gniewem. Zwróciła się do dziecka:

– A ty, Ludwiczko, jak myślisz? Czego chcesz?

Dziewczynka o wesołej, a już poważnej twarzy przysłuchiwała się rozmowie, znieruchomiła między ojcem a matką. Ilekroć wybuchały podobne sprzeczki najwidoczniej zmuszała się do neutralności, w obawie by ich nie zaostrzać. Wodziła rozumnymi oczami od jednego do drugiego z rodziców, jak gdyby błagając, aby się wzajemnie nie dręczyli z jej powodu, zrozpaczona, że jest wieczną przyczyną niesnasek. Była nadal bardzo uległa i tkliwa wobec matki, lecz ta wyczuwała, iż dziewczynka skłania się na stronę ojca, którego uwielbia i po którym odziedziczyła zdrowy rozsądek oraz pasję do prawdy i sprawiedliwości.

Ludwiczka patrzyła na nich jeszcze chwilę, zgnębiona, z wyrazem wielkiej miłości, po czym odezwała się cicho:

– Co myślę, czego chcę, mamó? Ach! najchętniej myślałabym tak jak wy oboje i pragnęłabym tego, czego wy pragniecie... Czy życzenie tatusia wydaje ci się aż tak nierozsądne? Czemu nie poczekać trochę?

Zirytowana matka nie mogła dłużej tego słuchać.

– To nie odpowiedź, moja droga! Zostań sobie z ojcem, skoro dla mnie nie masz już ani szacunku, ani posłuszeństwa. W końcu mnie stąd przepędzicie!

Z tymi słowy odeszła śpiesznie i zaryglowała się w swoim pokoju, jak to zresztą czyniła teraz przy lada nieporozumieniu. Był to jej system zamykania sporów; i za każdym razem zdawała się odsuwać, odgradzać coraz bardziej od drogiego niegdyś ogniska domowego.

Pewne zdarzenie ostatecznie utwierdziło Marka w przekonaniu, że usiłowano wyrwać córkę spod jego wpływu. Panna Rouzair, dzięki długotrwałym a przemyślnym zabiegom, otrzymała na

koniec upragnione od dawna stanowisko nauczycielki w szkole w Beaumont. Inspektor szkół wyższych, Le Barazer, ustąpił naleganiom posłów i senatorów klerykalnych, którym z animuszem dzielnego wojaka przewodził hrabia Hektor de Sangleboeuf. Jednakże gwoli zachowania równowagi politycznej oraz z właściwej sobie przekory Le Barazer powołał na wakującą w Maillebois posadę kierowniczkę pannę Mazeline, nauczycielkę z Jonville, dawną współpracownicą Marka, który tak cenił jej jasny umysł oraz umiłowanie sprawiedliwości i prawdy. Możliwe tedy, że inspektor, zawsze skrycie popierający Marka, pragnął widzieć u jego boku sprzymierzeńca, kogoś kto by pracował dla tej samej sprawy, nie zaś bruździł mu nieustannie, jak to czyniła panna Rouzaire. Udał przeto zdumienie, gdy mer Philis ośmielił się w imieniu rady miejskiej zakwestionować decyzję powierzającą dziewczęta z Maillebois w ręce osoby niereligijnej. Czyż nie zrobił tego, czego się domagał hrabia Hektor de Sangleboeuf? Czyż można mieć do niego pretensję, skoro administracyjne przesunięcia personelu spowodowały mianowanie osoby jak najgodniejszej, na którą rodziny dotychczas nigdy się nie skarżyły?

Pierwsze poczynania panny Mazeline w Maillebois były istotnie nader fortunne. Spodobała się ogólnie dzięki swej pogodzie i macierzyńskiemu obejściu, które jej od pierwszego dnia pozyskało przywiązanie uczennic. Posiadała ujmującą łagodność i żarliwość, a starała się wychować swoje „córeczki”, jak je nazywała, przede wszystkim na dzielne kobiety, żony i matki wolne i wydające na świat wolnych ludzi. Nie prowadziła jednak dziewcząt na mszę, na procesje, na modlitwy i katechizację, tak iż Genowefa, znająca ją dobrze z czasów sąsiedztwa w Jonville, oburzała się i protestowała wraz z grupą proklerykalną. Mimo że niewiele miała przyczyn, by wychwalać pannę Rouzaire, której skryte intrygi zatruwały jej spokój domowy, zdawała się teraz żałować jej odejścia, o nowej zaś nauczycielce odzywała się jako o kobiecie podejrzanej, zdolnej do najczarniejszych knoń.

– Słyszysz, Ludwiczko, gdyby panna Mazeline mówiła wam jakieś rzeczy niewłaściwe, masz mi o tym powiedzieć. Nie chcę, żeby mi zrabowano duszę córki!

Zniecierpliwiony Marek nie zdołał powstrzymać uwagi:

– Ależ to wariactwo! Panna Mazeline rabująca dusze! Przecież podziwiałaś ją tak samo jak ja. Trudno o wznioślejszy umysł i czulsze serce.

– O, mój drogi, ty, naturalnie, popierasz ją. Jesteście doskonale dobrani. Idźże więc do niej i oddaj jej naszą córkę, skoro ja się już nie liczę. I Genowefa znowu biegła wyplakać się w swoim pokoju, a mała Ludwika musiała płakać z nią razem i godzinami błagać, zanim zdołała nakłonić matkę, do zajęcia się domem.

Wtem rozeszła się nieprawdopodobna wiadomość, która wywołała nie lada poruszenie. Oto adwokat Delbos udał się do Paryża i podjął starania w ministeriach odnosząc sławetny wzorek kaligraficzny, dostarczony przez panią Aleksandrową Milhomme. I wreszcie, dzięki nie wiadomo już czyjej wpływowej interwencji z góry, osiągnął cel: postanowiono dokonać rewizji sądowej

w Valmarie, u ojca Filibina. Co jednak było niezwykle, to fakt, iż rewizję tę przeprowadzono błyskawicznie. Komisarz policji wtargnął tam znienacka, zaczął szperać w mnóstwie papierów w gabinecie prefekta – i w drugiej z kolei otworzonej teczce natrafił na poźółkłą już kopertę, zawierającą starannie przechowany kawałek papieru, ów kawałek niegdyś oddarty. Dowód był niezbity: rozek przystawał dokładnie do uszkodzonej kartki, znalezionej na miejscu zbrodni. Dodawano, że ojciec Filibin, wypytany niezwłocznie przez swego przełożonego, ojca Crabot, przerażonego podobnym skandalem, z miejsca się przyznał. Jako jedyne wytłumaczenie podawał, że uczynił to pod wpływem jakiegoś odruchu, że widok pieczęci braci szkolnych na kartce przyprawił go o taki niepokój, iż czyn wyprzedził myśl. Jeżeli zaś zachował później milczenie, to wskutek najgłębszego przeświadczenia, że winnym był właśnie Simon, który umyślnie pozostawił na widoku ten prostacko sfalszowany dokument, niewątpliwie z intencją zaszkodzenia religii. Ojciec Filibin szczycił się tedy swym postępkami, gest jego bowiem, a następnie milczenie były bohaterstwem wynoszącym Kościół ponad sądy człowiecze. Czyż zwykły współnik zbrodni nie zniszczyłby tego skrawka papieru? A skoro go zachował, czyż to nie dowodzi, iż zamierzał wyjawić wszystko, gdy – by zaszła potrzeba? Niektórzy co prawda upatrywali w tej osobliwej nieogłębności zakonnika przejaw jego manii przechowywania wszelkich papierków, a może też chęć zapewnienia sobie obrony. Powiadano, że ojciec Grabot, który właśnie miał zwyczaj niszczyć nawet otrzymane bilety wizytowe, jest przerażony i zły o to niedorzeczne zamiłowanie do notat, kartotek i skorowidzów. Powtarzano nawet jego gniewny okrzyk w chwili zaskoczenia: „Jak to? Kazałem mu wszystko spalić, a on to zachował!” Ojciec Filibin, na którym nie ciążył jeszcze nakaz aresztowania, zniknął zresztą tegoż wieczora. Kiedy zaś pobożne dusze dowiadywały się troskliwie o jego losy, odpowiedziano im, że ojciec Poirier, prowincjał w Beaumont, zarządził wysłanie go do Włoch, w zacisze klasztorne, gdzie od razu, niby mogiła, pochłonęło go wieczyste milczenie.

Rewizja procesu Simona wydawała się teraz nieunikniona. Tryumfujący Delbos wezwał natychmiast Dawida i Marka celem ustalenia, w jaki sposób przedstawi się prośbę ministrowi sprawiedliwości. On to, Delbos, dopuszczał możliwość istnienia owego strzępka z pieczęcią szkoły braciszków i sam spowodował odnalezienie go, wydobywając nową okoliczność, wystarczającą, by obalić wyrok skazujący, wydany ongi przez sąd w Beaumont. Uważał nawet, że należy na tym poprzestać i nie poruszać na razie sprawy owej informacji bezprawnie udzielonej przez prezesa Gagnon gronu sędziowskiemu; trudno bowiem było dowieść tego, a przewód sądowy i tak z pewnością ten szczegół wyświekli. Najlepszą taktyką wydawało mu się bezpośrednio obwinienie brata Gorgiasza – teraz, gdy druzgocąc świadectwa biegłych wychodzi na jaw prawda o pochodzeniu wzorka kaligraficznego; ten dokument, ostemplowany, podpisany, był tak obciążający, że ojciec Filibin, przez to samo, że go zataił, stał się współnikiem zbrodni. Kiedy Marek z Dawidem opusz – czali mieszkanie Delbosa, decyzja była powzięta. Dawid zaraz

następnego dnia wystosował do ministra pismo zawierające formalne wskazanie winowajcy, oskarżające brata Gorgiasza o zgwałcenie i zamordowanie Zefiryńka – zbrodnię za którą jego brat, Simon, już od dziesięciu lat przebywa na katordze.

Natenczas wzburzenie dosięgło szczytu. Nazajutrz po znalezieniu w biurku ojca Filibina strzępka papieru nawet najgorliwszym poplecznikom Kościoła opadły ręce. Tym razem sprawa wydawała się przegrana i w „Le Petit Beaumontais” ukazał się artykuł piętnujący postępek jezuity. Jednakże po dwóch dniach klerykałowie opamiętali się ten sam dziennik wpadła pomysł poświęcenia kradzieży i kłamstwa, wynosząc ojca Filibina na piedestał heroizmu i męczeństwa. Publikowano jego podobizny w aureoli i z palmą w dłoni. Urosła legenda, iż ojciec Filibin przywdziawszy włosienicę modli się dniem i nocą w cichym klasztorze w Apeninach, wśród dzikich borów, czyniąc pokutę za grzechy świata. Kursowały obrazki przedstawiające go klęczącego, a na odwrocie kartki wydrukowana była modlitwa odpustowa. Grzmiące oskarżenie publiczne rzucone na brata Gorgiasza ostatecznie przywróciło klerykałom napastliwą żarliwość, zdawali sobie bowiem sprawę, że zwycięstwo Żyda niechybnie zachwiałoby Kongregację, że wywołałoby ryś w łonie samego Kościoła. Wszyscy dawni wrogowie Simona stanęli w gotowości, bardziej niż kiedykolwiek niezłomni, zdecydowani zwyciężyć lub zginąć. I walka rozgorzała ponownie, zarówno w Maillebois, jak i w Beaumont. Po jednej stronie wszystkie umysły wyzwolone, oddane prawdzie i sprawiedliwości, idące z postępem – po drugiej wszyscy reakcyjniści, czciciele władzy, czepiający się przeszłości i Boga gniewu, upatrujący zbawienie świata w sile wojska i kleru. Radni miejscy w Maillebois znów kłócili się zawzięcie o nauczyciela, w rodzinach następo – wały rozłamy, uczniowie Marka i wychowankowie braci szkół wychodząc ze szkoły obrzucali się kamieniami na placu Republiki. Szczególnie wstrząśnięte było wytworne towarzystwo Beaumont. Niepokój opętał uczestników pierwszego procesu, sędziów, urzędników, a nawet co drobniejsze płotki: lękali się kompromitacji, gdyby miano sięgnąć do zwałów potworności, ukrytych w mroku.

Salvan radował się wraz z Markiem przy każdym spotkaniu, ale iluż było takich, co nie sypiali po nocach wobec groźby wystąpienia spod ziemi wszystkich tych kłopotliwych upiórów. W przededniu wyborów działacze polityczni drżeli o swoje mandaty: radykał Lemarrois, były mer, mąż niegdyś tak niezastąpiony, patrzył z trwogą na rosnącą popularność Delbosa. Gładki Marcilly, wiecznie na czatach, wietrzący szansę zwycięstwa, tracił kontenans nie wiedząc już, czyją brać stronę. Posłowie i senatorowie reakcji – z porywczym Hektorem de Sangleboeuf na czele – stawiali rozpaczliwy opór. czując, że nadchodzi burza, co ich zmiecie. W urzędach, w administracji szkolnictwa panowało niemniejsze poruszenie. Prefekt Hennebise uzalał się, że nie może sprawy zatuszować; rektor Forbes wrzał i wylewał swą żółć na inspektora Le Barazer, który pośród tego zamętu zachowywał spokój i pogodę. Dyrektor Depinvilliers w dalszym ciągu prowadził swoje córki na mszę z taką determinacją, jak gdyby skakał w przepaść, a inspektor

Mauraisin, przerażony i zdumiony obrotem sprawy, zastanawiał się, czy nie czas wstąpić do loży masonskiej. Największe jednak poruszenie panowało w palestrze: czym jest bowiem rewizja procesu, jeśli nie nowym procesem wytoczonym pierwszym sędziom? I jakie też straszne rewelacje wydobędzie ponowne zbadanie akt przewodu sądowego? Sędzia śledczy Daix, uczciwy pechowiec, dręczony wyrzutami sumienia, że ustąpił pod naciskiem nienasyconych ambicji żony, przychodził teraz do swego gabinetu w pałacu sprawiedliwości blady i milczący. Fertyczny prokurator Raoul de la Bissonnière popisywał się natomiast doskonałym humorem i niezmaconą swobodą, w której przebijała rozpaczliwa chęć ukrycia obaw. Co się tyczy najmocniej ze wszystkich skompromitowanego prezesa Gragnon, ten jakby postarzał się nagle. Z grubą, nabrzmiałą twarzą włókł ociężałe wielkie cielsko, giął się pod niewidzialnym brzemieniem i prostował, rzucając wokół niepewne spojrzenia, kiedy czuł, że ludzie na niego patrzą. Małżonki tych panów ze swej strony znowu uczyniły swoje salony terenem intryg, przetargów i zajadłej propagandy. I cała ludność, od rodzin mieszczańskich do służby, od służby do dostawców, od dostawców do robotników, tłoczyła się w tej zawierusze powszechnego szaleństwa, unoszącej ludzi i sprawy.

Zauważono nagle usunięcie się w cień ojca Crabot, którego rosłą, wytworną postać i piękne szaty dobrze znano na przyjęciach przy Avenue des Jaffres. Przestał się tam ukazywać: i w tej potrzebie odosobnienia, o której jego przyjaciele mówili z czułością i rozrzewnieniem, upatrywano dowód dobrego smaku i głębokiej pobożności. Po zniknięciu ojca Filibina pozostawał jedynie brat Fulgencjusz, zawsze kompromitujący dla otoczenia nazbyt ruchliwy, a tak we wszystkich swych poczynaniach niezręczny, że pośród kleru poczęły kursować różne przykre pogłoski, rozpuszczane zapewne zgodnie z instrukcją w Valmarie, by pozbyć się niezdarnego braciszka. Ale istnym bohaterem, postacią niesamowitą i coraz bardziej zdumiewającą okazał się brat Gorgiasz, z niebывałą zuchwałością stawiający czoło oskarżeniu. Już wieczorem owego dnia kiedy opublikowano demaskatorski list Dawida, przybiegł do redakcji „Le Petit Beaumontais” z odpowiedzią, w której lżył Żydów i zmyślał niestworzone historie. Prawdę ozdabiał natchnionymi fałszami, zdolnymi zamącić najtęższe głowy; przy tym szydził pytając, czy nauczyciele mają zwyczaj spacerować z wzorkami kaligraficznymi w kieszeni. Przeczył wszystkiemu, co dotyczyło podpisu i pieczęci, tłumacząc, jak to Simon, który podrobił jego pismo, doskonale mógł zaopatrzyć się w pieczęć szkolną lub nawet zamówić fałszyfikat. Była to bzdura, lecz wykrzykiwał ją tak grzmiącym głosem, przy akompaniamencie tak gwałtownych gestów, że ta nowa wersja została oficjalnie przyjęta jako prawdziwa. Odtąd „Le Petit Beaumontais” już się nie wahał: uznał bajeczkę o podrobionym podpisie, o fałszywej pieczęcie, o nikczemnej premedytacji Simona, który po dokonaniu zbrodni z szatańską chytryością zwałił ją na barki świątobliwego mnicha, aby zohydzić instytucję Kościoła. I niedorzeczny ten wymysł roznamiętniał żalosne mózdzki szarego tłumu, ogłupianego od wieków katechizmem

i niewolnictwem. Brat Gorgiasz urósł do rzędu męczenników wiary, stając u boku ojca Filibina. Ilekroć się ukazał, spotykały go owacje, kobiety całowały skraj jego szaty, dzieci prosiły o błogosławieństwo... a on bezwstydnym, tryumfującym, przemawiał do tłumów, celebrował jakieś dziwaczne obrządki niczym popularne, pewne poklasku bożyszcze. Ludzie zorientowani dopatrywali się jednak poza tą brawurą desperacji nędznika, zmuszonego do odgrywania roli, której niedorzeczną kruchość sam najlepiej wyczuwał. Było całkiem oczywiste, że tam, na scenie, znajduje się tylko aktor, tragiczna kukła poruszana niewidzialną ręką. Chociaż ojciec Crabot zniknął, pokornie zamknąwszy się w swej zimnej, surowej celi w Valmarie, czarny jego cień nieustannie przeciągał przez scenę: czuło się, jak jego smukłe ręce pociągają sznurki, przesuując kukielki – pracując na chwałę Kongregacji.

Wśród najgwałtowniejszych wstrząsów, wbrew opozycji zespolonych sił reakcji, minister sprawiedliwości musiał przedstawić trybunałowi kasacyjnemu wniosek o re – wizję procesu, wystosowany przez Dawida w imieniu żony i dzieci skazańca. Było to pierwsze zwycięstwo prawdy, które na moment pognębiło stronnictwo klerykalne. Nazajutrz jednak walka rozgorzała ponownie, obrzucono błotem nawet trybunał kasacyjny, lżąc go każdego ranka i pomawiając o zaprzękanie się Żydom. „Petit Beaumontais” wymieniał konkretne kwoty, oczerniał prezesa sądu, prokuratora generalnego i zespół sędziowski, przytaczając ohydne i całkowicie zmyślane historyjki na temat ich prywatnego życia. Przez dwa miesiące śledztwa nie przestawała płynąć rzeka nieczystości i nie było chyba tak niegodziwych machinacji, oszczerstw, a nawet przestępstw, których by nie próbowano, aby wstrzymać bieg nieubłaganej sprawiedliwości. Wreszcie, po pamiętnych debatach, podczas których kilku prawników złożyło wspaniałe dowody zdrowego rozsądku i szlachetnej odwagi, wyższej nad namiętność, wydano orzeczenie, a chociaż było ono z góry wiadome, rozległo się piorunowym echem. Sąd poparł petycję i – uznając, że sprawa wymaga rewizji – zarządził ponownie śledztwo.

Owego wieczora Marek po lekcjach znalazł się sam w swym ogródku; zapadał łagodny zmierzch wiosenny. Ludwika nie wróciła jeszcze ze szkoły, gdzie niekiedy panna Mazine zatrzymywała swą ulubienicę. Genowefa od śniadania była u babki, z którą zresztą spędzała teraz całe dni. I choć bez pachniał tak świeżo w ciepłym powietrzu, Marek obnosił po alejkach gorzki żal nad opustoszałym domem. Nie ustąpił w sprawie spowiedzi, córka przestała nawet uczęszczać na wykłady religii, bo ksiądz nie chciał jej na nie dopuścić, skoro nie bywała u konfesjonału. Marek musiał odpierać ustawiczne ataki żony, rozjątrzonej i zrozpaczonej na myśl o potępieniu czekającym Ludwikę; czuła się współwinną, gdyż nie zdobyła się na tyle siły, by wziąć dziecko za rękę i osobiście zaprowadzić przed trybunał pokuty. Wspominała zachwy – cający moment własnej komunii, ów najpiękniejszy w życiu dzień, białą sukienkę, kadzidło, świece, słodkiego Jezusa, którego z taką błogością wybierała na oblubieńca i który pozostał jej jedynym małżonkiem, jej niebiańską miłością; ślubowała wówczas, iż innej nigdy nie zazna...

A oto córka jej ma być pozbawiona takiej szczęśliwości – jak istota upadła, sprowadzona do rzędu zwierząt, co nie znają religii! Genowefa korzystała tedy z każdej sposobności, by próbować wydrzeć mężowi przyzwolenie, zmieniając ognisko domowe w teren walki, gdzie najbliższe przyczyny wywoływały nie kończące się spory.

Powoli zapadała noc niosąc ukojenie i Marek dziwił się w tej godzinie znużenia, iż się tak opiera, z odwagą okrutną dla wszystkich trojga. Odzywała się w nim dawna tolerancja: pozwolił przecież ochrzcić dziewczynkę – czemu nie pozwolić jej przystąpić do pierwszej komunii? Argumenty żony, przed którymi tak długo schylał czoło, nie są pozbawione siły: poszanowanie wolności osobistej, prawa matki, prawa sumienia... W domu matka – to z natury rzeczy wychowawczyni i duch opiekuńczy, zwłaszcza gdy chodzi o dziewczynki. Nie liczyć się z jej poglądami, działać wbrew jej przekonaniom i uczuciu – to wręcz dążenie do zerwania małżeństwa! Nic ich już nie łączy, szczęście jest zniweczone – i rodzice, i dziecko padają ofiarą tej strasznej wojny domowej rozdzierającej nieszczęsną rodzinę, tak niegdyś zgodną i radosną. Marek długo chodził w mroku po wąskich alejkach ogródka, rozważając, na jakie jeszcze ważyć się ustępstwo dla odrobiny spokoju i szczęścia.

Nade wszystko dręczyły go skrupuły, czy nie on sam jest winien temu wielkiemu nieszczęściu? Rozumiał już, że częściowo ponosi odpowiedzialność, i nieraz zastanawiał się, czemu to od pierwszego dnia po ślubie nie usiłował pozyskać Genowefy dla swych przekonań. Wtedy, w objawieniu miłości, należała do niego całkowicie i spo – czywała w jego objęciach tak ufna, gotowa stopić się z nim w jedną myśl i jedno ciało. On jeden w owej godzinie był władny wydrzeć kobietę klerowi i z wiecznego dziecka, kulącego się w strachu przed piekłem, uczynić świadomą towarzyszkę życia, umysł wyzwolony, zdolny do ogarnięcia prawdy i sprawiedliwości. W okresie pierwszych sprzeczek Genowefa mu to wypomniała: „Jeżeli bolejesz nad tym, że się różnimy w zapatrywaniach, twoja w tym wina. Trzeba było mnie wykształcić. Jestem taka, jaką mnie urobiono, a bieda w tym, żeś nie potrafił mnie przerobić.” Obecnie zresztą już tak nie mówiła; w niezachwianej pysze swojej wiary nie dopuszczała już myśli, że mąż mógł mieć na nią wpływ. On zaś wspominał z goryczą sposobność, żałował, iż tak egoistyczne było jego uwielbienie, kiedy w czarującej wiośnie małżeństwa zachwycał się urodą żony, uważając ją za doskonałość, i nie zatroszczył się, by wejrzeć w jej umysł, by ją oświecić. Wtedy zresztą nie myślał jeszcze, że stanie się krzewicielem prawdy, jakim jest obecnie; godził się na pewne kompromisy w mniemaniu, iż dość jest kochany i ma dosyć siły, aby pozostać panem położenia. Wszystka jego dzisiejsza udręka jest wynikiem męskiego zarozumiałstwa, zaślepienia i słabostek jego miłości.

Marek przystanął przed zakwitłym w przeddzień krzakiem bzu o przemijającym aromacie. Czuł, że wzbiera w nim płomienna potrzeba walki. Jeśli nie spełnił był niegdyś zadania, nie działał, nie usiłował wyzwolić powierzonej sobie duszy, tak zatrutej błędnymi wierzeniami, czyż

to znaczy, że i dzisiaj ma tego zaniedbać i dopuścić, aby córka błędziła tak samo jak matka? Byłoby to tym bardziej karygodne, że teraz wziął na siebie obowiązek: podjął się wyzwolić z odwiecznego kłamstwa dzieci innych rodziców; dałby więc zły przykład, gdyby nie zdołał uchronić własnej córki! Można od biedy wybaczyć, gdy jakiś pierwszy lepszy ojciec rodziny dla świętego spokoju ulega żonie dewotce, upierającej się ogłupić córkę przy pomocy niegodnych i niebezpiecznych praktyk. Ale on! On, który usunął z klasy krucyfiks, on, zwolennik wyłącznie świeckiego nauczania, głoszący konieczność wyrwania klerowi kobiety, jeżeli ma wreszcie powstać szczęśliwe społeczeństwo... Czyż nie byłoby to najdobitniejszym wyznaniem słabości, najgorszą klęską? W ten sposób przekreśliłby i zniweczył całe swe posłannictwo. Straciłby wszystką moc, nie miałby już prawa wymagać od innych tego, czego nie potrafił przeprowadzić we własnym domu, gdzie jego umysł i serce powinny były odnieść pierwsze zwycięstwo. Poza tym, jakąż lekcją egoistycznej słabości i obłudy dla córki, co zna jego przekonania, wie, że jest przeciwnikiem spowiedzi i komunii, i będzie się zastanawiała, czemu pozwolił w swoim domu na postępowanie, które stanowczo potępia u sąsiada. Myśleć jedno, a czynić drugie? Nie, nie! Tolerancja jest niemożliwa. Jeżeli ustąpi znowu, jego dzieło wyzwolenia runie pod brzemieniem powszechnej wzdargy.

Na błędnym niebie zapalały się pierwsze gwiazdy. Marek podjął na nowo swą samotną przechadzkę. Do tryumfów Kościoła należało, że wolnomyślni rodzice nic wazyli się odbierać mu dzieci; postępowali tak z obawy skandalu i skrępowani przyjętym w ich środowisku obyczajem. Któż tedy da początek, któż przełamie strach, iż nie usamodzielnili syna, nie wyda za mąż córki, jeżeli ominą oni sakramenty – chociażby sprowadzone do zwykłej formalności? Z pewnością długo jeszcze wypadnie czekać, zanim nadejdzie czas, kiedy nauka obali dogmaty i zburzy w praktyce to, co już zburzyła w umysłach ludzkich. Ale odważni powinni pierwsi dać przykład. Marka zadziwiała zwłaszcza wysiłki Kościoła, by pozyskać sobie kobietę, którą pomiałał przez całe wieki, którą znieważał zwąc ją córą szatana, winną wszystkich grzechów świata. Jezuita, których genialnym chwytem było przystosowanie Boga do nieuchronnych namiętności ludzkich, zdawali mu się motorem wielkiego ruchu, co uczynił kobietę narzędziem zwycięstw społecznych i politycznych w ręku kleru. Potępiali miłość, ale ją wykorzystywali do swych celów. Traktowali kobietę niby lubieżne zwierzę, którego święty nawet tknąć nie powinien, a oto dogadzają jej, otaczają pochlebstwami, czynią ozdobą i podporą świątyń, od chwili gdy wpadli na pomysł wyzyskania jej wszechwładzy seksualnej nad mężczyzną. Płec goreje wśród świec na ołtarzu, przyjmują ją niczym drogę łaski i posługują się nią jak sidłami, w które spodziewają się złowić mężczyznę, aby go obezwładnić. Czyż wszystkim rozłam, bolesny spór we współczesnym społeczeństwie nie wynika z tego właśnie rozdarcia między mężczyzną, na poły wyzwolonym, a kobietą, co pozostała, niewolnicą, sługą pokorną i ugłaskaną przez obumierający katolicyzm? Zagadnienie polega na tym, aby nie pozostawić Kościołowi plonów

niewczesnej czułości, jaką usypia nasze córki i żony, aby pozbawić go zasługi rzekomego wyzwolenia, jakie im daje, aby wyzwolić je naprawdę i odebrać Kościołowi, gdyż należą do nas, tak jak my do nich. Istnieją trzy siły: mężczyzna, kobieta, Kościół; nie wolno, by Kościół sprzymierzył się z kobietą przeciwko mężczyźnie; trzeba, by mężczyzna i kobieta sprzymierzyli się przeciw Kościołowi. Czy zresztą stadło małżeńskie to nie jedność? Niczego nie stworzy mąż bez żony ani żona bez męża. Złączeni ciałem i duchem – stają się niepokonani, tworzą życiodajną siłę, ziszczone nareszcie szczęście w ujarzmionej przyrodzie. I Marek nagle ujrzał w olśnieniu jedyne prawdziwe rozwiązanie: uczyć kobietę, dać jej u swego boku równorzędne miejsce towarzyski życia, bo jedynie wolna kobieta może wyzwolić mężczyznę.

W chwili gdy Marek, pokrzepiony i uspokojony, skupiał odwagę do dalszej walki, usłyszał, że Genowefa wró – ciła. Wszedł za nią do sali. szkolnej, w której dogasało światło dzienne. Ujrzał jej postać, zniekształconą przez zaawansowaną ciążę, ale wyniosłą i wyprostowaną. Oczy jej błyszczały, a postawę miała tak zaczepną, iż Marek poczuł zbliżanie się ostatecznej burzy.

– No co? – zagadnęła szorstko – jesteś zadowolony?

– Z czego, kochanie?

– Aha, nie wiesz... Będę więc miała przyjemność pierwsza zakomunikować ci wielką nowinę... Wasze bohaterskie wysiłki wydały owoce, nadeszła właśnie depesza: trybunał kasacyjny zdecydował rewizję procesu.

Marek wydał okrzyk wielkiej radości, puszczając mimo uszu ton zjadliwej ironii, jakim oznajmiono mu ów tryumf.

– Nareszcie! Więc są jeszcze uczciwi sędziowie! Niewinny przestanie cierpieć... Ale czy to zupełnie pewna wiadomość?

– Tak, tak, zupełnie, mam ją od porządnych ludzi, którzy otrzymali telegram. Tak, tak, bezceństwo się dokonało, możesz się cieszyć.

W tych drgających gorczą słowach brzmiały echa gwałtownej sceny, której Genowefa zapewne była świadkiem, gdy jakaś świątobliwa osoba, ksiądz lub mnich, zaufany ojca Crabot, przybiegł opowiedzieć o katastrofie, Boga na szwank wystawiającej.

Wciąż nie chcąc zrozumieć, Marek wesołym ruchem wyciągnął ramiona ku żonie.

– Dziękuję ci, najmilsza zwiastunko dobrej nowiny! Pocałuj mnie!

Nie ruszając się z miejsca odtrąciła go gestem nienawiści.

– Pocałować cię? dlaczego? dlatego że byłeś sprężyną haniebnego uczynku? że jesteś uszczęśliwiony tym zbrodniczym zwycięstwem nad religią? Burzysz własny kraj, własną rodzinę, niszczysz siebie samego, żeby ratować tego twojego ohydneho Żyda, największego zbrodniarza na ziemi!

Marek, wciąż jeszcze łagodnie, starał się ją uspokoić.

– Ależ, moja droga, nie mów takich rzeczy. Jak możesz, ty, taka rozumna, tak niegdyś dobra,

powtarzać podobne potworności? Widocznie to prawda, że fałsz jest zaraźliwy, skoro może zaciemnić najzdrowszy rozum... Pomyśl, znasz przecie sprawę. Simon jest niewinny. Pozostawić go w więzieniu to okropna niesprawiedliwość, to wsączenie jadu zgnilizny społecznej, od której w końcu zginie naród.

– Nie, nie! – krzyknęła w jakimś mistycznym uniesieniu. – Simon jest winien, został nieodwołalnie potępiony. Oskarżyli go i oskarżają ludzie uznanej świątobliwości; i gdyby miał być niewinny, trzeba by utracić wiarę, uwierzyć, że sam Bóg może się mylić. Nie, nie! on musi pozostać w więzieniu! Dzień, w którym by wyszedł, to byłby koniec wszystkiego, co na tym świecie godne szacunku i boskie.

Marek stopniowo ulegał zniecierpliwieniu.

– Nie pojmuję, jak takie proste zagadnienie prawdy i sprawiedliwości może nas dzielić. Niebo nie ma z tym nic wspólnego.

– Przepraszam! Poza niebem nie ma prawdy ani sprawiedliwości.

– Ach! powiedziałaś wreszcie wielkie słowo! Oto co tłumaczy naszą niezgodę i mękę. Myślałabyś nadal jak ja, gdybyś nie wprowadzała między nas nieba; i wrócisz do mnie w dniu, kiedy zgodzisz się tu, na tej ziemi, myśleć rozsądnie i czuć po bratersku.. Jedna jest tylko prawda, jedna sprawiedliwość: ta, którą buduje nauka pod kontrolą doświadczenia i jednomyślności ludzkiej.

Teraz z kolei Genowefa wybuchnęła:

– Spróbujmy rozmówić się raz otwarcie: chcesz zniszczyć moją religię, mojego Boga? – Tak! – zawołał. – Zwalczam właśnie katolicyzm, nedorzecznosc jego doktryny i zakłamanie praktyki, perwersję jego obrzędów, jego zabójczy wpływ na dziecko i na kobietę oraz jego szkodliwość społeczną. Kościół katolicki – oto wróg, którego przede wszystkim trzeba usunąć z drogi. Pilniejsze od zagadnień społecznych i politycznych jest zagadnienie religii, która zagradza wszystko. Nigdy nie postąpimy kroku naprzód, jeżeli nie zaczniemy od zwalczania Kościoła, demoralizatora, truciciela, zabójcy. I posłuchaj mnie uważnie, oto dlaczego oświadczam stanowczo, że nie pozwolę Ludwiczce przystąpić do spowiedzi i komunii. Uważałbym, że nie spełniam swego obowiązku, znalazłbym się w zupełnej sprzeczności z własnymi ideami i naukami, które głoszę. A nazajutrz musiałbym opuścić tę szkołę, zaniechać wychowywania cudzych dzieci, skoro brak mi siły i lojalności, by prowadzić własne dziecko ku prawdzie, jedynie prawdziwej i dobrej. Nie ustąpię. Nasza córka sama osądzi i wybierze, gdy skończy dwadzieścia lat.

Doprowadzona do pasji Genowefa miała odpowiedzieć, kiedy weszła Ludwika. Panna Mazeline zatrzymała ją długo po lekcjach i teraz odprowadziła, aby się wesoło pochwalić, że nauczyła swą ulubienicę trudnego ściegu szydełkiem.

Nauczycielka, drobna i szczupła, nieładna, lecz pełna wdzięku, miała szeroką twarz

o pełnych łagodnych ustach i pięknych czarnych oczach, błyszczących serdeczną życzliwością. Już od progu zawołała:

– Cóż to? nie macie państwo światła?... A ja chciałam wam pokazać śliczną, robótkę grzecznego dziewczynki.

Ale Genowefa, nie słuchając, szorstko przywołała córkę.

– Dobrze, żeś przyszła, Ludwiczko, podejdź bliżej... Ojciec znowu dręczy mnie o ciebie. Protestuje stanowczo przeciw twemu przystąpieniu do pierwszej komunii... Ja wymagam, żebyś poszła w tym roku. Masz dwanaście lat, nie podobna dłużej zwlekać bez wzbudzenia skandalu... Zanim coś postanowię, pragnę usłyszeć twoje własne zdanie.

Wysoka jak na swój wiek, sformowana już Ludwika była prawie małą kobietką; w jej inteligentnej twarzy subtelne rysy matki łączyły się z odziedziczonym po ojcu wyrazem spokojnej rozważliwej. Nie spiesząc się odpowiedziała z czułą uległością:

– Moje własne zdanie? Mamo, ja nie mogę go mieć... tylko myślałam, że to już załatwione, bo tatuś chce jedynie poczekać, aż będę pełnoletnia. Wtedy powiem ci moje zdanie.

– Więc taka jest twoja odpowiedź, nieszczęsna dziewczyno? – z rosnącym rozdrażnieniem krzyknęła matka. – Czekać, kiedy widzę wyraźnie, jak te okropne nauki ojcowskie psują cię i z każdym dniem oddalają ode mnie!

W tym momencie nieopatrznie wtrąciła się panna Mazeline, gdyż w swej poczciwości cierpiała nad dramatem tego małżeństwa, którego szczęście tak ją dawniej wzruszało.

– O, droga pani Froment, Ludwiczka panią uwielbia, a to, co powiedziała, jest bardzo rozsądne.

Genowefa zwróciła się do niej porywczo:

– Proszę pilnować własnych spraw! Nie chcę się doszukiwać udziału pani w tym wszystkim... Niech pani swoje wychowanki uczy czcić Boga i rodziców. Każdy powinien robić swoje, nieprawdaż?

Kiedy rozżalona nauczycielka wycofała się w milczeniu, nie chcąc przyczynić się do zaognienia sporu, Genowefa znowu spojrzała na córkę.

– Posłuchaj mnie, Ludwiko, i ty, Marku, posłuchaj mnie uważnie! Mam dosyć, zapewniam was, mam tego dość, a to, co dziś zaszło, co tu zostało powiedziane, do – pełnia miary. Nie kochacie mnie już, prześladujecie mnie w mojej wierze, chcecie wygnać z domu.

W głębi dużej, mrocznej sali córka płakała, wstrząśnięta i zrozpaczona, a mąż stał nieruchomo, bolejąc nad tym ostatecznym zerwaniem. Zaprotestowali jednogłośnie:

– Wygnać cię z domu?

– A tak, robicie wszystko, aby mi tu uniemożliwić życie... Trudno! nie mogę pozostać w tym przybytku zgorszenia, błędu i bezbożności, gdzie każdy ruch, każde słowo rani mnie i oburza. Sto razy mi powtarzano, że to nie dla mnie miejsce! Nie chcę być potępiona wraz z wami.

Odchodzę, wracam tam, skąd przyszedłam.

Okrzyk ten rzuciła z niezwykłym żarem.

– Do twojej babki, prawda?

– Tak, do niej. To przystań, siedlisko najwyższego spokoju. Tam przynajmniej potrafią mnie rozumieć i kochać. Nie powinnam była nigdy opuszczać tego świętego gniazda mojej młodości... Żegnajcie, nic mnie już nie zatrzymuje, jestem tu obca ciałem i duszą.

I zacięta w swym gniewie, skierowała się ku drzwiom nieco chwiejnym krokiem, ociężała z powodu brzemienności. Ludwika wciąż szlochała, lecz Marek zdecydował się na ostatnią próbę: zagroził żonie drogę.

– A teraz ja proszę, żebyś mnie wysłuchała. Nie dziwi mnie, że chcesz wrócić, skąd przyszedłaś, gdyż wiem, że robiono tam wszystko, aby cię zabrać i oderwać ode mnie. To dom żaloby i zemsty. Ale nie jesteś sama: nosisz w sobie dziecko, którego nie możesz mi tak zabrać i oddać innym.

Genowefa zatrzymała się przed mężem opartym plecami o drzwi. Zdawała się rosnąć, stała się wyższa, bardziej harda.

– Dlatego właśnie odchodzę, żeby ci je odebrać – cisnęła mu w twarz – żeby je uchronić od twego gorszą-

cego wpływu. Nie zgadzam się, abyś je wychował na po – ganina i zatracił jego umysł i duszę, tak jak tej nieszczęsnej dziewczyny. Myślę, że ono chyba jest jeszcze moje i że nie będziesz się ze mną szarpał, aby je zatrzymać przy sobie. No, odejdz od tych drzwi, pozwól mi przejść.

Nie odpowiedział czyniąc nadludzki wysiłek, by nie popołgować pasji i nie użyć siły. Przez chwilę patrzyli na siebie w nikłym, dogasającym świetle.

– Odsuń się od tych drzwi – powtórzyła twardo. – Zrozum, że moje postanowienie jest nieodwołalne. Chyba nie chcesz skandalu? Nic byś na tym nie zyskał, dostałbyś dymisję, nie pozwolono by ci prowadzić dalej tego, co nazywasz swym powołaniem, odsunięto by cię od tych dzieci, którym zawsze dawałeś pierwszeństwo przede mną, a które swymi pięknymi naukami wykierujesz na bandytów... No, no, uspokój się, musisz się oszczędzać dla twojej szkoły potępieńców, a mnie pozwól wrócić do mojego Boga, który cię kiedyś skarze.

– Ach, moja biedna żono – wyszeptał, ugodzony w serce. – Na szczęście, to nie ty przemawiasz, lecz przez twoje usta mówią ci żałośni ludzie, co użyli cię przeciwko mnie jak broń śmiercionośną. Poznają ich słowa, ich rachuby na wywołanie dramatu, gorące pragnienie, bym otrzymał dymisję, aby moją szkołę zamknięto, żeby umarło moje dzieło. Gdyż chodzi zawsze o zwalczanie orędownika sprawiedliwości, przyjaciela Simona, człowieka, który niebawem dobiedzie na jaw niewinność tamtego... I masz słuszość: nie chcę skandalu, zbyt wielu wrogów ucieszyłoby się z tego.

– Pozwól mi więc odejść – powtórzyła z uporem.

– Dobrze, za chwilę. Przedtem dowiedz się, że cię nadal kocham, nawet więcej jeszcze: jak dziecko dotknięte jedną z tych zaraźliwych chorób, po których tak powoli wraca się do zdrowia. Ale nie tracę nadziei, bo jesteś z natury dobra i zdrowa, jesteś istotą myślącą i kochającą – cą, która musi pewnego dnia ocknąć się z koszmaru... Poza tym przeżyliśmy razem przeszło czternaście lat, ja cię uczyniłem kobietą, żoną i matką, a jeżeli nawet popełnił błąd nie przerabiając cię całkowicie, to jednak wpołem ci dość rzeczy nowych, aby ich wpływ oddziaływał na ciebie w dalszym ciągu... Wrócisz do mnie, Genowefo.

Zaśmiała się wyzywająco.

– Nie sądzę,

– Wrócisz – podjął z przekonaniem – kiedy poznasz prawdę, reszty dokona twoja dawna miłość do mnie. Jesteś wrażliwa, nie potrafisz długo trwać w niesprawiedliwości... Nigdy nie zadawałem ci gwałtu, zawsze szanowałem twoją wolę; idź tedy za swym szaleństwem, wyczerp je do dna, skoro nie można cię inaczej uleczyć. Odsunął się od drzwi, by zostawić jej przejście. Zdawała się wahać przez chwilę w drżącym mroku, co ogarniał jej drogi dom tonący we łzach. Twarz jej, zmieniona pod wpływem słów męża, była już niewidoczna. Wtem, zdecydowana, powiedziała zdławionym głosem:

– Żegnajcie!

Ludwika, zagubiona w mroku, rzuciła się teraz, usiłując ją zatrzymać.

– Och! mamó, mamó, nie możesz nas opuścić, nas, co cię tak kochamy i pragniemy, twego szczęścia!

Drzwi się zamknęły i z dala dobiegł tylko stłumiony przez śpieszne kroki ostatni okrzyk pożegnania:

– Żegnajcie! Żegnajcie!

Wtedy Ludwika, słaniając się, z płaczem padła w ramiona ojca i długo na tej szkolnej ławce szlochali oboje. Zapadła noc; w obszernej, ciemnej sali słychać było jedynie ich ciche łkanie. Pusty dom zionął ciężką ciszą opuszczenia i żałoby. Odeszła żona i matka. Zrabowano ją mężowi i córce, aby ich zadreńczyć i wtrącić w rozpacz. Marek przejrzał teraz wszystkie długotrwałe knowania, obłudną robotę podziemną, aby rozkrwawić mu serce, zabierając uwielbianą żonę, i w ten sposób osłabić go, sprowokować odruch buntu, który by zniszczył jego i jego dzieło. I znalazł w sobie moc, by przyjąć mękę. Nikt na świecie nie dowie się o jego rozpacz, gdyż nikt nie widzi, jak szlocha wraz z córką w mroku opuszczonego domostwa – biedny człowiek, ogarnięty trwogą na myśl, że pewnego dnia odbiorą mu i dziecko, jedyną już teraz bliską istotę.

Tego samego wieczora Marek miał wykład dla dorosłych. Zapalono cztery gazowe lampy, w klasie stało się jasno i ludno. Wielu dawnych uczniów – robotnicy, drobni kupcy – uczęszczało pilnie na jego wykłady historii, geografii, fizyki, przyrody. Marek zasiadłszy przy stoliku mówił

przez półtorej godziny, bardzo przystępnie, zwalczając fałsze, wpajając w ciemne mózgi maluczkich trochę prawdy. Męczył go ból straszliwy: jego ognisko domowe było zburzone, spustoszone, jego serce oplakiwało kochankę i żonę, która nie czeka już na górze – w zimnym pokoju, tak niegdyś rozgrzanym czułością. Ale odważnie, z cichym heroizmem prowadził dalej swoje dzieło.